

ROBERT
CRAIS
Zasada dwóch minut

Z angielskiego przetłóżył
Sławomir Studniarz


Świat Książki



Pamięci
detektywa Terry'ego Melancona Jr.
Departament Policji Baton Rouge
10 sierpnia 2005
Bohater
„Dziękuję, Mr Policjant”

Podziękowania

W zbieraniu materiałów i pisaniu tej książki pomagało mi wiele osób, którym jestem winien podziękowania.

W Field Office FBI w Los Angeles agent specjalny John H. McEachern (szef legendarnego Bank Squad z L.A. Field Office) i agent specjalny Laura Eimiller (PR i biuro prasowe FBI) nie skąpili mi czasu i cierpliwie odpowiadali na pytania. Odpowiedzialność za błędy oraz celowe zmiany w opisie i procedurach ponoszę sam.

Assistant United States Attorney Garth Hire z biura AUS A udzielał mi wszelkiej pomocy w kwestiach zasad wydawania wyroków federalnych, wskazał też dodatkowe materiały źródłowe na ten temat. Tu również rozbieżności między stanem faktycznym a rzeczywistością przedstawioną w powieści są moim dziełem.

Były agent specjalny Gerald Petievich ze służb specjalnych USA dostarczył mi fakty dotyczące historii znaku Hollywood i Mount Lee, rzucił też dodatkowe światło na pewne zachowania przestępców.

Christina Ruano była moją ekspertką od spraw latynoskich – od miejsc geograficznych we wschodnim Los Angeles po obyczaje i język gangów. Zawdzięczam jej też informacje techniczne o kanale rzeki Los Angeles i mostach w centrum miasta.

Na koniec pragnę wyrazić specjalne podziękowanie mojej redaktorce, Marysue Rucci, która z dużą intuicją i pracowitością pomogła mi zrozumieć wewnętrzną uczciwość Maxa Holmana.

Prolog

Marczenko i Parsons jeździli dookoła banku przez szesnaście minut, wdychając opary farby dla wzmocnienia działania amfetaminy i podkręcając się przed akcją. Marczenko był przekonany, że ciemnoniebieska metalizowana emalia w spreju daje im podczas napadu dodatkową przewagę, wywołując w nich agresywność i dzikie spojrzenie, w końcu to barwa wojowników; Parsons po prostu lubił to niesamowite odlotowe uczucie, jakby się było oddzielnym od świata niewidzialną błoną.

Nagle Marczenko walnął ręką w deskę rozdzielczą, jego szeroka twarz spurpurowiała z wściekłości i Parsons zrozumiał, że ruszają do akcji.

– JAZDA, OBROBIMY TEN CHOLERNY BANK! – ryknął Marczenko.

Parsons wprowadził pocisk do lufy karabinu M4, a Marczenko gwałtownie skręcił i zajechał ich kradzioną corollą na parking. Parsons przezornie nie kładł palca na spuście. Ogień można było otworzyć dopiero na znak Marczenki; to on dowodził w ich małej grupie, co Parsonsowi wcale nie przeszkadzało. Dzięki Marczence zostali milionerami.

Było dokładnie siedem minut po trzeciej po południu, kiedy wjechali na parking i zaparkowali blisko wejścia. Tak jak przed każdym napadem, już po raz trzynasty, naciągnęli na twarze czarne kominiarki, a na ręce rękawiczki, stuknęli się pięściami, manifestując bojowego ducha i krzycząc:

– OBROBIMY TEN CHOLERNY BANK!

Wyskoczyli z samochodu, w swych strojach przypominali baribale. Marczenko i Parsons byli ubrani na czarno od stóp do głów, a pod bluzami mieli kamizelki kuloodporne zakupione na eBayu, które obwiesili pasami z tyloma dodatkowymi magazynkami do karabinów, że ich ciała, i tak pękate, wyglądały jak spuchnięte. Parsons niósł ogromną nylonową torbę na przewidywany łup.

W jasny dzień, widoczni jak dwie muchy w misce mleka, Marczenko i Parsons weszli do banku niczym zawodowi zapaśnicy swobodnie wkraczający na arenę.

Parsonsowi ani przez chwilę nie przeszło przez myśl, że na miejscu może zjawić się policja albo że zostaną złapani. Bał się podczas pierwszych kilku napadów, ale to był ich

trzynasty skok, a rabowanie banków okazało się wręcz śmiesznie łatwym sposobem na zdobycie forsy. Pracownicy banku bez najmniejszego oporu oddawali pieniądze, a strażnicy należeli już do przeszłości; banki przestały zatrudniać ochroniarzy z powodu zbyt wysokich kosztów – wystarczyło po prostu wejść do środka i zgarnąć całą gotówkę.

W drzwiach natknęli się na kobietę w eleganckim kostiumie. Zamrugła na widok ich czarnych strojów komandosów i uzbrojenia i próbowała zawrócić, ale Marczenko złapał ją za twarz i powalił na podłogę. Potem uniósł karabin i wrzasnął na całe gardło:

– To jest napad, skurwiele! Teraz my tu, kurwa, rządzymy!

To był znak dla Parsonsa, który puścił w górę dwie serie ze swojego karabinu, odłupując od sufitu płytki i roztrzaskując trzy rzędy lamp. Na wszystkie strony poleciały odłamki, szczątki i rykoszetujące pociski. Łuski sypały się z karabinu, pobrzękując jak sztucce na jakiejś szaleńczej uczcie. W zamkniętym pomieszczeniu ogień broni automatycznej skutecznie zagłuszał ludzkie krzyki.

Ich trzynasty napad na bank można było uznać za rozpoczęty. Czas mijał.

Lynn Phelps, trzecia w kolejce do okienka, wystraszyła się jak wszyscy, kiedy rozległy się strzały, i padła na podłogę. Chwyciła stojącą przed nią kobietę za nogi i pociągnęła ją w dół, potem ostrożnie spojrzała na zegarek. Cyfrowy wyświetlacz pokazywał dokładnie trzecią zero dziewięć, dziewięć minut po trzeciej. Wszystko będzie teraz zależało od czasu.

Sześćdziesięciodwuletnia pani Phelps była wprawdzie otyłą i zaniedbaną kobietą, ale zanim przeszła na emeryturę, pracowała jako zastępca szeryfa w Riverside w Kalifornii. Przeprowadziła się do Culver City z mężem, Stevenem Earlem Phelpsem, emerytowanym policjantem z Los Angeles, a klientką tego oddziału banku była zaledwie od ośmiu dni. Nie miała przy sobie broni, ale i tak by po nią nie sięgnęła. Wiedziała dobrze, że ci dwaj durnie, którzy napadli na bank, to amatorzy – zawodowcy nie marnowaliby czasu na wymachiwanie bronią i wyzwiska, tylko od razu przeszliby do rzeczy. Zaraz dopadliby kierownika zmiany i kazali kasjerom opróżnić szuflady. Wiedzieliby, że powodzenie zależy od szybkości. Ci dwaj durnie byli amatorami, co gorsza, amatorami uzbrojonymi po zęby. Zawodowcom zależało na tym, żeby przeżyć, amatorzy zabijali bez zmrużenia oka.

Lynn Phelps znów zerknęła na zegarek. Trzecia dziesięć. Minęła minuta, a ci dwaj kretyni wciąż wymachiwali soplami. Amatorzy.

Marczenko pchnął mężczyznę o wyglądzie Latynosa na ladę z blankietami wpłaty. Mężczyzna był niski, ciemnowłosy, jego ubranie robocze umazane było białą farbą i zakurzone. Ręce też miał białe i zakurzone. Parsons pomyślał, że facet pewnie remontował mieszkanie i wyskoczył na chwilę do banku. Pewnie nie znał angielskiego, ale nie było teraz czasu na naukę języka.

– Kładź to cholerne dupsko NA PODŁOGĘ! – wrzasnął Marczenko, po czym walnął faceta kolbą w głowę. Rozbił mu czaszkę i mężczyzna osunął się na ladę, ale nie upadł na podłogę, więc Marczenko przyłożył mu kolbą, jeszcze raz, zwalając go na dół. Potem odwrócił się w stronę sali, łypiąc zza kominiarki i dysząc wściekłością.

– Wszyscy leżą na podłodze. Jak ktoś spróbuje nam bruździć, niech się lepiej od razu pożegna z życiem. Podejź tu, tłusta krowo!

Zadanie Parsonsa było łatwe. Miał uważać na wszystkich i na drzwi. Jeśli wchodził nowy klient, łapał go i powalał na podłogę. Jeśli wchodził gliniarz, załatwiał skurwiela. Taką przyjęli metodę. A kiedy Marczenko szedł po klucz do skarbcza, Parsons obchodził stanowiska i zgarniał forszę.

Gotówka przechowywana była w dwóch miejscach, w szufladach przy poszczególnych stanowiskach i w skarbcu. Klucz do skarbcza miał kierownik zmiany.

Kiedy Marczenko rozkładał klientów na podłodze, Parsons otworzył nylonową torbę i zajął się pracownikami banku. Miał przed sobą sielski popołudniowy obrazek: cztery kasjerki, wszystkie młode, z Azji lub Europy Środkowej, i starsza kobieta siedząca przy biurku za ich plecami, na pewno ich kierowniczką. Jeszcze jeden pracownik, przypuszczalnie specjalista od kredytów albo zastępca kierownika, siedział za biurkiem umieszczonym na sali od strony klientów.

Parsons pomachał karabinem i postarał się, żeby jego głos zabrzmiał tak groźnie jak Marczenki. Już na sam widok jego broni panienki zza lady mdlały ze strachu.

– Odsunąć się od lady! Cofnąć się, do jasnej cholery! Wstawać! Nie kładź się, pieprzona suko! Dalej! Wstawaj!

Jedna z kasjerek, szlochając, osunęła się na podłogę, durna dziwka. Parsons pochylił się i dźgnął ją lufą.

– Podnoś się, głupia suko!

Za jego plecami Marczenko poderwał na nogi pracownika banku, wrzeszcząc:

– Kto z was ma klucz? Do jasnej cholery, gdzie jest kierownik? Ukatrupię cię, słowo daję!

Zza biurka za plecami kasjerek wyszła kobieta, przedstawiając się jako kierowniczką. Uniosła ręce i powoli się zbliżała.

– Możecie zabrać pieniądze. Nie będziemy stawiać oporu.

Marczenko odepchnął od siebie pracownika banku, potem przeszedł przez bramkę na drugą stronę sali. Kiedy robił to, co do niego należało, Parsons krzyknął na kasjerki, żeby podeszły do swoich stanowisk, i ostrzegł, żeby nie próbowały włączać alarmu. Kazał im wysypać zawartość szuflad na lady i powyciągać torebki z barwnikiem. W prawej ręce trzymał karabin, w lewej torbę. Kazał im włożyć pieniądze do torby. Trzęsły im się ręce, kiedy to robiły. Wszystkie drżały jak osiki na wietrze. Widząc, jak się go boją, Parsons dostał erekcji.

Ale nie mógł sobie poradzić z tą głupią dziewczynką leżącą na podłodze. Za nic nie chciała wstać. Chyba nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a może nawet nie słyszała jego poleceń. Miał ochotę przeskoczyć na drugą stronę i porządnie ją sprać, ale jej koleżanka zaproponowała, że opróżni szufladę za nią.

– Dobra – zgodził się Parsons. – Chodź tu i wsypuj forszę.

Kiedy usłużna kasjerka kładła pieniądze do torby, do banku wszedł siwowłosy, krótko ostrzyżony mężczyzna o ogorzalej twarzy. Parsons zorientował się tylko dlatego, że spojrzała na niego jedna z kasjerek. Kiedy obejrzał się, mężczyzna już się odwracał do wyjścia.

Karabin w ręku Parsonsa poderwał się, jakby nabrał życia, i padły trzy krótkie serie. Kasjerki zaczęły krzyczeć, kiedy mężczyzna zamachał rękami i zwałił się na podłogę. Parsons uznał sprawę za załatwioną. Popatrzył na leżących ludzi, upewniając się, że nikt nie próbuje wstać, potem odwrócił się do kasjerek.

– Dawać mi te cholerne pieniądze.

Ostatnia kasjerka włożyła banknoty do torby i pojawił się Marczenko. Jego torba niemal pękała w szwach. Prawdziwy łup zgarniało się w skarbcu.

– Wszystko gra? – spytał Parsons.

Marczenko rozpromienił się pod kominiarką.

– Gra i buczy.

Parsons zamknął nylonową torbę na zamek. Jeśli w środku wybuchnie torebka z barwnikiem, pieniądze będą do wyrzucenia, ale nylon przynajmniej uchroni go przed zabrudzeniem. Ładunki z barwnikiem wyposażone były w zapalnik czasowy albo zbliżeniowy. Ten ostatni wybuchał, kiedy wychodziło się z banku. Jeśli eksplodowała torebka z barwnikiem, policja szukała rabusiów upakowanych niezmywalnym kolorowym tuszem.

Z forszą w rękę stanęli obok siebie i zlustrowali bank.

Marczenko, jak za każdym razem, wykrzyczał swoje pożegnalne przesłanie:

– Nie podnosić się, nie rozglądać. Oderwiesz łeb od podłogi, to umrzesz!

Kiedy skierował się do drzwi, Parsons ruszył za nim. Nawet nie spojrzął na mężczyznę, którego zabił; tak się spieszył do wyjścia, do domu, żeby przeliczyć zrabowane pieniądze. W drzwiach Parsons odwrócił się po raz ostatni, żeby upewnić się, że wszyscy leżą na podłodze, i jak zawsze leżeli, bo rabowanie banków to cholernie łatwa robota.

Potem wyszedł za Marczenką na dwór.

Kiedy rabusie opuścili bank, Lynn Phelps spojrzała na zegarek. Była trzecia osiemnaście; dokładnie dziewięć minut wcześniej te dwa błazny w czarnych strojach wkroczyły do banku, wymachując pukawkami. Zawodowcy obrabiający banki wiedzieli, że na przeprowadzenie napadu mają niecałe dwie minuty, potem muszą wiać. Dwie minuty, co najmniej tyle czasu mijało od chwili, kiedy pracownik banku uruchamiał bezgłośny alarm, odbierany w siedzibie firmy ochroniarskiej wynajętej przez bank do nadzorowania takich spraw, do czasu kiedy na miejsce zdarzenia wyruszała policja, powiadomiona o napadzie. Każda sekunda więcej zwiększała ryzyko wpadki. Zawodowiec opuściłby bank po dwóch minutach niezależnie od tego, czy zdążył zgarnąć forszę, czy nie.

Lynn Phelps wiedziała, że ci dwaj to amatorzy, którzy opieprzali się w banku przez całe dziewięć minut. Prędzej czy później powinie im się noga.

Lynn Phelps leżała na podłodze i czekała. Ósemka na wyświetlaczu zmieniła się w dziewiątkę. Dziesięć minut. Lynn odchrząknęła.

Nie miała stuprocentowej pewności, co ci dwaj zastaną przed bankiem, ale mogła się domyślać.

Zabezpieczając odwrót, Parsons wycofał się do drzwi i przeszedł przez próg. Idąc tyłem, uderzył w Marczenkę, który stał jak wryty zaledwie metr od wyjścia. Naraz na parkingu rozległ się głos wzmocniony przez megafon:

– Policja! Nie ruszać się.

Parsons w mgnieniu oka ogarnął całą scenę: dwa niczym nie wyróżniające się sedany stały w poprzek jezdni na parkingu, podjazd zagradzał czarno-biały radiowóz. Na ulicy za radiowozem stała odrapana furgonetka. Za pojazdami usadowili się mężczyźni w cywilnych ubraniach, z zaciętymi minami mierzący do nich z pistoletów, karabinów i strzelb. Za radiowozem stali dwaj policjanci w mundurach.

– O w mordę! – wyrwało się Parsonsowi.

Nie bał się i nie był też szczególnie zaskoczony, chociaż serce waliło mu jak młot. Marczenko bez zastanowienia uniósł lufę i otworzył ogień. To był znak dla Parsonsa, który też zaczął strzelać. Ich zmodyfikowane karabiny M4 sprawowały się nienagannie, wyrzucając z siebie strumienie pocisków. Parsons poczuł lekkie uderzenia w brzuch, klatkę piersiową i lewe udo, nie nie przejął się tym wcale. Wyrzucił pusty magazynek, włożył nowy i przeładował. Obrócił się w stronę radiowozu, puścił serię, potem znów skierował się w stronę sedanów. Wtedy padł Marczenko. Nie zatoczył się, nie okręcił, nic z tych rzeczy; osunął się jak marionetka, której przecięto sznurki.

Parsons nie miał pomysłu na to, co dalej ze sobą zrobić, wiedział tylko, że ma strzelać. Przeskoczył przez ciało Marczenki i wtedy zobaczył, że jeden z twardzieli usadowionych za sedanami ma karabin zupełnie taki sam jak on. Parsons chciał ustawić się do niego bokiem, ale nie zdążył. Kule przebiły kamizelkę i zatrzęsły nim. Świat nagle poszarzał i rozmył się, w głowie mu szumiało, ale zupełnie inaczej niż po oparach farby.

Parsons tego nie wiedział, ale miał zniszczone prawe płuco i rozerwaną tętnicę. Przysiadł gwałtownie, ale nie poczuł, jak klapnął na ziemię. Nie poczuł też, jak uderza głową o beton. Miał świadomość, że sprawy wymknęły im się z rąk i stało się coś strasznego, ale wciąż nie mógł uwierzyć, że umiera.

Unosiły się nad nim jakieś kształty i cienie, nie wiedział, skąd się wzięły i nie obchodziło go to. Krew wylewała mu się do jamy brzusznej, spadało ciśnienie, a on myślał o zrabowanych pieniądzach. Przed oczami miał forszę, te lśniące zielone banknoty spoczywające w ukryciu, a każdy dolar jak życzenie, miliony niespełnionych życzeń już poza jego zasięgiem i odsuwające się coraz dalej. Parsons zawsze zdawał sobie sprawę, że to, co robią, jest złe, ale lubił napadać na banki. Dzięki Marczenko zostali bogaczami. I czuli się bogaci.

Parsons widział zrabowane przez nich pieniądze.

Czekały na nich.

Wtedy Parsonsowi przestało bić serce, ustał oddech i jego mrzonki o pieniądzach prysły na nagrzaną nasłonecznionej ulicy Los Angeles.

Grubo przekraczając dwie minuty, Parsons i Marczenko wyczerpali swój czas.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

– Wcale nie jesteś za stary. W dzisiejszych czasach czterdzieści sześć lat to jeszcze ho, ho! Masz kupę czasu, żeby ułożyć sobie życie.

Holman nie odpowiadał. Zastanawiał się, jak najlepiej spakować swoje rzeczy. Cały jego dobytek rozłożony był starannie na łóżku: cztery białe podkoszulki, trzy pary majtek, cztery pary białych skarpet, dwie koszule z krótkimi rękawami (jedna beżowa, druga w kratkę), para spodni khaki oraz ubranie, jakie miał na sobie podczas napadu na bank, kiedy go aresztowali, dokładnie dziesięć lat, trzy miesiące i cztery dni temu.

– Max, słyszysz, co do ciebie mówię?

– Muszę się jakoś spakować. Jak myślisz, mam zatrzymać te stare ciuchy, sprzed odsiadki? Nie wiem, czy jeszcze kiedyś wejdę w te spodnie.

Wally Figg, który kierował ośrodkiem resocjalizacyjnym dla więźniów oczekujących na zwolnienie, podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się spodniom. Podniósł je i przyłożył do Holmana. Na kremowych spodniach zostały ślady po tym, jak policjanci przewrócili Holmana na podłogę w oddziale First United California Bank dziesięć lat i trzy miesiące temu. Wally z podziwem oglądał materiał.

– Ładny krój. Włoskie?

– OdArmaniego.

Wally był pod wrażeniem.

– Na twoim miejscu bym je zostawił. Ładne są, szkoda wyrzucać.

– Od tamtego czasu przybyło mi w pasie dziesięć centymetrów.

Holman wtedy się nie oszczędzał. Kradł samochody, napadał na ciężarówki i rabował banki. Szybka forsa uderzała mu do głowy – na śniadanie wciągał metamfetaminę w kryształkach, a na lunch doprawiał się whisky. Skacowany i nakręcony po narkotykach, rzadko myślał o jedzeniu. Za kratkami przybrał na wadze.

Wally złożył z powrotem spodnie.

– Ja bym je sobie zostawił. Jeszcze zgubisz te kilogramy. Przynajmniej będziesz miał jakiś cel – zmieścić się znowu w te spodnie.

Holman rzucił je Wally'emu, który był od niego drobniejszy.

– Lepiej nie wracać do przeszłości.

Wally popatrzył z podziwem na spodnie i spojrział ze smutkiem na Holmana.

– Wiesz, że nie mogę. Nie wolno nam przyjmować niczego od podopiecznych. Przekażę je komuś z ośrodka, jeśli chcesz. Albo oddam biednym.

– Jak chcesz.

– To co mam z nimi zrobić?

– Wszystko mi jedno.

– Aha, jasne.

Holman wpatrywał się w swoje rzeczy. Za walizkę służyła mu zwykła torba na zakupy, reklamówka sieci Albertsons. Formalnie Max Holman wciąż był więźniem, ale już za godzinę miał znaleźć się na wolności. Kiedy kończysz odsiadkę w więzieniu federalnym, nie jest tak, że stawiają przy twoim nazwisku ostatni krzyżyk i puszczają cię luzem. Proces wychodzenia na wolność przebiega etapami. Najpierw umieszczają cię w zamkniętym ośrodku o ścisłym nadzorze, skąd zabierają cię na wycieczki do świata za murami, otaczają opieką psychologów, którzy ewentualnie pomagają ci zwalczyć niespołeczne zachowania czy uzależnienia. Jeśli to zaliczysz, przechodzisz do ośrodka resocjalizacyjnego, w którym pozwalają ci mieszkać i pracować razem z prawdziwymi cywilami. Ostatnie trzy miesiące przed wyjściem na wolność Holman spędził w takim właśnie ośrodku w Venice w Kalifornii, małej miejscowości wciśniętej między Santa Monica i Marina del Rey. Skończył mu się już wyrok i miał zostać wypuszczony na wolność, ale nie tak zupełnie – pozostawał pod nadzorem kuratora. Tak czy inaczej, zakosztuje wolności po raz pierwszy od dziesięciu lat.

– No dobra, przygotuję dla ciebie papiery – powiedział Wally. – Jestem z ciebie dumny, Max. To dla ciebie wielki dzień. Naprawdę się cieszę z tego powodu.

Holman układał rzeczy w torbie warstwami. Dzięki pomocy swej kuratorki z Urzędu do spraw Więziennictwa, Gail Manelli, znalazł kwaterę i stałą pracę. Pokój miał

go kosztować sześćdziesiąt dolarów tygodniowo, a zarabiać miał na rękę sto siedemdziesiąt dwa dolary. To był wielki dzień.

Wally poklepał go po plecach.

– Czekam w biurze, jak już będziesz gotowy do wyjścia. Aha, załatwiłem ci coś, wiesz? To taki upominek ode mnie.

Holman spojrzał na niego.

– Co takiego?

Wally wyjął z kieszeni wizytówkę i podał ją Holmanowi. Widniał na niej obrazek przedstawiający staroświecki zegarek. *Salvadore Jimenez, usługi zegarmistrzowskie, skup i sprzedaż markowych zegarków, Cufoer City, Kalifornia.*

– Kuzyn żony prowadzi taki mały sklep – tłumaczył Wally. – Naprawia zegarki. Pomyślałem, że jak zaczniesz zarabiać, może będziesz chciał naprawić ten zegarek po ojcu. Daj mi znać, jak będziesz się wybierał do Sally'ego, postaram ci się o zniżkę.

Holman wsunął wizytówkę do kieszeni. Nosił taniego timeksa na elastycznej bransolecie, który nie chodził od dwudziestu lat. Swego czasu Holman miał prawdziwe cacko, patek philippe, warte osiemnaście tysięcy dolarów. Holman zabrał go paserowi, niejakiemu Oscarowi Peresowi, za to, że próbował go orznąć na kradzionym porsche, które mu przyprowadził. Holman dusił sukinsyna, aż ten zemdłał. Ale to było kiedyś. Teraz Holman nosił timeksa, chociaż jego wskazówki stały w miejscu. Timex należał do jego ojca.

– Dzięki, Wally, wielkie dzięki. Miałem zamiar go naprawić.

– Jaki masz pożytek z zegarka, który nie pokazuje czasu?

– Chciałem się tym zająć. Teraz będzie mi łatwiej.

– Daj mi znać. Załatwię ci zniżkę.

– Jasne. Dzięki. A teraz pozwól mi się spakować, dobra?

Wally wyszedł, a Holman zabrał się do pakowania. Miał trochę rzeczy, trzysta dwanaście dolarów, które zarobił w czasie odsiadki, i zegarek ojca. Ale nie miał samochodu ani prawa jazdy, ani nikogo bliskiego, który odebrałby go z więzienia. Wally obiecał, że podwiezie go do motelu. Potem Holman będzie musiał sobie radzić sam, zdany na komunikację miejską i zepsuty zegarek.

Holman podszedł do szafki po zdjęcie syna. Postawił tam fotografię Richiego na samym początku swojego pobytu w tym ośrodku. Teraz, kiedy opuszczał jego mury, miał spakować ją na samym końcu. Zdjęcie przedstawiało jego syna w wieku ośmiu lat, szczerbatego chłopaka, krótko ostrzyżonego, śniadego, o poważnym spojrzeniu. Widać było po jego szerokim jak na swój wiek karku i ramionach, że chłopak odziedziczył budowę po Holmanie. Ostatni raz Holman spotkał się z synem w jego dwunaste urodziny. Holman, pijany jak bela, zjawił się o jeden dzień za późno. Właśnie opchnął dwie corvetty w San Diego i odpalił matce chłopca, Donnie, mocno spóźnione dwa tysiące dolarów na utrzymanie dzieciaka, do czego poczuwał się raczej rzadko i w niewystarczającym stopniu. Donna przysłała mu to zdjęcie Richiego, kiedy Holman siedział za kratkami już drugi rok. Chciała mu chyba wynagrodzić to, że nie przyprowadzała chłopca na odwiedziny do więzienia, nie pozwalała mu rozmawiać z nim przez telefon ani nawet nie przekazywała synowi sporadycznych listów od Holmana. Zupełnie odsunęła chłopca od ojca, ale on nie miał już jej tego za złe. Bez żadnej pomocy z jego strony Donna wychowała Richiego, który wyrósł na porządnego człowieka. Był ze swojego syna cholernie dumny.

Holman wsunął fotografię do torby, a żeby się nie porysowała, położył na wierzch pozostałe rzeczy. Rozejrzał się po pokoju. Pokój wyglądał podobnie jak przed godziną, zanim zaczął się pakować.

– No to chyba już wszystko.

Powiedział sobie, że czas już iść, ale nie wyszedł. Przysiadł na brzegu łóżka. To był ważny dzień, ale jego ciężar przytłaczał Holmana. Miał wprowadzić się do nowego pokoju i skontaktować ze swoją kuratorką, potem zamierzał poszukać Donny. Ostatni list dostał od niej dwa lata temu. Co prawda nigdy nie pisywali się do siebie zbyt często, ale wszystkie pięć listów, jakie do niej napisał od tamtego czasu, wróciły niedoreczone: adresatki nie zastano pod tym adresem. Holman przypuszczał, że wyszła za męża, a jej nowy facet pewnie nie życzył sobie, by jej były kochaś, skazaniec, wtrącał się do ich życia. Tego też Holman nie miał jej za złe. Nigdy się nie pobrali, ale mieli ze sobą dzieciaka, a to było coś warte, nawet jeśli Donna zniechęciła ojca chłopca. Holman chciał ją przeprosić, powiedzieć, że się zmienił. Choć zaczęła nowe życie, chciał się z nią spotkać i życzyć jej wszystkiego dobrego, a potem pójść swoją drogą. Kiedy osiem czy dziewięć lat

temu rozmyślał o dniu, w którym wyjdzie na wolność, wyobrażał sobie, że będzie stąd wyrwał w podskokach, a teraz po prostu siedział na łóżku. Wciąż siedział, kiedy wrócił Wally.

– Max?

Wally stał w progu, jakby bał się wejść do środka. Twarz miał bladą i oblizywał usta.

– Co z tobą, Wally? – spytał Holman. – Serducho ci nawala czy co?

Wally zamknął za sobą drzwi. Zerknął na kartkę, którą trzymał w ręku, jakby było tam napisane coś, czego nie rozumiał. Był wyraźnie roztrzęsiony.

– No co jest, Wally?

– Masz syna, tak? Na imię mu Richie?

– Zgadza się.

– Jak dokładnie się nazywa?

– Richard Dale Holman.

Holman wstał z łóżka. Zaniepokoiło go zachowanie Wally'ego, który przestępował z nogi na nogę i oblizywał wargi.

– Wiesz, że mam syna. Widziałeś jego zdjęcie.

– To jeszcze dzieciak.

– Teraz ma chyba dwadzieścia trzy lata. Na pewno dwadzieścia trzy. Po co pytasz?

– Max, czy on pracuje w policji? W Los Angeles?

– Zgadza się.

Wally podszedł i musnął palcami ramię Holmana, lekko niczym piórko.

– Jest źle, Max. Mam dla ciebie złą wiadomość i chcę, żebyś się na nią przygotował.

Wally spojrzał na niego badawczo, jakby czekał na znak, więc Holman skinął głową.

– No mów, Wally. O co chodzi?

– Twój syn zginął zeszłej nocy. Przykro mi, stary. Strasznie, strasznie mi przykro.

Holman słyszał słowa, widział smutek w oczach Wally'ego, wyczuwał troskę w jego dotyku, ale Wally, pokój i cały świat zostawili Holmana w tyle, jak jeden samochód odjeżdżający od drugiego na płaskiej pustynnej szosie – Holman dał ostro po hamulcach, Wally wcisnął gaz do dechy. Holman odprowadzał wzrokiem uciekający przed nim świat.

Nagle się zrównali i Holman zagłuszył w sobie tępy, okropny ból.

– Co się stało?

– Nie wiem, Max. Dzwonili z Departamentu Więziennictwa, kiedy poszedłem po twoje dokumenty. Niewiele mieli do powiedzenia. Nawet nie byli pewni, że to dotyczy ciebie, ani czy jeszcze tu będziesz.

Holman znów usiadł na łóżku, a Wally obok niego. Holman chciał zobaczyć się z synem po rozmowie z Donną. Podczas ich ostatniego spotkania, dwa miesiące przed jego aresztowaniem, chłopak kazał mu się odpieprzyć. Biegł obok samochodu, kiedy Holman odjeżdżał, w oczach miał łzy i wrzeszczał, że Holman to nieudacznik, krzyczał: „Odpieprz się ode mnie, ty nieudaczniku!”. Holmanowi wciąż śniła się ta scena. I oto do czego doszło. Holmana opadło przygnębiające wrażenie, że wszystko, do czego dążył przez ostatnie dziesięć lat, nagle straciło sens, a on czuł się jak okręt dryfujący bezradnie po morzu.

– Jeśli chcesz się wypłakać, nie krępuj się – powiedział Wally.

Holman nie płakał. Chciał wiedzieć, kto zabił jego syna.

Drogi Max!

Piszę do Ciebie, ponieważ chcę, żebyś wiedział, że chociaż Richard jest obciążony twoimi genami, już do czegoś w życiu doszedł. Wstąpił do policji. W niedzielę odbyła się obok stadionu Dodgersów uroczystość wręczenia dyplomów absolwentom akademii policyjnej. Naprawdę było na co popatrzeć. Przemawiał burmistrz, a nad naszymi głowami przelatowały helikoptery. Richard został policjantem. Jest silnym i porządnym człowiekiem, nie tak jak ty. Jestem z niego dumna. W mundurze było mu tak do twarzy. Myślę, że bardzo się starał, żeby udowodnić, że nie ma prawdy w starym przysłowiu „jaki ojciec, taki syn”.

Donna

To był ostatni list, jaki Holman od niej dostał, kiedy jeszcze siedział w więzieniu w Lompoc. Holman pamiętał, jak doszedł do miejsca, w którym pisała, że nie ma prawdy w tym starym przysłowiu, że syn nie musi iść w ślady ojca. Poczł wtedy nie wstyd czy zażenowanie, tylko ulgę. Pamiętał, jak myślał: dzięki Bogu, dzięki Bogu.

Odpisał jej, ale listy wracały nedoręczone. Napisał do syna na adres Departamentu Policji Los Angeles krótki list z gratulacjami, ale nie otrzymał odpowiedzi. Nie wiedział, czy list dotarł do Richiego, czy nie. Nie chciał się narzucać chłopakowi. Więcej do niego nie pisał.

2

– I co mam teraz zrobić?

– W jakim sensie?

– Nie wiem, co dalej robić w tej sprawie. Do kogo powinienem się zwrócić? Jak powinienem postąpić?

Jeszcze przed ukończeniem siedemnastego roku życia Holman odsiedział łącznie dziewięć miesięcy w zakładzie dla młodocianych przestępców. Pierwszy raz skazany został jako dorosły, kiedy miał osiemnaście lat – na sześć miesięcy za kradzież samochodów. Potem trafił na szesnaście miesięcy do stanowego więzienia za włamanie, potem dostał łączny wyrok, trzy lata, za włamanie i napad rabunkowy. W sumie jedną trzecią swego dorosłego życia Holman spędził w stanowych i federalnych więzieniach. Przywykł do tego, że decydowali za niego inni, mówili mu, co i gdzie ma robić. Jego zagubienie nie uszło uwagi Wally'ego.

– Po prostu dalej żyj swoim życiem. On był w policji. Kurczę blade, nigdy nie mówiłeś, że był w policji. To niesamowite.

– Co z pogrzebem?

– Nie mam pojęcia. Chyba policja się tym zajmie.

Holman próbował sobie wyobrazić, co w takich sytuacjach robią odpowiedzialni ludzie, ale brakowało mu doświadczenia w tej dziedzinie. Matka zmarła, kiedy był mały, a ojciec zmarł podczas jego pierwszej odsiadki za włamanie. Holman nie zajmował się ich pochówkiem.

– Na pewno chodzi o tego samego Richarda Holmana?

– Chcesz pogadać z psychologiem? Możemy go tu ściągnąć.

– Niepotrzebny mi psycholog, Wally. Chcę wiedzieć, jak do tego doszło. Mówisz, że zginął mój chłopak. Muszę poznać szczegóły. Nie można powiedzieć ojcu, że zginął jego syn, i tak tego zostawić. Jezu Chryste.

Wally poruszał rękami w powietrzu, jakby głaskał Holmana, próbując go uspokoić, ale Holman wcale nie był wzburzony. Nie wiedział, co dalej robić ani co powiedzieć, a mógł się z tego zwierzyć tylko Wally'emu.

– Jezu, Donna na pewno jest zdruzgotana. Muszę z nią pogadać – powiedział wreszcie.

– Jasne. Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie wiem. Policja pewnie zna jej adres. Jeśli powiadomili mnie, do niej też na pewno dotarli.

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Obiecałem Gail, że zadzwonię do niej zaraz po rozmowie z tobą. To jej policja przekazała wiadomość o śmierci twojego syna.

Gail Manelli była młoda, rzeczowa i zupełnie pozbawiona poczucia humoru, ale Holman ją lubił.

– Dobra, Wally. Działaj.

Wally dowiedział się od Gail, że Holman może uzyskać dodatkowe informacje od dowódcy Richiego w Chatsworth, w tamtejszym komisariacie. Dwadzieścia minut później, Wally za kółkiem, a Holman na siedzeniu pasażera, wyjeżdżali z Venice w kierunku doliny San Fernando. Podróż zabrała im prawie pół godziny. Zaparkowali przed schludnym, niskim budynkiem, który wyglądał raczej na nowoczesną bibliotekę na przedmieściach niż na posterunek policji. Tamtejsze powietrze przypominało smakiem grafit z ołówków. Holman przebywał w ośrodku w Venice przez trzy miesiące, ale ani razu nie wyjeżdżał poza miasto, które przez cały rok szczyliło się rzeńskim nadmorskim powietrzem. Życie na krótkiej smyczy, tak jak w ośrodku w Venice, skazańcy w drodze na wolność nazywali pobytem na farmie. Z kolei skazańców w drodze na wolność określano mianem więźniów wychodzących. Kiedy się tkwiło w tym układzie, wszystko miało swoją nazwę.

Wally wysiadł z samochodu i poczuł się tak, jakby zanurzył się w zupie.

– Niech mnie... Goręcej tu niż w piekle.

Holman nie odzywał się. Nie przeszkadzał mu upał, wręcz przeciwnie, przyjemnie grzał skórę.

Przedstawili się oficerowi dyżurnemu i poprosili o spotkanie z kapitanem Levym. Jak powiedziała Gail, Levy był bezpośrednim przełożonym Richiego. Mimo że Holman wielokrotnie trafiał do aresztu, nie znał tego komisariatu. Ale regulaminowe oświetlenie i surowy rządowy wystrój wewnątrz wywoływały u niego wrażenie, że już odwiedził to miejsce i jeszcze tu zawita. Posterunki, sądy, placówki karne, wszystko to Holman zwiedził, odkąd skończył czternaście lat. Czuł się w ich progach swojsko. Terapeuci w więzieniu wbijali im do głowy, że recydywistom takim jak on trudno wrócić na uczciwą drogę, ponieważ przestępstwa i kary stały się zwykłą częścią ich życia – kryminalista po pewnym czasie nie bał się już kary za swoje czyny. Z własnego doświadczenia Holman wiedział, że to prawda. Otaczali go tutaj ludzie z bronią i policyjnymi odznakami, ale nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Był rozczarowany. Pomyślał, że mógłby być chociaż trochę przejęty, ale czuł się tak, jakby robił zakupy w supermarkecie.

Oficer dyżurny przywołał ich skinieniem ręki, kiedy pojawił się umundurowany policjant. Miał siwe włosy, krótko przycięte, i oficerskie gwiazdki na pagonach, więc Holman domyślił się, że to Levy. Levy spojrzał na Wally'ego.

– Pan Holman?

– Nie, Walter Figg, z Ośrodka Resocjalizacyjnego w Venice.

– To ja jestem Holman.

– Chip Levy. Byłem przełożonym Richarda. Proszę za mną, podzielę się z panem informacjami, jakie do mnie dotarły.

Levy był niskim i krępy męczyzną o wyglądzie podstarzałego gimnastyka. Uścisnął rękę Holmanowi i dopiero wtedy Holman dostrzegł na jego ramieniu czarną opaskę. Podobne opaski nosili dwaj oficerowie dyżurni i policjant przypinający do tablicy ogłoszenia: *Letnie obozy sportowe! Zapisz swoje dzieci!*

– Chcę tylko wiedzieć, jak to się stało... no i co z pogrzebem.

– Proszę tędy, przez bramkę. Porozmawiamy na osobności.

Wally został z oficerami dyżurnymi. Holman przeszedł przez wykrywacz metalu i ruszył za Levym, który zaprowadził go do pokoju przesłuchań. W środku czekał na nich jeszcze jeden umundurowany policjant z belkami na pagonach, a więc sierżant. Na ich widok wstał.

Levy przedstawił ich sobie:

– To Dale Clark. Dale, to jest ojciec Richarda.

Clark mocno ścisnął Holmanowi rękę i przytrzymał ją dłużej, niż wypadało, co mu się nie spodobało. W przeciwieństwie do Levy'ego Clark wyraźnie próbował go rozgryźć.

– Kierowałem zmianą, na której pracował Richard. Był świetnym policjantem. Trudno by znaleźć lepszego.

Holman wymamrotał podziękowania, nic innego nie przychodziło mu do głowy. Uświadomił sobie, że ci ludzie pracowali z jego synem, znali go, a on nie wiedział o Richardzie zupełnie nic. Ta świadomość zbiła go z tropu i nagle żałował, że nie ma z nim Wally'ego.

Levy poprosił, żeby usiadł przy małym stoliku. Każdy policjant, który go kiedykolwiek przesłuchiwał, sprawiał wrażenie błędzącego myślami gdzieś daleko, jakby słowa Holmana nie miały żadnego znaczenia. Holman już dawno temu zrozumiał, że to nieobecne spojrzenie bierze się stąd, że obmyślają, jak najlepiej go podejść, żeby wyciągnąć z niego prawdę. Levy wyglądał w tej chwili tak samo.

– Może kawy?

– Nie trzeba.

– Wody albo soku?

– Nieeee.

Levy usiadł za stołem naprzeciwko niego i położył splecione ręce na blacie. Clark zajął miejsce po jego prawej stronie. Levy pochylił się nieco do przodu, natomiast Clark, z założonymi rękami, rozparł się na krześle.

– Dobrze – powiedział Levy. – Zanim zaczniemy, poproszę o jakiś dokument tożsamości.

Holman od razu się zorientował, że lecą w kulki. Departament Więziennictwa uprzedził ich o jego przyjeździe, a oni żądają papierów.

– Gail Manelli nie mówiła nic o mojej wizycie?

– To zwykła formalność. Kiedy dochodzi do takich nieszczęść, zgłaszają się do nas różni ludzie, podając się za krewnych. Zwykle próbują wyłudzić jakieś odszkodowanie.

Holman zaczerwienił się, sięgając po dokumenty.

– Ja nic nie próbuję wyłudzić.

– Proszę, to zwykła formalność – powiedział Levy.

Holman pokazał im świadectwo zwolnienia z więzienia i wydany przez rząd federalny dokument tożsamości. Wiedząc, że wielu z nich nie ma żadnego dokumentu tożsamości, rząd zaopatrywał wypuszczanych na wolność więźniów w dowód tożsamości ze zdjęciem, podobny do prawa jazdy. Levy spojrział na dokumenty i oddał je Holmanowi.

– W porządku. Przykro mi, że dowiedział się pan o tym w taki sposób, przez Departament Więziennictwa, ale nie wiedzieliśmy o pana istnieniu.

– To znaczy?

– Nie figurował pan w aktach osobowych Richarda. W rubryce „ojciec” pana syn wpisał „nieznany”.

Holman jeszcze bardziej się zaczerwienił, ale wytrzymał spojrzenie Clarka. Clark go wkurzał. To tacy glińiarze jak on dawali Holmanowi popalić niemal przez całe jego życie.

– Jeśli nie wiedzieliście o moim istnieniu, to jak mnie znaleźliście?

– Przez żonę Richarda.

Holman potrzebował czasu, żeby się z tym oswoić. Richard się ożenił i nikt, ani Richard, ani Donna, nie powiadomił go o ślubie. Levy i Clark chyba się domyślili, co przeżywa.

Levy odchrząknął i zapytał Holmana:

– Jak długo przebywa pan w więzieniu?

– Dziesięć lat. Dzisiaj właśnie skończył mi się wyrok. Wychodzę na wolność, ale zostanę pod nadzorem kuratora.

– Za co został pan skazany? – zainteresował się Clark.

– Obrabiałem banki.

– Ach tak, więc ostatnio nie widywał się pan z synem?

Holman mimowolnie odwrócił wzrok, za co przeklął siebie w duchu.

– Chciałem skontaktować się z nim po wyjściu z pudła.

Clark z troską skinął głową.

– Przecież mógł pan do niego zadzwonić z ośrodka. Dają wam tam dużą swobodę.

– Nie chciałem z nim rozmawiać, siedząc za kratkami. Nie chciałem nikogo prosić o pozwolenie, gdyby zgodził się ze mną spotkać. Chciałem stanąć przed synem jako wolny człowiek, na którym nie ciąży już żaden wyrok.

Teraz Levy sprawiał wrażenie zakłopotanego, więc Holman przystąpił do ofensywy. Miał do niego sporo pytań.

– Może mi pan powiedzieć coś o matce Richarda? Wszystko u niej w porządku?

Levy spojrzał na Clarka, który przejął pałeczkę.

– Zawiadomiliśmy żonę Richarda. Rozumie pan, mieliśmy obowiązek powiadomić ją jako małżonkę. Nie mówiła nam, czy przekazała wiadomość matce Richarda albo innym osobom, to jej sprawa. To od niej dowiedzieliśmy się o panu. Nie wiedziała, gdzie odsiaduje pan wyrok, dlatego zwróciliśmy się do Departamentu Więziennictwa.

– Podzielimy się z panem informacjami, jakie do nas napłynęły – odezwał się Levy. – Są raczej skąpe. Sprawą zajmuje się wydział zabójstw w komendzie głównej. Na tym etapie wiadomo tylko, że Richard zginął wraz z trzema innymi policjantami nad ranem. Przypuszczamy, że wpadli w jakąś zasadzkę, ale na razie nie można tego potwierdzić.

– Szacowany czas zdarzenia: około pierwszej pięćdziesiąt – odezwał się Clark.

Levy mówił dalej, jakby nie przejął się tym, że Clark wtrącił swoje trzy grosze.

– Dwaj policjanci byli na służbie, pozostali dwaj, w tym Richard – nie. Zebrali się w...

Tym razem przerwał mu Holman.

– Więc nie zostali zabici podczas strzelaniny?

– Jeśli pyta pan, czy zginęli w trakcie wymiany ognia, to nie wiem, ale z posiadanych przeze mnie raportów wynika, że raczej nie. Spotkali się w celach towarzyskich, nie służbowych. Nie wiem, jak obrazowo powinienem...

– Mniejsza o obrazowość. Chcę tylko wiedzieć, co zaszło.

– Ci czterej policjanci nie wykonywali żadnego zadania – to mam na myśli, mówiąc, że spotkanie miało charakter towarzyski. Wyszli z samochodów, nie wyjmowali broni, żaden z nich nie zgłaszał przez radio przestępstwa ani niebezpiecznego rozwoju wydarzeń. Przypuszczamy, że do zabójstwa użyto strzelby.

– Jezu.

– Proszę zrozumieć, od zdarzenia minęło zaledwie kilka godzin. Dopiero niedawno została poinformowana grupa operacyjna, detektywi próbują właśnie ustalić przebieg zdarzeń. Będziemy pana informować w miarę postępów dochodzenia, ale na razie nic nie wiemy. Dopiero rozpoczynamy śledztwo.

Holman zmienił pozycję i jego krzesło skrzypnęło cicho.

– Wiecie, kto to zrobił? Podejrzewacie kogoś?

– Jeszcze na to za wcześnie.

– Czyli ktoś po prostu wziął i do niego strzelił, a on, nie wiem, patrzył akurat w drugą stronę? Stał odwrócony plecami do zabójcy? Próbuję to sobie jakoś wyobrazić.

– Nie wiemy nic więcej, panie Holman. Zdaję sobie sprawę, że ma pan mnóstwo pytań. My też, niech mi pan wierzy. Pracujemy nad tym, żeby zrekonstruować przebieg wydarzeń.

Holman miał poczucie, że jest niewiele mądrzejszy niż w chwili, kiedy tu przyjechał. Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym wyraźniej stawał mu przed oczami dwunastoletni chłopak biegnący obok samochodu, krzyczący, że Holman to nieudacznik.

– Cierpiał przed śmiercią?

Levy zawahał się.

– Jak tylko się o tym dowiedziałem, zaraz pojechałem na miejsce zbrodni. Richard był moim podwładnym. Ci trzej pozostali nie, ale Richard pracował w naszym komisariacie, więc musiałem to zobaczyć na własne oczy. Nie wiem, panie Holman. Żałuję, że nie mogę pana pocieszyć. Wolę myśleć, że nawet się nie spostrzegł, ale po prostu nie wiem.

Holman nie odrywał od niego wzroku. Doceniał szczerą Levy'ego. Czuł w piersiach chłód, ale ten chłód był już tam wcześniej.

– Czy wiadomo już, co z pogrzebem? Czy mogę jakoś pomóc?

– Zajmiemy się wszystkim w porozumieniu z wdową – odparł Clark. – Na razie nie ustalono daty. Jeszcze nie wiemy, kiedy lekarz sądowy wyda nam zwłoki.

– Jasne, rozumiem. Czy mógłbym dostać numer telefonu żony Richarda? Chciałbym z nią porozmawiać.

Clark odchylił się do tyłu, a Levy znów splótł ręce.

– Nie możemy podać jej numeru. Proszę zostawić nam swój, a my przekazemy jej, że chce się pan z nią skontaktować. Zwróci się do pana, to jej sprawa.

– Chcę tylko z nią pogadać.

– Nie możemy udostępnić jej numeru.

– Obowiązuje nas dyskrecja – wyjaśnił Clark. – Musimy chronić rodziny funkcjonariuszy.

– Jestem przecież jego ojcem.

– Akta osobowe Richarda tego nie potwierdzają.

Korciło go, żeby się odciąć, ale ugryzł się w język. Wyluzuj się, człowieku, powiedział sobie, jak w czasie odsiadki, kiedy zaczepiał go jakiś więzień. Trzeba się dostosować. Wbił wzrok w podłogę.

– W porządku, rozumiem.

– Jak będzie chciała, to zadzwoni. Wie pan, jak to jest.

– Jasne.

Holman nie mógł sobie przypomnieć numeru telefonu do motelu, w którym miał wynająć pokój. Levy odprowadził Holmana do stanowiska oficerów dyżurnych i Wally podał mu numer motelu. Levy obiecał, że zadzwoni, gdy tylko dowie się czegoś więcej. Holman podziękował za czas, który mu poświęcił. Dostosowywał się.

Levy szedł już z powrotem do siebie, ale Holman zatrzymał go jeszcze na chwilę.

– Kapitanie?

– Tak, słucham?

– Czy mój syn był dobrym policjantem?

Levy skinął głową.

– Tak, panie Holman. To był świetny chłopak.

Holman odprowadził Levy'ego wzrokiem.

– I czego się dowiedziałeś? – spytał Wally.

Holman odwrócił się bez słowa i poszedł do samochodu. Czekając na Wally'ego, przyglądał się policjantom, którzy wchodzili do komisariatu lub wychodzili. Spojrzał na przytłaczające błękitne niebo i ciągnące się na północy góry. Starał się poczuć jak wolny człowiek, ale bez skutku. Czuł się, jakby wciąż siedział w Lompoc. Uznał, że to dobrze. Większość życia spędził za kratkami. Potrafił się dostosować do więziennych warunków.

3

Kwaterna Holmana mieściła się w dwupiętrowym motelu o jedną przecznicę od Washington Boulevard w Culver City, wciśniętym między warsztat specjalizujący się w naprawach skrzyni biegów a całonocny sklep z okratowanymi oknami. Motel o nazwie Pacific Gardens był jednym z sześciu miejsc, jakie widniały na liście, którą przygotowała Holmanowi kuratorka, gdy jego wyrok dobiegał końca. Przemawiało za nim to, że był czysty, tani i położony blisko linii autobusowej, którą Holman mógł bez przesiadki dojeżdżać do pracy.

Wally zaparkował przed wejściem i zgasił silnik. Wcześniej pojechali do ośrodka, żeby Holman podpisał odpowiednie dokumenty i zabrał swoje rzeczy. Odtąd już oficjalnie przebywał na wolności pod kuratorskim nadzorem. Wreszcie był wolny.

– Tak nie można rozpoczynać nowego życia, stary – rzekł Wally. – Pierwszego dnia zaraz taka wiadomość... Posłuchaj, możesz zostać w ośrodku jeszcze przez kilka dni. Pogadamy sobie od serca, zajmie się tobą nasz psycholog...

Holman otworzył drzwi, ale nie wysiadł. Wiedział, że Wally się o niego martwi.

– Rozpakuję się, potem zadzwonię do Gail. Muszę jeszcze dziś pojechać do Wydziału Komunikacji. Potrzebny mi samochód, i to już.

– To prawdziwy cios, stary, taka wiadomość. Wreszcie na wolności, a tu spada na ciebie coś takiego. Nie pozwól, żeby to cię zdołowało, stary. Nie daj się sprowadzić na ścieżkę zła.

– Nikt tu nie zamierza wkraczać na ścieżkę zła.

Wally popatrzył badawczo Holmanowi w oczy, szukając w nich zapewnienia, więc on starał się wyglądać na pewnego swojej racji. Ale Wally nie był przekonany.

– Będzie ci ciężko, Max. Przyjdą czarne chwile i poczujesz się jak w potrzasku, nie będziesz mógł złapać tchu. Będziesz mijał sklepy z gorzałą i bary na każdym rogu, i będzie cię kusiło jak cholera. W razie kryzysu dzwoń do mnie.

– Poradzę sobie, Wally. Nie musisz się martwić.

– Pamiętaj, że zależy nam na tobie. Nie każdy zachowałby się tak jak ty, a to świadczy, że masz silny charakter. Dobry z ciebie człowiek, Max.

– Muszę iść, Wally. Mam sprawy do załatwienia.

Wally podał mu rękę.

– W razie czego jestem pod telefonem: dwadzieścia cztery na siedem.

– Dzięki, stary.

Holman zabrał z tylnego siedzenia torbę z rzeczami, wysiadł i pomachał Wally'emu, odprowadzając samochód wzrokiem. Holman wynajął jedną z ośmiu kawalerek, jakie oferował motel Pacific Gardens. Mieszkało tam sześciu innych lokatorów, pięciu cywili i jeden był skazaniec, podobnie jak on przebywający na wolności pod kuratorskim nadzorem. Holman zastanawiał się, czy cywile płacą niższy czynsz z racji tego, że mają za sąsiadów byłych przestępców. Uznał, że pewnie i tak korzystają z dofinansowania z kasy miejskiej, i cieszą się, że w ogóle mają dach nad głową.

Coś kapnęło Holmanowi na kark i spojrzał do góry. Motel nie miał centralnej klimatyzacji. Pojedyncze agregaty umieszczone były na zewnątrz pomieszczeń i to z nich ciekła na chodnik woda. Woda prysnęła Holmanowi na twarz, tym razem odsunął się w bok.

Kierownikiem był czarnoskóry mężczyzna w podeszłym wieku, Perry Wilkes, który pomachał wchodzącemu do środka Holmanowi. Chociaż Pacific Gardens dumnie nazywał się motelem, nie miał recepcji z prawdziwego zdarzenia. Perry, który był właścicielem i zajmował jedyne mieszkanie na parterze, urzędował za biurkiem wciśniętym w kąt naprzeciwko wejścia, żeby mieć oko na wchodzących i wychodzących.

Perry spojrzał na torbę Holmana.

– To cały twój dobytek?

– Na to wygląda.

– No dobra, formalnie jesteś już mieszkańcem. Dostaniesz dwa komplety kluczy, prawdziwych metalowych kluczy, więc jak zgubisz chociaż jeden, pożegnaj się z zastawem.

Holman już wcześniej wypełnił umowę najmu i zapłacił czynsz za dwa tygodnie z góry. Do tego dochodziła opłata za sprzątanie, sto dolarów, i zastaw za klucz, sześćdziesiąt dolarów. Kiedy Holman zjawił się tu po raz pierwszy, Perry pouczył go na temat hałasu, późnych powrotów, palenia trawki lub cygar w pokojach, i upomniał, że czynsz ma być płacony na czas, czyli dokładnie z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, jak życzyli tego sobie (Jail Manelli i Departament Więziennictwa, i Holman od razu mógł się wprowadzić.

Perry wyjął z szuflady klucze i podał je Holmanowi.

– Numer dwieście sześć, na samej górze od frontu. Mam jeszcze jedną wolną kawalerkę, na drugim piętrze od podwórza, ale najpierw sprawdź dwieście sześć – to najładniejsza kawalerka. Możesz, jak chcesz, zobaczyć jeszcze drugą, będziesz mógł wybrać.

– Okna są od ulicy?

– Zgadza się. Z przodu na samej górze. Przy okazji trafi ci się ładny widoczek.

– Z agregatów kapie przechodniom na głowę.

– Już mi to ktoś zgłaszał i wtedy też miałem to gdzieś.

Holman poszedł obejrzeć swoją kawalerkę. Pokój wymalowany był na brzydki żółty kolor, stało w nim wytarte małżeńskie łóżko i dwa krzesła z mocno wyświechtanymi kwiecistymi obiciami. Miał dla siebie osobną łazienkę i coś, co Perry szumnie nazwał małą kuchnią – płytę grzejną umieszczoną na małej lodówce. Holman położył torbę na łóżku i otworzył lodówkę. Była pusta, ale lśniła czystością i świeciła jasno. Łazienka też była czysta i pachniała olejkiem sosnowym. Odkręcił kran i napił się z dłoni, potem przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Dorobił się worków pod oczami i kurzych łapek. Krótkie włosy miał przyprószone siwizną. Nie pamiętał, żeby w Lompoc kiedykolwiek się sobie przyglądał. Nie wyglądał już na młodzieniaszka, zresztą chyba nigdy nie wyglądał młodo. Czuł się jak powracająca do życia mumia.

Oplukał twarz zimną wodą i ponieważ uzmysłowił sobie, że nie ma ręcznika ani nic, czym mógłby osuszyć twarz. Wylał się rękami i mokry wyszedł z łazienki.

Usiadł na skraju łóżka, wygrzebał z portfela kartkę z numerami telefonów i zadzwonił do Gail Manelli.

- Tu Holman. Jestem w motelu.
- Max. Współczuję ci z powodu śmierci syna. Jak to przyjąłeś?
- Radzę sobie jakoś. Nie byliśmy sobie szczególnie bliscy.
- Ale to twój syn.

Zapadło milczenie. Holman nie wiedział, jak na to zareagować. W końcu powiedział coś, co kuratorka spodziewała się usłyszeć z jego ust.

- Teraz muszę się pilnować.
- Otóż to. Wiele już osiągnąłeś i szkoda byłoby to zaprzepaścić. Rozmawiałeś z Tonym?

Tony Gilbert był szefem Holmana w jego zakładzie pracy, Harding Sign Company. Przez ostatnie osiem tygodni Holman pracował tam na pół etatu, przyuczając się do zawodu. Od jutra miał zacząć pracę w pełnym wymiarze.

- Nie, jeszcze nie. Dopiero co przyjechałem. Wally zawiózł mnie do Chatsworth.
- Wiem. Rozmawiałam z nim przed chwilą. Dowiedziałeś się czegoś na posterunku?

- Policja jeszcze nic nie ustaliła.
 - Słuchałam wiadomości. To po prostu straszne, Max. Tak mi przykro.
- Holman rozejrzał się po pokoju, ale nie spostrzegł ani telewizora, ani nawet radia.
- Muszę posłuchać wiadomości.
 - Policjanci zachowywali się wobec ciebie w porządku?
 - Nie mogę narzekać.
 - Dobrze. Posłuchaj... jeśli chcesz zrobić sobie wolne, dzień albo dwa, mogę to załatwić.

- Wolalbym od razu zacząć pracę. Myślę, że jakieś zajęcie dobrze mi zrobi.
- Jeśli zmienisz zdanie, daj mi znać.
- Słuchaj, wybieram się dzisiaj do Wydziału Komunikacji. Zostało mi mało czasu i nie bardzo wiem, jak tam dojechać. Muszę zdobyć prawo jazdy, żeby znów sięść za kierownicą.

– Jasne, Max. Wiesz, że możesz do mnie dzwonić o każdej porze. Masz numer do biura i mojego pagera.

– Posłuchaj, naprawdę zależy mi na tym, żeby załatwić to dzisiaj.

– Przykro mi, że w takim dniu spadło na ciebie to nieszczęście.

– Dzięki, Gail. Mnie też jest przykro.

Kiedy Gail odłożyła w końcu słuchawkę, Holman otworzył torbę z rzeczami. Wyjął wierzchnią warstwę koszul, potem wyciągnął fotografię syna. Przyjrzał się twarzy chłopca. Nie chcąc dziurawić zdjęcia szpilkami, Holman zrobił ramkę z odpadów klonowego drewna w stolarni w Lompoc i przykleił fotografię do kawałka tektury. Więzniom nie wolno było mieć szkła. Ze szkła można sporządzić niebezpieczną broń. Odłamkiem szkła można zabić siebie albo drugiego człowieka. Holman postawił fotografię na stoliku między dwoma brzydkimi krzesłami, potem zszedł na dół do Perry'ego.

Perry siedział odchyłony na krześle, jakby wypatrywał nadejścia Holmana. Faktycznie na niego czekał.

– Musisz zamykać drzwi na zasuwę jak wychodzisz – powiedział. – Nie słyszałem szcęknięcia zasuwy. To nie ośrodek resocjalizacyjny. Jak nie zamkniesz za sobą pokoju, ktoś może ci coś podprowadzić.

Holmanowi nie przyszło na myśl, żeby zaryglować drzwi.

– Dzięki za dobrą radę. Po tylu latach za kratkami człowiek zapomina, jak to jest.

– Wiem.

– Słuchaj, potrzebne mi są ręczniki.

– Nie zostawiłem ci żadnych?

– Nie.

– A sprawdzałeś w szafie? Na półce?

Holmana korciło, żeby zapytać, dlaczego ktoś miałby szukać ręczników w szafie, skoro ich miejsce jest w łazience, ale się opanował.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć do szafy. Zaraz sprawdzę. Chciałbym mieć telewizor w pokoju. Możesz się o to postarać?

– Nie mamy tu kablówki.
– Wystarczy mi zwykła telewizja.
– Może uda mi się coś znaleźć. Będzie cię to kosztować dodatkowo osiem dolarów miesięcznie i jeszcze sześćdziesiąt w ramach zastawu.

Oszczędności Holmana były dość skromne. Osiem dolarów miesięcznie jakoś by przełknął, ale sześćdziesiąt dolarów kaucji poważnie nadwerężyłoby jego zasoby. Pomyślał, że ta gotówka przyda mu się na inne rzeczy.

– Słono sobie za to liczysz.

Perry wzruszył ramionami.

– Rzucisz butelką w ekran i co mi zostanie? Słuchaj, ja wiem, że to sporo forsy. Przejdź się do dyskontu. Tam za osiemdziesiąt dolarów wyrwiesz nowiuteńki odbiornik, koreański, składany przez więźniów, dlatego za pół darmo. Na początku będziesz musiał wyłożyć więcej, ale odpadnie ci te osiem dolarów miesięcznie. Poza tym będziesz miał lepszy obraz. Te stare pudła, które mam, kiepsko odbierają.

Holman straciłby sporo czasu, rozglądając się za koreańskim telewizorem, a na to nie mógł sobie pozwolić.

– Ale jak zwrócę ci telewizor, oddasz mi te sześćdziesiąt dolarów? – upewnił się.

– Jasne.

– Dobra, no to mnie podłącz. Oddam ci, jak kupię własny.

– Jeśli to cię urządza, to załatwione.

Holman poszedł do sklepu obok po gazetę. Oprócz „Los Angeles Times” kupił też czekoladowe mleko w kartonie. Artykuł o śmierci policjantów przeczytał od razu na chodniku przed sklepem.

Najwyższy rangą był wśród nich sierżant Mike Fowler, dwudziestosześcioletni weteran wojenny. Miał żonę i osierocił czwórkę dzieci. Patrick Mellon i Charles Wallace Ash służyli w policji odpowiednio od ośmiu i od sześciu lat. Mellon też był żonaty i osierocił dwójkę dzieci; Ash był kawalerem. Holman przyjrzał się ich zdjęciom. Fowler miał chudą twarz i pergaminową cerę. Mellon był śniady, miał grube rysy i szerokie czoło. Wyglądał na takiego, co lubi komuś dokopać. Z kolei Ash był jego przeciwieństwem, z obwisłymi policzkami, rzadkimi włosami tak jasnymi, że wydawały

się niemal białe, i lęklwym spojrzeniem. Ostatnie zdjęcie przedstawiało Richiego. Holman nie widział wcześniej fotografii syna już jako dorosłego mężczyzny. Miał szczupłą twarz i wąskie usta po ojcu. Holman rozpoznał u syna ten sam zawzięty wyraz twarzy jak u skazańców, którym życie mocno dopiekło. Podobizna syna nagle wywołała w nim złość i poczucie winy. Złożył stronicę tak, aby nie patrzeć na jego twarz, i czytał dalej.

Artykuł opisywał przebieg wydarzeń mniej więcej tak, jak przedstawił to Levy, i niewiele wnosił nowego. Widać było, że dziennikarze spieszyli się z jego opublikowaniem, nie czekając na najnowsze doniesienia.

Zabici policjanci spotkali się na betonowym nabrzeżu rzeki Los Angeles pod Fourth Street Bridge i najwyraźniej wpadli tam w zasadzkę. Levy powiedział Holmanowi, że broń wszystkich policjantów spoczywała w kaburach, a prasa podawała, że Mellon wyciągnął rewolwer, ale nie zdążył z niego strzelić. Rzecznik policji potwierdził, że Fowler zgłosił przez radio przerwę na kawę i nie nadał więcej żadnego komunikatu. Holman zagwizdał cicho – ktoś rozwalil czterech przeszkolonych policjantów tak szybko, że nie zdążyli otworzyć ognia ani nawet uciec spod ostrzału i wezwać posiłków. Jeszcze nie było wiadomo, ile padło strzałów ani od ilu pocisków zginęli policjanci, ale Holman domyślał się, że było co najmniej dwóch napastników. Trudno byłoby jednemu strzelcowi położyć czterech policjantów tak błyskawicznie, że nawet nie zdążyli zareagować.

Holman zastanawiał się, co robili w nocy pod mostem, ale natrafił na wzmiankę o tym, że rzecznik policji zdementował informację, jakoby na jednym z policyjnych samochodów znaleziono napoczęty sześciopak piwa. Doszedł do wniosku, że zebrali się tam, żeby łyknąć sobie piwa, ale ciekawe, dlaczego na miejsce popijawy wybrali właśnie to betonowe nabrzeże? Swego czasu Holman jeździł tam na motocyklu. Przesiadawali tam narkomani i obwiesie różnej maści. Betonowe koryto rzeki było ogrodzone i Holman musiał przeskakiwać przez płot albo wylamywać kłódkę w bramie. Możliwe, że policjanci mieli uniwersalny klucz, ale mimo to zastanawiało go, po co zadawali sobie tyle trudu, jeśli chodziło im tylko o to, żeby napić się piwa w ustronnym miejscu.

Holman skończył artykuł i wydarł z gazety zdjęcie Richiego. Miał wciąż ten sam portfel co w chwili aresztowania. Odzyskał go, kiedy został przeniesiony do Venice, ale wtedy cała jego zawartość była już do niczego nieprzydatna. Holman pozbył się tych

staroci, żeby zrobić miejsce w portfelu na nowe dokumenty. Schował podobiznę Richiego do portfela i wrócił do siebie.

Usiadł obok telefonu i bił się z myślami, w końcu wybrał numer do informacji telefonicznej.

- Proszę podać miasto i stan.
- No tak... Los Angeles, Kalifornia.
- Nazwisko abonenta?
- Donna Banik, B-A-N-I-K.
- Przykro mi, nikt taki nie figuruje w wykazie.

Nie wiedział, czy Donna wyszła za mąż i zmieniła nazwisko. A może przeprowadziła się do innego miasta? Tego też nie wiedział.

- Proszę sprawdzić jeszcze jedną osobę. Czy jest numer Richarda Holmana?
- Przykro mi, proszę pana.

Holman zastanawiał się, czego jeszcze mógłby spróbować.

- Los Angeles to u was kierunkowy trzysta dziesięć i sto dwadzieścia trzy?
- Tak, i jeszcze trzysta dwadzieścia trzy.

Holman nie słyszał wcześniej o tym nowym numerze kierunkowym dla miasta. Ciekawe, ile przybyło nowych numerów kierunkowych, kiedy on siedział za kratkami.

– No dobra, a może w Chatsworth? Jaki tam jest kierunkowy? Osiemset osiemnaście?

– Niestety, nie mamy w spisie nikogo o takim nazwisku ani w Chatsworth, ani w okolicy.

– W takim razie dziękuję.

Holman odłożył słuchawkę, rozdrażniony i zarazem zaniepokojony. Poszedł do łazienki, obmył twarz, potem stanął przy oknie, wpatrując się w agregat klimatyzacyjny. Zastanawiał się, czy kapie z niego komuś na głowę. Wyjął portfel. Nosił w nim całe swoje oszczędności. Miał otworzyć rachunek w banku, na znak swego powrotu do normalnego życia, ale Gail powiedziała, że nie musi się śpieszyć, dała mu na to dwa tygodnie. Odszukał między banknotami oddarty róg koperty, w której przyszedł do niego ostatni

list od Donny. Widniał na nim adres, na który Holman wysyłał do niej listy, które wracały niedoreczone. Przeczytał go uważnie, potem wsunął świstek z powrotem między banknoty.

Tym razem, kiedy wychodził z pokoju, pamiętał o zasuwie.

Perry skinął mu głową, kiedy zszedł na dół po schodach.

– To mi się podoba. Słyszałem, jak zamykasz drzwi na zasuwę.

– Perry, posłuchaj, muszę jechać do Wydziału Komunikacji, a robi się późno.

Mogę pożyczyć od ciebie samochód?

Perry przestał się uśmiechać i zmarszczył brwi.

– Przecież nie masz prawa jazdy.

– Wiem, ale muszę się spieszyć, a na autobusy nie można liczyć, sam wiesz. Już dochodzi dwunasta.

– Zgłupiałeś czy co? Co byś zrobił, jakby cię zatrzymali? Co na to Gail?

– Nie zatrzymają mnie i nikt się nie dowie, że pożyczyłeś mi samochód.

– Ja nie prowadzę tu żadnej pieprzonej wypożyczalni.

Holman obserwował marsową minę Perry'ego. Wiedział, że rozważa jego propozycję.

– Potrzebuję wozu dosłownie na kilka godzin. Żeby dojechać do Wydziału Komunikacji. Od jutra zaczynam pracę i ciężko będzie mi się wyrwać. Przecież wiesz.

– To prawda.

– Może dałoby się coś załatwić od któregoś z lokatorów?

– Więc jesteś w podbramkowej sytuacji i prosisz mnie o przysługę?

– Potrzebny mi tylko samochód.

– Gdybym poszedł ci na rękę, ani słowa o tym Gail.

– Daj spokój, człowieku, popatrz na mnie.

Holman rozłożył ręce. Jak można mi nie ufać?

Perry pochylił się do przodu i wysunął środkową szufladę.

– Dobra, mam wóz, który możesz zabrać. To mercury, rzęch, ale na chodzie. Kosztować cię będzie dwadzieścia dolców i ma wrócić z pełnym bakiem.

– Jezu, nie przesadzasz trochę? Dwadzieścia dolców za kilka godzin?

– Dwadzieścia. A jak zaczniesz kombinować i nie przyprowadzisz go z powrotem, powiem, że go zwinąłeś.

Holman podał mu pieniądze. Przebywał na wolności pod kuratorskim nadzorem dopiero od czterech godzin. Właśnie popełnił pierwsze wykroczenie.

Mercury Perry'ego wyglądał jak kupa gówna na kółkach. Za sprawą nieszczelnych pierścieni dymiło mu z rury, a w silniku paskudnie stukało, i Holman denerwował się, że jakiś gorliwy gliniarz wlepi mu mandat za zatrucie środowiska.

Adres Donny doprowadził go do mieszkania z ogródkiem w Jefferson Park, na południe od autostrady do Santa Monica i w samym środku płaskiej równiny, na której rozciąga się Los Angeles. Mieściło się w brzydkim jednopiętrowym budynku, którego różowy tynk spłowił na bezlitosnym słońcu. Na widok splekanych gzymsów i rachitycznych krzaków Holman poczuł przygnębienie. Wyobrażał sobie, że Donna mieszka w ładniejszym domu, może nie na miarę Santa Monica czy Brentwood, ale chociaż przytulnym i miłszym dla oka. Donna nieraz skarżyła się na brak pieniędzy, ale miała stałą, pracę jako pielęgniarka wynajmowana do opieki nad starszymi osobami. Holman zastanawiał się, czy Richie pomógł Donnie przenieść się do lepszej okolicy, kiedy zatrudnił się w policji. Biorąc pod uwagę to, na jakiego człowieka wyrósł, Richie na pewno by tak postąpił, nawet gdyby musiał przy tym zacisnąć pasa.

Budynek położony był na planie wydłużonej podkowy, otwartej od strony ulicy. Wzdłuż frontu biegł chodnik wysadzany krzewami. Donna mieszkała tu kiedyś pod numerem 108.

Wejścia nie strzegła żadna brama. Można było swobodnie przespacerować się po dziedzińcu, mimo to Holman nie mógł się na to odważyć i stał na ulicy. Z nerwów piekło go w żołądku. Mówił sobie, że to nic takiego – po prostu zapuka do drzwi i zapyta, czy nowi lokatorzy znają obecny adres Donny. Wejście na dziedziniec nie było wykroczeniem i pukanie do drzwi nie naruszało warunków jego pobytu na wolności, ale mimo to czuł się jak przestępca i niewiele mógł na to poradzić.

Wreszcie się przemógł i ruszył do numeru 108. Zapukał we framugę i od razu stracił nadzieję, gdy nie wywołało to natychmiastowego skutku. Zapukał jeszcze raz, głośniejszym głosem. Tym razem drzwi uchyliły się i pokazał się chudy, łysiejący mężczyzna. Trzymał się drzwi kurczowo, gotów zaraz je zatrzasnąć.

– Oderwałeś mnie od roboty, człowieku. O co chodzi? – wyrzucił z siebie szybko, wyraźnie spięty.

Holman wsunął ręce do kieszeni, żeby wyglądać zupełnie niegroźnie.

– Szukam przyjaciółki z dawnych lat. Nazywa się Donna Banik. Mieszkała tu kiedyś.

Mężczyzna odprężył się i otworzył szerzej drzwi. Stał jak bocian, prawą stopę opierając o lewe kolano. Miał na sobie luźne szorty i wypłowiałą koszulkę bez rękawów.

– Przykro mi, kolego. Nie mogę ci pomóc.

– Mieszkała tu dwa lata temu, Donna Banik, ciemne włosy, mniej więcej takiego wzrostu.

– Ja wynajmuję to mieszkanie od ilu, czterech, pięciu miesięcy? Nawet nie wiem, kto tu mieszkał przede mną, a co dopiero dwa lata temu.

Holman pomyślał o sąsiadach i spojrzał na mieszkania obok.

– Może oni tu wtedy mieszkali?

Blady mężczyzna powiódł wzrokiem za spojrzeniem Holmana i skrzywił się, jakby zaniepokoił go pomysł, że wie coś o swoich sąsiadach.

– Niestety, stary, tutaj nikt nie zostaje dłużej.

– Rozumiem, przepraszam za kłopot.

– Nie ma sprawy.

Holman odwrócił się, ale nagle przyszło mu coś do głowy, jednak mężczyzna zamknął już drzwi. Holman zapukał jeszcze raz i drzwi od razu się otworzyły.

– Przepraszam, kolego – powiedział Holman. – Czy gospodarz domu mieszka gdzieś tutaj?

– Tak, obok, pod sto dziesięć. Pierwsze mieszkanie od wejścia, od pomocnej strony.

– Jak się nazywa?

– To kobieta, pani Bartello.

– Aha. Dzięki.

Holman cofnął się do numeru sto dziesięć i tym razem śmiało zapukał do drzwi.

Pani Bartello była krzepką kobietą z siwymi włosami zaczesanymi gładko do tyłu, w sukni o nieokreślonym kształcie, którą zapewne nosiła tylko po domu. Otworzyła szeroko wewnętrzne drzwi i wyjrzała przez drugie, z siatką przeciw komarom. Holman przedstawił się i wyjaśnił, że szuka kobiety, która mieszkała kiedyś pod numerem 108, Donny Banik.

– Donna i ja byliśmy małżeństwem, ale to stare dzieje. Ja wyjechałem i nasze drogi się rozeszły.

Łatwiej było mu powiedzieć, że ożenił się z Donna, niż tłumaczyć, że był tym dupkiem, który zrobił Donnie brzuch, a potem ją zostawił, żeby sama wychowywała ich dzieciaka.

Twarz pani Bartello złagodniała, jakby go rozpoznała. Otworzyła zewnętrzne drzwi.

– O rany, pan musi być ojcem Richarda. Pan Holman?

– Zgadza się.

Holman zastanawiał się, czy dowiedziała się z telewizji o śmierci Richiego, ale po chwili wyjaśniło się, że jeszcze nie dotarła do niej ta wiadomość.

– Richie to taki wspaniały chłopak. Często odwiedzał matkę. Do twarzy mu w tym mundurze.

– Tak, proszę pani. Może mi pani powiedzieć, gdzie teraz mieszka Donna?

Jej spojrzenie jeszcze bardziej złagodniało.

– Nic pan nie wie?

– Długo nie widziałem się z Donna ani z synem.

Pani Bartello otworzyła szerzej drzwi, oczy nabrzmiały jej bólem.

– Tak mi przykro. Pan nic nie wie. Tak mi przykro. Donna nie żyje.

Holman czuł, że zamiera, jakby był zamroczony narkotykiem; jakby jego serce, oddech i krew w żyłach zwalniały, niczym płyta na gramofonie, kiedy wyciągnie się wtyczkę. Najpierw Richie, teraz Donna. Nie odzywał się, a w smutnych oczach pani Bartello pojawił się błysk zrozumienia.

Pchnęła drzwi swymi szerokimi barkami i założyła ręce na piersiach.

– Pan nic o tym nie wiedział. Tak mi przykro. Pan nic nie wiedział. Tak mi przykro, panie Holman.

Holman czuł, jak spowolnienie przechodzi w poczucie oddalenia i spokoju.

– Jak to się stało?

– To przez te samochody. Jeżdżą jak wariaci na tych autostradach, dlatego sama się stąd nie ruszam. Nie cierpię autostrad.

– Zginęła w wypadku drogowym?

– Wracła wieczorem do domu. Wie pan, że była pielęgniarką?

– Tak.

– Wracła do domu. Będzie już ze dwa lata, jak zginęła. Z tego, co wiem, ktoś stracił panowanie nad kierownicą, a inni kierowcy nie zdążyli wyhamować, między innymi Donna. Okropnie się czuję, opowiadając panu o jej śmierci. Tak mi było żal Donny, no i biednego Richarda.

Holman miał ochotę odejść. Zostawić za sobą dawny dom Donny, miejsce, do którego jechała, jak zginęła.

– Muszę porozmawiać z Richiem – powiedział. – Wie pani, gdzie mogę go znaleźć?

– To takie urocze, że mówi pan o nim Richie. Kiedy go poznałam, przedstawił się jako Richard. Donna też tak do niego się zwracała. Pracuje w policji, wie pan.

– Mam pani do niego numer?

– Nie, widywałam go, kiedy przyjeżdżał do matki. Chyba nigdy nie podał mi swojego numeru.

– Więc nie wie pani, gdzie on mieszka?

– Niestety, nie.

– Może Donna podała adres Richiego w umowie najmu?

– Przykro mi. Wyrzuciłam te stare papiery po tym, jak... cóż, kiedy wprowadzili się nowi lokatorzy, nie było sensu ich przechowywać.

Holman nagle zapragnął powiedzieć jej, że Richie też nie żyje; pomyślał, że byłby to wobec niej miły gest po tym, jak usłyszał od niej tyle dobrego o Donnie i Richiem, ale

nie znalazł w sobie siły. Czuł się wyczerpany, jakby dał z siebie wszystko, i nic już nie mógł z siebie wykrzesać.

Już miał jej podziękować za wszystko, kiedy przyszło mu coś do głowy.

– Gdzie została pochowana?

– W Baldwin Hills, cmentarz nazywa się Baldwin Haven. Tam ostatni raz widziałam Richarda, wie pan. Nie był w mundurze, chociaż myślałam, że włoży na pogrzeb. Taki był z niego dumny... Ale miał na sobie ciemny garnitur.

– Dużo osób przyszło na pogrzeb?

Pani Bartello wzruszyła ze smutkiem ramionami.

– Nie, raczej mało.

Holman szedł do pożyczonego od Perry'ego rżęcha w stanie zupełnego otępienia. Ruszył na zachód, prosto pod słońce, tym razem mozolnie posuwając się naprzód w korku. Podróż do odległego o kilka kilometrów Culver City zabrała mu prawie czterdzieści minut. Odstawił samochód na miejsce i wszedł do motelu frontowymi drzwiami. Perry wciąż urzędował za biurkiem. Słuchał małego trzeszczącego radyjka, które nadawało właśnie sprawozdanie z meczu Dodgersów. Perry ściszył je, gdy Holman oddawał mu klucze.

– Jak pierwszy dzień wolności?

– Do dupy.

Perry rozparł się na krześle i nastawił głośniej radio.

– To teraz może być już tylko lepiej.

– Dzwonił ktoś do mnie?

– Nie wiem. A masz automatyczną sekretarkę?

– Podałem kilku osobom twój numer.

– Podawaj swój numer, a nie mój. Czy ja jestem od przekazywania cudzych wiadomości?

– Levy, kapitan policji, i pewna młoda dama, dzwoniли do mnie?

– Nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo, a siedzę tu od rana.

– Podłączyłeś mi telewizor?

– Siedzę tu cały dzień. Jutro ci przyniosę.

– A książkę telefoniczną masz czy też przyniesiesz jutro?

Perry wyciągnął książkę telefoniczną zza biurka.

Holman zabrał ją do siebie i odszukał cmentarz Baldwin Haven. Przepisał adres, potem położył się na łóżku w ubraniu, rozmyślając o Donnie. Po chwili uniósł rękę i popatrzył na zegarek ojca. Wskazówki tkwiły w miejscu, dokładnie tak samo nieruchome jak przez cały ten czas od śmierci ojca. Przesuwał pokrętłem wskazówki i patrzył, jak mkną dookoła tarczy. Wiedział jednak, że sam siebie oszukuje. Wskazówki tkwiły w miejscu. Czas płynął tylko dla innych ludzi. Jego więziła przeszłość.

5

Następnego dnia Holman wstał wcześniej rano i poszedł do sklepu, jeszcze zanim Perry zaczął urzędować za biurkiem. Kupił karton czekoladowego mleka, sześć małych pączków posypanych pudrem i „Timesa”. Wrócił do swojego pokoju i jadł, jednocześnie czytając gazetę. Postępy śledztwa w sprawie zabójstwa czterech policjantów nadal stanowiły wiadomość na pierwszej stronie, ale tego dnia zamieszczono ją już nie na samej górze, lecz u dołu strony. Komendant główny oświadczył, że zgłosili się świadkowie, ale nazwisk nie ujawniono. Dzięki ich zeznaniom detektywi mogą zawęzić krąg podejrzanych. Żadnych szczegółów nie podano, poza tym, że władze miasta oferują pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody za udzielenie informacji, które doprowadzą do schwytania i skazania sprawców. Holman domyślił się, że śledztwo tak prawdę nie posuwa się naprzód, a domniemani świadkowie to pic, który ma przyciągnąć skuszonych nagrodą, prawdziwych świadków.

Zjadł wszystkie pączki i pomyślał, że przydałby mu się teraz telewizor. Obejrzałby poranne wiadomości, bo wiele się mogło zdarzyć od chwili, kiedy gazeta poszła do składu.

Wypił mleko, wziął prysznic i ubrał się do pracy w nowe, czyste rzeczy. Musiał zdążyć na autobus o 7.10, żeby dojechać na ósmą. Jeden autobus, bez przesiadki – dojazd do pracy i powrót wieczorem tego samego dnia. Tak miało być codziennie, przejażdżka autobusem w jedną, potem w drugą stronę; w ten sposób Holman mógł odmienić swoje życie.

Kiedy był gotowy do wyjścia, zadzwonił na postarunek w Chatsworth, przedstawił się i poprosił o połączenie z kapitanem Levym. Nie miał pewności, czy zastanie Levy'ego tak wcześnie, i liczył się z tym, że będzie musiał zostawić wiadomość, ale Levy podszedł do telefonu.

- Panie kapitanie, tu Max Holman.
- Witam. Nie mam dla pana żadnych wiadomości.

– Trudno. Chciałbym podać panu jeszcze jeden numer, pod którym będę osiągalny. Jeszcze się nie dorobiłem automatycznej sekretarki, więc jak w ciągu dnia coś się wydarzy, może pan zadzwonić do mnie do pracy.

Holman podyktował mu numer.

– I jeszcze jedno. Rozmawiał pan może z żoną Richiego?

– Rozmawiałem z nią, panie Holman.

– Byłbym wdzięczny, gdyby przekazał jej pan jeszcze ten numer. Obawiam się, że jeśli będzie dzwonić do motelu, może mnie nie zastać.

– Podam jej ten numer – odpowiedział powoli Levy.

– I proszę jej przypomnieć, że bardzo mi zależy na tym, żeby jak najszybciej z nią porozmawiać.

Holman zdziwił się, dlaczego Levy się nie odzywa, i już miał zapytać, o co chodzi, ale Levy go uprzedził.

– Panie Holman, przekażę jej tę wiadomość, ale postawię sprawę jasno. Nie spodoba się panu to, co powiem.

Levy mówił z wysiłkiem, jakby wypowiedanie słów przychodziło mu z takim trudem jak Holmanowi ich wysłuchanie.

– Byłem dowódcą Richarda. Pragnę uszanować jego życzenia i życzenia wdowy po nim, ale sam jestem ojcem – i nie chcę robić panu nadziei. Richard zerwał z panem wszelkie stosunki. Jego żona, cóż, jej świat legł w gruzach. Na pana miejscu nie czekałbym z utęsknieniem, aż zadzwoni. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Nie rozumiem. Sam pan mówił, że to od niej dowiedzieliście się o moim istnieniu. Dlatego zwróciliście się do Departamentu Więziennictwa.

– Uznała, że powinien pan wiedzieć, ale to nie zmienia faktu, że Richard nie chciał mieć z panem nic wspólnego. Co zaszło między wami, to nie moja sprawa. Ale mam zamiar uszanować jego życzenie, co oznacza, że uszanuję też to, co postanowi wdowa. Ja nie zajmuję się rozwiązywaniem problemów rodzinnych. Czy to jasne?

Holman wpatrywał się w swoją dłoń. Przypominała kraba leżącego na grzbiecie, który usiłuje się podźwignąć.

– Dawno przestałem liczyć na cokolwiek.

– Żebyśmy się dobrze rozumieli: podam jej ten nowy numer, ale nie mam zamiaru jej naciskać. A jeśli chodzi o pana, mam obowiązek odpowiadać na pytania dotyczące śledztwa, oczywiście w miarę możliwości, i dzwonić, jeśli będzie coś nowego do przekazania.

– A co z pogrzebem?

Levy nie odpowiedział. Holman bez słowa odłożył słuchawkę, potem zszedł na dół i zaczął na Perry'ego.

– Znowu potrzebny mi samochód – rzekł.

– A masz forszę?

Holman podał mu banknot wsunięty między palce i Perry skwapliwie go wziął.

– Tylko ma wrócić z pełnym bakiem, mówię ci. Wczoraj nie sprawdzałem, dziś rano też nie, ale bak ma być pełen.

– Potrzebny mi telewizor.

– Wyglądasz, jakby cię coś wkurzyło. Jeśli wściekasz się, bo nie mogłeś wczoraj obejrzeć telewizji, to przepraszam. Zaraz przyniosę telewizor z magazynu.

– Nie jestem wściekły z powodu telewizora.

– To po co ta mina?

– Daj mi te pieprzone kluczyki.

Holman wsiadł do samochodu i ruszył na południe w kierunku dzielnicy przemysłowej. Mądrzej byłoby pojechać autobusem, ale miał do załatwienia sporo spraw. Przestrzegął ograniczenia prędkości i uważał na innych kierowców.

Przyjechał do pracy dziesięć minut przed czasem i zaparkował z drugiej strony budynku. Nie chciał, żeby jego szef, Tony Gilbert, zobaczył go za kierownicą. Gilbert zatrudniał byłych skazańców i znał procedury; wiedział, że on nie wyrobił sobie jeszcze prawa jazdy.

Holman pracował w Harding Sign Company w zakładzie poligraficznym, specjalizującym się w wielkoformatowych wydrukach, które trafiały na billboardy firmy. Materiały drukowane były na ogromnych planszach, które następnie cięto, zwijano do transportu w rulon i rozwożono po całej Kalifornii, Nevadzie i Arizonie. Gdy trafiały do wyznaczonych billboardów, specjalne zespoły rozwieszały je pasek po pasku i przyklejały

do podłoża. Przez ostatnie dwa miesiące Holman uczył się w drukarni przycinania. Jego zadanie polegało na wsuwaniu do maszyny poligraficznej pasków materiału i czuwaniu nad tym, aby na koniec automatyczna obcinarka równo je przycinała. Każdy głupi by sobie z tym poradził i Holman opanował to w dwie minuty. Ale miał szczęście, że trafiła mu się ta fucha, i doceniał to.

Podbił kartę, potem pokazał się Gilbertowi, żeby szef wiedział, że przyszedł do pracy punktualnie. Gilbert omawiał plan dnia z operatorami maszyn, odpowiedzialnymi za dobór kolorów i korektę wydruków. Był niskim, otyłym mężczyzną, mocno łysiejącym. Gdy szedł, stąpał dumnie niczym paw.

– Więc już oficjalnie jesteś wolnym człowiekiem – powiedział. – Moje gratulacje.

Holman podziękował, ale nie próbował podtrzymać rozmowy. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby uprzedzić kogokolwiek w biurze, że może do niego zadzwonić żona Richarda. Po tym, co usłyszał od Levy'ego, przestał się łudzić, że to kiedyś nastąpi.

Przez cały ranek gratulowano mu wyjścia na wolność i witano go jako pełnoetatowego pracownika, mimo że przecież przyjeżdżał tu od dwóch miesięcy. Holman raz po raz spoglądał na zegar; nie mógł się doczekać godzinnej przerwy na lunch.

Dziesięć po jedenastej poszedł do toalety. Kiedy się załatwiał, przy sąsiednim pisuarze stanął były skazaniec Marc Lee Pitchess, zatrudniony w drukarni podobnie jak Holman. Holman nie lubił Pitchessa i unikał go w czasie swego dwumiesięcznego stażu w zakładzie.

– Dziesięć lat to szmat czasu – zagadnął go Pitchess. – Witaj w naszych szeregach.

– Oglądałeś mnie pięć dni w tygodniu przez ostatnie dwa miesiące. Nigdzie w tym czasie nie wyjeżdżałem.

– Będą dalej cię sprawdzać?

– Odczep się ode mnie.

– Tak tylko mówię. Mogę ci załatwić zestaw z próbką czystego moczu. W razie czego będziesz przygotowany, jak każą ci oddać mocz do zbadania.

Holman skończył, odsunął się od pisuaru i odwrócił się do Pitchessa, żeby spojrzeć mu w twarz, ale ten wpatrywał się w ścianę.

– Trzymaj się, kurwa, ode mnie z daleka z tym gównem.

– Jak poczujesz potrzebę, mogę ci załatwić wszystko: leki przeciwbólowe, środki nasenne, kokę, eskę, oxycontin, co tylko chcesz.

Pitchess zapiął suwak spodni, ale nie ruszał się z miejsca. Wpatrywał się w ścianę. Ktoś narysował na niej fiuta z dymkiem, w którym napisane było *Zaciągnij się, suko*.

– Próbuję tylko pomóc koledze – powiedział Pitchess.

Pitchess nie przestawał się uśmiechać, kiedy Holman wyszedł, żeby poszukać Gilberta.

– I jak pierwszy dzień? – spytał Tony.

– Świetnie. Posłuchaj, mam do ciebie prośbę. Muszę pojechać do Wydziału Komunikacji na egzamin, a po pracy będzie za późno. Mógłbyś wykroić mi jeszcze jedną godzinę przerwy na lunch?

– O ile wiem, wydział jest też czynny w sobotę przed południem.

– Trzeba się specjalnie umawiać i nie ma już wolnych miejsc na następne trzy soboty. Naprawdę chciałbym to załatwić, Tony.

Widać było, że jego pracodawca nie jest z tego pomysłu zadowolony, ale w końcu się zgodził.

– Dobra, ale jak coś będzie nie tak, od razu dzwoń. Nie wykorzystuj sytuacji. Nie wróży to dobrze na przyszłość, że urywasz się z roboty zaraz pierwszego dnia.

– Dzięki, Tony.

– Meldujesz się z powrotem o drugiej. Tyle czasu na pewno ci starczy.

– Jasne, Tony. Dzięki.

Gilbert nie wspomniał o Richiem i Holman nie poruszył tego tematu. Gail nie zadzwoniła, co wcale nie zmartwiło Holmana. Przynajmniej nie musiał się jej spowiadać z tego, jak spieprzył sobie życie.

Kiedy Gilbert odwrócił się w końcu i ruszył szybko przed siebie, Holman poszedł do biura zgłosić wyjście z zakładu, chociaż nie było jeszcze dwunastej.

6

Holman kupił skromny bukiet czerwonych róż od Latynosa, który sprzedawał kwiaty przy zjeździe prowadzącym z autostrady numer 405 do cmentarza. Gość w kowbojskim kapeluszu i z ogromnym wiadrem pełnym kwiatów, pewnie przebywający w Stanach nielegalnie, liczył, że wyciągnie trochę grosza od ludzi jadących na groby swoich bliskich. Chciał osiem dolarów – *oho* – ale Holman dał mu dycę, zawstydzony, że dopóki nie zobaczył tego faceta z bukietami, nawet nie pomyślał o kwiatkach dla Donny, i jeszcze bardziej było mu wstyd, że Richie gardził nim do tego stopnia, że nawet nie powiadomił go o śmierci matki.

Cmentarz Baldwin Haven położony był na rozległym wzgórzu tuż przy autostradzie. Holman wjechał przez bramę i postawił samochód przed siedzibą biura; miał nadzieję, że nikt nie zwrócił uwagi na jego rzęcha. Mercury Perry'ego to było istne ścierwo na kółkach, a sądząc po jego wyglądzie można by pomyśleć, że Holman przyjechał tu po to, żeby zatrudnić się do usuwania chwastów. Zabrał ze sobą kwiaty, licząc, że w ten sposób zrobi lepsze wrażenie.

Biuro cmentarza mieściło się w przestronnym pomieszczeniu przedzielonym ladą. Po jednej stronie stały dwa biurka i regały z aktami; po drugiej na ogromnym stole rozłożone były plany topograficzne. Siedząca za biurkiem starsza, siwa pani podniosła wzrok na Holmana.

– Chciałbym odszukać grób pewnej osoby – powiedział.

Siwowłosa pani wstała i podeszła do lady.

– Rozumiem. A jak się ta osoba nazywa?

– Donna Banik.

– Banner?

– B-A-N-I-K. Została tutaj pochowana dwa lata temu.

Kobieta podeszła do regału i zdjęła z półki coś, co wyglądało jak ciężka wysłużona księga rachunkowa. Przewracając kartki, poruszała ustami, mrużąc pod nosem nazwisko Banik.

Znalazła właściwy wpis, zanotowała coś na karteczce, potem wyszła z lady i poprowadziła Holmana do planów topograficznych.

– Proszę za mną, pokażę panu, jak odszukać to miejsce.

Obeszła plan, a Holman za nią. Sprawdziła współrzędne zapisane na kartce, potem wskazała na prostokącik otoczony całą masą ustawionych równo, identycznych, ponumerowanych prostokądków.

– Jest pochowana tutaj, na południowym stoku. Żeby tam trafić, musi pan pojechać w prawo, droga prowadzi do rozwidlenia, na którym trzeba skrócić w lewo. Pani Banik leży dokładnie przed mauzoleum. Proszę policzyć rzędy, trzeci rząd od ulicy, szósta płyta od końca. Powinien pan znaleźć to miejsce bez kłopotu, ale w razie trudności proszę przyjechać do biura, pomogę panu.

Holman wpatrywał się w niebieski prostokącik opatrzonego nieczytelnym numerem.

– To moja żona.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Właściwie nie była moją żoną, tylko tak jakby. Długo się nie widzieliśmy. Dopiero wczoraj dowiedziałem się o jej śmierci.

– Cóż, proszę się do mnie zwrócić, jeśli będzie pan potrzebował pomocy.

Kobieta wróciła do swoich zajęć; najwyraźniej nie ciekawiło jej, kim była Donna dla niego. Holmana nagle ogarnęła złość. Nigdy nie lubił się wywnętrzać. W ciągu swej dziesięcioletniej odsiadki rzadko wspominał o Donnie lub Richiem. Co miał robić? Dzielić się opowieściami o rodzinie ze świrami albo bezwzględными wyzyskiwaczami pokroju Pitchessa? Prawdziwi ludzie rozmawiali o swoich rodzinach z innymi prawdziwymi ludźmi, a Holman nie znał prawdziwych ludzi, swoją rodzinę porzucił dawno temu, a teraz bezpowrotnie ją stracił. Czuł potrzebę, żeby opowiedzieć komuś o Donnie, ale pod ręką była tylko nieznajoma kobieta w biurze, której nic to nie obchodziło.

Wsiadł do samochodu i kierując się wskazówkami, odnalazł miejsce, gdzie pochowano Donnę. Oznaczała je mała płyta z brązu wpuszczona w ziemię z jej imieniem i nazwiskiem, oraz datą urodzin i śmierci. Na płycie widniał prosty napis: *Ukochana Matka*.

Holman położył kwiaty na ziemi. Przeciwiczył wcześniej z tysiąc razy to, co zamierzał jej powiedzieć po wyjściu z więzienia, ale Donna już nie żyła i było na to za późno. Holman nie wierzył w życie pozagrobowe. Nie wierzył, że Donna jest w niebie i przygląda mu się teraz z wysokości. Ale i tak to powiedział, wpatrując się w płytę nagrobną i kwiaty.

– Byłem wrednym kutasem. Należały mi się od ciebie te wszystkie wyzwiska, ba, zasługiwałem na jeszcze gorsze. Nie miałaś pojęcia, jaki ze mnie drań. Kiedyś dziękowałem za to Bogu, a teraz się wstydzę. Gdybyś naprawdę się na mnie poznała, postawiłabyś na mnie krzyżyk, wyszłabyś za jakiegoś porządnego faceta i urządziła sobie życie. Szkoda, że nie wiedziałaś. Nie ze względu na mnie, ale ze względu na siebie samą. Nie zmarnowałybyś sobie życia.

Ukochana Matka.

Holman wrócił do samochodu i pojechał z powrotem do biura. Kiedy wszedł do środka, urzędniczka pokazywała właśnie mapę terenu jakiejś parze w średnim wieku, więc zaczekał przy drzwiach. Chłodne powietrze w biurze działało orzeźwiająco, gdy wcześniej postąpiło się trochę w słońcu. Po kilku minutach kobieta podeszła do niego, zostawiając klientów, żeby zapoznali się z dostępnymi miejscami.

– Znalazł pan bez trudu?

– Tak, dziękuję za pomoc. Dzięki pani wskazówkom to było dziecinnie łatwe. Chciałbym o coś panią zapytać. Pamięta pani, kto zajął się pogrzebem?

– Pewnie ktoś z rodziny.

– Nie wiem, czy to była jej siostra, mąż czy jeszcze kto inny. Ale tak czy inaczej chciałbym pokryć koszty. Byliśmy ze sobą dość długo, potem wyjechałem, no i nie wypada, żebym się nie dołożył.

– Wszystko jest opłacone. Zostało opłacone przed pogrzebem.

– Tak myślałem, ale mimo to chcę wziąć na siebie chociaż część kosztów.

– Chce pan wiedzieć, kto opłacił pogrzeb?

– Tak. Gdyby mogła mi pani podać numer telefonu albo adres... chodzi tylko o zwrot kosztów.

Urzędniczka spojrzała na klientów, których zostawiła przy mapie. Wciąż nie mogli się zdecydować, które miejsce wybrać. Podeszła do swego biurka i z kosza na śmieci wygrzebała karteczkę z numerem działki.

– Pani Banik, zgadza się?

– Tak.

– Będę musiała trochę poszperać. Muszę sprawdzić w archiwum. Może mi pan podać swój numer telefonu?

Holman zapisał jej numer Perry'ego.

– Postępuje pan wspaniałomyślnie – powiedziała. – Rodzina na pewno się ucieszy.

– Mam nadzieję.

Holman wyszedł z biura, wsiadł do samochodu i ruszył w drogę powrotną do dzielnicy przemysłowej, gdzie mieścił się jego zakład. Było jeszcze wcześnie i pomyślał, że przy takim natężeniu ruchu z łatwością zdąży dojechać na drugą, ale włączył radio i w jednej chwili wszystko się zmieniło. Stacja przerwała nadawany właśnie program, żeby podać wiadomość z ostatniej chwili: policja wskazała podejrzanego o zabójstwo czterech policjantów i wydała nakaz jego aresztowania.

Holman nastawił radio głośniej i zupełnie zapomniał o pracy. Od razu zaczął rozglądać się za telefonem.

Po chwili Holman wypatrzył mały sportowy bar z otwartymi na oścież drzwiami. Zajechał przed knajpę, potem stanął w progu, lustrując wnętrze, aż zobaczył to, czego szukał – telewizor. Ostatni raz był w barze tydzień przed swoją wpadką w banku, ale ten niczym się od tamtego nie różnił: młody barman z zabójczymi bokobrodami obsługiwał kilkoro nałogowców obojga płci sączących swój posiłek. Odbiornik ustawiony był na kanał sportowy, ale nikt nie patrzył na ekran. Holman podszedł do kontuaru.

– Możemy obejrzeć wiadomości?

Barman spojrział na niego tak, jakby nalanie Holmanowi drinka było dla niego w tym dniu największym wyzwaniem.

– Jak pan sobie życzy. Podać coś panu?

Holman zerknął na dwie kobiety siedzące obok. Przyglądały się mu.

– Może wodę sodową. Co z tymi wiadomościami?

Barman wycisnął na lód trochę soku z limonki, napełnił szklankę i postawił ją przed Holmanem. Dopiero potem przełączył na program publicystyczny, w którym kilku facetów w studiu dyskutowało o sytuacji na Bliskim Wschodzie.

– Nie ma wiadomości lokalnych? – spytał Holman.

– Nie wiem, czy o tej porze nadają wiadomości, wszędzie idą seriale.

– Spróbuj na piątce albo na dziewiątce – odezwała się kobieta siedząca bliżej Holmana.

Barman odszukał program lokalny i prosił – akurat nadawali konferencję prasową z udziałem szefów z komendy głównej.

– Co się stało? Znowu mówią o tych zabitych gliniarzach? – spytał barman.

– Tak, już wiedzą, kto ich załatwił. Posłuchajmy, co?

– To coś ważnego? – Tym razem odezwała się druga kobieta.

– Możemy spokojnie posłuchać? – spytał Holman.

– Już to rano oglądałam. To powtórka – wtrąciła pierwsza kobieta.

– Czy możemy posłuchać, o czym mówią? – powiedział Holman. – Zależy mi na tym.

Kobieta parsknęła i wywróciła oczami jakby Holman urwał się z choinki. Barman nastawił głośniej, ale teraz zastępca komendanta Donnelly opisywał przebieg zdarzenia i podawał informacje, które Holman już znał. Na ekranie migaly po kolei zdjęcia zamordowanych policjantów, a Donnelly wymieniał ich nazwiska. Podobizna Richiego pojawiła się ostatnia. To samo zdjęcie Holman widział wcześniej w gazecie, ale tym razem przyprawiło go o dreszcz. Miał wrażenie, jakby Richie patrzył na niego z ekranu.

– Mam nadzieję, że dorwą tego sukinsyna, co ich zabił – odezwał się mężczyzna siedzący przy barze na drugim końcu.

– Możemy przełączyć na coś innego? Mam już dosyć tych wszystkich zabójstw – oświadczyła pierwsza kobieta.

– Daj mi posłuchać, kobieto – rzekł Holman.

Kobieta zwróciła się do przyjaciółki jakby prowadziły poufną rozmowę, tyle że głośno.

– Pokazują same okropne rzeczy i dziwią się, że nikt nie ogląda telewizji.

– Zamknij się, do kurwy nędzy, i daj mi posłuchać – warknął Holman.

Kamera znów pokazała Donnelly'ego, a na ekranie po jego prawej ręce pojawiło się kolejne zdjęcie.

– Wydaliśmy nakaz aresztowania tego człowieka, Warrena Alberta Juareza – mówił Donnelly – za zamordowanie czterech policjantów.

Kobieta odwróciła się do Holmana.

– Wypraszam sobie. Jak śmiesz używać takiego wulgarnego słownictwa wobec mnie?

Holman wytężył słuch, żeby w tym potoku słów dosłyszeć, co mówi Donnelly.

– Warren Juarez mieszka w Cypress Park. Podejrzany ma za sobą bogatą kryminalną przeszłość – rozboje, napady, nielegalne posiadanie broni, powiązania ze światem gangsterskim...

Kobieta nie dawała za wygraną.

– Nie udawaj, że mnie nie słyszysz!

Holman starał się nie uronić ani słowa z wypowiedzi Donnelly*ego, ale mu się nie udało.

– .. .proszę dzwonić do nas pod numer, który jest widoczny na ekranie, i NIE, powtarzam, NIE podejmować żadnych prób zatrzymania tego człowieka na własną rękę.

Holman wpatrywał się uważnie w twarz na ekranie. Warren Alberto Juarez wyglądał jak zabijaka z ulicznego gangu, z gęstymi wąsami i włosami zaczesanymi do tyłu, gładko ulizanymi. Mrużył oczy, jakby był senny, celowo, żeby na zdjęciu do policyjnej kartoteki wyglądać na twardziela. Senne spojrzenie miało wzięcie u czarnoskórych i latynoskich zbirów, ale na Holmanie nie robiło wrażenia. Swego czasu, kiedy odsiadywał wyroki w stanowych więzieniach w Men's Colony i Pleasant Valley, skopał tyłek dziesiątkom takich zaspanych drani, po prostu, żeby przeżyć.

– Mówię do ciebie, do cholery. Jak śmiesz zwracać się do mnie w ten sposób! – piekliła się kobieta.

Holman skinął głową na barmana.

– Ile za wodę?

– Powiedziałaam: Mówię do ciebie.

– Dwójkę.

– Jest tu telefon publiczny?

– Patrz na mnie, jak do ciebie mówię.

– Przy toaletach – powiedział barman, pokazując w stronę wyjścia.

Holman położył pieniądze na kontuarze i poszedł do telefonu, słysząc, jak kobieta woła za nim:

– Dupek.

Wyjął z portfela kartkę, na której miał zapisany służbowy numer Levy'ego. Musiał zaczekać, aż Levy skończy rozmowę na drugiej linii. Po chwili usłyszał w słuchawce głos kapitana.

– Właśnie się dowiedziałem z telewizji – powiedział Holman.

– W takim razie wie pan tyle co ja. Niecałą godzinę temu dostaliśmy wiadomość z komendy głównej.

– Złapali go?

– Panie Holman, dopiero co wydali nakaz. Poinformują mnie, jak tylko dokonają aresztowania.

Holman był tak wkurzony, że trzął się, jakby od tygodnia był na prochach. Nie chciał zrazić do siebie Levy'ego, więc wziął kilka głębokich oddechów i starał się ochłonać.

– Oczywiście, rozumiem. Wiadomo już, dlaczego zginęli?

– Z tego, co wiem, chodziło o zemstę. Juarez i sierżant Fowler toczyli ze sobą prywatną wojnę. Rok temu Fowler aresztował młodszego brata Juareza, który podobno został zabity w więzieniu.

– Co Richie miał wspólnego z Juarezem?

– Nic.

Holman czekał na ciąg dalszy. Czekał, aż Levy poda mu powód, który wyjaśniałby te cztery morderstwa, ale kapitan milczał.

– Zaraz, zaraz. Ten dureń zastrzelił całą czwórkę tylko po to, żeby dobrać się do Fowlera?

– Proszę posłuchać, panie Holman. Wiem, o co panu chodzi. Chce pan, żeby to wszystko nabrało sensu. Sam też bym tego chciał, ale nie zawsze jest po naszej myśli. Richard nie brał udziału w aresztowaniu brata Juareza. O ile wiem, Mellon i Ash też nie. Nie mam stuprocentowej pewności, ale doszedłem do takiego wniosku po rozmowie z ich przełożonymi. Kiedy poznamy dalsze okoliczności tej sprawy, na pewno stanie się bardziej zrozumiała.

– Wiadomo, kto był współnikiem Juareza?

– Z tego, co wiem, działał sam.

Holman czuł, że zaczyna mu drzeć głos, i ze wszystkich sił starał się opanować.

– To nie ma sensu. Skąd wiedział, że spotkają się tam pod mostem? Śledził ich? Zaczaił się w pojedynkę i rozwalil ze strzelby czterech policjantów, żeby dorwać jednego z nich? To nie ma sensu.

– Zgadzam się z panem. Przykro mi.

– Mają pewność, że to Juarez?

– Na sto procent. Odciski palców na łuskach znalezionych na miejscu zbrodni pasują do odcisków Juareza. Jak rozumiem, są też świadkowie, którzy słyszeli wielokrotnie, jak Juarez grozi Fowlerowi, i wcześniej tamtej nocy widzieli go na miejscu zbrodni. Próba aresztowania Juareza w jego domu dziś rano nie powiodła się, zdążył uciec. Proszę posłuchać, mam inne sprawy...

– Jest szansa, że go dopadną w najbliższym czasie?

– Nie wiem. A teraz naprawdę muszę...

– Jeszcze jedno, panie kapitanie. W wiadomościach podali, że był członkiem gangu.

– Tak, istotnie.

– Wie pan może, którego gangu?

– Nie, niestety. Naprawdę muszę kończyć.

Holman podziękował mu, potem wrócił do baru, żeby rozmiąć dolara na drobne. Pyskata kobieta spiorunowała go wzrokiem, ale się nie odezwała. Holman wziął monety i poszedł do telefonu, żeby zadzwonić do Gail Manelli.

– Cześć, tu Holman. Masz chwilę?

– Oczywiście, Max. Właśnie miałam do ciebie przekreślić.

Holman domyślił się, że chciała porozmawiać z nim o wynikach śledztwa, ale ciągnął dalej jak gdyby nigdy nic.

– Obiecałaś, że załatwisz z Gilbertem, jak będę potrzebował trochę wolnego, pamiętasz?

– Potrzebujesz czasu dla siebie?

– Tak. Wszystko wali mi się na głowę, Gail. Trudno mi to ogarnąć.

– Kontaktowałaś się dzisiaj z policją?

– Tak, przed chwilą rozmawiałem z kapitanem Levym. Możesz załatwić mi kilka dni wolnego u Gilberta? Facet był wobec mnie w porządku, dał mi robotę i w ogóle...

– Zaraz do niego zadzwonię, Max. Jestem pewna, że zrozumie. Posłuchaj, może poszedłbyś do psychologa?

– Nic mi nie jest, Gail. Nie potrzebuję psychologa.

– Nie możesz zapominać o tym, czego się do tej pory nauczyłeś. Wiesz, jak radzić sobie w kryzysowych sytuacjach, wykorzystaj swoje umiejętności. Nie próbuj zgrywać człowieka z żelaza, pamiętaj, że nie musisz przechodzić przez to wszystko w pojedynkę.

Holman chciał ją zapytać, czy ma ochotę wziąć na siebie jego poczucie winy i wstydu. Wszyscy traktowali go tak, jakby umierali ze strachu, że zaraz wybuchnie, a on już tym rzygał. Przypomniawszy sobie jednak, że Gail wykonuje po prostu swoją pracę.

– Potrzebuję trochę wolnego, to wszystko. Dam ci znać, jak zmienię zdanie w sprawie psychologa.

– Chcę, żebyś wiedział, że możesz na mnie liczyć.

– Dobrze. Słuchaj, muszę już kończyć. Dzięki za pomoc. Przekaż Tony'emu, że zadzwonię do niego za kilka dni.

– Przekażę mu. Trzymaj się, Max. Wiem, że cierpisz, ale najważniejsze, żebyś teraz dbał o siebie. Tego chciałby twój syn.

– Dzięki, Gail. Do zobaczenia.

Holman odłożył słuchawkę. Gail miała swoje wyobrażenie o tym, co było teraz najważniejsze, a Holman swoje. Holman znał przestępczy świat. I potrafił się w nim obracać.

8

W przestępczym świecie nie było przyjaciół. Byli wspólnicy, dostawcy, paserzy, dziwki, sponsorzy, kolesie od ćpania, handlarze, współpracownicy, współpiskowcy, ofiary i szefowie. Każdy z nich mógł sypnąć i nikomu nie można było zaufać. Prawie wszyscy, z którymi Holman zetknął się podczas swej dziesięcioletniej odsiadki w Lompoc, trafili za kratki nie dlatego, że Dick Tracy czy Sherlock Holmes rozgryźli sprawę. Wydał ich ktoś bliski i zaufany. Działania policji miały swoje granice, a Holman chciał dotrzeć do kogoś, kto mógłby sypnąć Warrena Juareza.

Tego popołudnia Gary „Chee” Moreno powiedział mu:

- Z ciebie jest chyba najgłupszy gringo z jajami.
- Powiedz, że mnie kochasz, brachu.
- Wiesz, o czym mówię, Holman. Dlaczego wtedy nie zwiąłeś? Dziesięć lat czekałem, żeby cię o to zapytać, ty popaprawy Amerykańcu.
- Nie musiałeś czekać dziesięć lat. Mogłeś mnie odwiedzić w Lompoc.
- To właśnie dlatego cię dorwali, przez takie myślenie, Holman, ty popaprańcu! Ja, na twoim miejscu, wrywałbym z tego banku, jakby ktoś mi wsadził motorek w dupę. Chodź, przywitać się z bratem.

Chee wyszedł zza lady w swoim warsztacie samochodowym we wschodnim Los Angeles. Ucisnął Holmana mocno, nie widzieli się od dziesięciu lat, od dnia kiedy Chee czekał przed bankiem na Holmana i odjechał – tak jak to wcześniej ustalili – gdy na scenie pojawili się gliniarze i federalni.

Holman poznał Chee, kiedy siedzieli w poprawczaku; mieli wtedy po czternaście lat. Holman trafił tam za wynoszenie towarów ze sklepów i włamania, a Chee, już po raz drugi, za kradzież samochodów. Chee, drobny, ale nieustraszony, dostawał na dziedzińcu łomot od trzech oprychów z gangu „czerwonych”, kiedy do akcji wkroczył Holman już wtedy mocno zbudowany jak na swój wzrost, z szerokim karkiem i ramionami, i spuścił „czerwonym” manto. Chee potem wychodził ze skóry, żeby się Holmanowi odwdzińczyć; podobnie jak jego rodzina. Rodzina Chee od pięciu pokoleń należała do gangu White

Fence, a jego wujowie, niesławni bracia Chihuahua z Pacoima, dwaj maleńcy Gwatemalczyki, w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku wyrąbali sobie maczetami drogę na sam szczyt w handlu kradzionymi samochodami w Los Angeles. Swego czasu Holman dostarczał Chee porsche i corvety, kiedy był na tyle trzeźwy, żeby je podprowadzić, co pod koniec nie zdarzało się zbyt często. Chee kilka razy służył mu za szofera podczas napadu na bank; robił to tylko po to, o czym Holman dobrze wiedział, żeby poczuć ten niesamowity dreszcz emocji, jaki dawało mu życie na szalonych obrotach ze swoim kumplem Holmanem.

Teraz Chee cofnął się o krok i Holman dostrzegł w jego oczach powagę. Holman naprawdę coś dla niego znaczyl; był kimś ważnym ze względu na te dawne lata.

– Cholera, cieszę się, że cię widzę. Cholera. Odbiło ci czy co? Już samo to, że tu jesteś, to naruszenie warunków zwolnienia.

– Ja wyszedłem z federalnego więzienia, *homes*, nie ze stanowego. Federalni nie mówią ci, z kim możesz się zadawać.

Na twarzy Chee pojawiło się niedowierzenie.

– Chrzanisz.

– Serio.

Chee wyraźnie nie mógł się nadziwić fanaberiom systemu federalnego.

– Chodź na zaplecze, tu od ulicy jest straszny hałas. Chee zaprowadził Holmana do małego gabinetu. W tych samych pomieszczeniach działała niegdyś dziupla, którą Chee zarządzał w imieniu swoich wujów, gdzie rozkładane były na części kradzione samochody. Teraz, wiele lat po śmierci wujów, starszy i mądrzejszy Chee prowadził niemal zupełnie legalny warsztat samochodowy, w którym zatrudniał swoich synów, siostrzeńców i bratanków. Holman z uznaniem rozejrzał się po biurze.

– Wygląda tu inaczej.

– Bo jest inaczej. Moja córka pracuje tu trzy dni w tygodniu. Ma oglądać gołe baby na ścianach? Łykniesz piwa?

– Nie piję.

– Poważnie? No to dobrze, bracie, naprawdę dobrze. Niech to jasna cholera, starzejemy się.

Chee, śmiejąc się, opadł na krzesło. Kiedy Chee się śmiał, jego liszajowata skóra z bliznami po trądziku i tatuażami jeszcze z gangsterskich czasów marszczyła się w harmonijkę. Nadal należał do White Fence, ale wycofał się z żołnierki, był teraz szacownym weteranem. Jego poorana twarz nagle posmutniała. Chee błędził gdzieś wzrokiem, w końcu spojrzał na Holmana.

– Potrzebujesz forsy? Pomogę ci. Nawet nie musisz mi oddawać, poważnie.

– Szukam gangstera, Warrena Alberto Juareza.

Chee obrócił się i spod sterty szpargałów wyciągnął grubą książkę telefoniczną. Przerzucił kilka kartek, zaznaczył kółkiem nazwisko, położył książkę na biurku i przesunął ją w stronę Holmana.

– Jeśli to cię uszczęśliwi, to masz.

Holman zerknął na otwartą książkę. Warren A. Juarez. Miejsce zamieszkania. Numer telefonu. Kiedy podniósł wzrok, Chee przyglądał mu się, jakby Holman zgłupiał.

– *Homes*, po to przyjechałeś? Chodzi ci o nagrodę? Myślisz, że facet siedzi tam w schowku na miotły? *Ese*, proszę cię.

– A wiesz, dokąd prysnął?

– Skąd niby miałbym to wiedzieć?

– Mały Chee zawsze był świetnie poinformowany.

– Te czasy minęły, brachu. Jestem pan Moreno. Rozejrzyj się. Nie bawię się już w te klocki. Płacę podatki. Mam hemoroidy.

– Nadal należysz do White Fence.

– Po sam grób i jeszcze dalej. Mówię ci... gdybym wiedział, gdzie jest ten chłoptaś, sam zgarnąłbym te pięćdziesiąt patyków, on nie jest od nas. On należy do Frogtown, *homes*, znad rzeki, a teraz jeszcze mam przez niego zmartwienie. Połowa moich chłopaków nagle dzisiaj się rozchorowała, uganiają się za tą nagrodą. Szlag trafił cały plan pracy.

Chee uniósł ręce, jakby na znak, że starczy już o Warrenie Juarezie, i gadał dalej:

– Daj sobie spokój z tą bzdurną nagrodą, Holman. Powiedziałem, że dam ci forszę, jak chcesz.

– Nie zależy mi na nagrodzie.

– To o co chodzi?

– Juarez zabił mojego syna. Richie był jednym z policjantów, którzy zginęli wtedy pod mostem. Wstąpił do policji, wyobrażasz sobie? Mój mały chłopak...

Chee zrobił wielkie oczy. Widział Richiego kilka razy, pierwszy raz, kiedy chłopiec miał trzy lata. Holman namówił Donnę, żeby pozwoliła mu zabrać dzieciaka do Santa Monica na przejażdżkę diabelskim kołem napędzanym energią słoneczną. Holman zabrał też Chee i jego dziewczynę. Zostawił wtedy Richiego pod opieką dziewczyny, a on i Chee poszli w tym czasie podprowadzić corvette, którą zauważyli na parkingu. Wzorowy był z niego tatuś, nie ma co.

– *Ese*, tak mi przykro.

– To zasługa jego matki, Chee. Modliłem się o to, żeby nie został takim wykolejńcem jak ja... żeby wdał się w matkę.

– I Bóg cię wysłuchał.

– Policja twierdzi, że to Juarez go zabił. Twierdzą, że Juarez załatwił całą czwórkę, żeby dopaść jednego z nich, Fowlera. Rzekomo miał z nim zatarg z powodu brata.

– Nic o tym nie wiem, stary. Tak czy siak, to są sprawy Frogtown, *ese*.

– Tak czy siak, muszę go znaleźć. Muszę się dowiedzieć, kto mu pomagał, i dotrzeć do jego wspólników.

Chee przesunął się na krzesło, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. Potarł szorstką ręką twarz, mruczając coś i główkując. Latynoskie gangi wywodziły swoje nazwy od okolic, w których wzrastali ich członkowie: Happy Valley Gang, Hazard Street, Geraghty Lomas. Nazwa Frogtown pochodziła jeszcze z dawnych czasów, kiedy mieszkający nad rzeką Los Angeles gangsterzy zasypiali przy rechocie żab; potem miasto zalało brzegi rzeki betonem i żaby wyzdychały. Uwagę Holmana zwróciło to, że Juarez należał do Frogtown. Policjanci zginęli przecież nad rzeką.

Chee utkwiał wzrok w Holmanie.

– Chcesz go zabić? To ci chodzi po głowie?

Holman właściwie nie wiedział, co zamierza zrobić. Nie wiedział, dlaczego gawędzi sobie z Chee w jego biurze, podczas gdy cała policja Los Angeles ściga Warrena Juareza.

– Holman?

– Był moim synem. Jak zabiją ci chłopaka, nie możesz siedzieć z założonymi rękami.

– Nie jesteś zabójcą, Holman. Twardym sukinkotem tak, ale nie posunąłbyś się do morderstwa. To nie w twojej naturze, *homes*, a ja znam się na ludziach. Wierz mi, napatrzyłem się w życiu na zatwardziały morderców, potrafili zadźgać dzieciaka, a potem ze smakiem zjeść żeberka na obiad, ale ty jesteś inny. Zabijesz tego chłoptasia, a potem co? Wrócisz w kajdankach do więzienia w przekonaniu, że dobrze zrobiłeś?

– A jak ty byś postąpił?

– Zabiłbym skurwiela bez wahania, *homes*. Obciąłbym mu głowę i zawiesił na lusterku wstecznym, żeby wszyscy widzieli, a potem przejechałbym się po Whittier Boulevard. Zrobiłbyś coś takiego? Potrafiłbyś?

– Nie.

– No to odpuść sobie. Niech policja działa. Stracili czterech mundurowych. Nie będą się patyczkować z tym chłoptasiem.

Holman wiedział, że Chee ma rację, ale mimo to starał się wyrazić słowami to, co go dręczyło.

– Jak policjanci zaczynają służbę, muszą wypełnić taki kwestionariusz osobowy. W miejscu przeznaczonym na imię ojca, Richie wpisał „nieznany”. Tak się mnie wstydził, że nawet się do mnie nie przyznał – wolał napisać, że mnie nie zna. Nie mogę się z tym pogodzić, Chee. Jestem jego ojcem. I tylko w ten sposób mogę to udowodnić.

Chee rozsiadł się wygodnie w krześle, z zadumaną miną słuchając wywodów Holmana.

– Nie mogę tego tak zostawić. Poza tym mówią, że Juarez działał w pojedynkę. Akurat. Powiedz, Chee, czy jeden gangster położyłby czterech uzbrojonych gliniarzy, a ci nawet nie otworzyliby ognia? Musiałby być naprawdę niesamowity.

– Wielu chłoptasiów ma za sobą służbę w Iraku. Jeżeli Juarez szkolił się za granicą, toby wiedział, jak się do tego zabrać.

– Ja też chcę wiedzieć. Chcę zrozumieć, co tam się wydarzyło, i znaleźć tych sukinsynów. Nie mam zamiaru wyręczać policji. Po prostu chcę, żeby dranie trafili za kratki.

– Nie ty jeden. Przed domem Juareza w Cypress Park gliniarze urządzili sobie istny zjazd. Moja żona z córką przejechały się tamtędy w południe, żeby sobie pofilować, tak z ciekawości. Żona Juareza też się ukrywa. Nikogo nie zastaniesz pod tym adresem z książki telefonicznej.

– A gdzie jest jego żona?

– Skąd mam to wiedzieć, Holman? Ten chłoptaş nie jest od nas. Gdyby był i zabił ci syna, osobiście bym go ukatrupił, *ese*. Ale on jest z Frogtown.

– Mały Chee.

Dwa razy ktoś zauważył, jak po napadzie Holman wsiada do samochodu prowadzonego przez innego mężczyznę. Po aresztowaniu FBI mocno naciskało Holmana, żeby podał nazwisko współlnika. Mimo nacisków milczał jak grób.

– Wtedy jak mnie złapali, ilu nocy nie przespałeś ze strachu, że cię zakapuję? – powiedział Holman.

– Spałem spokojnie jak niemowlę, *homes*.

– A dlaczego?

– Dlatego, że ci ufałem. Byłeś dla mnie jak brat.

– Coś się zmieniło czy wciąż jest tak samo?

– Jest tak samo. Nic się nie zmieniło między nami.

– Pomóż mi, Mały Chee. Gdzie mogę znaleźć tę dziewczynę?

Holman wiedział, że Chee nie jest tym zachwycony, ale ten nawet się nie zastanawiał. Zaraz sięgnął po telefon.

– Zaparz sobie kawy, *homes*. Muszę trochę podzwonić.

Godzinę później Holman wyszedł z biura, ale Chee mu nie towarzyszył. Po dziesięciu latach w pewnych sprawach wciąż było tak samo, ale w innych się zmieniło.

Holman postanowił najpierw przejechać się pod dom Juareza, żeby zobaczyć na własne oczy zjazd gliniarzy. Chociaż Chee uprzedzał go, że policjanci wzięli całą okolicę

we włókanie, Holman był zaskoczony. Przed małym domkiem stały trzy furgonetki telewizyjne i czarno-biały policyjny radiowóz. Talerze anten kołysały się nad dachami pojazdów niczym karłowate palmy, a na chodniku rozmawiali w grupkach dziennikarze i umundurowani policjanci. Holmanowi wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że noga Juareza więcej tu nie postanie, nawet gdy cały ten cyrk się stąd zwinie. Po drugiej stronie ulicy zebrał się tłumek gapiów, mieszkańców sąsiednich domów, a rząd samochodów przesuwających się powoli obok domu Juareza wywoływał u Holmana wrażenie, że zdarzył się tu śmiertelny wypadek drogowy. Nic dziwnego, że żona Juareza dała stąd nogę.

Holman pojechał dalej.

Chee dowiedział się, że Maria Juarez przeprowadziła się do krewnych w Silver Lake, dzielnicy położonej na południe od Sunset, zamieszkaną przez wielu Latynosów. Holman przypuszczał, że policja zna miejsce jej pobytu, może nawet pomogła jej się przenieść w ustronne miejsce, daleko od kamer i reporterów. Gdyby ukryła się gdzieś na własną rękę, byłaby poszukiwana przez policję i wydano by nakaz jej aresztowania.

Adres, który zdobył dla niego Chee, doprowadził Holmana do drewnianego domku, przycupniętego na stromym wzgórzu za rzadką kępą cyprysów. Ulica biegła mocno pod górę, płyty chodnikowe były popękane, a sam domek wyglądał tak, jakby też się ukrywał. Holman postawił samochód przy krawężniku dwie przecznice wyżej, potem próbował wymyślić jakiś plan. Drzwi były zamknięte, zasłony zaciągnięte, ale tak wyglądała większość domów w tej okolicy. Zastanawiał się, czy Juarez jest w środku razem z żoną. To było całkiem możliwe. Holman znał mnóstwo facetów, których policja przyskrzyniła w ich własnym garażu, bo nie mieli innej kryjówki. Przestępcy zawsze wracali do swojej dziewczyny, żony, matki, swojego domu, swojej przyczepy, swojego samochodu – biegli szukać schronienia tam, gdzie czuli się bezpiecznie. Holmana też pewnie złapaliby w domu, tyle że on nie miał domu.

Przyszło mu do głowy, że policja też o tym wie i dom krewniaków Marii Juarez może być pod obserwacją. Obejrzał się za siebie, popatrzył na samochody i okoliczne domy, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Wysiadł z samochodu i ruszył pod wskazany adres. Nie widział powodu, żeby podejmować jakieś gwałtowne działania, chyba że nikt

nie otworzy. W takiej sytuacji będzie musiał obejść dom i włamać się od tyłu. Zapukał do drzwi frontowych.

Nie spodziewał się tak szybkiej reakcji; drzwi otworzyły się od razu. W progu stała młoda kobieta. Nie miała więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat, była jeszcze młodsza od Richiego, prawdziwa brzydula, z płaskim nosem, końskimi zębami i czarnymi przetłuszczonymi włosami, które przylegały jej do skroni niczym poskręcane baczki.

– Nic mu nie jest? – spytała.

Wzięła go za gliniarza.

– Maria Juarez? – powiedział Holman.

– Niech pan powie, że nic mu nie jest. Znaleźliście go? Mój mąż żyje? Muszę wiedzieć.

Dziewczyna właśnie udzieliła Holmanowi wszystkich potrzebnych mu informacji. Juareza nie było w domu. Policjanci zjawili się tu przed Holmanem, a dziewczyna poszła z nimi na współpracę. Holman uśmiechnął się do niej życzliwie.

– Muszę zadać pani kilka pytań. Mogę wejść?

Dziewczyna cofnęła się i Holman wszedł do środka. Telewizja nadawała właśnie latynoski serial, ale poza tym panowała cisza. Holman uważnie nasłuchiwał, czy jeszcze ktoś jest w domu, ale nic nie słyszał. Miał przed sobą jadalnię i kuchnię, gdzie w głębi dojrzał drzwi wychodzące na tyły domu; były zamknięte. W domu pachniało kolendrą i kiełbasą *chorizo*. Od salonu odchodził główny korytarz, prawdopodobnie prowadzący do łazienki i kilku sypialni. Ktoś mógł się ukrywać w którejś z nich.

– Czy w domu przebywa jeszcze ktoś oprócz pani? – zapytał.

W jej oczach pojawił się błysk i Holman zrozumiał, że popełnił błąd. To pytanie wzbudziło w dziewczynie podejrzenia.

– Moja ciotka. Leży w łóżku.

Holman wziął ją za rękę i ruszył w kierunku korytarza.

– Rozejrzymy się trochę.

– Coś ty za jeden? Jesteś gliną?

Holman wiedział, że dziewczyny gangsterów potrafiły załatwić faceta tak szybko jak niejeden weteran, a niektóre jeszcze szybciej, więc mocno ścisnął jej ramię.

– Chcę sprawdzić, czy Warren ukrywa się w domu.

– Nie ma go tutaj. Przecież wiesz, że go nie ma. Coś ty za jeden? Znam detektywów zajmujących się jego sprawą, a ty nie jesteś od nich.

Holman prowadził ją korytarzem. Zajrzał do łazienki, potem do pierwszej sypialni od frontu. W łóżku siedziała staruszka otulona szalami i kocami, wyschnięta i drobna jak rodzynek. Powiedziała coś po hiszpańsku. Holman nie zrozumiał i tylko uśmiechnął się przepraszająco. Pociągnął Marię do następnej sypialni, zamykając drzwi od sypialni staruszki.

– Tam nie wchodzić – powiedziała dziewczyna.

– Chyba nie ukrywasz tam męża, co?

– Tam śpi moje dziecko.

Zasłaniając się żoną Juareza jak tarczą, Holman uchylił drzwi. W środku panował półmrok. Holman dostrzegł małą postać leżącą na łóżku dla dorosłych, dziewczynkę dwu- lub trzyletnią. Stał, nasłuchując. Wiedział, że Juarez mógł schować się pod łóżkiem albo w szafie, ale nie chciał budzić małej. Słyszał tylko łagodne dziecięce pochrapywanie. Niewinna poza śpiącego smacznie dziecka nasunęła Holmanowi myśl o Richiem w tym wieku. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek przyglądał się synowi, gdy mały spał, ale na próżno. Wspomnienia nie przychodziły, ponieważ nie istniały. Wizyty Holmana trwały za krótko – nigdy nie zdążył zobaczyć, jak jego syn zasypia.

Zamknął drzwi i zaprowadził dziewczynę do salonu.

– Nie było cię tu wcześniej. Chcę wiedzieć, kim jesteś – powiedziała.

– Nazywam się Holman. Mówi ci to coś?

– Wynoś się stąd. Nie wiem, gdzie jest mój mąż. Już to im mówiłam. Coś ty za jeden? Pokaż mi odznakę, jeśli jesteś z policji.

Holman pchnął ją na sofę. Pochylił się nad dziewczyną, stykali się niemal nosami.

– Oglądasz wiadomości w telewizji? Przyjrzyj się tej twarzy – powiedział pokazując na siebie. – Nie wydaje ci się znajoma?

Dziewczyna rozplakała się. Nie wiedziała, o co mu chodzi, i przestraszyła się. Holman zdawał sobie z tego sprawę, ale nie mógł się powstrzymać. Nie podnosił głosu, tak jak podczas napadów na bank.

– Nazywani się Holman. Jeden z policjantów, którzy zginęli, też nazywał się Holman. Ten skurwiel, twój mąż, zamordował mojego syna. Rozumiesz?

– Nie!

– Gdzie on jest?

– Nie wiem.

– W Meksyku? Słyszałem, że zwił policji.

– On tego nie zrobił. Pokazałam im. On był z nami.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem.

– Kto go ukrywa?

– Nie wiem. Mówiłam im. Pokazałam im. On był z nami.

Holman nie przemyślał do końca swoich działań i teraz czuł, że zabrnął w ślepy zaułek. Terapeuci w więzieniu powtarzali im do znudzenia – przestępcy to ludzie, którzy nie chcą lub nie potrafią przewidzieć następstw swoich czynów. Uleganie impulsom, tak to określali. Holman nagle chwycił dziewczynę za gardło. Jego ręka obejmowała mocno jej szyję, jakby powodowana własną wolą, niezależną od niego. Holman nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi ani dlaczego... Dziewczyna nagle zaczęła się dławić i Holman się opamiętał. Puścił ją i cofnął się, twarz płonęła mu ze wstydu.

– Mamusiu? – odezwała się dziewczynka.

Stała w korytarzu przed sypialnią staruszki, tak drobna, że wydawała się miniaturką człowieka. Holman miał ochotę zapaść się pod ziemię, czuł do siebie obrzydzenie, a jego udrękę wzmagala myśl, że mała mogła go widzieć w akcji.

– Nic się nie stało, skarbie – powiedziała Maria. – Wracaj do łóżka. Zaraz do ciebie przyjdę. No idź, już...

Dziewczynka poszła do swojego pokoju. Richie też tak odchodził, kiedy Donna wymyślała Holmanowi od nieudaczników.

– Przepraszam – powiedział Holman. – Dobrze się czujesz?

Maria wpatrywała się w niego oniemiała. Dotknęła szyi, jeszcze przed chwilą tkwiącej w żelaznym uścisku Holmana. Dotknęła kosmyka włosów przyklejonego do policzka.

– Słuchaj, naprawdę mi przykro – mówił Holman. – Poniosło mnie. Twój mąż zabił mi syna.

Dziewczyna oprzytomniała nagle i potrząsnęła głową.

– Przedwczoraj były jej urodziny. Obchodziliśmy jej urodziny, mój mąż razem z nami. Nie strzelał do żadnych policjantów.

– Jej urodziny? Waszej córki?

– Mogę to udowodnić. Pokazałam im nagranie. Warren był z nami.

Holman potrząsnął głową, odpędzając przygnębiające wspomnienia straty, jakiej doznał, i starał się zrozumieć, o co chodzi żonie Juareza.

– Mów jaśniej, dziewczyno. Wyprawiliście córce przyjęcie urodzinowe? Zaprosiliście gości?

Holman nie dałby wiary żadnemu świadkowi, jakiego by przedstawiła, podobnie jak policja, ale ona pokazała na telewizor.

– Warren przyniósł kamerę wideo. Jest u nas w domu. Nagraliśmy jej urodziny, jak zdmuchuje świece i bawi się z nami. To było tego samego dnia, kiedy zginęli ci policjanci.

– To o niczym nie świadczy.

– Nic nie rozumiesz. Nadawali wtedy ten program, z tym komikiem, no wiesz? Warren posadził ją sobie na plecach, żeby mogła na nim jeździć jak na kucyku, i chodził z nią na czworakach w salonie przed telewizorem. W telewizji pokazywali ten program, a Warren był w domu. Widać to na nagraniu. To jest dowód, że był wtedy z nami.

Holman nie miał pojęcia, o jakim programie mówi żona Juareza.

– Ci policjanci zostali zabici o pierwszej trzydzieści w nocy.

– Tak! A ten program zaczyna się o pierwszej. Nadawali go, kiedy Warren chodził na czworakach z małą na plecach. Mamy to na taśmie.

– Urządziliście jej przyjęcie w środku nocy? Przestań.

– Był poszukiwany przez policję. Musiał uważać, kiedy nas odwiedzał. Ten pogram to dowód, że Warren był z nami w domu, tak powiedział mój ojciec, on też widział to nagranie.

Mówiła to z przekonaniem, a jej słowa łatwo można było sprawdzić. Jeśli na tym nagraniu widać program nadawany w telewizji, wystarczyło zadzwonić do stacji i zapytać, o której godzinie został wyemitowany.

– Dobra. Pokaż mi taśmę. Chcę zobaczyć.

– Policja zabrała. Powiedzieli, że to dowód rzeczowy.

Holman na chłodno rozważył wszystkie fakty, jakie mu przekazała. Policja zabrała taśmę, ale najwyraźniej nie podzielała opinii żony Juareza, że nagranie świadczy o jego niewinności – wydali przecież nakaz aresztowania jej męża. Mimo to Holman uznał, że była wobec niego szczerą, więc pewnie nie kłamała, mówiąc, że nie wie, gdzie podziewa się jej mąż.

– Mamo! – odezwała się dziewczynka, która znów wyszła na korytarz.

– Ile masz lat? – spytał Holman.

Mała spuściła wzrok.

– Odpowiedz panu, Alicjo. Bądź grzeczna – upomniała ją mama.

Dziewczynka podniosła rękę, pokazując trzy paluszki.

– Przykro mi z powodu pańskiego syna, ale Warren go nie zabił. Wiem, co nosi pan w sercu. Jeśli zabije pan mojego męża, jego śmierć też będzie pan nosił w sercu.

Holman oderwał wzrok od dziewczynki.

– Przepraszam, że podniosłem na ciebie rękę – powiedział.

Wyszedł drzwiami frontowymi. Światło słoneczne raziło w oczy, przywykłe do półmroku panującego w domu. Holman ruszył do samochodu Perry'ego. Czuł się jak łódź z urwanym sterem, porwana przez prąd. Nie miał dokąd pójść i nie wiedział, co dalej robić. Pomyślał, że powinien po prostu wrócić do pracy i zacząć zarabiać. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Rozmyślał o tym przez całą drogę do samochodu Perry'ego. Kiedy włożył kluczyki do zamka, poczuł nagłe uderzenie w plecy, tak silne, że aż go zatkało. Runął na samochód, a wtedy ktoś podciął mu od tyłu nogi i napastnicy cisnęli go bezceremonialnie na chodnik, rozkładając go na nim płasko z wprawą godną prawdziwych zawodowców.

Kiedy Holman podniósł głowę, zobaczył rudowłosego faceta w przeciwsłonecznych okularach i cywilnym ubraniu, który pokazał mu odznakę.

– Policja Los Angeles. Jest pan aresztowany.

Kiedy zakładali mu kajdanki, Holman zamknął oczy.

Przyskrzyniło go czterech tajniaków, ale tylko dwóch zawiozło go na komendę główną, rudowłosy gliniarz, który przedstawił się jako Vukovich, i Latynos o nazwisku Fuentes. Policja Los Angeles aresztowała Holmana w sumie dwanaście razy i za każdym razem z wyjątkiem tego ostatniego (kiedy zgarnęła go agentka FBI Katherine Pollard) jego sprawą zajmował się któryś z dziewiętnastu posterunków. Dwa razy wylądował w miejskim areszcie śledczym, trzy razy w areszcie federalnym, ale nigdy nie trafił do Centrum imienia Parkera, gdzie mieściła się komenda główna policji Los Angeles. Kiedy dostarczyli go na komendę, Holman zorientował się, że to nie przelewki.

Centrum imienia Parkera stanowiło główną siedzibę policji Los Angeles. W przeszklonym budynku mieli swoje biura komendant główny, jednostka kontroli wewnętrznej, rozmaite agencje administracyjne, a także elitarny wydział zabójstw i napadów rabunkowych, który skupiał specjalne zespoły zajmujące się zabójstwami, napadami rabunkowymi i gwałtami. Detektywi z każdego posterunku pracowali nad tego rodzaju przestępstwami tylko w swoim rejonie. Policjanci z wydziału zabójstw i napadów rabunkowych tropili przestępstwa obejmujące swym zasięgiem całe miasto.

Vukovich i Fuentes zaprowadzili Holmana do pokoju przesłuchań na trzecim piętrze i wzięli go w obroty. Po godzinie zmienili ich inni detektywi. Holman znał procedurę. Gliniarze w kółko zadawali te same pytania, żeby sprawdzić, czy usłyszą te same odpowiedzi. Jeśli odpowiedzi były inne, to znaczyło, że ptaszek kłamie. Holman odpowiadał zgodnie z prawdą z jednym wyjątkiem – tego, co dotyczyło udziału Chee. Kiedy ten rudy, Vukovich, zapytał, skąd Holman wiedział, że Maria Juarez przebywa u swoich krewnych, Holman wcisnął im kit, że słyszał, jak jakiś chłoptaş z Frogtown przechwalał się w barze, że posuwał Marię w liceum, on i sześćdziesięciu dwóch innych, dziewczyna była puszczalska, no i ten koleś dawał głowę, że gliniarze, których Warren wykończył, też pewnie ją rypali. Nie pierwszy raz Holman krył Chee, ale teraz było to jedyne kłamstwo, jakie wyszło z jego ust. Jedno kłamstwo łatwo zapamiętać, ale mimo to miał stracha za każdym razem, kiedy je powtarzał.

Za dwadzieścia dziewięć nadal tkwił w pokoju przesłuchań; maglowali go z przerwami od sześciu godzin, nie stawiając mu zarzutów ani nie pozwalając zadzwonić do adwokata. Za dziewięćnaście dziewięć drzwi znowu się otworzyły i do środka wszedł Vukovich z jeszcze jednym policjantem, który wcześniej się tu nie pokazywał.

Przybysz przyglądał się badawczo Holmanowi, potem wyciągnął rękę na powitanie. Wydawał się mu skądś znajomy.

– Panie Holman, nazywam się John Random. Przykro mi z powodu pańskiego syna.

W przeciwieństwie do Randoma żaden z pozostałych detektywów nie podał Holmanowi ręki. Random był ubrany w białą koszulę z krawatem, ale przyszedł bez marynarki. Do paska miał przyczepioną złotą odznakę detektywa. Usiadł naprzeciwko Holmana, a Vukovich oparł się o ścianę.

– Jestem o coś oskarżony? – spytał Holman.

– Czy detektyw Vukovich wyjaśnił panu, dlaczego pana zatrzymaliśmy?

– Nie.

Holman nagle uświadomił sobie, dlaczego Random wydał mu się znajomy. Uczestniczył w konferencji prasowej, którą oglądał w barze. Nie znał nazwiska, ale rozpoznał twarz.

– Kiedy sprawdziliśmy pana pojazd, okazało się, że ciężą na nim trzydzieści dwa niezapłacone mandaty za złe parkowanie i nieuregulowanych dziewięć mandatów za inne wykroczenia drogowe.

– O kurczę – powiedział Holman z przejęciem.

Vukovich uśmiechnął się.

– Tak, tak, poza tym nie odpowiadał pan rysopisowi właściciela pojazdu, jaki dostaliśmy z Wydziału Komunikacji, daleko panu do siedemdziesięciodwuletniego czarnoskórego staruszka. Uznaliśmy, że podprowadziłeś furę, kolego.

– Rozmawialiśmy z panem Wilkesem – odezwał się Random. – Jest pan czysty, jeśli chodzi o samochód, ale prowadził go pan bez prawa jazdy. Ale mniejsza o samochód, wróćmy do pani Juarez. Po co pan do niej pojechał?

To samo pytanie zadano mu już kilkadziesiąt razy. I Holman udzielił tej samej odpowiedzi.

– Szukałem jej męża.

– Co pan wie o jej mężu?

– Widziałem pana w telewizji. Wy też go poszukujecie.

– Ale dlaczego pan go szukał?

– Zabił mi syna.

– W jaki sposób dotarł pan do żony Juareza?

– Wziąłem ich adres z książki telefonicznej. Pojechałem tam, ale przed domem kręciło się mnóstwo osób. Zaglądałem do barów w okolicy i trafiłem na ludzi, którzy ich znali, i niedługo potem wylądowałem w Silver Lake. Tam trafiłem na faceta, który podawał się za znajomego Marii Juarez. Powiedział mi, że żona Juareza mieszka teraz u swoich krewnych, i chyba nie kłamał – bo tam ją znalazłem.

Random skinął głową.

– Znał adres tych krewnych?

– Adres podali mi w informacji telefonicznej. Ten jej znajomy powiedział mi tylko, u kogo się zatrzymała. To nic trudnego. Mało ludzi ma zastrzeżony numer telefonu.

Random uśmiechnął się, nie odrywając od niego wzroku.

– Co to był za bar?

Holman wytrzymał spojrzenie Randoma, potem od niechcienia spojrzał na Vukovicha.

– Nie znam nazwy, to taki bar przy Sunset Boulevard, parę przecznic na zachód od Silver Lake Boulevard. Po pomocnej stronie. Jestem pewny, że miał meksykańską nazwę.

Holman przejeżdżał tamtędy wcześniej; wzdłuż Sunset było całe mnóstwo meksykańskich knajp.

– Ach tak, więc mógłby pan nas zaprowadzić do tego baru?

– Oczywiście, zresztą sam proponowałem detektywowi Vukovichowi kilka godzin temu, że go tam zaprowadzę.

– A mężczyzna, z którym pan rozmawiał? Rozpoznałby go pan?

Holman znów odparł badawcze spojrzenie Randoma, ale tym razem na luzie, bez przesadnej stanowczości.

– Oczywiście. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jeśli jeszcze tam siedzi...

– Hej, jaja sobie ze mnie robisz czy co? – wtrącił Vukovich z uśmiechem.

Random puścił uwagę Vukovicha mimo uszu.

– Proszę mi powiedzieć, panie Holman, to bardzo ważne dla mnie pytanie – czy Maria Juarez powiedziała panu coś, co mogłoby nas doprowadzić do jej męża?

Holman doszedł nagle do wniosku, że lubi Randoma. Podobała mu się jego żarliwość, jego pragnienie schwywania Juareza.

– Nie.

– Nie wiedziała, gdzie się ukrywa?

– Twierdziła, że nie wie.

– Powiedziała panu, dlaczego jej mąż zabił tych policjantów? Zdradziła jakiegokolwiek szczegóły dotyczące tej zbrodni?

– Mówiła, że jej mąż tego nie zrobił. Podobno był z rodziną, kiedy zginęli ci policjanci. Mają córeczkę. Powiedziała, że obchodzili wtedy jej urodziny i nagrali film, który dowodzi, że Warren przebywał z nimi w czasie, kiedy zginęli policjanci. Powiedziała też, że oddała wam taśmę. To wszystko.

– Utrzymywała, że nie zna miejsca pobytu męża? – spytał Random.

– Powtarzała w kółko, że on tego nie zrobił. Nie wiem, co jeszcze wam powiedzieć.

– Co zamierzał pan zrobić po wyjściu od Marii Juarez?

– To samo co przedtem. Pogadać z ludźmi, zobaczyć, czy uda mi się wpaść na jakiś trop. Ale spotkałem pana Vukovicha.

Vukovich roześmiał się i zmienił pozycję.

– Mogę o coś zapytać? – odezwał się Holman.

Random wzruszył ramionami.

– Pytać pan może. Ale nie obiecuję, że odpowiem. Zobaczymy.

– Naprawdę mają to nagranie?

– Żona Juareza dała nam taśmę, ale to wbrew temu, co ona mówi, niczego nie dowodzi. Mamy wątpliwości co do czasu, kiedy została nagrana.

Vukovich przejął pałeczkę.

– To nagranie niekoniecznie zostało zrobione o pierwszej w nocy. Kazaliśmy to sprawdzić naszej specjalistce. Jej zdaniem nagrali ten program na wideo, a potem odtworzyli z magnetowidu, żeby zapewnić Juarezowi alibi. Film nie pokazuje programu wtedy, kiedy został nadany w telewizji; widać po prostu nagranie nagrania. Jesteśmy przekonani, że sfabrykowali taśmę kilka godzin po dokonaniu tych zabójstw przez Juareza.

Holman zmarszczył brwi. Wiedział, jak można spreparować takie nagranie, ale pamiętał też strach w oczach dziewczyny, kiedy chwycił ją za gardło. Stawał oko w oko z przerażonymi ludźmi, kiedy kradł samochody i napadał banki. Odchodził w przekonaniu, że żona Juareza mówi prawdę.

– Zaraz, zaraz. Twierdzicie, że była w zмовie z mężem?

Random już miał mu odpowiedzieć, ale się rozmyślił. Spojrzał na zegar, potem dźwignął się z krzesła, jakby podnosił wielki ciężar.

– Poprzestańmy na tym, co powiedziałem. Śledztwo nadal trwa.

– Dobrze, jeszcze jedno. Dowódca Richiego powiedział mi, że to były osobiste porachunki między Juarezem a jednym z zabitych policjantów, Fowlerem? Czy to prawda?

Random dał Vukovichowi znak głową, żeby odpowiedział za niego.

– Tak było. Zaczęło się ponad rok temu. Fowler zatrzymał chłopaka za wykroczenie drogowe. Tym chłopakiem był Jaime Juarez, młodszy brat Warrena. Juarez się stawiał. Fowler wiedział, że chłopak jest naćpany, wyciągnął go z samochodu i znalazł w kieszeni jego spodni prochy. Juarez, oczywiście, twierdził, że Fowler mu je podłożył, ale i tak dostał trzy lata w więzieniu stanowym. Siedział raptem dwa miesiące i w kiciu wybuchła bójka między czarnoskórymi i latynoskimi więźniami. Ktoś zaciukał małego. Warren winił za to Fowlera. Trąbił po całym Eastside o tym, że Fowler zapłacił za śmierć jego brata. Nie robił z tego tajemnicy. Mamy listę świadków, którzy słyszeli, jak się odgrażał, całe dwie strony nazwisk.

Holman zastanawiał się przez chwilę. Bez najmniejszych trudności widział Juareza w roli zabójcy człowieka, którego winił za śmierć brata; co innego go nurtowało.

– Podejrzewacie jeszcze kogoś?

– Nie ma innych podejrzanych. Juarez działał sam.

– Zrobił to w pojedynkę? Coś tu nie gra. Skąd wiedział, że zebrali się pod mostem? Jak ich odszukał? Jak to możliwe, że uliczny gangster położył czterech uzbrojonych policjantów tak, że żaden z nich nie zdążył nawet wystrzelić?

Holman podniósł głos i zaraz tego pożałował. Random był wyraźnie rozdrażniony. Wydął usta, potem znów popatrzył na zegarek, jakby umówił się z kimś na spotkanie. Wahał się, ale przewyciężył swoje niezdecydowanie i przeniósł spojrzenie na Ho Imana.

– Zaszedł ich od wschodu, kryjąc się za wspornikami mostu. Dzięki temu mógł się do nich zbliżyć na odległość dziesięciu metrów. Wtedy otworzył ogień. Posłużył się wojskową strzelbą Benelli, kalibru dwanaście. Zdaje pan sobie sprawę, jaki to kaliber, panie Holman?

Holman skinął głową. Zrobiło mu się niedobrze.

– Dwaj policjanci zostali trafieni w plecy, co znaczy, że sprawca wziął ich przez zaskoczenie. Trzeci przypuszczalnie siedział na masce samochodu. Zeskoczył, odwrócił się i dostał w głowę. Czwarty zdążył wyciągnąć rewolwer, ale padł, zanim zdążył z niego wystrzelić. Proszę mnie nie pytać, w jaki sposób zginął pana syn, bo panu nie powiem.

Holman poczuł nagły ziąb. Oddech miał płytki, urywany. Random znów spojrzał na zegarek.

– Wiemy, że sprawcą był jeden człowiek, ponieważ wszystkie zebrane łuski pochodzą z tej samej broni. Strzelał z niej Juarez. A to nagranie to niezdarna próba zapewnienia sobie alibi. Co do pana, nie zostanie pan zatrzymany. Nie była to jedno-myślna decyzja, ale może pan wracać do siebie. Podwieziemy pana do samochodu.

Holman wstał, ale wciąż nurtowały go pytania i po raz pierwszy w życiu ociągał się z wyjściem z policyjnego posterunku.

– Kiedy dorwiecie tego sukinsyna? Macie na niego jakieś namiary?

Random zerknął na Vukovicha. Twarz Vukovicha nie wyrażała żadnych uczuć. Random przeniósł spojrzenie z powrotem na Holmana.

– Już go mamy. Znaleźliśmy go dzisiaj po południu, o szóstej dwadzieścia, martwego. Zmarł w wyniku rany postrzałowej. Sam pociągnął za spust.

Vukovich dotknął swego podbródka.

– Tej samej strzelby, z której strzelał do twojego syna. Pocisk przeszedł o tak, tędy, i urwał mu czubek głowy. Wciąż ją trzymał, kiedy go znaleźliśmy.

Random jeszcze raz podał mu rękę. Holman, oszołomiony tym, co właśnie usłyszał, uścisnął ją machinalnie.

– Przykro mi, panie Holman. To straszne, że zginęło w ten sposób czterech naszych ludzi. To wielka strata.

Holman zbył to milczeniem. Trzymali go tutaj cały wieczór, wiedząc, że Juarez nie żyje!

– To po jasną cholere pytaście mnie, czy jego żona wiedziała, gdzie on się ukrywa, i co zamierzałem zrobić? – spytał.

– Żeby sprawdzić, czy nie kłamała. Rutynowe postępowanie.

Holman czuł, że puszczają mu nerwy, ale wziął się w garść. Random otworzył drzwi.

– Ustalmy ponad wszelką wątpliwość jedno – nie będzie pan więcej nachodził wdowy po Juarezie. Chociaż jej mąż nie żyje, ona sama pozostaje przedmiotem toczącego się dochodzenia.

– Uważacie, że ma związek z tymi morderstwami?

– Pomagała mu się z tego wywinąć. Należy ustalić, czy miała pełną świadomość tego, co robi. Proszę więcej się do tego nie mieszać. Puszczaamy pana, bo stracił pan syna. Ale na tym nasza troska się kończy. Jeśli znów tutaj trafisz, Holman, postawię ci zarzuty i dopilnuję, żebyś odpowiadał przed sądem. Rozumiemy się?

Holman skinął głową.

– Może pan odetchnąć, panie Holman. Dorwaliśmy drania.

Random wyszedł, nie czekając, aż Holman mu odpowie. Vukovich oderwał się od ściany i lekko poklepał Holmana po plecach, jakby byli kumplami, którzy razem przeszli piekło.

– Dalej, stary. Podwiozę cię do samochodu.

Holman ruszył za Vukovichem.

Holman myślał o Marii Juarez, kiedy mijali dom jej krewnych w drodze do samochodu Perry'ego. Rozglądał się dokładnie, ale nigdzie nie zauważył ekipy obserwującej dom.

– Random nie żartował, Holman. Trzymaj się od tej kobiety z daleka – powiedział Vukovich.

– Uważacie, że spreparowali to nagranie. Pewnie spreparowali, ale miałem wrażenie, że żona Juareza jest wobec mnie szczerą.

– Dziękujemy ekspertowi za wyrażenie opinii. A teraz powiedz mi – kiedy czekałeś w kolejce, żeby obrobić bank, wyglądałeś na bandziora czy na niewinnego człowieka?

Holman pozostawił to bez komentarza.

– Punkt dla mnie. Vukovich-Holman jeden:zero.

Zatrzymali się obok rzęcha Perry'ego i Holman otworzył drzwi.

– Dzięki za podwiezienie.

– Może lepiej odwiozę cię do motelu? Nie powinieneś siadać za kółkiem, nie masz prawa jazdy.

– Wychodzę na wolność i czego się dowiaduję? Że właśnie zabili mi chłopaka. Miałem inne sprawy na głowie niż Wydział Komunikacji.

– Załatw to. Nie chcę być upierdliwy, ale narobisz sobie kłopotów, jak cię zatrzymają.

– Jutro. Z samego rana.

Holman stał na ulicy, odprowadzając wzrokiem samochód Vukovicha. Spojrzał na dom, w którym schroniła się Maria Juarez. Światła były zapalone, jej krewni na pewno wrócili już z pracy. Zastanawiał się, o czym teraz rozmawiają. Policja chyba już ją powiadomiła o śmierci męża. Holman wmawiał sobie, że nic go to nie obchodzi, ale dręczyła go świadomość, że w tym małym domku panuje smutek i żałoba. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Dotarł do motelu bez przygód i postawił samochód Perry'ego z tyłu budynku. Perry czuwał na swoim posterunku, kiedy Holman wszedł do środka. Siedział za biurkiem z założonymi rękami i ściągniętą twarzą. Był tak spięty, że przypominał mu pająka, który czai się, żeby rzucić się na pierwszą ofiarę, która znajdzie się w pobliżu.

– Ładnie mnie wrobiłeś, kurwa. Wiesz, ile musiałem wybulić za te zaległe mandaty? – powiedział Perry.

Holman też nie był w najlepszym nastroju. Stanął przed biurkiem Perry'ego i oparł się o jego krawędź.

– Pieprzę cię i twoje mandaty. Trzeba było mnie uprzedzić, że ten samochód jest trefny. Przez twojego rżęcha mogli mnie znów zapuszkować.

– Sam się pieprz! Nic nie wiedziałem o tych mandatach! To ci, co biorą samochód tak jak ty, zarabiają mandaty i nic mi nie mówią. A ja mam teraz, kurwa, do zapłacenia rachunek – dwa tysiące czterysta osiemnaście dolarów!

– Trzeba było im go zostawić. To kupa złomu.

– Straszili, że założą blokady na koła i dopieprzą koszty holowania i zajęcia własności. Musiałem w godzinach szczytu przedzierać się do śródmieścia, żeby skołować kasę.

Holman wiedział, że Perry za wszelką cenę chce wydusić z niego forszę, żeby odbić straty, ale wiedział też, że Perry ma pietra, że wszystko się wyda. Gdyby wieść o tym dotarła do Gail Manelli, nielegalny proceder Perry'ego, wypożyczenie samochodu osobom bez prawa jazdy, wyszedłby na jaw. Departament Więziennictwa przestałby kierować do niego byłych skazańców i w ten sposób Perry straciłby jeszcze więcej.

– Takie życie. Ja też przejechałem się do śródmieścia przez twój pieprzony samochód. Przyniosłeś ten obiecany telewizor?

– Jest w twoim pokoju.

– Lepiej, żeby nie był kradziony.

– Przestań skomleć jak zbity psiak. Telewizor stoi u ciebie w pokoju. Tylko musisz się pobawić anteną. Słabo odbiera.

Holman ruszył schodami do góry.

– Hej, zaczekaj. Mam dla ciebie parę wiadomości.

Holman od razu się ożywił. Miał nadzieję, że żona Richiego wreszcie się odezwała. Zawrócił w miejscu i dopadł do biurka. Perry wyglądał na wystraszonego.

– Gail dzwoniła. Masz do niej oddzwonić.

– Ktoś jeszcze?

Perry trzymał w ręku kartkę, ale Holman nie mógł odczytać, co na niej było napisane.

– Posłuchaj, nie mów Gail nic o tym cholernym samochodzie – powiedział Perry.

– Nie powinienesz nim jeździć, a ja nie powinienem ci go pożyczać. I bez tego obaj mamy dość kłopotów.

Holman sięgnął po kartkę.

– Nic jej nie powiem. Od kogo jest ta druga wiadomość?

Holman chwycił kartkę, a Perry wypuścił ją z ręki.

– Od jakiejś kobiety z cmentarza. Mówiła, że będziesz wiedział, o co chodzi.

Holman przeczytał notatkę. Zawierała adres i numer telefonu.

Richard Holman

Berke Drive 42 m. 216

Los Angeles, CA 900024

310-555-2817

Holman domyślał się, że to Richie pokrył koszty pogrzebu swojej matki, ale teraz miał na to dowód.

– Nikt inny nie dzwonił? Spodziewałem się telefonu od pewnej osoby.

– To wszystko. Chyba że ktoś dzwonił w tym czasie, kiedy pojechałem zapłacić przez ciebie te cholerne mandaty.

Holman schował kartkę do kieszeni.

– Jutro będę potrzebował tego rzęcha.

– Tylko ani słowa Gail, na miłość boską.

Holman zbył to milczeniem. Poszedł na górę, włączył telewizor i czekał na serwis wiadomości nadawany o jedenastej. Odbiornik był mały, amerykański. Takie telewizory przestali produkować dwadzieścia lat temu. Obraz migotał, postaciom na ekranie towarzyszyły majaczące zjawy. Holman walczył z anteną, żeby pozbyć się zjaw, ale na próżno. Stały się jeszcze wyraźniejsze.

Następnego ranka wygramolił się z łóżka przed piątą. Plecy bolały go od niewygodnego materaca, w dodatku w nocy kiepsko spał. Postanowił, że włoży deskę pod materac albo będzie kładł go na podłodze. Nawet w więzieniu były lepsze łóżka.

Wyszedł po gazetę i mleko czekoladowe i wrócił do siebie, żeby przeczytać doniesienia o odkryciu dokonany wczoraj po południu.

Gazeta podawała, że ciało Juareza znaleźli trzej chłopcy w opuszczonym domu w Cypress Park oddalonym o kilometr od miejsca zamieszkania denata. Na zamieszczonym zdjęciu widać było trzech chłopców na tle rudery, w głębi stali policjanci. Jeden z nich przypominał Randoma, ale fotografia była tak nieostra, że nie sposób było stwierdzić, czy to na pewno on. Policja oświadczyła, że sąsiad mieszkający w pobliskim domu słyszał rano odgłos wystrzału. Holman zdziwił się, że sąsiad nie zgłosił tego policji wcześniej, ale cóż, z własnego doświadczenia wiedział, że ludzie słyszą różne dziwne rzeczy, ale nie zawiadamiają policji; milczenie jest najlepszym sprzymierzeńcem złodzieja.

Z zeznań chłopców i policjantów obecnych na miejscu zbrodni wynikało, że Juarez siedział na podłodze oparty plecami o ścianę, w prawej ręce ścisnął strzelbę. Rzecznik biura koronera oświadczył, że zgon nastąpił natychmiast, na skutek rozległych obrażeń głowy spowodowanych przez pocisk wystrzelony z dołu. Z opisu dokonanego przez Randoma Holman wiedział, że strzelba jest krótka, więc Juarez mógł ją sobie wsadzić pod brodę. Biorąc pod uwagę ułożenie ciała, Holman doszedł do wniosku, że palec Juareza musiał się zaplątać w osłonę spustu, inaczej siła odrzutu wyrwałaby mu strzelbę z ręki. Pocisk oderwał mu pewnie czubek głowy, i przy okazji też niemal całą twarz. Holman z łatwością mógł sobie to wyobrazić, ale coś w tym wszystkim nie dawało mu spokoju, chociaż nie wiedział dlaczego. Czytał dalej.

Kilka akapitów w artykule zajmowało wyjaśnienie tego, co łączyło Warrena Juareza i Michaela Fowlera, ale Holman nie dowiedział się z nich nic nowego. Znał facetów odsiadujących dożywocie za zabicie człowieka z błahszego powodu niż śmierć brata; weteranów, którzy nie żalowali ani jednej chwili spędzonej za kratkami, ponieważ

ich pojęcie dumy nie pozwalało im zareagować w inny sposób. Holman rozmyślał o tych honorowych bandziorach, kiedy uświadomił sobie, co takiego nie dawało mu spokoju w samobójstwie Juareza. Nie pasowało to do wizerunku męża, jaki wyłaniał się z opowieści Marii. Random sugerował, że Juarez i jego żona nagrali ten film kilka godzin po zabójstwie policjantów. Jeśli Random miał rację, to Juarez najpierw zamordował tych policjantów, parę godzin później baraszkował z córeczką i wdzięczny się do kamery, a potem uciekł do opuszczonego domu i tam popadł w takie przygnębienie, że palnął sobie w łeb. Zabawa przed kamerą, potem samobójstwo, jedno z drugim nie dawało się pogodzić. Juarez zyskałby uznanie w oczach swoich koleśków za pomszczenie śmierci brata, a jego córki strzegłoby jak królowej. Miał wiele powodów, żeby żyć, nawet jeśli resztę swoich lat spędziłby za kratkami.

Holman wciąż się nad tym zastanawiał, kiedy w telewizji zaczęli nadawać poranne wiadomości, rozpoczynając przegląd wydarzeń właśnie od śmierci Juareza. Odłożył gazetę, żeby obejrzeć powtórkę konferencji prasowej, która odbyła się poprzedniego dnia wieczorem, kiedy on tkwił w pokoju przesłuchań. Jak poprzednio, wypowiadał się głównie zastępca komendanta głównego Donnelly. Tym razem rozpoznał siedzącego z tyłu Randoma.

Holman oglądał wiadomości, kiedy zadzwonił telefon. Nagły dźwięk wystraszył go i zakołysał się, jakby doznał szoku. Po raz pierwszy od dziesięciu lat ktoś do niego dzwonił. Niepewnie podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Bracie! Myślałem, że cię posadzili, *homes!* Słyszałem, że cię zgarnęli!

Dopiero po chwili zastanowienia Holman domyślił się, o co chodzi Chee.

– Mówisz o wczorajszym dniu?

– Holman, do kurwy nędzy! A o czym niby miałbym mówić? Cała dzielnica widziała, jak cię zakuli, *homes!* Myślałem, że już po tobie. Coś ty narobił?

– Nic, pogadałem tylko z żoną Juareza. Prawo tego nie zabrania.

– O żeż ty w mordę kopany! Należy ci się ode mnie porządne manto! Wiesz, że się o ciebie martwię, *homes!* Martwię się, żeby nic ci się nie stało!

– Wszystko gra, bracie. Zadali mi kilka pytań, to wszystko.

– Potrzebujesz adwokata? Mogę ci załatwić.
– Nie trzeba.
– Zabiłeś Juareza?
– Nie miałem z tym nic wspólnego.
– Byłem pewny, że to ty go załatwiłeś, *homes*.
– Juarez sam się zastrzelił.
– Gówno prawda. Nie wierzę w te brednie o samobójstwie. Myślałem, że to ty go sprzątnąłeś.

Holman nie wiedział, co na to powiedzieć, więc zmienił temat.

– Słuchaj, Chee. Pożyczam od pewnego faceta samochód, dwadzieścia dolarów za dzień, i to mnie wykańcza finansowo. Mógłbyś mi zorganizować jakąś furę?

– No jasne, brachu, nie ma sprawy.

– Nie mam prawa jazdy.

– Tym też się zajmę. Potrzebne mi tylko zdjęcie.

– Ale prawdziwe, wydane przez Wydział Komunikacji.

– Spokojna głowa. Mam nawet taki sam aparat. Swego czasu Chee na zlecenie swoich wujów podrabiał prawa jazdy, karty stałego pobytu i karty ubezpieczenia społecznego. Najwyraźniej wciąż pamiętał, jak to się robi.

Holman umówił się z Chee, że wpadnie do niego później, i odłożył słuchawkę. Wziął prysznic, ubrał się, a resztę rzeczy wepchnął do plastikowego worka. Zamierzał rozejrzeć się za publiczną pralnią. Wyszedł z pokoju piętnaście po szóstej.

Pod uzyskanym przez Holmana adresem mieścił się czteropiętrowy apartamentowiec z dziedzińcem, położony w Westwood na południe od Wilshire Boulevard, niedaleko uniwersytetu. Ponieważ Richie podał ten adres przed pogrzebem Donny, niemal dwa lata temu, Holman obawiał się, że w tym czasie mógł się przeprowadzić, i w nocy prawie nie zmrzął oka. Co prawda miał numer telefonu, ale skoro żona Richiego nie dzwoniła, widocznie nie chciała z nim rozmawiać. Gdyby Holman skontaktował się z nią telefonicznie, mogłaby nie zgodzić się na spotkanie, a

nawet zawiadomić policję. Uznał więc, że największe szanse na powodzenie będzie miał, jeśli zajdzie do niej wcześniej i bez uprzedzenia. Jeśli nadal tam mieszkała.

Wstępu do budynku strzegły przeszklone drzwi otwierane kluczem. Na zewnątrz umieszczone były skrzynki na listy, a obok nich domofon, z którego mogli korzystać goście przychodzący w odwiedziny do mieszkańców. Holman podszedł do skrzynek na listy i poszukał numeru 216, licząc, że ujrzy tam nazwisko Richiego.

I nie zawiódł się.

HOLMAN.

Donna dała chłopcu nazwisko po ojcu, mimo że Holman się z nią nie ożenił. Wzruszył się, widząc swoje nazwisko. Dotknął napisu – *HOLMAN*– myśląc: to był mój syn. Poczul w piersi kłujący ból i szybko się odwrócił.

Odczekał przy drzwiach prawie dziesięć minut, dopiero wtedy młody Azjata z torbą z podręcznikami, spieszący się na wykłady, otworzył pchnięciem drzwi. Holman przytrzymał drzwi i wszedł do środka.

Dziedziniec był mały, wysadzany bujnymi tropikalnymi roślinami. Wzdłuż mieszkań na wszystkich poziomach biegły galeryjki, do których można było się dostać wspólną windą bezpośrednio z dziedzińca albo schodami. Holman wybrał schody. Wszedł na drugie piętro i kierując się numerami, odnalazł apartament 216. Zapukał raz lekko, potem drugi raz głośniej, wprowadzając się w stan odrętwienia, który miał na celu chronić go przed jego własnymi uczuciami.

Drzwi otworzyła młoda kobieta i jego odrętwienie uleciało w jednej chwili.

Twarz miała skupioną i opanowaną, jakby pochłaniało ją coś dużo ważniejszego niż sprawdzenie, kto puka do jej drzwi. Była drobna, miała ciemne oczy, wąską twarz i odstające uszy. Jej strój stanowiły dzinsowe szorty, jasnozielona bluzka i sandały. Włosy miała wilgotne, jakby wyszła niedawno spod prysznica. Z wyglądu przypominała Holmanowi małą dziewczynkę.

Patrzyła na niego, zaciekawiona, lecz obojętna.

– Słucham pana?

– Jestem Max Holman, Ojciec Richiego.

Holman czekał, aż mu nawymyśla. Spodziewał się, że powie mu, jaki z niego parszywy drań i beznadziejny ojciec, ale jej obojętność znikła. Dziewczyna przekrzywiła głowę, przyglądając mu się teraz z prawdziwym zainteresowaniem.

– O mój Boże. Czuję się niezręcznie.

– Dla mnie to też krępujące. Nawet nie wiem, jak masz na imię.

– Elizabeth. Liz.

– Chciałbym z tobą chwilę porozmawiać, jeśli nie masz nic przeciwko temu. To dla mnie bardzo ważne.

Dziewczyna uchyliła szerzej drzwi.

– Muszę pana przeprosić. Miałam zamiar zadzwonić, ale nie wiedziałam, co panu powiedzieć. Proszę wejść. Wychodzę na uczelnię, ale mam jeszcze kilka minut. Właśnie zaparzyłam kawę...

Holman wszedł do środka, a ona zamknęła za nim drzwi. Powiedział, żeby się nim nie przejmowała, ale ona i tak poszła do kuchni po dwa kubki, zostawiając go w salonie.

– To niesamowite. Ja nie słodzę. Może przynieść słodzik?

– Piję czarną, bez cukru.

– Mam odtłuszczone mleko.

– Naprawdę nie trzeba.

Mieszkanie było przestronne, salon łączył się bezpośrednio z jadalnią i kuchnią. Holmana nagle wzruszyło to, że jest w domu Richiego. Wcześniej mówił sobie, że podczas wizyty ma być rzeczowy, po prostu zadać pytania i wynieść się, ale teraz ze wszystkich stron otaczało go życie jego syna i pragnął się tym nasycić: sofa i krzesło nie od kompletu naprzeciw telewizora ustawionego w rogu na wysokiej podstawie; stojaki z płytami CD i DVD oparte o ścianę – Green Day, Beck, *Jay i Cichy Bob atakują*, gazowy kominek wbudowany w ścianę, półka nad kominkiem zastawiona rzędami zachodzących na siebie fotografii. Holman przysunął się bliżej.

– Ładne mieszkanie – ocenił.

– Trochę dla nas za drogie, ale za to blisko miasteczka akademickiego. Studiuję psychologię, będę pisać pracę magisterską z psychologii dziecka.

– To brzmi ciekawie.

Holman czuł się jak osioł; mógł wysilić się na coś bardziej lotnego.

– Właśnie wyszedłem z więzienia.

– Wiem.

Głupek.

Na zdjęciach widać było Richiego i Liz, razem, osobno i z innymi parami. Na jednym siedzieli w łodzi, na innym stali na śniegu ubrani w jaskrawe kurtki; jeszcze na innym bawili się na pikniku, na którym wszyscy nosili koszulki policji Los Angeles. Holman mimowolnie się uśmiechnął, ale zobaczył zdjęcie Richiego z Donna i uśmiech zgasł mu na ustach. Donna była młodsza od Holmana, ale na fotografii wyglądała starzej – źle dobrana farba do włosów, twarz poryta głębokimi zmarszczkami, tonąca w cieniach. Holman odwrócił się, broniąc się przed wspomnieniami i nagłym poczuciem wstydu, i zobaczył obok siebie Liz, która przyniosła kawę. Podała mu filiżankę. Wziął od niej kawę i wrzucił ramionami, obejmując tym gestem całe mieszkanie.

– Ładnie tutaj. Podobają mi się te zdjęcia. Mam wrażenie, jakbym dzięki temu trochę go poznał.

Nie spuszczała z niego wzroku i Holman czuł się jak eksponat. Zastanawiał się, czy poddaje go analizie, była przecież studentką psychologii.

Nagle odsunęła filiżankę od ust.

– Bardzo mi pan go przypomina. Richie był trochę wyższy, ale niedużo. Pan jest tęższy.

– Roztyłem się.

– Nie o to mi chodzi. Richard dużo biegał. To miałam na myśli.

Oczy zaszczyły jej łzami. Holman nie wiedział, jak zareagować. Podniósł rękę, żeby ją pogłaskać po ramieniu, ale bał się, że ją wystraszy. Ale dziewczyna wzięła się w garść i otarła łzy ręką.

– Przepraszam. To wszystko o kant dupy potłuc...

Jeszcze raz wytarła oczy i wyciągnęła do Holmana rękę.

– Cieszę się, że w końcu pana poznałam.

– Naprawdę myślisz, że jesteśmy do siebie podobni?

Uśmiechnęła się blado.

– Jak dwie krople wody. Donna zawsze to powtarzała.

Holman zmienił temat. Gdyby rozmowa zeszła na Donnę, on też by się rozkleił.

– Posłuchaj, wiem, że się spieszysz na zajęcia, ale mogę ci zadać kilka pytań? To nie potrwa długo.

– Znaleźli już zabójcę.

– Wiem. Ja tylko próbuję... rozmawiałem z detektywem Randomem. Znasz go?

– Tak, spotkałam się z nim, i z kapitanem Levym. Levy był przełożonym Richarda.

– Zgadza się. Ja też z nim rozmawiałem, ale nadal nie rozumiem, jak do tego doszło.

– Juarez obwinił Mike'a za to, co przydarzyło się jego bratu. To cała historia, pewnie ją znasz.

– Tak, pisali o tym w gazecie. Znałaś sierżanta Fowlera?

– Richard odbywał staż pod opieką Mike'a. Zaprzyjaźnili się.

– Jak powiedział mi Random, Juarez po śmierci brata odgrażał się publicznie, że go pomści. Czy Mike się tym przejmował?

Zmarszczyła brwi w zamyśleniu, próbując sobie przypomnieć, ale potrząsnęła głową.

– Mike nigdy się niczym nie przejmował. Nie widywaliśmy się zbyt często, może raz na dwa miesiące, ale nie wyglądał na takiego, który martwiłby się takimi rzeczami.

– Może Richie wspominał, że Mike czegoś się obawia?

– Po raz pierwszy usłyszałam o tym zatargu z gangiem, kiedy wydali nakaz aresztowania Juareza. Richard nigdy o tym nie wspominał, ale nic dziwnego. Nie miał zwyczaju rozmawiać ze mną o problemach w pracy.

Holman pomyślał, że gdyby to pod jego adresem ktoś kierował groźby, to wybrałby się do tego gościa i rozmówiłby się z nim po męsku. Rozprawiłby się z nim w taki czy inny sposób. Ciekawe, czy to właśnie planowali wtedy czterej policjanci – jak

usadzić Juareza, ale on ich uprzedził. Wydało się to Holmanowi całkiem możliwe, ale nie chciał podsuwać tej myśli Elizabeth.

– Fowler nie chciał pewnie nikogo martwić. Zbiry pokroju Juareza zawsze się odgrają gliniarzom. Taki już los policjanta.

Elizabeth skinęła głową, ale oczy znów się jej zaczerwieniły i Holman zorientował się, że palnął gafę. Pomyślała sobie pewnie, że tym razem nie skończyło się na pogroźkach – tym razem zbiry pokroju Juareza spełnił swoją groźbę i jej mąż nie żył. Holman szybko zmienił temat.

– Jeszcze jedna rzecz mnie zastanawia – Random mówił, że Richie nie był wtedy na służbie.

– Nie. Pracował w domu. Ja się uczyłam. Wychodził czasami spotkać się z kolegami, ale nigdy tak późno. Powiedział mi wtedy, że musi się z nimi zobaczyć, i wyszedł. Nic więcej nie mówił.

– Powiedział, dokąd się wybiera na to spotkanie?

– Nie. Myślałam, że zbierają się w barze.

Holman przetrwał te nowe fakty, ale niewiele mu one pomogły.

– Wciąż nie daje mi spokoju to, jak Juarez ich znalazł. Policja nie potrafi tego wytłumaczyć. A nie wyobrażam sobie, że można śledzić kogoś aż do samej rzeki i nie zostać zauważonym. Podejrzewam, że jeśli zbierali się tam częściej, jeśli to było miejsce ich regularnych spotkań, to Juarez mógł o tym usłyszeć i wiedział, gdzie ich szukać.

– Po prostu nie wiem. Ale nie chce mi się wierzyć, żeby spotykali się tam regularnie i Richie nic by mi o tym nie powiedział. Poza tym to tak na uboczu.

Holman podzielał jej zdanie. Mogli spotkać się gdziekolwiek, żeby pogadać przy piwie, ale oni wybrali opuszczone i niedostępne miejsce na pełnym odludziu. To sugerowało, że chcieli zachować to w tajemnicy, ale z drugiej strony policjanci niczym się nie różnili od innych ludzi – mogli mieć uciechę z tego, że buszują tam, gdzie innym nie wolno wchodzić, jak dzieciaki włamujące się do opustoszałego domu albo wspinające się na litery napisu Hollywood.

Holman próbował to rozgryźć, kiedy przypomniał sobie coś, o czym wcześniej wspomniała Elizabeth, i postanowił ją o to zapytać.

– Powiedziałaś, że Richie nigdy nie wychodził z domu tak późno, ale tego dnia wyszedł. Czym różniła się ta noc od innych?

Zaskoczyło ją to pytanie. Twarz jej pociemniała, a czoło przecięła pionowa bruzda. Spojrzała w bok, potem znów utkwiała w nim wzrok i patrzyła na niego badawczo. Jej twarz była spokojna, ale Holman czuł, że pod tą nieruchomą fasadą toczy się zacięta walka. Liz w końcu się przemogła.

– Panem – odparła.

– Nie rozumiem.

– Następnego dnia wychodził pan na wolność. Tym właśnie różniła się ta noc i oboje o tym wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy, że następnego dnia wychodzi pan na wolność. Richard nigdy nie rozmawiał ze mną o panu. Nie jest panu przykro, że to mówię? To takie straszne, co oboje teraz przeżywamy. Nie chcę pana dobijać.

– Sam o to zapytałem. Chcę znać odpowiedź.

Mówiła dalej.

– Próbowałam porozmawiać z nim o panu – byłam ciekawa. Jest pan jego ojcem. Był pan moim teściem. Kiedy Donna żyła, obie próbowałyśmy, ale bez skutku. Wiedzieliśmy, że niebawem pana wypuszczą. Richard unikał jednak tego tematu. Wiedziałam, że to go gryzie.

Holmanowi zrobiło się niedobrze, przeszył go chłód.

– Czy dawał jakoś do zrozumienia, że to go gryzie?

Przekrzywiła głowę, odstawiła kubek i odwróciła się.

– Proszę samemu zobaczyć.

Poszedł za nią do sypialni, która była urządzona jako gabinet. Stały w niej dwa biurka, jedno dla niego, drugie dla niej. Pierwsze biurko, zastawione podręcznikami, segregatorami i luźnymi kartkami, należało do Liz. Biurko Richiego wciśnięte było w róg pokoju, a na ścianach nad biurkiem wisiały korkowe tablice. Tablice pokrywały wycinki z gazet, samoprzylepne karteczki i inne świstki, poprzipinane tak gęsto, że na siebie zachodziły. Liz zaprowadziła go do biurka Richiego i wskazała na wycinki.

– Niech pan się przyjrzy.

Strzelanina kładzie kres serii napadów; Rabusie banków wreszcie schwytani; Przypadkowa ofiara napadu na bank. Holman spostrzegł, że wszystkie artykuły poświęcone były dwójce szaleńców łupiących banki, Marczenko i Parsonsowi. Holman słyszał w Lompoc o ich wyczynach. Marczenko i Parsons ubierali się jak komandos i siali w bankach terror, po czym zgarniali łup i uciekali.

– Richiego fascynowały napady na banki – powiedziała. – Zbierał wycinki z gazet, ściągał artykuły z Internetu, spędzał nad nimi każdą wolną chwilę. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić dlaczego.

– Z mojego powodu?

– Żeby pana lepiej poznać. To był jego sposób, żeby być blisko pana, jednocześnie nie będąc blisko. Tak to rozumiem. Wiedzieliśmy, że zbliża się termin pańskiego wyjścia na wolność. Nie mieliśmy pojęcia, czy spróbuje pan nawiązać z nami kontakt, czy to raczej my powinniśmy zwrócić się do pana. Nie wiedzieliśmy, jak wobec pana postąpić. Wyraźnie było widać, że Richie stara się rozładować swój lęk przed panem.

Holmana ogarnęło poczucie winy; miał nadzieję, że dziewczyna się myli.

– Powiedział ci to?

Elizabeth nie spojrzała na niego. Utkwiła wzrok w tablicy i założyła ręce na piersi, twarz miała ściągniętą.

– Nie, to nie w jego stylu. Nigdy nie rozmawiał o panu ani ze mną, ani z matką, ale kiedy powiedział, że musi wyjść spotkać się z kumplami, siedział tutaj, nad tymi wycinkami. Chyba chciał z kimś pogadać. Ze mną nie umiał o tym rozmawiać... I do czego to doprowadziło?

Jej twarz stężała, biła od niej surowość, jaką sprowadza gniew. Holman widział, że znów zbiera jej się na płacz, ale bał się ją pogłaskać.

– Hej... – zaczął.

Dziewczyna potrząsnęła głową i Holman odczytał to jako ostrzeżenie – może domyśliła się, że chciał ją pocieszyć – i poczuł się jeszcze podlej.

Gniew sprawiał, że szyję i ramiona napięte miała jak postronki.

– Niech to szlag, po prostu musiał wyjść. Musiał wyjść. Niech to szlag... .

– Chodźmy lepiej do salonu.

Liz przymknęła oczy i potrząsnęła głową, tym razem dając mu do zrozumienia, że już jest w porządku, że chociaż cierpi niewymowną udrękę, nie da się jej pokonać. Wreszcie otworzyła oczy i dokończyła przerwana myśl.

– Czasami facetowi łatwiej okazać coś, co uważa za oznakę słabości, drugiemu facetowi niż kobiecie. Łatwiej jest udawać, że chodzi o pracę, niż zmierzyć się wprost ze swoimi uczuciami. Myślę, że tak się stało tamtej nocy. Dlatego wyszedł z domu i zginął.

– Żeby pogadać o mnie?

– Nie, nie o pana konkretnie – o tych napadach na banki. To był jego sposób na rozmowę o swoim ojcu. Zajmował się tymi napadami w wolnych chwilach. Podjął się tego dodatkowego zadania, bo chciał zostać detektywem i awansować.

Holman zerknął na biurko Richiego, ale w niczym nie poprawiło mu to nastroju. Leżały na nim kopie dokumentów wyglądających na oficjalne raporty policyjne i akta dochodzenia. Przejrzał nagłówki i zorientował się, że wszystkie dotyczą Marczenki i Parsonsa. Do tablicy przypięta była mapa miasta, z liniami łączącymi punkty oznaczone krzyżykiem i ponumerowane od 1 do 13, które razem tworzyły pewien wzór. Richie zadał sobie trud naniesienia na mapę miejsc, w których Marczenko i Parsons dokonali napadów.

Holmana nagle zastanowiło, czy zdaniem Richiego i Liz on niczym się nie różnił od tej pary rabusiów.

– Napadałem na banki, ale nigdy się nie posunąłem do czegoś takiego. Nikt przeze mnie nie ucierpiał. Nie miałem nic wspólnego z takimi jak ci dwaj – powiedział.

Jej twarz złagodniała.

– Nie to miałam na myśli. Donna powiedziała nam, jak pana złapali. Richard wiedział, że pan jest inny.

Holman doceniał jej starania, ale ściany nad biurkiem jego syna pokrywały wycinki na temat dwóch zwyrodnialców, których podniecało znęcanie się nad swoimi ofiarami. Nie trzeba być geniuszem...

– Nie chcę być nieuprzejma, ale muszę przygotować się do wyjścia, bo nie zdążę na zajęcia.

Holman niechętnie odwrócił się do wyjścia, ale się zatrzymał.

– Richie ślęczał nad tymi papierami, zanim wyszedł?

– Tak. Siedział przy biurku przez cały wieczór.

– Czy jego kumple też się zajmowali sprawą Marczenki?

– Może Mike. Richie często z nim o tym rozmawiał. O pozostałych nie wiem.

Holman skinął głową. Przed wyjściem popatrzył po raz ostatni na biurko, przy którym pracował jego zmarły syn. Chciał przeczytać wszystkie szpargały, które na nim leżały. Chciał się dowiedzieć, dlaczego zwykły mundurowy policjant zaledwie z kilkuletnim stażem pracy brał udział w poważnym dochodzeniu i dlaczego jego syn w środku nocy wyszedł z domu. Przyszedł do Liz po odpowiedzi, ale teraz nasuwało mu się jeszcze więcej pytań.

Holman odwrócił się po raz ostatni.

– Nic mi nie powiedzieli o pogrzebie.

Z ogromną niechęcią poruszył ten temat i natychmiast tego pożałował, kiedy na jej twarzy znów pojawiła się surowość. Ale Liz zaraz się opanowała i potrząsnęła głową.

– Uroczystości żałobne dla całej czwórki odbędą się w sobotę w Akademii Policijnej. Ciała jeszcze nie zostały wydane. Chyba wciąż są...

Głos jej się załamał, ale Holman domyślił się, co chciała powiedzieć. Ci policjanci zostali zamordowani. Koroner pewnie wciąż jeszcze zbierał dowody, a do czasu zakończenia wszystkich badań i przedstawienia wyników nie mogli zostać pochowani.

Elizabeth nagle dotknęła jego ramienia.

– Przyjdzie pan, prawda? Chciałabym, żeby pan tam był.

Holmanowi ulżyło. Bał się, że dziewczyna może nie życzyć sobie jego obecności na pogrzebie. Nie uszło też jego uwagi, że ani Levy, ani Random nie wspomnieli nic o tej uroczystości.

– Bardzo mi na tym zależy, Liz. Dziękuję ci.

Dziewczyna przyglądała mu się chwilę, po czym wspięła się na palce i pocałowała Holmana w policzek.

– Mogło się to ułożyć inaczej, szkoda.

Holman przez ostatnie dziesięć lat żałował, że całe jego życie nie ułożyło się inaczej.

Jeszcze raz jej podziękował w progę, potem zszedł do samochodu. Zastanawiał się, czy Random weźmie udział w pogrzebie. Holman miał sporo pytań. Oczekiwał, że Random udzieli mu odpowiedzi.

13

Uroczystości żałobne odbywały się w auli Akademii Policyjnej w Chavez Ravine, wciśniętej między dwa wzgórza na wprost głównego wejścia na stadion Dodgersów. Jakiś czas temu na wzgórzu oddzielającym gmach akademii od stadionu klub postawił własny odpowiednik napisu Hollywood. Napis głosił: MYŚL NIEBIESKO, z racji tego, że były to barwy klubu. Kiedy Holman ujrzał napis tego ranka, nasunęła mu się myśl, że to stosowna pamiątka po czterech zabitych policjantach. Niebieski był również kolorem policji Los Angeles.

Liz zaproponowała, żeby towarzyszył jej i jej rodzinie podczas pogrzebu, ale Holman odmówił. Jej rodzice i siostra przylecieli z San Francisco, a Holman czuł się wśród nich nieswojo. Ojciec Liz był lekarzem, a matka pracowała w opiece społecznej; byli wykształceni, zamożni i normalni. Budziło to podziw Holmana, ale jednocześnie uświadamiało mu jego całkowitą odmienność. Kiedy przechodził obok bramy stadionu, przypominał sobie, jak w środku rozgrywki krążyli z Chee po parking, wypatrując samochodów do podprowadzenia. Na wspomnienia ojca Liz składały się prawdopodobnie noce spędzone na nauce, studenckie imprezy i bale, a Holman co najwyżej mógł wspominać, jak kradł i faszerował się prochami.

Zostawił samochód w sporej odległości od siedziby akademii i doszedł na miejsce pieszo, kierując się wskazówkami Liz. Parking przed budynkiem gęsto zastawiony był samochodami, samochody stały też po obu stronach ulicy. Tłum ludzi zdążył w kierunku auli. Holman rozglądał się, licząc, że dostrzeże gdzieś Randoma albo Vukovicha. Trzy razy dzwonił do Randoma, żeby omówić z nim to, czego dowiedział się od Liz, ale

Random się nie odzywał. Pomyślał, że próbuje go zniechęcić, ale nie należał do tych, którzy dają się łatwo zniechęcić. Miał pytania i domagał się odpowiedzi.

Liz powiedziała, żeby do nich dołączył; będą na zewnątrz w ogrodzie skalnym. Idąc noga za nogą, dotarł w końcu do ogrodu, gdzie przybyli tłumnie goście oczekiwali w małych grupkach na początek uroczystości. Ekipy telewizyjne filmowały zebranych, a reporterzy przeprowadzali wywiady z lokalnymi politykami i władzami policji Los Angeles. Holman czuł się nieswojo. Co prawda Liz pożyczyła mu ciemny garnitur po Richiem, ale spodnie były za ciasne i Holman nie zapiął guzika pod paskiem. Zanim doszedł do ogrodu, zdążył przepocić garnitur i czuł się jak menel donoszący po kimś łachy.

Zastał Liz i jej rodzinę wraz z dowódcą Richiego, kapitanem Levym. Levy uściśnął Holmanowi dłoń, potem poprowadził ich do rodzin pozostałych trzech policjantów. Liz wyczuwała chyba skrępowanie Holmana, gdyż została z nim trochę z tyłu, kiedy Levy prowadził ich przez tłum.

– Wyglądasz dobrze, Max. Cieszę się, że z nami jesteś – powiedziała.

Holman zdobył się na uśmiech.

Levy przedstawił ich wdowie po Mike'u Fowierze i jej czterech synom, żonie Mellona i rodzicom Asha. Wyglądali na wyczerpanych. Holman pomyślał, że żona Fowlera wzięła chyba jakieś środki uspokajające. Wszyscy byli wobec niego uprzejmi i odnosili się do niego z szacunkiem, ale nie opuszczało go wrażenie, że jego osoba rzuca się w oczy i nie pasuje do tego towarzystwa. Kilka razy przyłapywał ich, jak mu się przyglądają, i za każdym razem się czerwienił, przekonany, że myślą: To ojciec Holmana, były skazaniec. Wstydział się bardziej ze względu na Richiego niż samego siebie. Nawet po śmierci syna przynosił mu ujmę.

Levy wrócił po kilku minutach, pogładził Liz po ramieniu i poprowadził ich do środka przez podwójne drzwi. Aula zastawiona była krzesłami. Na scenie ustawiono mównicę. Portrety czterech policjantów udekorowano flagami państwowymi. Holman przystanął w progu, obejrzał się za siebie i zobaczył Randoma stojącego z trójką mężczyzn nieco na uboczu. Holman natychmiast zawrócił. Był w połowie drogi do Randoma, kiedy wyrósł przed nim Vukovich. Włożył na pogrzeb ponury ciemnogrnatowy garnitur i okulary przeciwsłoneczne, skutecznie skrywające jego oczy.

– To smutny dzień, panie Holman. Chyba nie jeździ pan dalej bez prawa jazdy, co?
– powiedział Vukovich.

– Dzwoniłem do Randoma trzy razy, ale nie raczył się odezwać. Wciąż mam sporo pytań na temat tego, co zaszło tamtej nocy.

– Wiemy, co zaszło tamtej nocy. Powiedzieliśmy panu.

Holman popatrzył w kierunku Randoma. Random odwzajemnił mu spojrzenie, ale nie przerwał rozmowy. Holman zerknął na Vukovicha.

– To, co mi powiedzieliście, nie trzyma się kupy. Czy Richie został przydzielony do sprawy Marczenki i Parsonsa?

Vukovich przyglądał mu się przez chwilę badawczo i odwrócił się.

– Niech pan poczeka, panie Holman. Spytam szefa, czy znajdzie dla pana chwilę.

Wśród zebranych rozeszła się wieść, że czas już zajmować miejsca. Tłum zaczął przemieszczać się z ogrodu skalnego do auli, ale Holman się nie ruszał. Vukovich szedł w stronę Randoma i trójki nieznanymi Holmanowi mężczyźni. Domyślał się, że to jakieś szuchy, ale miał to gdzieś. Kiedy Vukovich stanął przy nich, Random i dwóch waśniaków obejrżeli się w stronę Holmana, ale zaraz odwrócili się do niego plecami i wrócili do przerwanej rozmowy. Po chwili Random i Vukovich podeszli do Holmana. Random nie miał zadowolonej miny, ale podał Holmanowi rękę.

– Chodźmy na stronę, panie Holman. Łatwiej będzie rozmawiać, kiedy usuniemy się z drogi.

Holman ruszył z nimi na skraj ogrodu, z Randomem po jednej stronie i Vukovichem po drugiej. Miał wrażenie, że zamierzają wziąć go w obroty.

Kiedy oddalili się od tłumu, Random przystanął i założył ręce na piersiach.

– No dobrze, podobno ma pan jakieś pytania?

Holman opisał przebieg rozmowy z Elizabeth i ogromny zbiór materiałów dotyczących Marczenki i Parsonsa, jaki znalazł na biurku Richiego. Nie przyjmował oficjalnego wyjaśnienia policji na temat udziału Juareza. Bardziej prawdopodobnym powodem spotkania były te napady na banki, jeśli Richie brał udział w dochodzeniu. Holman przedstawił swoją teorię, ale zanim skończył, Random sceptycznie pokręcił głową.

– Nie prowadzili żadnego dochodzenia w sprawie Marczenki i Parsonsa. Marczenko i Parsons nie żyją. Sprawa została zamknięta trzy miesiące temu.

– Richie powiedział żonie, że podjął się dodatkowego zadania. Jej zdaniem Mike Fowler mógł też być w to zaangażowany.

Random wyraźnie się niecierpliwił. Aula wypełniała się gośćmi.

– Jeśli pana syn zajmował się sprawą Marczenki i Parsonsa, to tylko z zamiłowania albo w ramach zadania, które dostał na jakimś kursie, to wszystko. Był funkcjonariuszem mundurowym pracującym w służbie patrolowej. Tacy policjanci nie prowadzą dochodzeń.

Vukovich skinął potakująco głową.

– Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Ta sprawa dawno została zamknięta.

– Cały wieczór Richie spędził w domu. Wyszedł dopiero o pierwszej nad ranem, kiedy ktoś do niego zadzwonił. Na miejscu Richiego, gdyby kumple zadzwonili w środku nocy tylko po to, żeby mnie wyciągnąć na piwo, to bym ich spławił – ale jeśli razem wykonywalibyśmy jakieś zadanie, to być może bym wyszedł. Jeśli zebrali się wtedy pod mostem z powodu Marczenki i Parsonsa, to może mieć związek z ich śmiercią.

Random pokręcił głową.

– Teraz nie jest odpowiednia pora na te sprawy, panie Holman.

– Dzwoniłem do ciebie trzy razy, ale nie odpowiedziałeś. Moim zdaniem teraz jest cholernie odpowiednia pora.

Random mierzył go wzrokiem. Holman pomyślał, że ocenia jego mocne i słabe punkty, jakby był podejrzanym, którego ma zamiar przesłuchać. W końcu skinął głową, jakby podjął decyzję, która nie jest dla niego przyjemna.

– Dobra, posłuchaj, wiesz, co w tym jest najsmutniejsze? Pojechali tam się napić. Powiem ci coś w zaufaniu, ale jeśli to się rozejdzie i będą się mnie czepiali, wyprę się wszystkiego. Vuke?

Vukovich skinął głową na znak, że on też się wszystkiego wyprze.

Random wydał usta, jakby to, co zamierzał powiedzieć, napawało go niesmakiem, i ściszył głos.

– Mike Fowler był pijakiem. Pił od lat i przynosił hańbę policji.

Vukovich rozejrzał się dookoła, żeby upewnić się, że nikt nie podsłuchuje. Wyglądał na spiętego.

– Spokojnie, szefie.

– Pan Holman musi poznać pewne fakty. Fowler zgłosił przez radio, że robi sobie przerwę, ale nie powinien pić, poza tym nie miał prawa ściągać niższych stopniem funkcjonariuszy w miejsce, gdzie wstęp jest zabroniony. Weź to pod uwagę, Holman – Fowler był dowódcą patrolu. Powinien w razie potrzeby służyć pomocą innym patrolom na jego terenie, ale postanowił łyknąć piwa. Mellon też był na służbie i wiedział, co robi, ale był marnym policjantem, poza tym nie przebywał nawet w swoim rejonie. Ash nie był wtedy na służbie, ale i on nie ubiegał się o tytuł Policjanta Roku.

Holman czuł, że Random się na nim wyżywa, ale nie wiedział dlaczego i nie podobało mu się to.

– Co ty gadasz, Random? Jaki to ma związek z Marczenką i Parsonsem?

– Chcesz zrozumieć, dlaczego ci czterej policjanci zebrali się pod mostem, więc ci mówię. Za to, co się stało, winę ponosi Mike Fowler, bo był szefem patrolu, ale nie spotkali się tam, żeby rozwikłać zagadkę kryminalną stulecia. Byli kiepskimi gliniarzami z gównianym dorobkiem, którzy olewali swoją robotę.

Holman czuł, że się czerwieni. Levy powiedział mu przecież, że Richie był wzorowym policjantem... jednym z najlepszych.

– Chcesz mi wmówić, że Richie był marnym gliną? Dobrze cię rozumiem?

Vukovich pogroził mu palcem.

– Wyluzuj, kolego. Sam pytałeś.

– Nie chciałem panu tego mówić. Miałem nadzieję, że panu tego oszczędzę – powiedział Random.

Holman czuł pulsowanie w skroniach, które objęło też jego barki i ramiona. W głębi duszy pragnął zacisnąć pięści i przyłać Randomowi za te insynuacje, ale już tak nie postępował. Powiedział sobie, że już tak nie postępuje. Zdławił swój gniew i odezwał się spokojnie.

– Richie zajmował się Marczenką i Parsonsem. Chcę wiedzieć, dlaczego musiał naradzić się w tej sprawie z Fowlerem o pierwszej nad ranem.

– Teraz musi pan się skupić na tym, żeby dotrzymać warunków zwolnienia, a nam pozwolić robić swoje. To wszystko, panie Holman. Proponuję, żeby zajął pan miejsce i oddał cześć zmarłym.

Random odwrócił się, nie mówiąc nic więcej, i podążył za tłumem do auli. Vukovich ruszył za nim dopiero po chwili.

Holman stał jak wryty. Czuł, jakby zaraz miał się rozprysnąć z niepohamowanej wściekłości, która nagle zamieniła go w kruchy przedmiot. Chciało mu się wyć. Miał ochotę zwinąć porsche i pognać przez miasto, wciskając gaz do dechy. Miał ochotę naszprycować się, wlać w siebie butelkę najlepszej tequili i wyć wniebogłosy.

Podszedł do drzwi, ale nie mógł przekroczyć progu. Patrzył na ludzi, którzy siadali na widowni, tak naprawdę ich nie dostrzegając. Widział czterech zabitych, którzy spoglądali na niego z ogromnych portretów. Czuł na sobie spojrzenie martwych, płaskich oczu Richiego.

Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył do swojego samochodu. Był upały i pot lał się z niego strumieniami. Ściągnął marynarkę i krawat i rozpiął koszulę. Łzy napływały mu do oczu ogromnymi gorącymi kroplami, jakby wyciśnięte były wprost z jego serca.

Richie nie był zły.

Nie wdał się w swojego ojca.

Holman otarł twarz i przyspieszył kroku. Nie wierzył w to. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Mój syn jest inny niż ja.

Holman przysiągł sobie, że tego dowiedzie. Zwrócił się po pomoc do ostatniej i jedynej osoby, której ufał, i czekał na odpowiedź. Potrzebował jej pomocy. Potrzebował jej i modlił się, żeby odpowiedziała.

CZEŚĆ DRUGA

Katherine Pollard, agentka specjalna FBI (w stanie spoczynku), stała przed zlewem w kuchni w swoim małym domu, patrząc na zegar wiszący na ścianie. Kiedy wstrzymywała oddech, w domu panowała absolutna cisza. Patrzyła, jak wskazówka sekundowa bezgłośnie posuwa się w stronę dwunastki. Wskazówka minutowa tkwiła na jedenastej trzydzieści dwa. Wskazówka sekundowa dotknęła dwunastki. Wskazówka minutowa wyrwała do przodu jak iglica pistoletu, przeskakując na jedenastą trzydzieści trzy...

CYK!

Odgłos mijającego czasu zmącił ciszę.

Pollard starła z twarzy strużkę potu, ogarniając pobożowisko, w jakie zmieniła się jej kuchnia: kubki, kartony po soku grejpfrutowym, otwarte pudełka płatków śniadaniowych, miseczki z resztkami mleka, które zaczynało już kisnąć w tym upale. Mieszkała w Simi Valley, gdzie temperatura tego dnia – za dwadzieścia siedem minut dwunasta – przekroczyła już czterdzieści stopni. Klimatyzacja w domu była od sześciu dni zepsuta i nic nie wskazywało na to, że zostanie w najbliższym czasie naprawiona – Katherine Pollard była splukana. Ten obraz spustoszenia miał ją zahartować przed nieuchronną i upokarzającą rozmową telefoniczną z matką, którą będzie musiała poprosić o pieniądze.

Pollard odeszła z FBI osiem lat temu, kiedy wyszła za mąż za kolegę z pracy, Marty'ego Bauma, i zaszła w ciążę. Rzuciła pracę ze słusznych powodów: kochała Marty'ego, oboje chcieli, żeby dla ich dziecka była mamą w pełnym wymiarze (dla niej status mamy w pełnym wymiarze był chyba jeszcze ważniejszy niż dla Marty'ego), i starczało im pieniędzy z jednej pensji. Ale to było wtedy. Dwójka dzieci, separacja, a pięć lat później Marty wykorkował na zawał serca, kiedy nurkował na Arubie ze swoją, dziewczyną, dwudziestoletnią kelnerką z Huntingdon Beach.

CYK!

Pollard utrzymywała się z renty i zasiłków po mężu, ale coraz częściej zmuszona była zwracać się o pomoc do matki, co było upokarzające i zniechęcające, a teraz jeszcze od tygodnia nie działała w domu klimatyzacja. Jeszcze godzina i dwadzieścia sześć minut dzieliło ją od powrotu synów, siedmioletniego Davida i sześciolatniego Lyle'a, z letnich półkolonii, usmarowanych i zmordowanych upałem. Pollard otarła pot z twarzy, sięgnęła po telefon bezprzewodowy i zabrała go z sobą do samochodu.

Żar lejący się z błękitnego nieba palił jak pochodnia. Katherine otworzyła subaru, włączyła silnik i opuściła szyby. Temperatura w środku na pewno przekraczała sześćdziesiąt stopni. Nastawiła klimatyzację na maksymalne chłodzenie i podniosła szyby. Strumień lodowatego powietrza smagał jej twarz i po chwili uniosła koszulkę, żeby poczuć zimny powiew na skórze.

Kiedy uznała, że już nie grozi jej udar słoneczny, włączyła telefon i wystukała numer matki. Tak jak się spodziewała, odezwała się automatyczna sekretarka. Matka, zajęta grą w pokera przez Internet, nie odbierała, dopóki nie przekonała się, kto dzwoni.

– Mamo, to ja, podnieś słuchawkę. Słyszysz mnie?

Matka odebrała telefon.

– Czy coś się stało?

Zawsze zaczynała w ten sposób rozmowę z Katherine, dając córce do zrozumienia, że jej życie jest niekończącym się pasmem nieszczęść i dramatów, co natychmiast zmuszało Katherine do przyjęcia postawy obronnej. Z doświadczenia wiedziała, że nie należy wdawać się w pogawędki z matką. Sprężyła się i od razu przeszła do rzeczy.

– Nasza klimatyzacja się zepsuła. Za naprawę zaśpiewali sobie tysiąc dwieście dolarów, a ja tyle nie mam.

– Katherine, kiedy wreszcie znajdziesz sobie mężczyznę?

– Mamo, potrzebuję tysiąc dwieście dolarów, a nie faceta.

– Czy kiedykolwiek ci odmówiłam?

– Nie.

– Wiesz, że żyję po to, żeby pomagać tobie i tym wspaniałym chłopcom, ale ty też musisz zadbać o siebie. Chłopcy już trochę podrośli, a tobie lecą lata.

Katherine opuściła słuchawkę. Matka dalej mówiła, ale Pollard nie rozumiała słów. Zobaczyła nadjeżdżającą furgonetkę pocztową, wysiadł z niej listonosz, który wetknął do jej skrzynki na listy codzienną porcję wezwań do spłaty rachunków. W hełmie tropikalnym, szortach i okularach przeciwsłonecznych wyglądał jakby był na safari. Kiedy odjechał, przyłożyła słuchawkę do ucha i powiedziała:

– Mamo, chcę cię o coś zapytać. Gdybym wróciła do pracy, zgodziłabyś się zająć chłopcami?

Matka zwlekała z odpowiedzią. Katherine nie podobała się ta cisza w słuchawce. Jej matka nigdy nie milkła.

– Do jakiej pracy? Chyba nie myślisz o powrocie do FBI?

Katherine rozważała taką możliwość. Gdyby wróciła do FBI, było mało prawdopodobne, żeby trafiło się jej stanowisko w oddziale terenowym w Los Angeles. Oddział FBI w Los Angeles był pożądanym miejscem pracy i liczba chętnych znacznie przekraczała możliwości zatrudnienia. Katherine zapewne wylądowałaby na jakimś zadupiu, a nie uśmiechała się jej praca w byle jakim oddziale. Miała za sobą trzy lata służby w Zespole Bankowym, elitarnej jednostce FBI w Los Angeles, które pod względem liczby napadów na banki należało do ścisłej czołówki światowej. Brakowało jej ryzyka, jakie towarzyszyło tej pracy. Brakowało jej odpowiednich zarobków, a także tego, co stanowiło najlepsze chwile jej życia.

– Mogłabym zatrudnić się jako doradca do spraw ochrony w banku albo w prywatnej firmie, na przykład w Kroll. Byłam dobrą agentką, mamo. Mam przyjaciół, którzy to pamiętają.

Matka zastanawiała się dłuższą chwilę, a kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiała podejrzliwość.

– Ile godzin dziennie wchodziłoby w grę? Tej opieki nad chłopcami?

Katherine znów opuściła telefon, myśląc: czyż to nie cudowne? Patrzyła, jak listonosz podjeżdża do sąsiedniego domu, a potem do następnego. Kiedy podniosła telefon, matka wołała ją.

– Katherine? Katherine, słyszysz mnie? Coś nas rozłączyło?

– Potrzebne mi te pieniądze.

– Oczywiście, dam ci na naprawę klimatyzacji. Nie mogę pozwolić, żeby moje wnuki...

– Mówię o powrocie do pracy. Mogę wrócić do pracy tylko wtedy, gdy pomożesz mi z chłopcami...

– Chętnie z tobą o tym porozmawiam, Katherine. Podoba mi się ten pomysł. Może poznasz w pracy kogoś odpowiedniego...

– Muszę zadzwonić do mechanika. Odezwę się później.

Rozłączyła się. Patrzyła przez chwilę, jak listonosz zajeżdża pod kolejne domy przy jej ulicy, potem poszła wyjąć dzisiejszą pocztę. Przeglądała listy w powrotnej drodze do samochodu i wśród spodziewanych rachunków za karty kredytowe trafiła na coś, co ją zaskoczyło – brązową kopertę z adresem zwrotnym FBI w Westwood, gdzie mieściło się jej dawne biuro. Od lat niczego jej stamtąd nie przysyłali.

W chłodnym zaciszu swego samochodu rozdarła brązową kopertę i znalazła w środku drugą, białą, która nosiła wyraźne ślady rozpieczętowania i ponownego zapieczętowania. Procedurę tę stosowano wobec wszystkich listów kierowanych do agentów FBI, nawet tych, którzy odeszli ze służby. Do listu dołączony był żółty świstek z nadrukiem o następującej treści: TA PRZESYŁKA ZOSTAŁA ZBADANA POD KĄTEM SKAŻENIA BIOLOGICZNEGO I OBECNOŚCI TOKSYN. STWIERDZONO, ŻE NIE STWARZA ONA ZAGROŻENIA I MOŻE ZOSTAĆ PRZEKAZANA ADRESATOWI.

Ta druga koperta wysłana została na adres jej dawnego biura w Westwood. Widniał na niej zwrotny adres w Culver City, który nic jej nie mówił. Oddarła brzeg koperty, wytrząsnęła z niej jednostronicowy ręcznie napisany list. Kartka była zgięta w pół, a w środek wsunięty był wycinek z gazety. Zaczęła czytać.

Max Holman

Pacific Gardens Motel

Culver City, CA 90232

Przerwała na chwilę, kiedy zobaczyła nazwisko, i uśmiechnęła się szelmowsko na wspomnienie tamtych pamiętnych wydarzeń.

O mój Boże! Max Holman!

Czytała dalej:

Droga Pani Pollard!

Mam nadzieję, że dopisuje Pani zdrowie. Mam nadzieję, że nie odstraszyło Pani moje nazwisko. Tu Max Holman. Aresztowała mnie Pani za napad na bank. Ale zapewniam Panią, że nie mam do Pani żalu i jestem wdzięczny za to, że wstawiła się Pani za mną u prokuratora federalnego. Odsiedziałem do końca wyrok, obecnie przebywam na wolności pod nadzorem kuratora i podjąłem pracę. Raz jeszcze dziękuję za Pani życzliwe i budujące słowa, i mam nadzieję, że je sobie Pani teraz przypomina.

Katherine pamiętała Holmana i miała o nim dobre zdanie, na tyle, na ile gliniarz może mieć dobre zdanie o kimś, kto obrobił dziewięć banków. Nie czuła do niego sympatii za te dziewięć napadów, ale za to, jak go przyskrzyniła podczas jego dziewiątego skoku. Z powodu okoliczności, w jakich został aresztowany, Max Holman cieszył się sławą nawet wśród zblazowanych agentów FBI z Zespołu Bankowego.

W dalszej części listu Max Holman pisał:

Mój syn, Richard Holman, był policjantem w Los Angeles. Może Pani o nim przeczytać w dołączonym artykule. On oraz trzech inni policjanci zostali zamordowani. Piszę teraz do Pani z prośbą o pomoc i mam nadzieję, że mnie Pani wysłucha.

Katherine rozłożyła wycinek z gazety. Od razu zorientowała się, że artykuł dotyczy śmierci czterech policjantów, którzy zginęli nad rzeką, gdzie urządzili sobie popijawę. Katherine oglądała wieczorne wiadomości, które codziennie podawały na ten temat informacje.

Nie chciało jej się czytać artykułu, ale przyjrzała się fotografiom czterech zabitych policjantów. Ostatnie zdjęcie przedstawiało Richarda Holmana. Jego podobizna była zakreślona, a obok widniały dwa słowa: *MÓJ SYN*.

Katherine nie pamiętała, że Holman miał syna, ale nie pamiętała też, jak Holman wygląda. Kiedy teraz wpatrywała się w zdjęcie Richarda, wróciły jej wspomnienia. Tak, teraz widziała podobieństwo – wąskie usta i szeroki kark. Wykapany tatuś.

Pollard pokiwała głową, myśląc: Jezu, biedny facet, wychodzi na wolność, a tu zaraz zabijają mu syna. Nie mógł się chociaż trochę nacieszyć swobodą?

Czytała dalej z zainteresowaniem.

Policja jest przekonana, że znalazła sprawcę, ale ja wciąż mam wiele pytań i nie mogę uzyskać odpowiedzi. Jestem przekonany, że policja jest do mnie uprzedzona z powodu mojej kryminalnej przeszłości i dlatego głuchnie, gdy zadaję pytania. Ponieważ jest pani agentką specjalną FBI, liczę na to, że zdobędzie Pani dla mnie te odpowiedzi. Tylko o to proszę.

Mój syn był porządnym człowiekiem. Nie tak jak ja. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli zgodzi się Pani mi pomóc. Może Pani też zwrócić się do mojej kuratorce z UdsW, która za mnie poręczy.

Szczerze oddany,

Max Holman.

Pod nazwiskiem Holman napisał swój numer telefonu, numer telefonu biura motelu Pacific Gardens i numer do pracy. Dalej podał też imię i nazwisko kuratorce, Gail Manelli, i numer jej służbowego telefonu. Katherine jeszcze raz spojrzała na artykuł i pomyślała o własnych synach za kilka lat. Oby nigdy nie dotarła do niej taka wiadomość, jaką otrzymał Max Holman. Już i tak przeżyła koszmar, kiedy dowiedziała się o śmierci Marty'ego, chociaż ich małżeństwo się rozpadło i niedługo mieli się rozwieść. W tej szczególnej chwili przestało się liczyć to, co wycierpiała przez Marty'ego, i czuła się tak, jakby utraciła część siebie. Śmierć syna musiała być dla Holmana strasznym nieszczęściem.

Nagle ogarnęło ją rozdrażnienie i cisnęła w kąt list i artykuł, cała zaprawiona nostalgią sympatia dla Holmana uleciała. Wierzyła w to, o czym w końcu przekonywali się wszyscy gliniarze – że przestępcy to skończeni degeneraci. Można ich wsadzać za

kratki, leczyć i wychowywać, ale oni i tak nigdy się nie zmieniają. I niemal na pewno Holman coś mataczył, a ona o mały włos dała się nabrać.

Wkurzona jak diabli Katherine zgarnęła telefon i rachunki, zamknęła samochód i uciekając przed żarem lejącym się z nieba, pognała do domu. Upokorzyła się raz – prosząc matkę o pieniądze, a potem drugi raz – przejmując się wzruszającą opowieścią Holmana. Za chwilę miała błagać przemądrzałego mechanika, żeby ruszył dupsko i zrobił coś, aby w jej domu dało się żyć. Katherine była już w domu i wybierała numer mechanika, kiedy odłożyła słuchawkę i pobiegła z powrotem do samochodu po żaloszny, durny list Maksa Holmana.

Zadzwońska najpierw do mechanika, potem do Gail Manelli, kuratorzki Holmana.

Holman zastał Chee w biurze jego warsztatu samochodowego we wschodnim LA w towarzystwie ładnej, młodej dziewczyny, która na jego widok uśmiechnęła się nieśmiało. Chee wyszczerzył w uśmiechu nierówne zęby, brązowe od porannej kawy.

– Siemasz, *homes*. To moja najmłodsza córka, Marisol. Skarbie, przywitaj się z panem Holmanem.

Marisol powiedziała Holmanowi, że miło jej go poznać.

– Marisol, przyślij do mnie Raula, dobrze? Do gabinetu. Dalej, brachu, tędy.

Dziewczyna przywoływała Raula przez interkom, gdy Holman wszedł do gabinetu. Chee zamknął za nimi drzwi i stracili dziewczynę z oczu.

– Ślicznotka. Moje gratulacje, Chee – powiedział Holman.

– Z czego się tak cieszysz, stary? Lepiej, żebyś nie miał lubieżnych myśli.

– Śmiesz mnie to, że słynny Chee mówi do swojej córki „skarbie”.

Chee podszedł do szafy i wyciągnął aparat fotograficzny.

– To moje oczko w głowie, ona i jej siostrzyczki. Każdego dnia dziękuję Bogu za powietrze, którym oddycha, i za ziemię, po której stąpa. Stań tam i popatrz na mnie.

– Załatwisz mi jakiś wóz?

– Przecież jestem Chee. To do twojego nowego prawa jazdy.

Chee ustawił Holmana na tle granatowej ściany i spojrzał przez obiektyw.

– Cyfrowy, bracie – najnowocześniejszy model. Do jasnej cholery, Holman, to nie jest zdjęcie do kartoteki. Zmień minę, bo wyglądasz, jakbyś chciał mnie zabić.

Holman uśmiechnął się.

– Psiamać, Holman. Wyglądasz, jakbyś miał zaraz urodzić kamień.

Błysnął flesz i w tym samym momencie ktoś zapukał do drzwi gabinetu. Do środka wszedł krępy młodzieniec o hardym spojrzeniu. Ręce i twarz brudne miał od smaru, najwyraźniej oderwał się od pracy w warsztacie. Chee przyglądał się cyfrowemu zdjęciu w aparacie i bez zachwyty uznał, że się nada. Rzucił aparat przybyszowi.

– Prawo jazdy stanu Kalifornia, data wydania dzisiejsza, bez ograniczeń. Nie nosisz okularów, Holman, wzrok ci się nie popsuł z wiekiem?

– Nie noszę.

– Bez ograniczeń.

Raul spojrzał na Holmana.

– Potrzebny mi jego adres, data urodzenia, wzrost i waga, no i podpis – powiedział chłopak.

Chee wziął notatnik i długopis z biurka i podał Holmanowi.

– Zapisz to wszystko tutaj, a podpisz się na oddzielnej kartce.

Holman zrobił, jak mu kazano.

– Ile czasu to potrwa? Potrzebne mi prawo jazdy, mam ważne spotkanie.

– Spokojnie, zaraz dostaniesz prawko, razem z samochodem.

Chee rozmówił się z Raulem po hiszpańsku, potem poprowadził Holmana na parking z tyłu warsztatu, na którym czekały ustawione w rząd samochody.

Chee zmierzył wzrokiem rzęcha Holmana.

– Nic dziwnego, że cię zgarnęli. Ten złom ma wypisane na sobie „były skazaniec”.

– Czy ktoś z twoich ludzi mógłby go odstawić do motelu?

– Jasne, nie ma sprawy. Zobacz, co dla ciebie mam – przyjemny taurus albo nowiuteńka terenówka, toyota highlander. I w jednym, i w drugim będziesz się poruszać jak szacowny mieszczuch. Samochody są zarejestrowane na wypożyczalnię, która należy do mnie. Nie są obciążone żadnymi należnościami ani mandatami, nie tak jak to ścierwo, którym jeździsz. Jak cię zatrzymają, to wóz pożyczylesz ode mnie. To wszystko.

Holman nigdy nie widział takiej toyoty. Czarna i błyszcząca, wznosiła się wysoko na swoich potężnych oponach. Holman uznał, że dobrze będzie widzieć z daleka, co nadjeżdża.

– Chyba wezmę terenówkę.

– Znakomity wybór, brachu – czarne, skórzane obicia, szyberdach. Będziesz wyglądał jak yuppie jadący na zakupy do Whole Foods. Dalej, wsiadaj. W środku znajdziesz coś, co ułatwi ci życie w normalnym świecie. Zajrzyj do schowka.

Holman nie wiedział, do czego odnosi się nazwa Whole Foods, ale przestało go bawić to, że zachowuje się jak ktoś, kto właśnie wyrwał się na wolność po dziesięciu latach spędzonych w pudle, poza tym nie było czasu na domaganie się wyjaśnień. Wsiadł do swojego nowego samochodu i otworzył schowek. W środku leżał telefon komórkowy.

Chee rozpromienił się z dumą.

– Załatwiłem ci komórkę, stary. To już nie te czasy, że trzeba co chwila się zatrzymywać i szukać drobniaków na telefon. Musisz trzymać rękę na pulsie non stop, siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Masz też instrukcję obsługi, zapisałem w niej twój numer telefonu. Ten kabel wtyka się do gniazda zapalniczki, żeby naładować baterię.

Holman popatrzył na Chee.

– Ofiarowałeś się, że pożyczysz mi trochę kasy. Pamiętasz? Mam opory, bo załatwiłeś mi już samochód i komórkę, ale cofam to, co przedtem powiedziałem. Potrzebuję forsy, całą paczkę.

Paczka oznaczała tysiąc dolarów. Banki pakowały używane banknoty dwudziestodolarowe po pięćdziesiąt sztuk. Tysiąc dolarów.

Chee nawet nie mrugnął. Przyjrzał się badawczo Holmanowi, potem przytknął palec do nosa.

– Jak sobie życzysz, *homes*, ale muszę cię o coś zapytać – wracasz do nałogu? Jeśli chcesz sobie spieprzyć życie, nie chcę mieć w tym udziału.

– Nic z tych rzeczy. Mam kogoś, kto mi pomoże w sprawie Richiego. To prawdziwy fachowiec. Ta kobieta zna się na rzeczy. Muszę być przygotowany na ewentualne wydatki.

Holman z ulgą i zarazem z obawą przyjął wiadomość, że agentka specjalna Katherine Pollard zgodziła się z nim spotkać. Nie miał szczególnej nadziei, że się do niego odezwie, ale się odezwała. Wykazała przy tym typową dla agentów FBI paranoję, ponieważ zanim zwróciła się do niego, zadzwoniła najpierw do Gail Manelli i Wally'ego Figga, żeby go sprawdzić, i nie chciała mu podać swojego numeru telefonu, ale Holman nie narzekał. Umówiła się z nim w kawiarni Starbucks w Westwood, żeby zapoznać się ze sprawą. Nie uszło jego uwagi to, że wybrała miejsce w pobliżu biura FBI.

Chee, mrużąc oczy, spojrział na niego podejrzliwie.

– Jaka znowu kobieta? Fachowiec od czego?

– Agentka, która mnie aresztowała.

Chee jeszcze bardziej zmrużył oczy i pomachał wymownie rękami.

– Kurwa, Holman! Czy tobie już zupełnie odbiło?

– Była wobec mnie w porządku, Chee. Walczyła o mnie z prokuratorem. Człowieku, dzięki niej postawili mi łagodniejsze zarzuty.

– To dlatego, że sam się im wpakowałeś w łapy, ty cholerny idioto! Dobrze pamiętam, jak ta suka wparowała wtedy do banku. Ona cię jeszcze urządzi, *homes*. Nawet nie zdążysz pierdnąć, jak ta suka cię usadzi!

Holman nie zamierzał tłumaczyć Chee, że Pollard już odeszła ze służby. Sam był rozczarowany, kiedy mu o tym powiedziała, ale wierzył, że dzięki swoim kontaktom uzyska dla niego odpowiedzi, na których mu zależało.

– Chee, słuchaj, muszę się zbierać. Mam spotkanie z tą agentką. To jak z tą forszą?

Chee machnął ręką, jakby przeganiał swój niesmak.

– Dam ci te pieniądze. Ale nie wspominaj jej o mnie, Holman. Nie wymawiaj w jej obecności mojego nazwiska. Nie chcę, żeby wiedziała o moim istnieniu.

– Nie podałem im twojego nazwiska dziesięć lat temu, kiedy mnie naciskali, *homes*. Skąd ci przyszło do głowy, że teraz będzie inaczej?

Chee, zawstydzony, machnął tylko ręką i odszedł.

Czekając na jego powrót, Holman zapoznał się ze swoim nowym samochodem i próbował rozgryźć tajniki obsługi telefonu komórkowego. Niebawem Chee wrócił z białą kopertą i prawem jazdy. Nie zaglądając do środka, Holman wetknął kopertę do schowka. Za to przyjrzał się dokładnie prawu jazdy. Było to idealne w każdym calu prawo jazdy wydane przez stan Kalifornia, z okresem ważności siedem lat i pieczęcią stanową na zdjęciu. Jego podpis w miniaturze widniał pod adresem i opisem wyglądu.

– Niech mnie diabli, wygląda na prawdziwe – ocenił Holman.

– Bo jest prawdziwe, bracie. To legalne prawo jazdy z numerem, który figuruje w systemie. Zatrzymają cię, sprawdzą to prawko w bazie danych i zobaczą twoje dane, z

adresem i czyściutkim kontem u drogowki. Pasek magnetyczny na odwrocie? Pokazuje to, co ma pokazywać.

– Dzięki, stary.

– Daj mi kluczyki od tego trupa, którym przyjechałeś. Każę chłopakom go odstawić.

– Dzięki, Chee. Naprawdę doceniam to, co dla mnie robisz.

– Tylko niech ci się nie wyrwie moje nazwisko, Holman, jak będziesz z tą babą gadał. Nie wciągaj mnie w to.

– Ty jesteś z tego wyłączony, Chee. Nie brałeś w tym udziału, nigdy.

Chee oparł się rękami o drzwi highlandera i spojrzał do wnętrza kabiny, oczy pały mu gniewnie.

– Ostrzegam cię tylko, to wszystko. Nie ufaj tej babie, Holman. Już raz cię wsadziła do pudła. Nie ufaj jej.

– Muszę jechać.

Chee odsunął się, patrząc na Holmana z niesmakiem. Holman słyszał, jak mruczy pod nosem.

– Cholerny dupek, pieprzony Bandyta Bohater.

Holman włączył się do ruchu, stwierdzając, że nikt od lat nie nazwał go Bandytą Bohaterem.

Holman przybył na miejsce spotkania piętnaście minut przed czasem i usadowił się na wprost drzwi. Nie miał pewności, czy rozpozna Katherine Pollard, ale przede wszystkim chodziło mu o to, żeby mogła go bez przeszkód dojrzeć, gdy wejdzie do kawiarni. Chciał, żeby czuła się bezpiecznie.

W środku było tłoczno, czego zresztą należało się spodziewać, i Holman wiedział, że był to jeden z powodów, dla którego Pollard wybrała tę kawiarnię na miejsce spotkania. W towarzystwie ludzi będzie czuła się bezpiecznie, poza tym pewnie uważała, że bliskość biura FBI wpłynie na niego onieśmielająco.

Rozsiadł się, wiedząc, że trochę poczeka. Pollard na pewno się spóźni, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że to ona ma nad nim przewagę i że Holman musi się jej podporządkować. Nie przeszkadzało mu to. Rano przystrzygł włosy, ogolił się (aż dwa razy) i wypucował buty. Poprzedniego wieczora wyprał ubranie i za dwa dolary pożyczył od Perry'ego żelazko i deskę do prasowania. Chciał wyglądać niegroźnie.

Wciąż obserwował wejście, kiedy dwanaście minut po czasie do środka weszła wreszcie Katherine Pollard. Z początku nie był pewny, czy to ona. Agentka, która go aresztowała, była koścista, miała szczupłą twarz i jasne, krótko przycięte włosy. Kobieta, którą miał teraz przed oczami, była tęższa, długie, ciemne włosy opadały jej na ramiona. Z dłuższymi włosami wyglądała dużo lepiej. Ubrana była w luźne spodnie i ciemną koszulę, na którą narzuciła jasny żakiet. Założyła okulary przeciwsłoneczne, ale od razu można było ją rozpoznać po minie. Poważny, niezgłębiony wyraz twarzy z daleka zdradzał agenta federalnego. Holman zastanawiał się, czy ćwiczyła tę minę w drodze na spotkanie.

Położył dłonie na stoliku i czekał, aż go zauważy. Kiedy wreszcie go dojrzała, uśmiechnął się na powitanie, ale ona nie odwzajemniła uśmiechu. Przechodząc między stolikami, przy których goście czekali na swoje zamówienia, doszła do stolika Holmana i stanęła naprzeciw niego.

– Pan Holman – upewniła się.

– Agentka Pollard, witam panią. Mogę wstać, żeby się przywitać? Nie chcę, żeby pani pomyślała, że chcę ją zaatakować czy coś w tym rodzaju. Napije się pani kawy?

Trzymał ręce na stole, żeby miała je na widoku, i znów się uśmiechnął. Tak jak przedtem na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień, nawet nie podała mu ręki. Rzeczowa i szorstka w obejściu, bez słowa usiadła przy stoliku.

– Nie musisz wstawać, a na kawę nie mam czasu. Chcę, żebyśmy jasno ustalili obowiązujące reguły. Cieszę się, że odsiedziałeś wyrok, znalazłeś sobie pracę i tak dalej. Gratuluję, Holman, mówię to szczerze, gratuluję ci. Ale chcę, żebyś zrozumiał – chociaż Gail Manelli i Walter Figg za ciebie ręką – przyjechałam tu tylko z szacunku dla twojego syna. Jeden fałszywy krok z twojej strony i koniec spotkania.

– Rozumiem. Jeśli chce mnie pani obszukać, to proszę bardzo.

– Gdybym cię podejrzewała o takie numery, nie zobaczyłbyś mnie tutaj. Współczuję ci z powodu syna. To musi być dla ciebie potworny cios.

Holman wiedział, że zostało mu niewiele czasu na to, żeby przedstawić sprawę. Pollard była spięta i pewnie żałowała, że zgodziła się na to spotkanie. Gliniarze nigdy nie zadawali się z przestępcami, których wsadzili za kratki. To było wbrew zasadom. Również skazańcy na ogół wiedzieli – nawet ci, którzy nie grzeszyli rozumem – że nie należy przestawać z gliniarzami, którzy ich aresztowali, a ci nieliczni, którzy się na to zdecydowali, zazwyczaj trafiali albo z powrotem do pudła, albo na tamten świat. W czasie jedynej rozmowy telefonicznej, jaką odbyli, Pollard starała się go zapewnić, że podana przez policję wersja przebiegu zdarzeń i ich wnioski na temat Warrena Juareza opierają się na słusznych podstawach, ale dodała, że sprawę zna jedynie pobieżnie, i nie potrafiła Holmanowi udzielić odpowiedzi na pytania, jakimi ją zasypał. Zgodziła się w końcu, acz niechętnie, zapoznać z materiałami zebranymi przez Holmana i wysłuchać go osobiście. Holman wiedział, że nie zgodziła się dlatego, że posądzała policję o błędne rozumowanie. Zrobiła to, żeby pomóc ojcu cierpiącemu z powodu utraty syna. Zapewne uważała, że zasłużył na to, żeby spotkała się z nim twarzą w twarz, z powodu postawy, jaką wykazał. Ale na tym kończyły się jej względy dla niego. Wiedział, że ma tylko jedną szansę, więc najlepszą przynętę zachował na koniec, przynętę, której, miał nadzieję, Pollard się nie oprze.

Otworzył kopertę, w której przechowywał swój rozrastający się zbiór wycinków prasowych i dokumentów i wytrząsnął z niej gruby plik papierów.

– Zna pani wyniki śledztwa? – zapytał.

– Przeczytałam wszystkie artykuły, które ukazały się w „Los Angeles Times”. Mogę mówić bez ogródek?

– Tego właśnie chcę – poznać pani zdanie.

Rozsiadła się, splotła dłonie i położyła je na kolanach, mową ciała dając mu zrozumienia, że chce się z tym uporać jak najszybciej. Holman pomyślał, że mogłaby chociaż zdjąć okulary przeciwsłoneczne.

– Dobrze. Zacznijmy od Juareza. Przeprowadziłeś rozmowę z jego żoną i masz wątpliwości co do tego, że Juarez popełnił samobójstwo po zamordowaniu tych czterech policjantów, zgadza się?

– No właśnie. Facet ma żonę i dziecko i tak po prostu strzela sobie w łeb?

– Gdybym miała to wyjaśnić, a snuję jedynie domysły, powiedziałabym, że Juarez był na prochach, brał amfetaminę, może nawet kokainę. Tacy jak on najpierw się naćpają, a potem pociągają za spust. Prochy mogły przyczynić się do wystąpienia paranoi czy wręcz objawów psychotycznych, co tłumaczyłoby samobójstwo.

Holman już wcześniej rozważał tę możliwość.

– Wyniki sekcji zwłok wykazałyby to?

– Tak, ale...

– Mogłaby pani zdobyć te wyniki?

Pollard zacisnęła usta i Holman upomniał siebie w duchu, żeby jej więcej nie przerywać.

– Nie, nie mogę zdobyć wyników sekcji. Przedstawiam po prostu wiarygodne wyjaśnienie na podstawie własnego doświadczenia. Sprawa samobójstwa Juareza nie dawała ci spokoju, więc tłumaczę, jak mogło do tego dojść.

– Dla pani wiadomości, zwróciłem się do policji, żeby pozwolili mi porozmawiać z koronerem lub kimś z jego biura, ale odmówili.

Tym razem jej usta ani drgnęły, tylko mocniej splotła palce.

– Policja ma związane ręce, na przykład przez prawo do prywatności. Za udostępnianie danych osobowych mogliby zostać pozwani do sądu.

Holman postanowił przejść do następnej sprawy i grzebał w swoich papierach, aż znalazł to, czego szukał. Pokazał jej wycinek prasowy.

– Ten szkic miejsca zbrodni został opublikowany w gazecie. Widzi pani naniesione samochody i ciała? Pojechałem tam, żeby przekonać się na własne oczy...

– Pojechałeś nad rzekę?

– Kiedy kradłem samochody, zanim jeszcze zająłem się bankami, spędzałem tam wiele czasu. To płaski teren, płaska wybetonowana nawierzchnia, jak parking, po obu brzegach rzeki. Dojechać tam można tylko rampą, z której korzystają konserwatorzy.

Pollard pochyliła się nad stołem, żeby lepiej widzieć, co Holman pokazuje na mapie.

– No dobra. I co z tego wynika? – spytała.

– Droga prowadzi tędy, z miejsca, gdzie stali policjanci, jest dobrze widoczna. Rozumie pani? Zabójca musiał podejść od tej strony, ale wtedy zobaczyliby go z daleka.

– Była pierwsza w nocy, zupełnie ciemno. Poza tym ten szkic prawdopodobnie nie jest narysowany w odpowiedniej skali.

Holman wyjął drugi, który sporządził własnoręcznie.

– Zgadza się. I dlatego narysowałem własny. Rampa jest spod mostu widoczna dużo lepiej, niż wynikało to ze szkicu opublikowanego w gazecie. I jeszcze jedno – przy wjeździe jest brama, widzi pani? Trzeba albo przejść przez ogrodzenie, albo przeciąć kłódkę. Tak czy inaczej nie obyłyby się bez hałasu.

Holman obserwował Pollard, która porównywała oba szkice. Wyglądała, jakby coś rozważała, a to był dobry znak, świadczący o tym, że zaczęła się angażować. Ale w końcu wyprostowała się na krześle i wzruszyła ramionami.

– Policjanci nie zamknęli za sobą bramy.

– Pytałem o to detektywów prowadzących śledztwo, ale nie chcieli mi powiedzieć. Nie sądzę, żeby Richie i jego koledzy zostawili otwartą bramę. Mógłby to zauważyć patrol chroniący obiekt, a wtedy mieliby przerąbane. My zawsze zamykaliśmy bramę i zakładaliśmy z powrotem łańcuch. Założę się, że Richie i jego koledzy też tak zrobili.

Pollard rozsiadła się na krześle.

– Kiedy kradłeś samochody.

Holman przygotowywał się do zarzucenia przynęty. Uznał, że jak dotąd idzie mu całkiem dobrze. Pollard podążała za tokiem jego rozumowania, mimo że nie wiedziała, do czego zmierza. Holman nabrał otuchy.

– Jeśli brama była zamknięta, zabójca albo ją otworzył, albo wdrapał się i przeszedł górą. Narobił przy tym hałasu. Wiem, że Richie i jego koledzy pili piwo, ale mieli tylko sześć puszek. Czterech dorosłych facetów i sześć puszek piwa – nie mogli być pijani. Jeśli Juarez był naćpany, jak pani sugeruje, nie mógł zachowywać się cicho. Richie i jego koledzy na pewno by coś usłyszeli.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Holman? Nie wierzysz, że to Juarez ich zabił?

– Chcę powiedzieć, że nie ma znaczenia, czy usłyszeli jakiś hałas. Uważam, że znali zabójcę.

Pollard skrzyżowała ręce na piersiach. Był to wyraźny znak, że się od niego odgradza. Holman zdawał sobie sprawę, że traci jej przychyłność; nadszedł już czas, żeby zarzucić przynętę. Pollard albo się na nią złapie, albo wymknie mu się na dobre.

– Słyszała pani o Marczence i Parsonsie, dwóch bandytach napadających na banki?

Pollard wyraźnie zeszywniała i Holman wiedział, że wreszcie obudził jej ciekawość. Już nie rozmawiała z nim jedynie z życzliwości czy dla zabicia czasu, gotowa w każdej zerwać się i prysnąć. Zdjęła okulary. Zauważył zmarszczki wokół jej oczu. Mocno się zmieniła od czasu, kiedy ostatni raz ją widział, ale od dawnej agentki Pollard różniło ją coś jeszcze oprócz wyglądu, coś, czego nie potrafił określić.

– Słyszałam o nich. I co z tego? – odparła.

Holman położył przed nią na stole mapę z naniesionymi miejscami skoków Marczenki i Parsonsa.

– Mój syn narysował tę mapę. Jego żona, Liz, pozwoliła mi zrobić kopię.

– Pokazuje banki, na które napadli Marczenko i Parsons.

– Tej feralnej nocy do Richiego zadzwonił Fowler. To dlatego wyszedł z domu: miał się z nim spotkać, żeby porozmawiać o Marczence i Parsonsie.

– Marczenko i Parsons nie żyją. Ich sprawa na pewno została zamknięta trzy miesiące temu.

Holman rozłożył przed nią kopie artykułów i raportów, które znalazł na biurku Richiego.

– Richie mówił żonie, że ma dodatkowe zadanie. Jego biurko zawałone było tymi papierami. Pytałem przełożonych, czym zajmował się Richie. Próbowałem dotrzeć do detektywów, którzy prowadzili sprawę Marczenki i Parsonsa, ale nikt nie chce ze mną rozmawiać. Dowiedziałem się tylko, że sprawa została zamknięta, co pani teraz potwierdza. Ale pozostaje faktem, że Richie wyszedł na spotkanie z Fowlerem w związku ze sprawą Marczenki i Parsonsa. I został zabity.

Holman przyglądał się Pollard, kiedy studiowała dokumenty. Patrzył, jak porusza ustami, jakby przygryzała sobie wargę od środka. Wreszcie podniosła wzrok. Pomyślał, że kobieta w jej wieku nie powinna mieć jeszcze takich wyraźnych kurzych łapek wokół oczu.

– Nie rozumiem, czego właściwie ode mnie oczekujesz – powiedziała.

– Chcę wiedzieć, dlaczego Richie zajmował się sprawą, która została już zamknięta. Chcę wiedzieć, co łączyło Juareza z dwójką bandytów napadających na banki. Chcę wiedzieć, dlaczego mój syn i jego koledzy pozwolili zabójcy podejść na odległość strzału. Chcę wiedzieć, kto ich zabił.

Pollard wpatrywała się w niego, a Holman odwzajemnił jej spojrzenie. Uważał, aby w jego wzroku nie malowała się wrogość ani gniew. Tę część siebie starannie ukrywał. Pollard oblizła usta.

– Mogłabym zadzwonić w kilka miejsc. Bardzo chętnie to zrobię.

Holman wsunął wszystkie papiery z powrotem do koperty i zapisał na niej numer swojego telefonu komórkowego.

– Tyle udało mi się znaleźć w bibliotece na temat Marczenki i Parsonsa, zebrałem też artykuły prasowe i część materiałów Richiego. Zrobiłem kopie. To mój nowy numer telefonu. Przyda się pani.

Patrzyła na kopertę, ale jej nie podniosła. Holman czuł, że jeszcze nie oswoiła się z decyzją, którą już podjęła.

– Nie oczekuję, że podejmie się pani tego za darmo. Zamierzam to pani wynagrodzić. Nie mam zbyt wiele, ale możemy się dogadać w kwestii płatności, rozłożyć na raty czy coś w tym rodzaju.

Znów oblizła wargi. Holman zastanawiał się, dlaczego się waha. Nagle potrząsnęła głową.

– To nie będzie konieczne. Trochę to potrwa, muszę zadzwonić w kilka miejsc.

Holman skinął głową. Serce tłukło mu się w piersi, jednak starannie ukrywał podniecenie, podobnie jak wściekłość i strach.

– Dziękuję, agentko Pollard. Jestem pani naprawdę wdzięczny.

– Nie powinieneś tak się do mnie zwracać. Nie jestem już agentem.

– Więc jak mam się do pani zwracać?

– Katherine.

– Dobrze, Katherine. Mów mi Max.

Holman wyciągnął do niej rękę, ale Pollard nie uściśnęła mu dłoni. Podniosła kopertę ze stołu.

– To nie znaczy, że zostaliśmy przyjaciółmi, Max. Po prostu uważam, że zasługujesz na to, żeby poznać odpowiedzi, to wszystko.

Holman opuścił rękę. Czuł się urażony, ale nie zamierzał tego okazywać. Zdziwiło go, dlaczego zgodziła się poświęcić mu swój czas, jeśli miała do niego taki stosunek, ale to również zachował dla siebie.

– Jasne, rozumiem.

– Odezwę się najwcześniej za kilka dni.

– Oczywiście.

Wyszła z kawiarni, a Holman odprowadził ją wzrokiem. Przyspieszyła kroku, lawirując między stolikami, i po chwili znalazła się na ulicy. Odprowadzając ją wzrokiem, przypomniał sobie wcześniejsze wrażenie, że obecna Katherine Pollard różni się od tej sprzed lat, i nagle uświadomił sobie, na czym polega ta różnica...

Pollard sprawiała wrażenie, jakby się czegoś bała. Dziesięć lat temu aresztowała Holmana młoda, nieustraszona agentka, ale od tamtego czasu Pollard się zmieniła. Pod

wpływem tych refleksji zaczął się zastanawiać, jak bardzo sam zmienił się przez te lata i czy ma jeszcze w sobie tyle hartu, żeby tę całą sprawę doprowadzić do końca.

Wstał i wyszedł na skąpaną w słońcu ulicę, myśląc, jak to dobrze, że nie jest już sam. Polubił Pollard, chociaż była wobec niego tak powściągliwa. Miał nadzieję, że nie przytrafi się jej nic złego.

Pollard nie potrafiła opowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego zgodziła się pomóc Holmanowi, ale wcale jej się nie spieszyło z powrotem do Simi Valley. W Westwood było o dziesięć stopni chłodniej, a kiedy chłopcy wrócą z zajęć, zajmie się nimi jej matka. Miała wrażenie, że wzięła sobie jednodniowy urlop z dotychczasowego życia. Czuła się, jakby była na zwolnieniu warunkowym z więzienia.

Przeszła się do cukierni Stana i poprosiła o zwykłego amerykańskiego pączka w polewie z cukru, okrągłego, z dziurką w środku – bez posypki, dżemu ani czekolady. Nie chciała sobie psuć delikatnego smaku rozpływającej się w ustach polewy i rozgrzanego tłuszczu. Co prawda, dla jej rosnącego tyłka pączek był tak wskazany jak suchary dla szczerbatego, ale od czasu kiedy odeszła ze służby, ani razu nie była u Stana. Swego czasu, kiedy pracowała w burze w Westwood, wymykała się do cukierni z koleżanką, agentką April Sanders, przynajmniej dwa razy w tygodniu. Nazywały to przerwą na pączka.

Kobieta za ladą zaproponowała jej pączka z półki, ale właśnie smażyła się świeża partia i Pollard wolała zaczekać. Usiadła przy stoliku na zewnątrz z zamiarem poczytania zebranych przez Holmana materiałów, ale nie mogła się opędzić od myśli o nim. Zawsze był potężnym mężczyzną, ale kiedy go aresztowała, ważył z piętnaście kilogramów mniej niż teraz, miał przydługie włosy, głęboką opaleniznę i kiepską cerę ćpuna. Teraz nie wyglądał na przestępcę. Wyglądał na faceta po czterdziestce, od którego odwróciło się szczęście.

Przypuszczała, że policja starała się udzielić mu wyczerpujących odpowiedzi, oczywiście w miarę możliwości, a Holman po prostu nie chciał pogodzić się z faktami. Jako agentka FBI często miała do czynienia z rodzinami ofiar. Wszystkie widziały same znaki zapytania wokół swej straszliwej straty, która zwykle wykluczała zadowolające odpowiedzi. Założenie przyjmowane w każdym śledztwie kryminalnym było takie, że nie da się odpowiedzieć na wszystkie pytania; detektyw mógł co najwyżej liczyć na to, że uzyskane odpowiedzi wystarczą na wszcęcie postępowania sądowego.

Pollard w końcu zabrała się do czytania materiałów zgromadzonych przez Holmana. Z artykułów prasowych wynikało, że Marczenko i Parsons, obaj trzydziesto-dwuletni, samotni, bezrobotni, poznali się w siłowni w West Hollywood. Nie mieli żon ani stałych partnerek. Parsons pochodził z Teksasu, ale jeszcze jako nastolatek porzucił rodzinne strony i zawędrował do Los Angeles. Marczenko miał owdowiałą matkę, ukraińską imigrantkę, która, jak podawała gazeta, współpracowała z policją, a jednocześnie groziła, że pozwie miasto do sądu. Marczenko i Parsons mieszkali razem w małym mieszkaniu, które wynajmowali w Beachwood Canyon. Po ich śmierci policja odkryła tam dwanaście pistoletów, zapasy amunicji przekraczające sześć tysięcy magazynków, bogaty zbiór filmów o sztukach walk i dziewięćset dziesięć tysięcy dolarów w gotówce.

Pollard nie służyła już w FBI, kiedy Marczenko i Parsons złupili po kolei trzynaście banków, ale śledziła na bieżąco wiadomości o ich wyczynach. Lektura artykułu przyprawiła ją znów o znajomy dreszcz emocji, jakiego doznawała na służbie. Po raz pierwszy od lat czuła, że naprawdę żyje, i pomyślała o swoim mężu. Od czasu śmierci Marty'ego jej życie wypełniała nieustanna szarpanina. Starła się jakoś pogodzić z jednej strony rosnące rachunki do zapłacenia, a z drugiej chęć samodzielnego wychowania chłopców. Kiedy stracili ojca, przysięgła sobie, że nie pozwoli, żeby utracili również matkę, zastąpioną przez opiekunki i przedszkola. To zobowiązanie rodziło w niej poczucie bezsilności i przygnębienia; dopiero teraz, gdy czytała o Marczenku i Parsonsie, odżyła na nowo.

Marczenko i Parsons w ciągu dziewięciu miesięcy dokonali trzynastu napadów, za każdym razem stosując taką samą metodę działania: szturmem zajmowali bank, powalali wszystkich na podłogę, a potem opróżniali szuflady przy stanowiskach obsługi. Kiedy jeden zgarniał pieniądze z szuflad, drugi zmuszał kierownika oddziału do otwarcia skarbca.

Artykuły skopiowane przez Holmana zawierały rozmazane zdjęcia zarejestrowane przez kamery przemysłowe, na których widniały dwie ubrane na czarno i uzbrojone po zęby postacie, ale opisy napastników podawane przez świadków były niedokładne i ich tożsamość stwierdzono dopiero po śmierci. Samochód, którym uciekali z miejsca przestępstwa, błękitny, zagranicznej marki, został zauważony dopiero podczas ósmego napadu. Świadek dziesiątego skoku dokładnie opisał samochód i wtedy ustalono, że to

błękitna toyota corolla. Pollard uśmiechnęła się, kiedy o tym przeczytała; wiedziała, że agenci z Zespołu Bankowego na pewno świętowali zdobycie takiej informacji. Zawodowcy za każdym razem posłużyliby się innym samochodem; fakt, że zajeżdżali wciąż tym samym wozem, wskazywał, że rabusie byli zwykłymi amatorami, którym po prostu dopisywało szczęście. Było pewne, że prędzej czy później szczęście się od nich odwróci.

– Pączki są gotowe. Proszę pani? Zamawiała pani pączki.

Pollard podniosła wzrok.

– Co?

– Świeże pączki, już są.

Tak ją pochłoneła lektura artykułów, że straciła poczucie czasu. Poszła po pączka i filiżankę czarnej kawy, i wróciła do stolika, żeby czytać dalej.

Szczęście odwróciło się od Marczenki i Parsonsa podczas trzynastego skoku.

Kiedy weszli do oddziału California Central Bank w Culver City, żeby dokonać swego trzynastego napadu z bronią w ręku, nie mieli pojęcia, że połączone siły policyjne, w których skład wchodził detektywi z wydziału napadów rabunkowych, policjanci z wydziału dochodzeń specjalnych oraz jednostki patrolowe, obserwowały pięciokilometrowy korytarz ciągnący się od centrum Los Angeles do wschodniego skraju Santa Monica. Gdy Marczenko i Parsons wkroczyli do banku, wszyscy pracownicy obsługi uruchomili bezgłośnie alarmy. Chociaż artykuł nie podawał szczegółów, Pollard domyśliła się dalszego przebiegu wydarzeń. Firma ochraniająca bank powiadomiła komendę główną, która z kolei zaalarmowała połączone siły policyjne. Wezwane jednostki zgromadziły się przed bankiem i zajęły stanowiska na parkingu. Pierwszy wyszedł z banku Marczenko. Na ogół w takiej sytuacji rabuś wykonywał jeden z trzech kroków: poddawał się, próbował uciec albo wycofywał się do banku, po czym następowały negocjacje. Marczenko wybrał czwarte rozwiązanie. Zaczął strzelać. Jednostki policyjne – uzbrojone w karabiny kalibru 5,66 milimetra – odpowiedziały ogniem, kładąc trupem Marczenkę i Parsonsa.

Skończyła czytać ostatni artykuł i uświadomiła sobie, że ostygł jej pączek. Ugryzła kawałek. Nawet zimny był pyszny, ale co innego teraz zaprzętało jej uwagę. Przejrzała artykuły poświęcone czterem zabitym policjantom, potem trafiła na coś, co wyglądało na

strony tytułowe policyjnych raportów dotyczących Marczenki i Parsonsa. Zdziwiło ją to. Takie raporty sporządzano w biurze śledczym komendy głównej, a Richard Holman był zwykłym mundurowym funkcjonariuszem. Detektywi z komendy głównej korzystali z pomocy mundurowych policjantów w trakcie przeszukań czy przy przeprowadzaniu wywiadów z naocznymi świadkami tuż po napadzie, ale takie zadania nie wymagały dostępu do raportów ani do zeznań. Poza tym mundurowi rzadko uczestniczyli w dochodzeniu dłużej niż jeden czy dwa dni po napadzie. Marczenko i Parsons zginęli trzy miesiące temu, a zrabowane pieniądze odzyskano. Ciekawiło ją, dlaczego komenda główna nadal prowadzi śledztwo i dlaczego brali w nim udział zwykli policjanci. Uznała, że łatwo może uzyskać odpowiedzi na te pytania. Kiedy pracowała w Zespole Bankowym, poznała kilku detektywów z wydziału napadów rabunkowych. Postanowiła się do nich zwrócić.

Kilka minut minęło, nim przypomniała sobie ich nazwiska. Zadzwoiła do punktu informacyjnego na komendzie głównej z zapytaniem o ich obecny przydział służbowy. Pierwsi dwaj detektywi, o których zapytała, byli już na emeryturze, ale trzeci, Bill Fitch, pracował obecnie w wydziale specjalnych napadów rabunkowych, elitarnej jednostce działającej przy Centrum Parkera.

Kiedy poprosiła go do telefonu, Fitch zapytał:

– Kto mówi?

Nie pamiętał jej.

– Katherine Pollard. Służyłam w FBI w Zespole Bankowym. Pracowaliśmy razem kilka lat temu.

Wymieniła przydomki bandytów, których wspólnie ścigali: „Baseballista”, „Dolly Parton”, „Munchkinowie”. Rabusiom napadającym na banki nadawano przydomki, jeśli nieznana była ich tożsamość. W ten sposób łatwiej było o nich rozmawiać. „Baseballista” zawsze nosił czapkę Dodgersów, „Dolly Parton”, jedna z dwóch kobiet rabujących banki, którymi zajmowała się Pollard, miała ogromne piersi i wcześniej pracowała jako striptizerka; z kolei „Munchkinowie” nazwani zostali tak z powodu niskiego wzrostu.

– No jasne. Pamiętam cię. Słyszałem, że odeszłaś z FBI – powiedział Fitch.

– Zgadza się. Posłuchaj. Możesz powiedzieć mi coś o Marczenke i Parsonsie?

– Marczenko i Parsons nie żyją.

– To wiem. Ale czy dalej prowadzicie ich sprawę?

Fitch nie odzywał się, co nie wróżyło dobrze. Chociaż jednostki FBI i policji Los Angeles świetnie się ze sobą dogadywały, regulamin zabraniał udzielania informacji zwykłym obywatelom.

– Wróciłaś do służby? – zapytał.

– Nie. Zwracam się z zapytaniem jako osoba prywatna.

– Co to znaczy „osoba prywatna”? Dla kogo pracujesz?

– Dla nikogo. Próbuję coś ustalić dla znajomego. Chcę się dowiedzieć, czy ci czterej policjanci, którzy zginęli w zeszłym tygodniu, rozpracowywali sprawę Marczenki i Parsonsa.

Ton, jaki przybrał, był tak wymowny, że Pollard mogła sobie świetnie wyobrazić, jak Fitch przewraca oczami.

– Ach, teraz rozumiem. Ojciec Holmana. Ten facet zaczyna być naprawdę męczący.

– Stracił syna.

– Słuchaj, jak do jasnej cholery udało mu się wciągnąć w to ciebie?

– To ja wsadziłam go do pudła.

Fitch roześmiał się, ale śmiech nagle się urwał, jakby ktoś go wyłączył.

– Nie mam pojęcia, o czym Holman gada, poza tym nie mogę ci odpowiedzieć. Nie jesteś upoważniona.

– Syn Holmana mówił żonie, że zajmuje się jakąś sprawą.

– Marczenko i Parsons nie żyją. Proszę więcej do mnie nie dzwonić, agentko Pollard.

W słuchawce zapanowała głucha cisza.

Pollard siedziała z głuchym telefonem i zimnym pączkiem w ręku, analizując przebieg rozmowy.

Fitch powtarzał, że Marczenko i Parsons nie żyją, ale nie zaprzeczył, że nadal toczy się śledztwo. Zastanawiała się dlaczego i miała pomysł, jak się tego dowiedzieć. Zadzwoiła z telefonu komórkowego do April Sanders.

– Agentka specjalna Sanders.

– Zgadnij, gdzie jestem?

Sanders ściszyła głos. Miała zwyczaj mówić szeptem, kiedy ktoś dzwonił do niej w osobistej sprawie. Nie rozmawiały ze sobą od czasu śmierci Marty'ego i ucieszyło ją to, że April Sanders nic się nie zmieniła.

– O mój Boże... to naprawdę ty?

– Jesteś w biurze?

– Tak, ale zaraz wychodzę. Jesteś gdzieś w pobliżu?

– U Stana i mam dla ciebie pączki. Poślij na dół kogoś z odznaką.

W siedzibie FBI w Westwood urzędowało tysiąc stu agentów, podlegało im Los Angeles i przyległe okręgi. Był to wysoki biurowiec ze szkła i stali, sterczący samotnie pośród rozległych parkingów na terenie, który należał do najdroższych w całych Stanach Zjednoczonych. Agenci często żartowali, że rząd mógłby pokryć deficyt budżetowy, zamieniając ich biura na mieszkania własnościowe.

Pollard postawiła samochód w miejscu przeznaczonym dla osób prywatnych. Zgłosiła się do dyżurnego i czekała na umówioną eskortę. Nie wystarczyło zadzwonić z dołu po przepustkę. Nie można było po prostu wejść do windy i nacisnąć guzik jednego z ośmiu pięter zajmowanych przez FBI. Goście i agenci musieli włożyć specjalną kartę magnetyczną do czytnika i wprowadzić numer ważnej odznaki, żeby uruchomić windę.

Po chwili otworzyły się drzwi windy i wysiadł z niej cywilny pracownik. Rozpoznał Pollard po firmowym pudełku od Stana i poprosił ją do windy.

– Pani Pollard?

– To ja.

– Pani do Banków, tak?

– Zgadza się.

Oficjalna nazwa brzmiała, Federalne Biuro Śledcze, Oddział Terenowy w Los Angeles, Zespół Bankowy, ale agenci, którzy tu pracowali, posługiwali się własnym określeniem – Banki. Pracownik zawiózł ją na trzynaste piętro i przeprowadził przez drzwi otwierane specjalnym kodem. Pollard ostatni raz przechodziła przez te drzwi osiem lat temu. Teraz miała wrażenie, jakby nigdy nie odeszła ze służby.

Zespół Bankowy zajmował duże nowoczesne pomieszczenie biurowe, podzielone na pojedyncze stanowiska pracy przepierzeniami w kolorze morskiej zieleni. Stanowiska były schludne, czyste i nijakie, i mogłyby należeć do firmy ubezpieczeniowej albo czołowej spółki giełdowej, gdyby na ścianach nie wisiały zdjęcia dziesięciu najbardziej poszukiwanych rabusiów napadających na banki. Fotografie te wywołały u Pollard mimowolny uśmiech. Ktoś przykleił do trzech najwyżej umieszczonych wizerunków karteczki z imionami „Larry”, „Moe” i „Curry”.

Na terenie Los Angeles i siedmiu przyległych okręgów dochodziło do ponad sześciuset napadów na banki rocznie – co oznaczało trzy napady każdego dnia roboczego, pięć dni w tygodniu, pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku (rabusie odpoczywali w soboty i niedziele, bo większość banków była wtedy nieczynna). Każdego dnia ofiarą rabusiów padało tyle banków, że agenci bez przerwy wzywani byli do akcji i rzadko przebywali w biurze. Ten dzień niczym się nie różnił od innych i wchodząc do biura, Pollard dojrzała tylko trzech z dziesięciu agentów tworzących elitarny Zespół Bankowy. Łysy jak kolano Afroamerykanin o jasnym odcieniu skóry, Bill Cecil, zajęty był rozmową z młodym agentem, którego Pollard nie znała. Cecil uśmiechnął się na jej widok, a April Sanders wybiegła, by ją powitać.

Sanders, z wystraszoną miną, zasłoniła usta, żeby nie można było czytać z ruchu jej warg. Cierpiała na ostrą manię prześladowczą. Wierzyła, że ktoś śledzi jej rozmowy i przegląda e-maile, a w damskiej toalecie jest zamontowany podsłuch. Wierzyła, że męska toaleta też jest na podsłuchu, ale to jej nie dotyczyło.

– Powinnam cię uprzedzić – szepnęła – że Leeds jest w biurze.

Christopher Leeds był szefem Zespołu Bankowego. Dowodził tą jednostką w genialny sposób od niemal dwudziestu lat.

– Nie musisz mówić szeptem – odparła Pollard. – Leeds nic do mnie nie ma.

– Ciii!

– Nikt nas nie podsłuchuje, April.

Rozejrzały się dookoła i zobaczyły, że Cecil i jego rozmówca nadstawiają uszu. Pollard wybuchła śmiechem.

– Byczy Bill, przestań!

Byczy Bill Cecil podniósł się powoli. Nie był wysoki; przydomek Byczy Bill zawdzięczał swej budowie. Był agentem o najdłuższym stażu w zespole, jeśli nie liczyć Leedsa.

– Cieszę się, że cię widzę, moja pani. Jak maluchy?

Cecil zawsze zwracał się niej „moja pani”. Kiedy Pollard dołączyła do zespołu, Leeds – podobnie jak teraz – był w takim samym stopniu geniuszem jak koszmarnym tyranem. Cecil wziął ją wtedy pod swoje skrzydła, doradzał jej, pocieszał i uczył, jak sprostać surowym wymaganiom Leedsa. Trudno było o miłszego człowieka niż Cecil.

– Dobrze się chowają. Dzięki, Bill. Ale ty jesteś coraz grubszy.

Cecil popatrzył na pudełko z pączkami.

– I zaraz będę jeszcze grubszy. Mam nadzieję, że znajdzie się dla mnie pączek.

Pollard poczęstowała Cecila i jego kolegę, który przedstawił się jako Kevin Delaney.

Rozmawiali sobie w najlepsze, kiedy zza rogu wyłonił się Leeds. Delaney natychmiast wrócił do swojego biurka, a Sanders schowała się w swojej przegrodzie. Cecil, który był tuż przed emeryturą, posłał szefowi szeroki uśmiech.

– Hej, Chris, zobacz, kto złożył nam wizytę.

Leeds był wysokim mężczyzną pozbawionym poczucia humoru. Słynął z nieskazitelných garniturów i błyskotliwości w rozpracowywaniu wielokrotnych rabusiów. Wielokrotnych rabusiów ścigano mniej więcej w taki sam sposób jak seryjnych morderców. Sporządzano ich charakterystyki i na tej podstawie ustalano wzorce ich działania. Wykorzystując te wzorce, można było pokusić się o przewidywania, kiedy i gdzie dokonają następnego napadu. Leeds cieszył się zasłużoną sławą w tej dziedzinie. Banki były jego pasją, a agentów wchodzących w skład zespołów wybierał osobiście. Do pracy przyjeżdżało się przed Leedsem i nikt nie śmiał wyjść wcześniej niż Leeds. A Leeds rzadko wychodził z pracy. Na każdego spadał ogrom obowiązków, ale Zespół Bankowy

Terenowego Oddziału FBI w Los Angeles należał do ścisłej czołówki i Leeds dobrze o tym wiedział. Praca w tym zespole stanowiła zaszczyt. Kiedy Pollard złożyła wypowiedzenie, Leeds potraktował to jak osobistą zniewagę. W dniu kiedy odchodziła ze służby, w ogóle się do niej odezwał.

Teraz przyglądał się jej, jakby jej nie kojarzył, ale w końcu skinął głową.

– Witaj, Katherine.

– Cześć, Chris. Wpadłam zobaczyć, co porabiacie. Co u ciebie?

– Mnóstwo pracy, jak zawsze.

Leeds spojrzał w kierunku Sanders.

– Masz dołączyć do Dugana w Montclair. Potrzebuje wsparcia w jedykach. Powinno cię tu nie być od dziesięciu minut.

„Jedynki” były wywiadami jeden na jeden przeprowadzanymi ze świadkami na miejscu wydarzeń. Wypytywano sklepikarzy, robotników i przechodniów w nadziei, że któryś z nich zauważył sprawców albo samochód, którym odjechali.

Sanders wyjrzała zza przepierzenia.

– Już leczę, szefie.

Leeds zwrócił się do Cecila i zastukał w zegarek.

– Spotkanie. Już czas.

Cecil i Delaney pospiesznie ruszyli do wyjścia, a Leeds odwrócił się jeszcze na chwilę do Pollard i powiedział:

– Ta kartka, którą mi wtedy wysłałaś... To miło z twojej strony. Dziękuję.

Trzy lata temu zmarła żona Leedsa, niemal dwa miesiące po śmierci Marty'ego. Kiedy Pollard się o tym dowiedziała, napisała do Leedsa. Nie odpowiedział jej.

– Cieszę się, że nas odwiedziłaś, Katherine. Mam nadzieję, że nadal nie żałujesz swojej decyzji.

Pollard nie zdążyła mu odpowiedzieć, gdyż Leeds zaraz wyszedł za Cecilem i Delaneyem, poważnym niczym grabarz w drodze na cmentarz.

Pollard podeszła z paczkami do biurka Sanders.

– Kurczę, są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają.

Sanders sięgnęła do pudełka.

– Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o moim tyłku.

Roześmiały się, ciesząc się chwilą, lecz Sanders nagle zmarszczyła brwi.

– Cholera, słyszałaś, co powiedział. Przepraszam, Kate, ale muszę się zwijać.

– Słuchaj, nie przyszedłam tylko po to, żeby opychać się z tobą pączkami. Potrzebuję pewnych informacji.

Sanders zrobiła podejrzliwą minę i znów ściszyła głos.

– Jedźmy pączki. Nasze głosy będą zniekształcone.

– Dobra, częstuj się.

Wzięły sobie po pączku.

– Chodzi mi o Marczenkę i Parsonsa. Zamknęliście ich sprawę? – spytała Pollard.

Sanders odpowiedziała z pełnymi ustami.

– Przecież Marczenko i Parson zostali zabici. Ci faceci są martwi. Dlaczego się nimi interesujesz?

Pollard spodziewała się tego pytania i już wcześniej zastanawiała się, jak powinna koleżance odpowiedzieć. Sanders pracowała z nią w zespole, kiedy wytropili i przyskrzynili Holmana. Mimo że Holman swoją postawą zyskał uznanie, wielu agentom nie podobał się szum, jakiego wokół jego osoby narobił „Los Angeles Times”, nadając mu przydomek Bandyta Bohater. W zespole nazywano Holmana „Plaźowiczem” z powodu jego opalenizny, kwiecistych koszul i okularów przeciwsłonecznych. Rabusie napadający na banki nie byli bohaterami.

– Wróciłam do pracy. Wychowanie dwójki dzieci sporo kosztuje – powiedziała Pollard.

Nie chciała okłamywać koleżanki, ale nie można było tego pytania obejść inaczej. Poza tym nie było to zupełne kłamstwo. Brzmiało niemal jak prawda.

– Gdzie teraz pracujesz?

– W prywatnej firmie, zajmuję się bezpieczeństwem w bankowości.

Sanders skinęła głową. Agenci, którzy odchodzili ze służby, często zatrudniali się w firmach ochroniarskich albo mniejszych sieciach bankowych.

– W każdym razie słyszałam, że policja nadal prowadzi tę sprawę. Wiesz coś o tym? – spytała Pollard.

– Nie. A dlaczego mieliby się nią zajmować?

– Miałam nadzieję, że dowiem się od ciebie.

– Sprawa jest zamknięta, u nas i w policji.

– Jesteś pewna?

– Po co do tego wracać? Załatwiliśmy ich. A Marczenko i Parsons nie mieli wspólników w bankach ani na zewnątrz. Sprawdziliśmy to – mówię poważnie, sprawdziliśmy – i wiemy. Nie znaleźliśmy dowodów na udział innych osób, więc nie było powodu, żeby dalej prowadzić śledztwo. Policja doskonale o tym wie.

Pollard wróciła myślami do rozmowy z Holmanem.

– Czy Marczenko i Parsons mieli jakieś powiązania z gangiem Frogtown?

– Nie. Nic na to nie wskazywało.

– A z innymi gangami?

Sanders ścisnęła pączka kciukiem i palcem serdecznym i odliczyła na pozostałych palcach kolejne punkty, które zamierzała przedstawić.

– Przesłuchaliśmy matkę Marczenki, właściciela mieszkania, które wynajmowali, listonosza, faceta w wypożyczalni wideo, z której korzystali, i sąsiadów. Ci faceci nie mieli przyjaciół ani kolegów. Nie powiedzieli nikomu – absolutnie nikomu – że obrabiają banki. Dają głowę, że nie mieli żadnych wspólników. I jeśli nie liczyć zestawu odpustowych złotych naszyjników i roleksa za dwa tysiące dolarów, nie rozstawali się z forszą. Żadnych szpanerskich wozów, sygnetów z brylantami... Mieszkali w norze.

– Musieli trochę wydać. Odzyskaliście tylko dziewięćset tysięcy.

Dziewięćset tysięcy dolarów stanowiło pokaźną sumę, ale Marczenko i Parsons złupili dwanaście skarbców. Czytając artykuły u Stana, Pollard zrobiła obliczenia. Szuflady przy stanowiskach obsługi w najlepszym razie zawierały kilka tysięcy dolarów, ale ze skarbcia można było zgarnąć dwieście, trzysta tysięcy, czasami nawet więcej. Zakładając, że Marczenko i Parsons wynieśli z każdego skarbcia trzysta tysięcy, dawało to łącznie trzy miliony sześćset dolarów, czyli brakowało dwa i pół miliona. Nie zdziwiło to szczególnie Pollard, gdyż raz złapała złodzieja, który potrafił w jedną noc przepuścić na

striptizerki i tancerki w klubach dwadzieścia tysięcy, a jeden gang z South Central po napadzie latał do Las Vegas, gdzie urządzał orgie za dwieście tysięcy dolarów z wynajętymi odrzutowcami, kokainą i pokerem. Pollard sądziła, że Marczenko i Parsons po prostu roztrwonili resztę forsy.

Sanders skończyła pączka.

– Nie roztrwonili. Ukryli gdzieś. Te dziewięćset, które odzyskaliśmy, to był niesamowity widok. Parsons zrobił sobie z nich materac. Pewnie podniecało go, że śpi na pieniądzach.

– Ile w sumie ukradli?

– Szesnaście milionów dwieście, od tego trzeba odliczyć te dziewięćset, które odzyskaliśmy.

Pollard zagwizdała.

– Jezu Chryste, to kupa forsy. Co oni z nią zrobili?

Sanders patrzyła na pozostałe pączki, ale w końcu zamknęła pudełko.

– Nie znaleźliśmy żadnych dowodów zakupów, wpłat, przelewów, darowizn, nie znaleźliśmy niczego, żadnych kwitów. Prowadzili skromny tryb życia. Sprawdziliśmy ich rozmowy telefoniczne w ciągu całego ostatniego roku, przyjrzeliliśmy się każdemu, do kogo dzwonili – nic. Przycisnęliśmy tę staruszkę, matkę Marczenki, co za wredne babsko ta Ukrainka. Leeds był pewny, że wiedziała, co się święci, ale w końcu musieliśmy odpuścić. Nie stać jej było nawet na lekarstwa. Nie mamy pojęcia, co zrobili z forszą. Prawdopodobnie leży sobie w jakiejś przechowalni.

– I daliście za wygraną?

– Oczywiście. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

Zadaniem zespołu było łapanie przestępców rabujących banki. Po schwyтaniu sprawcy konkretnego napadu starano się odzyskać skradzione pieniądze, ale w końcu trzeba było skupić się na tych pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu bandytach, którzy nadal napadali na banki. Pollard wiedziała, że zadanie odzyskania brakujących pieniędzy powierzano firmom ubezpieczeniowym, chyba że pojawiały się nowe dowody, wskazujące na jakiegoś przebywającego na wolności współnika.

– Może jednak komenda nie zamknęła tej sprawy? – spytała Pollard.

– Nieee, współpracowaliśmy ściśle z wydziałem specjalnych napadów rabunkowych i razem z nimi trafiliśmy na mur nie do przebiccia. Ta sprawa jest zamknięta. Jedyne banki mogły zlecić jakieś wspólne dochodzenie. Nie wiem, ale mogę sprawdzić, jeśli chcesz.

– Będę ci wdzięczna.

Pollard rozważała poznane fakty. Jeśli Sanders twierdziła, że sprawa jest zamknięta, to na pewno tak było, ale syn Holmana mówił żonie, że pracuje nad tą sprawą. Niewykluczone więc, że policja wpadła na trop brakujących milionów.

– Słuchaj, mogłabyś wydobyć dla mnie z komendy głównej kopie akt tej sprawy?

– Nie wiem. Może.

– Chciałabym zobaczyć listę świadków. Waszą też. Może trzeba będzie przepytąć tych ludzi.

Sanders wahała się. Nagle wstała, żeby upewnić się, że biuro jest puste. Spojrzała na zegarek.

– Leeds mnie ukatrupi. Muszę lecieć.

– To co z tą listą?

– Tylko postaraj się, żeby Leeds o tym nie wiedział. Dobierze się do mnie jak nic.

– Przecież mnie znasz.

– Przefaksuję ci to jutro.

Pollard wyszła z budynku w towarzystwie koleżanki i sama wróciła do samochodu. Była pierwsza czterdzieści pięć. Matka na pewno próbowała zagonić chłopców, żeby posprząkali swój pokój. Pollard nie spieszyło się do domu. Miała pomysł, jak uzyskać odpowiedzi na interesujące ją pytania, ale do tego potrzebna jej była pomoc Holmana. Znalazła numer jego komórki zapisany na kopercie i wybrała go.

Po spotkaniu z Pollard Holman wrócił do samochodu i zadzwonił do Perry'ego, żeby powiadomić go, co dzieje się z jego ręką.

- Dwóch facetów przyprowadzi twój samochód. Postawią go na zapleczu.
- Zaraz, zaraz. Pozwalasz jakimś frajerom prowadzić mój samochód? Skąd ci przyszedł do głowy taki głupi pomysł?
- Mam nowy wóz, Perry. Sam nie dam rady go odwieźć.
- Lepiej, żeby ten gnojek nie zaliczył mandatu, bo każę go zapłacić tobie.
- Mam telefon komórkowy. Podam ci numer.
- Po co? Żebym mógł w razie czego zadzwonić, że twoi pieprzeni kołesie zwinęli mi wóz?

Holman podał mu numer i rozłączył się. Perry był męczący.

Holman obszedł Westwood, szukając knajpy, gdzie mógłby coś zjeść. Większość mijanych restauracji wymagała odpowiedniego stroju, a Holman od spotkania z Pollard był przeczulony na punkcie swojego wyglądu. Chociaż rano starannie wyprasował ubranie, zdawał sobie sprawę, że rzeczy, które nosi, są tandetne. Kupił je jeszcze w więzieniu w sklepach z używaną odzieżą, za zarobione w czasie odsiadki pieniądze. Już od jakichś dziesięciu lat były niemodne. Zatrzymał się przed sklepem z markowymi ubraniami i patrzył na wychodzących klientów objuczonych wielkimi torbami firmowymi. Mógłby sobie sprawić nowe dzinsy i kilka koszul, ale źle by się czuł, wydając pieniądze Chee na ciuchy, więc wyperswadował to sobie. Przecnicę dalej za dziewięć dolarów kupił na ulicznym stoisku okulary przeciwsłoneczne Ray-Ban Wayfarer. Było mu w nich do twarzy. Dopiero dwie przecznice dalej uzmysłowił sobie, że nosił okulary w takim stylu, kiedy napadał na banki.

Znalazł restaurację Burger King naprzeciw głównej bramy uniwersytetu stanowego, zamówił whoppera z frytkami i usiadł przy stoliku. Wyjął instrukcję obsługi swojego telefonu, ustawił pocztę głosową i zaczął wprowadzać do pamięci telefonu numery, które nosił w portfelu zapisane na kartce. Nagle rozległ się dźwięk dzwonka.

Holman z początku myślał, że wcisnął nieodpowiedni klawisz, ale zorientował się, że ktoś do niego dzwoni. Przypomniał sobie po chwili, że trzeba wcisnąć klawisz ze słuchawką, żeby przyjąć rozmowę.

– Słucham? – powiedział.

– Holman, tu Katherine Pollard. Mam do ciebie pytanie.

Holman pomyślał, że coś się stało. Rozstali się przecież godzinę temu.

– Jasne.

– Widziałeś się albo rozmawiałeś z wdową po Fowlerze?

– Tak. Spotkaliśmy się na pogrzebie.

– To dobrze. Jedziemy ją odwiedzić.

– Teraz?

– Dlaczego nie? Mam akurat trochę wolnego. Spotkamy się w Westwood. Przy Broxton, zaraz obok Weyburn Jest księgarnia, która przylega do wielopoziomowego parkingu. Zostaw tam samochód i odszukaj mnie przed księgarnią. Ja będę prowadzić.

– Dobra, nie ma sprawy, ale po co do niej jedziemy? Dowiedziałeś się czegoś?

– Zwróciłam się do dwóch osób z zapytaniem, czy policja prowadzi dochodzenie w tej sprawie, i obie zaprzeczyły, ale całkiem możliwe, że jednak coś w tym jest. Wdowa po Fowlerze może coś wiedzieć.

– Skąd to przypuszczenie?

– Twój syn powiedział swojej żonie, prawda?

Prostota tej dedukcji urzekła Holmana.

– Może powinniśmy ją uprzedzić? Poza tym mogła gdzieś wyjść.

– Trzeba działać przez zaskoczenie. Kiedy się do nich dzwoni, zawsze odmawiają. Zaryzykujemy. Za ile minut będziesz w Westwood?

– Już jestem w Westwood.

– To do zobaczenia za pięć minut.

Holman rozłączył się, żałując, że nie sprawił sobie jednak nowych ciuchów.

Kiedy wyszedł z parkingu, zobaczył Pollard czekającą na niego w niebieskim subaru, z podniesionymi szybami, na jałowym biegu. Samochód miał już swoje lata i prosił się, żeby go umyć. Holman wszedł do środka i zatrzasnął drzwi.

– Szybko się do mnie odezwałaś, naprawdę – powiedział.

Pollard ruszyła z piskiem opon.

– Dziękuję za uznanie. Słuchaj... musimy dowiedzieć się od tej kobiety trzech rzeczy. Czy jej mąż brał udział w jakimś dochodzeniu, które miało związek z Marczenką i Parsonsem? Czy powiedział jej, dlaczego wyszedł tamtej nocy na spotkanie z twoim synem i resztą, i co planowali wtedy zrobić? I czy kiedykolwiek wspomniał o powiązaniach Marczenki i Parsons'a z gangiem Frogtown albo jakimkolwiek innym gangiem? Zapamiętałaś? W ten sposób zdobędziemy potrzebne nam informacje.

Holman przyglądał się jej.

– To tak wyglądała twoja praca w Feeb?

– Nie używaj tego określenia, Holman. Ja mogę mówić na FBI Feeb, ale w twoich ustach to brzmi lekceważąco, a ja sobie tego nie życzę.

Odwrócił się i spojrzał za okno. Czuł się jak dzieciak, który oberwał po łapach za to, że żuje gumę z otwartymi ustami.

– Tylko bez dąsów. Nie obrażaj się, proszę. Nie bawię się w ceregiele, bo mamy wiele spraw do załatwienia, a czas nagli. To ty się do mnie zwróciłaś, pamiętasz?

– Wiem. Przepraszam.

– Dobra. Ona mieszka w Canoga Park. To około dwudziestu minut jazdy, jeśli zdążymy przed szczytem.

Holman był urażony, ale podobało mu się to, że przejęła inicjatywę i rwie się do działania. Uznał, że to świadczy o jej doświadczeniu i profesjonalizmie.

– Dlaczego uważasz, że coś się dzieje, chociaż twoi znajomi twierdzą, że sprawa jest zamknięta?

Pollard nagle obróciła głowę niczym pilot myśliwca na patrolu i w pełnym pędzie wjechała swoim subaru na autostradę 405, kierując się na północ. Holman trzymał się fotela, zastanawiając się, czy ona zawsze tak prowadzi.

– Nigdy nie odzyskali łupu – odparła.

– Przecież znaleźli dziewięćset tysięcy w ich mieszkaniu. Pisały o tym gazety.

– To tylko ułamek. Ci faceci zgarnęli łącznie ponad szesnaście milionów. Te pieniądze przepadły.

Holman wpatrywał się w nią.

– To kupa pieniędzy.

– Zgadza się.

– Ja pieprzę.

– Właśnie.

– Gdzie się podziała ta forsa?

– Nie wiadomo.

Kierowali się na przełęcz Sepulveda. Holman spojrzął przez boczną szybę. Miasto rozciągało się jak okiem sięgnąć.

– I cała ta forsa... gdzieś tam jest? – spytał.

– Tylko nie wspominaj o niej wdowie po Fowlerze, dobrze? Jeśli ona poruszy ten temat, to w porządku, punkt dla nas. Ale chodzi o to, żeby wybadać, co ona wie. Nie chcemy podsuwać jej pomysłów. To się nazywa „zarażaniem świadka”.

Myśli Holmana wciąż zajęte były brakującymi szesnastoma milionami. Jego największy łup z jednego skoku wynosił trzy tysiące sto dwadzieścia siedem dolarów. Łącznie podczas wszystkich swoich dziewięciu napadów zgarnął osiemnaście tysięcy dziewięćset czterdzieści dwa dolary.

– Myślisz, że wciąż próbują ją odnaleźć?

– Szukanie brakujących pieniędzy nie należy do obowiązków policji. Ale gdyby wpadli na trop kogoś, kto świadomie przyjął skradziony łup, przechowywał go dla Marczenki i Parsonsa albo wszedł w jego posiadanie, wtedy owszem, mieliby za zadanie przeprowadzić śledztwo.

Zostawili za sobą przełęcz i pędzili na pomoc przez Ventura Interchange. Przed sobą mieli dolinę San Fernando, ciągnącą się ze wschodu na zachód i na północ aż po góry Santa Susana, usianą domami i biurami, w których żyło i pracowało mnóstwo

ludzi. Myśli Holmana nadal krążyły wokół Marczenki i Parsonsa. Brakujące szesnaście milionów nie dawało mu spokoju. Łup mógł być ukryty gdziekolwiek.

– Na pewno szukali tych pieniędzy. Nie można sobie odpuścić takiej forszy – powiedział.

Pollard roześmiała się.

– Holman, nie uwierzyłbyś, ile forszy przepada bez śladu. Inaczej jest, kiedy bierzemy faceta żywcem, tak jak ciebie. Łapiemy faceta, a on oddaje wszystko, co mu zostało, żeby pójść na ugodę. Ale gdy ma się do czynienia z takimi narwańcami jak Marczenko i Parsons, którzy wolą dać się zabić... Milion dwieście tu, pięćset tysięcy tam, jak kamień w wodę, nigdy się nie znajduje. A przynajmniej znalazca nam tego nie zgłasza.

Holman spojrział na nią. Pollard uśmiechała się.

– To niesamowite. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

– Banki pilnują, żeby wiadomości o tych stratach nie dostały się do gazet. To tylko zachęciłoby kolejnych idiotów do napadów. Tak czy owak słuchaj, znajoma załatwi mi policyjne akta tej sprawy. Jak tylko je dostaniemy, dowiemy się, co jest grane i do kogo uderzyć, więc nie przejmuj się tym. Tymczasem postaramy się jak najwięcej wydobyć z tej kobiety. Kto wie, może Fowler o wszystkim jej mówił.

Skinął głową, ale się nie odezwał. Spoglądał na roztaczającą się za oknem samochodu dolinę, skupisko domów i budynków na obszarze ciągnącym się po góry, pocięte cienistymi wąwozami. Niektórzy ludzie nie cofnęliby się przed niczym, żeby zdobyć szesnaście milionów. Zabicie czterech policjantów było drobnostką.

Fowlerowie mieszkali w niewielkim budynku, na osiedlu składającym się z niemal identycznych domów; wszystkie miały tynkowane elewacje, wielowarstwowe dachy i ogródeczki charakterystyczne dla okresu powojennej rozbudowy. Ozdobą ogródków były wiekowe drzewka pomarańczowe, ich pnie były poczerńałe i poskręcane ze starości. Holman domyślił się, że osiedle zbudowano na miejscu dawnego sadu pomarańczowego. Drzewka były starsze niż domy.

Drzwi otworzyła im Jackie Fowler, ale teraz wydała się Holmanowi toporną wersją kobiety, którą poznał na pogrzebie. Była nieumalowana, twarz miała obwisłą, cerę szorstką. Nie pamiętała go i patrzyła na niego nieprzyjaźnie. Holman poczuł się nieswojo. Żałował, że nie uprzedzili jej telefonicznie.

– Pani Fowler, jestem Max Holman, ojciec Richarda Holmana. Spotkaliśmy się na pogrzebie.

Pollard wręczyła jej bukietik stokrotek. Po drodze zajęła do kwiaciarni Vons Market w Canoga Park.

– Nazywam się Katherine Pollard. Pani Fowler, niezmiernie mi przykro z powodu śmierci pani męża.

Jackie Fowler wzięła machinalnie kwiaty, potem spojrzała na Holmana.

– Racja. Stracił pan syna.

– Czy moglibyśmy na chwilę wejść, pani Fowler? – zapytała Pollard. – Chcemy złożyć kondolencje, a Max chciałby porozmawiać z panią o swoim synu, jeśli znajdzie pani dla nas trochę wolnego czasu.

Holman był pełen podziwu dla Katherine. W ciągu tego krótkiego czasu, jaki zabrało im dojście do drzwi, przeobraziła się z szalonego kierowcy gadającego jak katarynka w niosącą pociechę kobietę o łagodnym głosie i życzliwym spojrzeniu.

Wdowa zaprowadziła ich do czystego i schludnego salonu. Holman dostrzegł na stoliku przy sofie otwartą butelkę wina, ale nie zobaczył kieliszka. Zerknął na Pollard w nadziei, że coś mu podpowie, ale Pollard nie odstępowała wdowy.

– Musi być pani teraz naprawdę ciężko. Jak pani sobie radzi? Potrzebuje pani czegoś? – spytała Pollard.

– Mam czterech synów, wie pani. Najstarszy wybiera się do policji. Pytam go, czy zwariował.

– Niech zostanie prawnikiem. Prawnicy zarabiają prawdziwe pieniądze.

– Ma pani dzieci?

– Dwóch chłopaków.

– To wie pani, jak to jest. To, co powiem, zabrzmie strasznie, ale wie pani, co zawsze mówiłam? Jeśli ma zginąć, to błagam, Boże, niech rozjedzie go po pijanemu jakaś

gwiazda filmowa. Przynajmniej mogłabym domagać się odszkodowania. Ale nie – musiał dać się zastrzelić jakiemuś golcowi, latynoskiemu główniarzowi.

Pani Fowler spojrzała na Holmana.

– Powinniśmy się tym zająć – ja, pan i pozostałe rodziny. Podobno nie można wycisnąć wody z kamienia, ale kto wie? Napijcie się wina? Miałam właśnie nalać sobie lampkę, pierwszą dzisiaj.

– Ja dziękuję, ale proszę się nie krępować – odparł Holman.

– A ja poproszę – powiedziała Pollard.

Wdowa kazała im się rozgościć i przeszła do jadalni. Na stole stała jeszcze jedna otwarta butelka wina. Nalała dwie lampki i wróciła do salonu. Podała jeden napełniony kieliszek Pollard. Holman zorientował się, że wdowa po Fowlerze zdążyła już zaliczyć dzisiaj dużo więcej niż jedną lampkę wina.

Usiadła przy nich i zapytała:

– Czy znał pan Mike'a? Przyjechał pan o nim porozmawiać?

– Nie, proszę pani. Mojego syna też nie zdążyłem bliżej poznać. Właściwie to z jego powodu postanowiłem panią odwiedzić. Moja synowa, żona Richiego, powiedziała mi, że Mike Fowler był jego opiekunem w czasie stażu. Chyba się zaprzyjaźnili.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Właściwie prowadziliśmy osobne życie pod jednym dachem. Pan też jest z policji?

– Nie, proszę pani.

– To pan siedział w więzieniu? Ktoś na pogrzebie mówił coś o byłym skazańcu.

– Tak. To o mnie chodziło. Jestem ojcem Richarda Holmana.

– Jezu. To musiało być przeżycie. Za co pana wsadzili?

– Obrabowałem bank.

– Ja służyłam w policji, pani Fowler – wtrąciła Pollard. – Nie wiem jak pani, ale Max ma w związku z tymi morderstwami sporo pytań i wątpliwości, na przykład, dlaczego jego syn nagle w środku nocy wyszedł z domu. Czy mąż mówił pani coś o tym?

Wdowa napiła się wina i machnęła lekceważąco ręką, w której trzymała kieliszek.

– Mike często wychodził w środku nocy. Rzadko kiedy przebywał w domu.

Pollard zerknęła na Holmana, kiwając głową na znak, że teraz jego kolej.

– Max, może powiesz pani, co mówiła twoja synowa? O telefonie, jaki Richie odebrał tamtej nocy.

– Moja synowa twierdzi, że Mike Fowler zadzwonił do Richiego w środku nocy. Richie był w domu, ale po tym telefonie wyszedł na spotkanie z pani mężem i pozostałymi policjantami.

Wdowa prychnęła.

– Wiem jedno, Mike na pewno nie dzwonił do mnie. Był wtedy na służbie. Wracał do domu, kiedy chciał, takie panowały tu zwyczaje. Nigdy nie raczył mnie uprzedzać telefonicznie.

– Pomyślałem, że może coś wspólnie rozpracowywali.

Wdowa chrząknęła i napiła się wina.

– Po prostu chlali. Mike był pijakiem. Znacie tych dwóch pozostałych – Mellona i Asha? Mike też był ich opiekunem w czasie stażu.

Pollard spojrzała na Holmana, a ten wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem.

– Może pokażesz pani bilingi Richiego?

Holman wyjął kopie rachunków telefonicznych.

– Co to jest? – spytała wdowa.

– Bilingi mojego syna z ostatnich miesięcy, wykaz rozmów, jakie przeprowadził. Widzi pani te czerwone kropki?

– To numer telefonu Mike'a.

– Zgadza się. Żółte kropki oznaczają Asha, a zielone Mellona. Richie dzwonił do pani męża dwa, trzy razy dziennie, prawie codziennie. Rzadko rozmawiał przez telefon z Ashem i Mellonem, ale z pani mężem kontaktował się bardzo często.

Wdowa uważnie oglądała wykaz, jakby studiowała klauzulę napisaną drobnym drukiem w kontrakcie swego życia, potem zerwała się na równe nogi.

– Pokażę wam coś, zaczekajcie. Na pewno nie napije się pan wina?

– Dziękuję, pani Fowler, ale od dziesięciu lat nie biorę alkoholu do ust. Kiedy napadałem na banki, piłem na umór.

Wdowa prychnęła i odeszła, jakby to wyznanie nie zrobiło na niej większego wrażenia niż wiadomość, że siedział w więzieniu.

– Świetnie ci idzie – pochwaliła go Pollard.

– Nic nie wiedziałem, że Fowler był opiekunem Asha i Mellona w czasie stażu.

– Nie przejmuj się. Świetnie sobie radzisz.

Wdowa wróciła z plikiem świstków i usiadła na sofie, przerzucając karteluszeki.

– Czy to nie dziwne? Pan sprawdził rozmowy telefoniczne syna, ja zrobiłam to samo, to znaczy, sprawdziłam rozmowy męża, nie pańskiego syna.

Pollard odstawiła kieliszek z winem. Holman spostrzegł, że było nietknięte.

– Czy Mike powiedział coś, co wzbudziło pani podejrzenia? – spytała Pollard.

– To, że nic mi nie mówił, wzbudziło moje podejrzenia. Wciąż odbierał jakieś rozmowy, ale nie dzwoniono na stacjonarny telefon, tylko na komórkę. Zawsze nosił przy sobie komórkę. To cholerstwo nagle dzwoniło i Mike gdzieś zniknął.

– Mówił coś?

– Że wychodzi, to wszystko. Po prostu: „Wychodzę”. Co miałam myśleć? Każda kobieta na moim miejscu zaczęłaby coś podejrzewać.

Pollard pochyliła się do niej.

– Że mąż panią zdradza.

– Pieprzy na boku jakąś zdziwę, tak sobie pomyślałam, przepraszam za wyrażenie. Postanowiłam sprawdzić, do kogo tak wydzwaniał i kto bez przerwy wydzwaniał do niego. Proszę zobaczyć, tutaj, na wykazie rozmów z jego komórki...

W końcu znalazła to, czego szukała, i pochyliła się do przodu, żeby pokazać Holmanowi wydruki. Pollard podeszła i usiadła obok Holmana, żeby na nie popatrzeć.

– Nie znałam żadnego z tych numerów, ale wiecie, co zrobiłam? – powiedziała wdowa.

– Zadzwoiła pani pod te numery? – powiedziała Pollard.

– Właśnie. Myślałam, że umawiał się z dziwkami, ale okazało się, że wydzwaniał do pańskiego syna, do Asha i do Mellona. Szkoda, że nie wpadłam na ten pomysł z kropkami. Spytałam go, co robi z tymi facetami, zabawia się z nimi czy co? Nie mówiłam tego poważnie, panie Holman, chciałam po prostu mu dopiec. Wie pan, co odpowiedział? Że to nie mój zakichany interes.

Holman puścił tę uwagę mimo uszu. Richie dzwonił do Fowlera codziennie, a Fowler do niego i do Asha, i do Mellona. I na pewno nie po to, żeby umówić się na kolejną popijawę.

Wdowa przeżywała na nowo emocje tamtej chwili i ciągnęła z zapamiętaniem.

– Za cholere nie wiedziałam, co oni wyprawiają. Wkurzało mnie to, ale nie dawałam po sobie poznać, dopiero kiedy musiałam po nim posprzątać, wtedy miarka się przebrała. Wrócił do domu w środku nocy, roznosząc błoto po całym domu. Zobaczyłam to dopiero następnego dnia rano i wpadłam w szal. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby po sobie posprzątać. Nic go nie obchodziło.

Holman nie rozumiał, o czym mówi, więc zapytał ją, zastanawiając się, jaki to ma związek z Richiem.

Wdowa zerwała się z sofy, ale tym razem kosztowało ją to więcej wysiłku.

– Chodźcie. Pokażę wam.

Przeszli za nią na werandę wychodzącą na podwórze z tyłu domu. Na skraju werandy stał zakurzony grill, a na ziemi obok niego para kaloszy oblepionych błotem i zielskiem. Wdowa wskazała je ręką.

– O, proszę, w takim czymś łąził po domu w środku nocy. Kiedy zobaczyłam, jak nabrudził, powiedziałam „czyś ty zwariował”? Wyrzuciłam kalosze na dwór i kazałam mu je wyczyścić. Żebyście widzieli ten brud w całym domu...

Pollard kucnęła, żeby przyjrzeć się dokładniej kaloszom.

– Kiedy to było?

Wdowa po Fowierze zastanawiała się, marszcząc brwi.

– Chyba w czwartek, poprzedni czwartek.

Pięć dni przed morderstwem. Holmana ciekawiło, czy Richie, Mellon i Ash towarzyszyli Fowlerowi tamtej nocy. Postanowił zapytać Liz.

Pollard jakby czytała w jego myślach.

– Czy tamtej nocy mąż był z kolegami? – zapytała, wstając.

– Nie pytałam go i nie wiem. Powiedziałam mu, że jeśli tak nienawidzi swojego domu, to niech się wynosi. Miałam dość tego jego chamstwa. Zupełnie się ze mną nie liczył, wracał do domu w takim stanie i nawet po sobie nie posprzątał. Strasznie się wtedy pokłóciliśmy, ale nie żałuję ani jednego słowa, nawet teraz, kiedy on nie żyje.

I wtedy Pollard zaskoczyła Holmana.

– Czy Mike wymieniał kiedykolwiek nazwiska Marczenki albo Parsonsa? – zapytała wdowę.

– Nie? A oni są z policji?

Pollard przez chwilę przyglądała się jej badawczo, potem uśmiechnęła się życzliwie.

– To znajomi Mike'a. Pomyślałam, że może o nich wspominał.

– Michael nigdy mi o niczym nie mówił. Cholera! Jakbym po prostu dla niego nie istniała.

Pollard spojrzała na Holmana i skinęła głową w stronę domu, jej życzliwy uśmiech przygaszony był przez smutek.

– Musimy już iść, Max.

Kiedy wychodzili, Jackie Fowler wzięła rękę Holmana i długo jej nie wypuszczała, aż Holman poczuł się nieswojo.

– Są różne rodzaje więzienia, wie pan – powiedziała.

– Tak, proszę pani. Również je poznałem – odparł Holman.

Spotkanie z wdową po Fowieze wytrąciło Holmana z równowagi i popsuło mu nastrój. Spodziewał się zastać kobietę pogrążoną w żałobie, która udzieli mu prostych odpowiedzi tłumaczących śmierć jego syna. A teraz wyobrażał sobie Mike'a Fowlera zakrywającego usta dłonią i prowadzącego ukradkowe rozmowy przez telefon. Widział Fowlera wymykającego się z domu o świcie, chowającego się przed wzrokiem sąsiadów i wracającego pod osłoną ciemności. *Co robisz, skarbie? Nic. Gdzie byłeś? Nigdzie.* Holmanowi większość życia zeszła na popełnianiu rozmaitych przestępstw. Cokolwiek działo się w domu Fowlera, pachniało czymś nielegalnym.

Pollard wstrzeliła się swoim subaru w gęsty sznur pojazdów pędzących autostradą. Powrotna jazda zapowiadała się koszmarnie, a mimo to, kiedy Holman spojrzął na siedzącą za kierownicą Pollard, ujrzał, że miała rozpromienioną twarz, jakby ktoś zapalił w jej wnętrzu światelko.

– I co powiesz? – zapytał.

– Porozmawiaj z synową. Zapytaj, czy Richie wychodził z domu w tamten czwartek, i czy wie, gdzie się spotkali tej nocy i co robili. Zapytaj ją też o powiązania z Frogtown. Nie zapomnij o tym.

Holman miał ochotę rzucić całe to dochodzenie w diabły.

– Nie o to mi chodziło. Sama mówiłaś, że szukanie zaginionej forszy nie należy do zadań policji.

Pollard wcisnęła subaru między dwie ciężarówki z naczepami, wjeżdżając na zastrzeżony pas.

– Należy, ale odzyskiwanie skradzionych łupów nie jest rzeczą, najważniejszą. Po prostu brak na to czasu, Holman – i tak mamy pełne ręce roboty, próbując zapobiec nowym przestępstwom.

– A gdyby ktoś go znalazł, otrzymałby nagrodę?

– Owszem, banki wypłacają znaleźne, ale nie przysługuje ono policjantom.

– No, a gdyby zajmowali się tym w wolnych chwilach...

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków – przerwała mu. – Skup się na tym, co wiesz, a na razie wiadomo tylko tyle, że w czwartek w nocy Fowler zabłocił cały dom i miał gdzieś, co na to powie jego żona. To wszystko, co wiemy.

– Ale sprawdziłem daty rozmów, kiedy pokazała nam swoje rachunki. Całe to wydzwanianie zaczęło się dokładnie osiem dni po śmierci Marczenki i Parsonsa, to samo pokazują bilingi Richiego. Fowler obdzwonił po kolei ich wszystkich. Jakby ich skrzykiwał: „Chłopaki, ruszamy na poszukiwanie forsy”.

Pollard wyprostowała się za kierownicą, rzeczowa i stanowcza.

– Holman, posłuchaj, odbyliśmy dokładnie jedną rozmowę, i to z kobietą, która ma za sobą nieudane małżeństwo. Nie wiemy, co robili i dlaczego.

– Wygląda na to, że coś kombinowali. Nie tego się spodziewałem.

– Do jasnej cholery.

Holman spojrzał na nią i zobaczył, że ma gniewną minę. Wyrwała się z zastrzeżonego pasa, żeby wyprzedzić dwie kobiety jadące sedanem, po czym skręciła tuż przed nimi, wskakując z powrotem na zastrzeżony pas. Holman nigdy nie jeździł tak szybko, chyba że był na prochach.

– Nie masz wystarczających podstaw do tego, żeby zmienić zdanie o swoim synu – mówiła. – Usłyszałeś od tej nieszczęśliwej kobiety historyjkę o tym, jak jej mąż kręcił się w nocy po domu. Wiesz, że zaginął łup, więc zaraz zakładasz, że to o to im chodziło. Może po prostu lubili się spotykać. Może ta fascynacja Marczenką i Parsonsem to coś w rodzaju hobby.

Holman w to nie wierzył i był zły, że Pollard próbuje go pocieszyć.

– Bzdura.

– Słyszałeś o Czarnej Dalii? Słynnej zbrodni, która pozostała niewyjaśniona?

– Co to ma do rzeczy?

– Rozwiązanie tej zagadki stało się dla wielu detektywów życiową pasją. Tylu miejscowych gliniarzy ma hopsa na punkcie tej sprawy, że w końcu zebrali się i założyli klub, żeby omawiać swoje hipotezy.

– I tak uważam, że to bzdura.

– Dobra, nieważne. Ale ta cała ich konspiracja nie oznacza wcale, że łamali prawo. Na wiele różnych sposobów można powiązać to, co robili, z Marczenką, Parsonsem i Juarezem.

Holman spojrział na nią z powątpiewaniem.

– Na przykład?

– Czytałeś nekrologi Fowlera, Asha i Mellona?

– Tylko Richiego.

– Gdybyś przeczytał nekrolog Fowlera, tobyś wiedział, że dwa lata służył w specjalnej jednostce do zwalczania gangów. Zamierzam zadzwonić do znajomego, który kierował tą jednostką. Zapytam go, jakie kontakty miał Fowler z gangiem Frogtown.

– Fowler zabił brata Juareza. Juarez i jego brat należeli do Frogtown.

– Zgadza się, ale może istnieje głębszy związek. Pamiętasz, jak rozważaliśmy możliwość, że Marczenko i Parsons korzystali z usług informatora, kogoś z wewnątrz?

– Pamiętam.

– Prawdziwe pieniądze znajdują się w skarbcu, ale zapas przechowywanej tam gotówki zmienia się w ciągu tygodnia. Ludzie przychodzą, spieniężają czek z wypłatą i zabierają pieniądze ze sobą, tak?

– Wiem. Sam napadałem na banki. Zapomniałaś?

– Czyli raz albo dwa razy w tygodniu banki dostają zastrzyk świeżej gotówki, na pokrycie wypłat. Według ciebie to raczej niemożliwe, że dwóch bandziorów pokroju Marczenki i Parsonsa miało w banku wspólnika, ale wystarczy, że ktoś by ich uprzedził, kiedy dany oddział zostanie zasilony gotówką – sekretarka, czyjaś asystentka, dziewczyna gangstera z Frogtown, która przekazuje tę wiadomość Marczence i Parsonsovi, a ci w zamian odpalają jej dołę.

– Ale napadali na różne banki.

– Informatora wewnątrz można wykorzystać tylko do jednej roboty, bo zaraz mają na karku gliniarzy i Feeb. Snuję różne domysły, Holman, ale nie wyciągam przedwczesnych wniosków. Komenda dowiaduje się o możliwych powiązaniach z Frogtown, więc zwraca się do kogoś, kto ma doświadczenie z gangami, na przykład do Fowlera. To

by tłumaczyło, jak doszło do tego, że twój syn wyszedł na spotkanie z Fowlerem, żeby porozmawiać o Marczenzie i Parsonsie, i zginął z rąk Juareza.

W Holmana wstąpiła nikła nadzieja.

– Tak uważasz?

– Nie, nie uważam, ale chcę ci po prostu uświadomić, jak skąpa jest nasza wiedza. Kiedy pójdziesz do synowej zapytać ją o tamten czwartek, zabierz od niej raporty, które widziałeś tam na biurku – te materiały z biura śledczego. Dałeś mi strony tytułowe, a ja chcę poznać treść tych raportów. Dowiemy się w ten sposób, czym interesował się twój syn.

– Dobra.

– Jutro, kiedy pogadam z ludźmi i przeczytam te raporty, dowiemy się czegoś więcej. Czuję, że wykonam jeszcze kilka telefonów i zamkniemy tę sprawę.

Holman był zdziwiony.

– Myślisz, że to wystarczy?

– Nie, ale uznałam, że to dobrze zabrzmiało.

Holman przyglądał się jej i wybuchnął śmiechem.

Zjeżdżali z przełęczy Sepulveda w kierunku śródmieścia.

Holman patrzył, jak Pollard przedziera się między samochodami.

– Zawsze tak szybko jeździsz?

– W domu czekają na mnie dzieci. Są pod opieką mojej matki, biedni chłopcy.

– A mąż?

– Nie mieszajmy do tego naszego prywatnego życia, Max.

Zaczął obserwować mijające ich samochody.

– Jeszcze jedno – wiem, że nie chciałaś przyjąć ode mnie pieniędzy, ale moja oferta nadal jest aktualna. Nigdy nie liczyłem na to, że poświęcisz mi swój czas za darmo.

– Boję się, że gdybym zażądała od ciebie pieniędzy, musiałbyś obrobić bank.

– Znalazłbym inny sposób. Z napadami na bank skończyłem.

Pollard zerknęła na Holmana, a ten wzruszył ramionami.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Pod warunkiem, że nie dotyczy to mojego prywatnego życia.

Teraz Pollard wybuchnęła śmiechem, ale po chwili przestała się śmiać.

– Wsadziłam cię za kratki na dziesięć lat. Jak to możliwe, że nie jesteś na mnie wściekły?

Holman zastanowił się.

– Dzięki temu mogłem się zmienić.

Dalej jechali w milczeniu. W zapadającym zmierzchu zaczynały migotać światła.

Kiedy Holman wszedł do motelu, Perry siedział za biurkiem. Jego pomarszczona twarz drgała, więc Holman domyślił się, że coś jest nie w porządku.

– Hej, chcę z tobą pogadać – powiedział Perry.

– Dostałeś swój samochód?

Perry pochylił się do przodu. Splatał i rozplatał palce. Oczy miał wilgotne i rozbiegane.

– Tu jest forsa, którą mi zapłaciłeś za samochód, sześćdziesiąt dolarów, za trzy dni. Leży na biurku.

Podchodząc bliżej, Holman zobaczył trzy rozłożone dwudziestki, które na niego czekały. Perry rozplótł palce i przesunął banknoty w kierunku Holmana.

– O co ci chodzi? – spytał Holman.

– Te sześćdziesiąt dolarów za samochód, możesz je sobie wziąć.

Holman zastanawiał się, po jaką cholerę Perry porozkładał na biurku te banknoty, z których spoglądały na niego trzy wizerunki prezydenta Jacksona.

– Oddajesz mi pieniądze?

– Tak. Weź sobie tę cholerną forszę.

Holman nie kwapił się, żeby podnieść banknoty. Spojrzał na Perry'ego. Staruszek wyglądał na zastraszonego, ale widać też było po nim złość.

– Dlaczego oddajesz mi pieniądze? – zapytał.

– Ci dranie kazali mi oddać, to powiedz im, że oddałem.

– Ci faceci, co odstawili samochód?

– Jak przyszli tu, żeby odnieść kluczyki, skurwiele. Od razu było widać, że z jakiegoś gangu. Oddałem ci przysługę, człowieku, pożyczając wóz, a tu zaraz, że na tobie zarabiam. Ci dranie powiedzieli, że mam ci oddać kasę, bo jak nie, to mnie załatwią. No to masz, bierz forszę.

Holman wpatrywał się w pieniądze, ale ich nie ruszał.

– Mieliliśmy uczciwy układ.

– Akurat. Zabieraj forszę. Nie chcę więcej żadnej rozróby w moim motelu.

– Należy ci się ta forsa, Perry. A tymi facetami się nie przejmuj, biorę to na siebie.

Będzie musiał pogadać o tym z Chee.

– Nie życzę sobie, żeby jakieś zbiry mnie tutaj nachodziły.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. Mieliliśmy uczciwy układ. Nie nasyłałbym oprychów, żeby wydusić z ciebie sześćdziesiąt dolców.

– Tak się nie robi, tylko to chciałem powiedzieć. Jak myślałeś, że za drogo sobie liczę, to trzeba było mówić.

Holman wiedział, że nie da się naprawić wyrządzonej krzywdy. Perry mu nie wierzył i już pewnie nigdy nie pozbędzie się podejrzliwości wobec niego.

– Zatrzymaj te pieniądze, Perry. Szkoda, że tak się stało. Przepraszam.

Zostawił banknoty na biurku Perry'ego i poszedł do siebie. Klekoczący agregat klimatyzacji zamienił jego pokój w chłodnię. Holman spojrzał na stojące na komodzie zdjęcie Richiego, roześmianego ośmioletniego chłopca. Mimo pokrzepiającej przemowy Pollard nadal czuł nieprzyjemny ucisk w dołku.

Wyłączył klimatyzację i zszedł na dół. Miał nadzieję, że jeszcze zastanie Perry'ego. Perry zamykał drzwi frontowe, ale na widok Holmana znieruchomiał.

– Te sześćdziesiąt dolców leży na biurku – powiedział.

– To schowaj wreszcie te pieprzone pieniądze. Myślisz, że chciałem cię nastraszyć? Mój syn był policjantem. Co by sobie pomyślał, gdybym odwalil taki numer?

– Pomyślałby, że to draństwo.

– Też tak myślę. Dlatego zatrzymaj forszę. Jest twoja.

Wrócił do siebie i wyciągnął się na łóżku, powtarzając sobie, że Richie na pewno by pomyślał, że straszenie staruszka, żeby wyciągnąć od niego gówniane sześćdziesiąt dolców, to draństwo.

Ale powtarzanie tych słów nic nie dawało i sen nie nadchodził.

CZEŚĆ TRZECIA

Pollard nigdy nie była rano rześka. Odkąd sięgała pamięcią, każdego ranka – od miesięcy, a może od lat – budziła się rano wyczerpana, bojąc się bolesnego początku dnia. Wypijała dwie filiżanki kawy tylko po to, żeby się rozruszać.

Ale tego ranka zerwała się z łóżka godzinę wcześniej, niż nastawiła sobie budzik, i od razu podeszła do małego biurka, które niegdyś dzieliła z Martym. Poprzedniego dnia siedziała prawie do drugiej w nocy, porównując numery telefonów i daty rozmów z billingów Fowlera i Richiego Holmana, szukając w Internecie informacji na temat Marczenki i Parsonsa. Wczytywała się w materiały, które dostała od Holmana, i starała się jakoś je uporządkować, ale nie było to łatwe, ponieważ nie miała dostępu do pełnych raportów policyjnych. Liczyła na to, że Holman wydobędzie je od żony Richiego. Podziwiała jego oddanie sprawie syna. Nagle poczuła, że dobrze zrobiła, wstawiając się za nim przed laty u prokuratora. Leeds boczył się na nią przez miesiąc, a kilku cynicznych agentów uznało ją za dętą frajerkę, ale Pollard uważała, że Holmanowi należy się szansa, a teraz jeszcze bardziej była o tym przekonana. Był recydywistą, ale wszystko przemawiało za tym, że w gruncie rzeczy jest przyzwoitym człowiekiem.

Przejrzała notatki, które zrobiła zeszłej nocy, potem zabrała się do przygotowania planu działania na rozpoczynający się dzień. Wciąż była zajęta planowaniem, kiedy David pociągnął ją za ramię. David miał siedem lat i wyglądał jak miniaturka ojca.

– Mamo! Spóźnimy się na autobus!

Pollard spojrzała na zegarek. Była za dziesięć ósma. Autobus dowożący dzieci na półkolonie przyjeżdżał o ósmej. Nie wypila swojej porannej kawy, nawet nie poczuła, jak minął ten czas, a pracowała dłużej niż godzinę.

– Czy twój brat już się ubrał?

– On nie chce wyjść z łazienki.

– Lyle! Pomóż mu się ubrać, David.

Naciągnęła dzinsy i koszulkę, potem błyskawicznie zrobiła dwie kanapki z wędliną.

– David, Lyle jest już gotowy?

– On nie chce się ubrać!

Lyle, który miał sześć lat, krzyknął zza pleców brata:

– Nienawidzę półkolonii! Kłują nas szpilkami!

Kiedy pakowała kanapki do papierowych torebek na lunch, usłyszała dzwonek faksu. Pobiegła z powrotem do sypialni i gabinetu zarazem, żeby zobaczyć pierwszą wychodzącą stronę. Uśmiechnęła się na widok godła FBI na stronie tytułowej – zamówiona dostawa od April.

Pognała do kuchni i dołożyła do kanapek dwa opakowania owocowej mieszanki, dwie paczki chipsów Cheetos i dwa soki w kartonikach.

David wparował zadyszany do kuchni.

– Mamo! Słyszałem autobus! Odjedzie bez nas!

David uwielbiał dramatyzować.

Wysłała go na dwór, żeby zatrzymał samochód. Wciągnęła Lyle'owi koszulkę przez głowę i wyekspediowała syna z pakunkami na dwór dokładnie w tej samej chwili, kiedy autobus zatrzymał się z rykiem.

– Tęsknię za tatą – oświadczył Lyle.

Pollard popatrzyła na niego, w jego oczach malowała się uraza, czoło było gniewnie zmarszczone. Przykucnęła, żeby mogli porozmawiać jak równy z równym. Poglaskała go po policzku, miała wrażenie, że jest tak miękki jak w dniu, kiedy się urodził. O ile David wyglądał jak jego ojciec, o tyle Lyle przypominał ją.

– Wiem, kochanie.

– Śniło mi się, że pożarł go potwór.

– To musiał być straszny sen. Trzeba było przyjść i położyć się ze mną.

– Ty się wierzisz i kopiesz.

Kierowca autobusu nacisnął klakson. Musiał trzymać się rozkładu.

– Ja też za nim tęsknię, mój mały. I co w tej sytuacji możemy zrobić?

Ćwiczyli to już niejedną raz.

– Zawsze nosić go w naszych serduszkach?

Pollard uśmiechnęła się i dotknęła piersi najmłodszego syna.

– Właśnie. Tatuś jest tu, w twoim serduszku. A teraz jazda do autobusu.

Żwir i kamyki raniły ją w bose stopy, kiedy odprowadzała Lyle'a do autobusu. Ucałowała obu chłopców, poczekała, aż odjadą, i szybko wróciła do domu. Od razu wzięła się do pracy. Przejrzała strony przefaksowane przez April, w sumie było ich szesnaście. Znajdowały się na nich streszczenia przesłuchań, lista świadków i raport końcowy. Lista świadków zawierała nazwiska, adresy i numery telefonów, i tego właśnie Pollard potrzebowała. Zamierzała sprawdzić, czy te numery figurują w wykazach telefonicznych rozmów Fowlera i Richarda Holmana. Jeśli syn Holmana albo Fowler prowadzili na własną rękę dochodzenie w sprawie Marczenki i Parsonsa, na pewno skontaktowali się ze świadkami. W takiej sytuacji Pollard mogłaby zapytać się świadków, o czym rozmawiali, i w ten sposób co nieco by się dowiedziała.

Zadzwoiła do matki i uzgodniła z nią, że zaopiekuje się chłopcami, kiedy wrócą z zajęć.

– Dlaczego ni z tego, ni z owego zaczęłaś spędzać tyle czasu w mieście? – dopytywała się matka. – Znalazłaś jakąś pracę?

Pollard nie cierpiała wścibstwa matki. Miała trzydzieści sześć lat, a matka wciąż ją kontrolowała.

– Mam parę spraw do załatwienia. Jestem zajęta.

– Jakich spraw? Spotykasz się z jakimś mężczyzną?

– Przyjedziesz o pierwszej, dobrze? Zostaniesz z chłopcami?

– Mam nadzieję, że kogoś poznałaś. Musisz myśleć o przyszłości chłopców.

– Do widzenia, mamo.

– Nie przesadzaj z deserami, Katharine. Twój tyłek już nie jest taki zgrabny jak kiedyś.

Pollard odłożyła słuchawkę i wróciła do biurka. Do tej pory nie zaparzyła, sobie kawy, a teraz nie miała już na to czasu. Zresztą nie potrzebowała kawy.

Usiadła i sprawdziła swoje zapiski. Przejrzała wszystkie dokumenty, które przestudiowała zeszłej nocy. Długo oglądała szkic miejsca zbrodni sporządzony przez Holmana, potem porównała go z rysunkiem zamieszczonym w „Los Angeles Times”. W

Feeb nauczyła się, że każde śledztwo zaczyna się od miejsca, w którym zostało popełnione przestępstwo, więc wiedziała, że musi się tam przejechać. Musi to zobaczyć na własne oczy. Pollard, sama w swoim małym domku w Simi Valley, nieoczekiwanie się uśmiechnęła.

Czuła, że wraca do gry. Znowu wyruszyła na łowy.

Kiedy Holman zszedł rano na dół, Perry'ego nie było w recepcji. Poczł ulgę. Wybierał się do Liz po raporty i chciał zdążyć, zanim dziewczyna wyjdzie na zajęcia. Szkoda mu było czasu na kolejną sprzeczkę z Perrym.

Ale po drodze do samochodu zobaczył, że Perry spryskuje węzem chodnik przed motelem.

– Ktoś do ciebie wczoraj dzwonił – odezwał się do niego Perry. – Zapomniałem ci powiedzieć. Wyleciało mi z głowy, chyba przez tych twoich zbirów.

– Kto to był?

– Tony Gilbert z tej drukarni. Powiedział, że jest twoim szefem i masz się do niego zgłosić.

– Dobra, dzięki. Kiedy dzwonił?

– W środku dnia chyba. Dobrze, że nie wtedy, kiedy przyczepili się do mnie ci skurwiele od samochodu, bo bym nie odebrał.

– Perry, słuchaj... ja ich na ciebie nie nasłałem. Mieli tylko odstawić twój samochód i oddać kluczyki. To wszystko. Już raz cię przeprosiłem.

– Na mój gust Gilbert był mocno wkurzony. Radzę ci do niego zadzwonić. A skoro masz już robotę, może byś tak zainwestował w automatyczną sekretarkę? Pamięć zaczyna mnie zawodzić.

Holmanowi cisnęła się na usta odpowiedź, ale się rozmyślił i poszedł po samochód zaparkowany z tyłu motelu. Nie uśmiechała mu się rozmowa z Gilbertem z samego rana, ale już od tygodnia nie pokazywał się w pracy i nie chciał jej stracić. Wsiadł do toyoty, żeby zadzwonić do Gilberta. Podniosło go na duchu to, że umiał wybrać numer bez zaglądania do instrukcji obsługi. Czł się, jakby rozpoczynał prawdziwe życie.

Gdy tylko Gilbert się odezwał, Holman wiedział, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Wracasz do pracy czy nie? – spytał Gilbert. – Muszę wiedzieć.

– Wracam. Po prostu ostatnio miałem dość dużo rzeczy na głowie.

– Max, staram się być wobec ciebie wyrozumiały, ze względu na syna i nie tylko, ale co ty do diabła wyprawiasz? Policja się u mnie zjawiała.

Holmana tak zaskoczyła ta wiadomość, że zapomniał języka w gębie.

– Max?

– Jestem przy telefonie. Czego chcieli gliniarze?

– Człowieku, dopiero co wyszedłeś z pudła. Chcesz, żeby te dziesięć lat poszło na marne?

– Nic nie pójdzie na marne. Po co przyjechali gliniarze?

– Chcieli wiedzieć, czy przychodzisz do pracy, z kim się zadajesz i tak dalej. Pytali, czy bierzesz.

– Nie biorę. Co mówili?

– Głównie zadawali pytania, na przykład, czy wiem, z czego się utrzymujesz. Jak mam to rozumieć? Słuchaj, kolego, staram się prowadzić przedsiębiorstwo, a ty mi gdzieś znikasz. Powiedziałem im, że dałem ci trochę wolnego ze względu na syna, ale teraz zaczynam żałować. Minął już tydzień.

– Kto o mnie pytał?

– Jacyś detektywi.

– To Gail ich przysłała?

– Oni nie mają nic wspólnego z Departamentu Więziennictwa. To gliniarze. Słuchaj, wracasz do pracy czy nie?

– Potrzebuję jeszcze trochę czasu...

– A niech cię szlag.

Gilbert się rozłączył.

Holman zamknął telefon, czując nieprzyjemny ucisk w brzuchu. Spodziewał się, że Gilbert opieprzy go za to, że opuścił tyle dni pracy, ale nie myślał, że usłyszy o policji. Uznał, że gliniarze sprawdzali go w związku z jego wizytą u Marii Juarez, ale bał się też, że ktoś mógł go skojarzyć z Chee. Nie chciał kierować podejrzeń na Chee, bo nie miał pewności, czy ten działa zupełnie uczciwie.

Holman uznał, że warto powiadomić Gail Manelli o wizycie policji, ale bał się, że nie zdąży spotkać się z Liz, więc schował telefon i ruszył do Westwood. Wyjeżdżając na ulicę, zobaczył Perry'ego stojącego na chodniku. Perry patrzył na niego, i pokazał mu środkowy palec, kiedy Holman go minął. Holman widział to w lusterku wstecznym.

Dojeżdżając do Westwood, zadzwonił do Liz, żeby ją uprzedzić o swojej wizycie.

Kiedy odebrała, powiedział:

– Cześć, Liz, tu Max. Muszę wpaść do ciebie na chwilę. Przynieść ci kawę?

– Właśnie wychodzę.

– To dość ważne. Chodzi o Richiego.

Wahała się przez chwilę, a kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiał chłód.

– Po co to robisz?

– A co ja robię? Muszę tylko...

– Nie chcę cię więcej widzieć. Daj mi spokój, proszę.

Rozłączyła się.

Holman siedział za kierownicą z głuchym telefonem w ręku. Zadzwonił ponownie, ale tym razem włączyła się automatyczna sekretarka.

– Liz? Może powinienem wcześniej cię uprzedzić. Nie chciałem cię urazić. Liz? Słyszysz mnie?

Nawet jeśli słyszała, nie podniosła słuchawki, więc dalsza przemowa nie miała sensu. Max odłożył telefon. Od Veteran Avenue dzieliło go tylko pięć przecznic i mimo wszystko postanowił pojechać do Liz. Nie było czasu na szukanie parkingu, więc zostawił samochód w niedozwolonym miejscu obok hydrantu. Jeśli wlepią mu mandat, zwróci Chee z własnych pieniędzy.

Sznur studentów jak co rano wychodzących na zajęcia oznaczał, że Holman nie będzie musiał długo czekać, żeby dostać się do środka budynku. Brał po dwa schodki naraz, ale kiedy dochodził do mieszkania Liz, zwolnił i odczekał, aż złapie oddech, zanim zapukał.

– Liz? Proszę cię, powiedz, co się stało?

Zapukał cicho jeszcze raz.

– Liz? To ważne. Proszę, otwórz, ze względu na Richarda.

Holman czekał.

– Liz? Mogę wejść porozmawiać z tobą? Proszę.

W końcu otworzyła drzwi. Była już gotowa do wyjścia. Twarz miała ściągniętą, surowe spojrzenie zdradzało napięcie.

Holman nie ruszał się. Stał z opuszczonymi rękami, zbity z tropu tą nagłą wrogością.

– Zrobiłem coś nie tak? – zapytał.

– Nie wiem, co ty kombinujesz, ale ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Holman starał się nie podnosić głosu.

– A co miałbym kombinować? Ja nic nie kombinuję, Liz. Próbuję tylko się dowiedzieć, dlaczego zginął mój syn.

– Była u mnie policja. Zabrali wszystko z biurka Richiego. Wypytywali mnie o ciebie. Chcieli się dowiedzieć, jakie masz plany.

– Kto tu był? Levy?

– Nie, nie Levy – detektyw Random. Chciał wiedzieć, o co mnieypytywałeś, mówił, żebym na ciebie uważała. Ostrzegał mnie, żebym cię nie wpuszczała.

Holman nie był pewny, jak powinien na to zareagować. Cofnął się o krok i powiedział z powagą:

– Przecież już raz byłem u ciebie, Liz. Myślisz, że mógłbym cię skrzywdzić? Jesteś żoną mojego syna.

Jej spojrzenie złagodniało. Potrząsnęła głową.

– Po co oni przyszli? – spytała.

– Był ktoś z Randomem?

– Nie pamiętam nazwiska. Taki rudy. Vukovich.

– O co im chodziło? – spytała.

– Nie mam pojęcia. Nie mówili ci?

– Nic nie mówili. Powiedzieli, że cię sprawdzają. Chcieli wiedzieć, czy...

Otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania, z którego wyszło dwóch chłopaków. Obaj mieli okulary i torbę z podręcznikami przewieszoną przez ramię. Holman i Liz odczekali, aż odejdą.

– Chyba mogę cię zaprosić do środka. Głupio tak rozmawiać w progu – powiedziała.

Holman wszedł do mieszkania i poczekał, aż Liz zamknie za nim drzwi.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

– Pytali, czy mówiłeś coś, co by wskazywało na to, że jesteś zamieszany w działalność przestępczą. Nie miałam pojęcia, o co im, do diabła, chodzi. Przecież nie omawiałbyś ze mną skoku na bank.

Holman miał zamiar zrelacjonować Liz swoją rozmowę z Tonym Gilbertem, ale uznał teraz, że to niedobry pomysł.

– Powiedziałaś, że zabrali materiały z biurka Richiego. Mogę zobaczyć?

Zaprowadziła go do gabinetu. Holman spojrział na biurko Richiego. Wycinki z gazet wciąż wisiały przypięte do tablicy korkowej, ale widać było, że biurko Richiego zostało uprzątnięte. Podczas poprzedniej wizyty Holman przejrzał wszystkie dokumenty i pamiętał, w jakim stanie zostawił biurko syna. Raporty policyjne zniknęły.

– Nie wiem, co zabrali – powiedziała Liz.

– Wygląda na to, że raporty. Mówili, dlaczego je biorą?

– Powiedzieli tylko, że są ważne. Pytali, czy ty do nich zaglądałeś. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Holman wołałby, żeby stało się inaczej, ale skinął głową.

– W porządku. To nieważne.

– Czego tutaj szukali?

Holman postanowił zmienić temat. Raporty zniknęły, a on żałował, że nie zdążył ich przeczytać, kiedy miał okazję.

– Czy Richie wychodził z Fowlerem w ostatni czwartek przed śmiercią? To mogło być późno w nocy.

Zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć.

– Nie jestem pewna... czwartek? Richie miał chyba nocną służbę.

– A czy wrócił do domu brudny? Fowler przyszedł do domu nad ranem w zabłoconych butach, oblepionych zielskiem.

Zastanawiała się chwilę, po czym potrząsnęła głową.

– Nie, ja... ale zaraz, tak, to był piątek. Wzięłam rano samochód, a dywanik od strony kierowcy był zabrudzony ziemią i trawą. Richie miał w nocy służbę. Mówił, że kogoś gonił.

W jej oczach znów pojawiła się surowość.

– Co oni właściwie robili?

– Nie wiem. Richie ci nie powiedział?

– Że miał służbę, nic więcej.

– Czy kiedykolwiek wspominał o powiązaniach Marczenki i Parsonsa z jakimś latynoskim gangiem?

– Nie sądzę. Nie pamiętam.

– Może Frogtown? Juarez należał do Frogtown.

– Co miał wspólnego Juarez z Marczenką i Parsonsem?

– Nie wiem, ale próbuję to ustalić.

– Chwileczkę... Myślałam, że Juarez zabił ich z powodu Mike'a... dlatego, że Mike był odpowiedzialny za śmierć jego brata.

– Tak twierdzi policja.

Skrzyżowała ręce na piersiach. Wyglądała na zmartwioną.

– A ty w to nie wierzysz? – spytała.

– Muszę zadać ci jedno pytanie. Czy przez cały ten czas, kiedy zajmował się Marczenką i Parsonsem, mówił ci kiedykolwiek, na czym dokładnie polega jego zadanie?

– Nie... tylko tyle, że pracuje nad sprawą.

– Jaką sprawą? Marczenko i Parsons już nie żyli.

W jej oczach pojawił się wyraz zagubienia i zniechęcenia. Holman domyślił się, że nic więcej nie pamięta. Liz potrząsnęła głową, jeszcze mocniej przyciskając ręce do piersi.

– To było jakieś dochodzenie. Nie wiem...

– Może starali się namierzyć ich współnika?

– Nie wiem.

– A wspominał o brakujących pieniądzech?

– Jakich pieniądzech?

Holman przyglądał się jej badawczo. Chciał jej wszystko wytłumaczyć, licząc, że może to obudzi w niej wspomnienia, które mogą się okazać dla niego przydatne, ale wiedział, że dalej nie może się posunąć. Tę informację wolał zachować dla siebie. Nie chciał, żeby po jego odejściu Liz rozmyślała o zaginionym łupie i zastanawiała się, czy jej mąż brał udział jako policjant w dochodzeniu, czy próbował znaleźć brakujące pieniądze na własną rękę.

– Mniejsza o to. Słuchaj, nie mam pojęcia, o co chodzi Randomowi z tym sprawdzaniem mnie. Nie popełniłem żadnego wykroczenia i nie zamierzam łamać prawa, rozumiesz? Nie mógłbym zrobić czegoś takiego tobie i Richiemu. Po prostu nie mógłbym.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym skinęła głową.

– Wiem. Wiem, co chcesz osiągnąć.

– W takim razie wiesz dużo więcej niż ja.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Starasz się zadbać o swojego chłopaka.

Żona Richiego ścisnęła go długo i mocno i Holman cieszył się z tego powodu, ale klął siebie w duchu, że nie zdążył zadbać o niego na czas.

Holmana rozsadzała wściekłość, kiedy przechodził przez jezdnię w drodze do samochodu. Wkurzyło go to, że Random wypytywał o niego Liz i dawał jej do zrozumienia, że Holman znów jest na bakier z prawem. Domyślał się, że to Random narobił mu kłopotów w pracy. Ale najbardziej wnerwiło go to, że ostrzegał przed nim Liz. Random uderzył w jedyne ogniwo wiążące go z Richiem i nie wiadomo, jaki miał w tym cel. Mało prawdopodobne było, że chodziło jedynie o uprzykrzenie Holmanowi życia, a to oznaczało, że Random o coś go podejrzewa. Holman miał ochotę przejechać się do Centrum Parkera i rozmówić z sukinsynem po męsku, ale kiedy dochodził do highlandera, uznał, że to kiepski pomysł. Musi mieć lepsze rozeznanie w zamiarach Randoma, zanim stanie z nim twarzą w twarz.

Ten ranek zaczął się tak marnie, że Holmana wcale by nie zdziwiło, gdyby znalazł mandat wetknięty za wycieraczkę przedniej szyby, ale za wycieraczką, nic nie było. Miał nadzieję, że jego szczęście w tym dniu nie skończyło się na uniknięciu nędznego mandatu za złe parkowanie.

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i przez kilka minut obmyślał plan na resztę dnia. Miał sporo rzeczy do zrobienia i nie mógł sobie pozwolić na to, żeby odstąpić od zaplanowanych działań z powodu takiego dupka jak Random. Chciał zadzwonić do Pollard, ale było jeszcze dość wcześnie, a nie wiedział, o której godzinie ona wstaje. Wspominała coś o dzieciakach, więc rano miała urwanie głowy – budzenie dzieciaków, zrobienie im śniadania, dopilnowanie, żeby się ubrały i przygotowały na kolejny dzień. Holmanowi nie dane było zaznać tego wszystkiego w życiu rodzinnym. Ten tok myślenia niezmiennie wpędzał Holmana w przygnębienie, gdy popełniał ten błąd i dawał się ponieść uczuciu żalu. Postanowił zadzwonić do Chee w sprawie Perry'ego. Chee myślał pewnie, że robi mu przysługę, ale on nie potrzebował tego rodzaju pomocy. Na domiar złego miał jeszcze teraz na głowie obrażonego właściciela motelu.

Odszukał numer Chee w pamięci telefonu i słuchał sygnału nawiązywanego połączenia, kiedy nagle nadjechał szary samochód i stanął tuż przy jego highlanderze,

blokując go przy krawężniku. Otworzyły się drzwi i jednocześnie Holman usłyszał głos Chee:

– Słucham?

– Poczekaj.

– *Homes?*

Z szarego samochodu wysiadł Random i jego kierowca; w tej samej chwili Holman zauważył jakiś ruch od strony krawężnika. Vukovich i jeszcze jeden tajniak zeszli z chodnika, jeden stanął z przodu highlandera, drugi z tyłu. Mieli wyciągnięte rewolwery, które trzymali przy udzie. Z telefonu Holmana zabrzmiał metaliczny głos Chee: – Holman, to ty?

– Nie rozłączaj się, mam gliny na karku...

Holman wypuścił telefon, który upadł na siedzenie, i położył obie ręce na kierownicy. Trzymał je nieruchomo, na widoku.

Głos Chee dochodził w postaci elektronicznego pisku:

– *Homes?*

Random szarpnięciem otworzył drzwi i odsunął się. Jego kierowca był od niego niższy, ale za to szeroki jak łóżko. Wyciągnął Holmana z samochodu i pchnął go twarzą do karoserii.

– Nie ruszaj się, kurwa.

Holman nie stawiał oporu. Gliniarz obszukał go, a Random w tym czasie pochylił się do środka samochodu, wyłączył zapłon i podniósł z siedzenia telefon Holmana. Wyprostował się i przyłożył telefon do ucha, potem go zamknął i wrzucił z powrotem do samochodu.

– Ładny aparat – rzekł.

– O co wam chodzi? Czego ode mnie chcecie?

– Wóz też niczego sobie. Skąd go masz? Zwinąłeś?

– Z wypożyczalni.

Krępy gliniarz przydusił Holmana mocniej do karoserii.

– Trzymaj głowę przy samochodzie.

– Gorąco jest.

– Nic na to nie poradzę.

– Vuke, sprawdź ten wóz – polecił Random. – Bez prawa jazdy i karty kredytowej nie można wynająć samochodu. Pewnie go ukradł.

– Do jasnej cholery, mam prawo jazdy – tłumaczył Holman. – Wczoraj dostałem. Kwity z wypożyczalni są w schowku.

Vukovich otworzył drzwi od strony pasażera, żeby zajrzeć do schowka, a krępy gliniarz wyjął Holmanowi z kieszeni portfel.

– To jakieś jaja. Czego ode mnie chcecie? – spytał Holman.

Random obrócił go i stanęli twarzą w twarz. W tym czasie krępy gliniarz poszedł z portfelem Holmana do radiowozu, żeby sprawdzić jego dane w policyjnym komputerze. Na chodniku przystanęło trzech studentów, ale Random nie zwracał na nich uwagi. Nie odrywał swoich ciemnych, zmrużonych oczu od Holmana.

– Nie uważasz, że Jackie Fowler ma dość zmartwień i bez ciebie?

– Co ty gadasz? Nawet jak u niej byłem, to co z tego?

– Wdowa z czwórka chłopców niedawno straciła męża, a ty musiałeś zakłócić jej spokój? Po co nachodzisz kobietę w takim stanie? Co próbujesz osiągnąć?

– Chcę się dowiedzieć, dlaczego zginął mój syn.

– Powiedziałem ci, że to nasze zadanie, a ty masz się do tego nie wtrącać.

– Nie wydaje mi się, żebyście robili to, co do was należy. Nie wiem, kurwa, czy w ogóle robicie coś w tej sprawie. Po co łaziłeś do mojego szefa? Co to za chamski numer wypytywać go, czy jego zdaniem biorę prochy?

– Jesteś narkomanem.

– Byłem. Byłem.

– Narkomanom zawsze jest mało i wiesz co? Podejrzewam, że to dlatego przyczepiłeś się do rodzin zmarłych policjantów. Masz zamiar je oskubać. Nawet własną synową.

– Nie jestem narkomanem. Odpieprz się ode mnie, skurwielu.

Holman ze wszystkich sił starał się nie stracić panowania nad sobą.

– To żona mojego syna, sukinsynu. Teraz ja mówię ci, żebyś trzymał się od niej z daleka. Zostaw ją w spokoju, do cholery.

Random przysunął się i Holman domyślił się, że go prowokuje. Chciał, żeby Holman rzucił się na niego. Chciał zgarnąć go do pudła.

– Nie masz prawa niczego ode mnie żądać. Byłeś nikim dla własnego syna, więc nie zgrywaj się przed nami. A dziewczynę poznałeś w zeszłym tygodniu, więc nie udawaj, że to twoja rodzina.

Holman czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Pulsowanie narastało, wzrok zaczynał mu się niebezpiecznie mącić. Random unosił się przed nim w powietrzu jak żywy cel, ale Holman powiedział sobie: nie. Dlaczego Random chciał go przytknąć? Dlaczego chciał go usunąć z drogi?

– Co było w tych raportach, które zabrałeś? – spytał.

Randomowi drgnęła szczęka, ale się nie odezwał, i Holman wiedział już, że te raporty są ważne.

– Moja synowa twierdzi, że zabrałeś z jej domu coś, co należało do mojego syna. Miałeś nakaz, Random? Czy był w nim spis tego, co miałeś znaleźć, czy po prostu zgarniałeś wszystko, na co ci przyszła ochota? Jeśli nie miałeś nakazu, to na mój rozum była to zwykła kradzież.

Random nie spuszczał z niego wzroku. Vukovich podszedł do niego i podsunął mu dokumenty, które wyjął ze schowka.

– Ma umowę wynajmu na swoje nazwisko. Wygląda na to, że jest legalna.

– Bo jest legalna, detektywie Random, tak jak twój nakaz. Zadzwoń do agencji i sprawdź.

Random przestudiował umowę.

– Quality Motors z Los Angeles? Słyszeliście kiedyś o takiej wypożyczalni samochodów?

Vukovich wzruszył ramionami, a Random zawołał do kierowcy:

– Teddy? Sprawdziłeś tablicę rejestracyjną?

Krępy gliniarz miał na imię Teddy. Teddy wrócił i przekazał Randomowi prawo jazdy i portfel Holmana.

– Samochód jest zarejestrowany na Quality Motors. Jest czysty, żadnych punktów ani wykroczeń. Prawo jazdy też jest w porządku.

Random spojrział na prawo jazdy, a potem na Holmana.

– Skąd to masz?

– Z Wydziału Komunikacji. A ty skąd wzięłeś swój nakaz?

Random wsunął prawo jazdy do portfela Holmana, ale nie kwapił się ani z oddaniem portfela, ani umowy. Spuścił z tonu, co świadczyło o tym, że te raporty są dla niego ważne. Nie naciskał, bo nie chciał, żeby Holman narobił szumu wokół tych raportów.

– Chcę mieć pewność, że rozumiesz sytuację, Holman – powiedział Random. – Prosiłem cię raz grzecznie. Teraz mówię ci po raz drugi. Nie pozwolę, żebyś uprzykrzał życie rodzinom zabitych policjantów. Trzymaj się z od nich z daleka.

– Ja należę do rodziny.

Cień uśmiechu przemknął przez twarz Randoma, który przysunął się do Holmana i szepnął:

– Do jakiej rodziny? Do Frogtown?

– Juarez był z Frogtown. Nie wiem, o czym mówisz.

– A może wolisz White Fence?

Holman zachowywał kamienną twarz.

– Jak się miewa twój kumpel Gary Moreno, Chee?

– Nie widziałem go od wieków. Może wpadnę do niego z wizytą.

Random, wyraźnie zdenerwowany, wrzucił do samochodu portfel Holmana i umowę.

– Psujesz mi robotę, Holman, a ja tego nie mogę tolerować i nie pozwolę ci na to. Nie pozwolę ze względu na tych czterech policjantów, którzy zginęli. I nie pozwolę ze względu na ich rodziny, do których, jak dobrze wiemy, ty się nie zaliczasz.

– Jestem wolny?

– Twierdzisz, że szukasz odpowiedzi, ale doprowadziłeś do tego, że teraz będzie mi trudniej znaleźć te odpowiedzi, i czuję się osobiście dotknięty.

– Myślałem, że znasz wszystkie odpowiedzi.

– Większość odpowiedzi, Holman. Większość. Ale teraz przez ciebie straciliśmy ważne ogniwo i nie wiem, czy uda się je odnaleźć.

– O czym ty mówisz?

– Maria Juarez zniknęła. Zwiąła, kolego. Mogliśmy się od niej dowiedzieć, jak Warren to wszystko obmyślił, ale przepadła jak kamień w wodę, i to twoja wina. Więc jeśli przyjdzie ci do głowy znów mi bruździć u swojej synowej, jeśli poczujesz potrzebę podważania wiary rodzin zabitych policjantów w to, co robimy, rozdrapywania na nowo ich ran, to wspomnij im też z łaski swojej, że dochodzenie opóźnia się przez to, że zachowujesz się jak palant. Jasne?

Holman nie odzywał się.

– Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości, chłopcze. To nie zabawa, do kurwy nędzy.

Random wrócił do swojego samochodu. Vukovich i Terry gdzieś zniknęli. Szary samochód odjechał. Trzej studenci już dawno poszli w swoją stronę. Holman wszedł do swojej terenówki i podniósł telefon. Nasłuchiwał chwilę, ale połączenie zostało przerwane. Wysiadł, obszedł samochód i otworzył drzwi od strony pasażera. Pomacał pod siedzeniem, sprawdził pod dywanikiem, w schowku i w kieszeni drzwi. Potem sprawdził tylną kanapę, bojąc się, że podłożyli mu pluskwę.

Nie dał się zwiść fałszywej trosce Randoma o rodziny zabitych policjantów ani nawet jego posądzeniom, że Holman próbuje coś od nich wyłudzić. Miał za sobą bogate doświadczenia z gliniarzami, którzy wiele razy zachodzili mu za skórę, ale czuł, że tym razem szło o coś ważniejszego. Holman najwyraźniej przeszkadzał Randomowi, tylko nie wiedział w czym.

Pollard była w drodze do centrum Los Angeles, żeby rozejrzeć się na miejscu zbrodni. Jechała autostradą Hollywood Freeway, kierując się do śródmieścia, kiedy zadzwoniła do niej April Sanders.

– Cześć. Odebrałaś bez problemu mój faks?

– Miałam zamiar zadzwonić z podziękowaniami, dziewczyno. Świetnie się spisałaś.

– Mam nadzieję, że nie zmienisz o mnie zdania, jak dowiesz się reszty. Komenda główna mnie spławiła. Nie mam dostępu do ich akt.

– Żartujesz! Co oni knują?

Pollard była zaskoczona. Zespół Bankowy FBI i ich partnerzy z komendy głównej Los Angeles często ze sobą współpracowali przy tych samych sprawach i swobodnie wymieniali się informacjami.

– Nie wiem, dlaczego się na mnie wypięli – mówiła April. – Zapytałam tego buca, pamiętasz George'a Hinesa?

– Nie.

– Pewnie załapał się tam po twoim odejściu. Mówię mu, co jest grane, myślałam, że jesteśmy kumplami i działamy ręka w rękę.

– I co on na to?

– Powiedział, że już nie prowadzą tej sprawy.

– Jak mogą nie prowadzić tej sprawy? Przecież to wydział napadów na banki.

– Właśnie to mu powiedziałam. Kiedy zamknęli sprawę, przejęła ją góra. A ja do niego: jaka góra? Nadkomisarz, a może sam Bóg? Powiedział, że to już nie jest ich sprawa i nic więcej nie wolno mu ujawniać.

– Jak to nie jest ich sprawa? Przecież chodzi o napady na banki.

– Gdyby ci faceci znali się na rzeczy, to byliby w naszym zespole.

Pollard zastanawiała się przez chwilę.

- Ale powiedział, że sprawa jest zamknięta?
- Właśnie tak. Cholera, muszę lecieć. Leeds...

W słuchawce zapadła cisza. Jeśli komenda główna rzeczywiście zamknęła dochodzenie, tym bardziej prawdopodobne było, że Richard Holman razem z Fowlerem i pozostałą dwójką zaangażował się w niezupełnie czyste przedsięwzięcie. To byłaby przykra wiadomość dla Holmana, ale Pollard miała mu do przekazania również inne niedobre wieści – lista świadków przysłana przez April zawierała nazwiska i numery trzydziestu dwóch osób przesłuchanych przez FBI w związku ze sprawą Marczenki i Parsonsa. Wśród nich była Leyla, matka Marczenki. Pollard porównała numery telefonów świadków z numerami na wykazach rozmów Mike'a Fowlera i Richarda Holmana i dokonała cennego odkrycia. Fowler dwukrotnie dzwonił do matki Marczenki. Mocno wątpliwe było, żeby mundurowy funkcjonariusz, szef zmiany patrolowej, zwracał się do świadka z jakiegoś uzasadnionego powodu. Pollard nabrała pewności, że Fowler prowadził jakieś prywatne śledztwo. Wszystko przemawiało za tym, że syn Holmana brał udział w przedsięwzięciu niemieszczącym się w przepisach, a może nawet niezgodnym z prawem. Nie uśmiechało się jej to, że będzie musiała powiadomić o tym Holmana. Wzruszała ją jego potrzeba wiary w dobre imię syna.

Pollard zjechała z autostrady przy Alameda i kierowała się na południe wzdłuż rzeki. Dotarła do Fourth Street Bridge i przedostała się na drugą stronę. Wschodnie nabrzeże usiane było dokami, placami składowymi i bocznicami i roilo się tam od osiemnastokółowych ciężarówek. Pollard dwa razy w swojej karierze trafiła nad rzekę Los Angeles, raz jako członek oddziału specjalnego tropiącego przemyt narkotyków z Iranu, a drugi raz w ramach akcji namierzania pedofila sprowadzającego dzieci z Meksyku i Tajlandii. Za pierwszym razem dotarła na miejsce już po tym, jak znaleziono ciało, ale w przypadku pedofila nie miała tyle szczęścia. Sama odkryła w kontenerze zwłoki trojga dzieci, a potem przez kilka tygodni nie mogła spać. Nie uszło jej uwagi, że znów nad rzekę sprowadza ją śmierć. Rzeka Los Angeles przyprawiała ją o ciarki. Teraz nawet może jeszcze bardziej, ponieważ Pollard zdawała sobie sprawę, że będzie musiała złamać prawo, żeby dostać się na miejsce zbrodni.

Mimo że odeszła ze służby osiem lat temu, Pollard nadal czuła się jak stróż porządku. Wyszła za mąż za policjanta, obracała się głównie wśród policjantów i jak

niemal każdy policjant, którego znała, nie chciała wchodzić w konflikt z prawem. Złamanie zakazu wstępu stanowiło wykroczenie, ale wiedziała, że musi sprawdzić, czy szkic Holmana jest dokładny. Musiała to zobaczyć na własne oczy.

Jechała wzdłuż ogrodzenia, mijając po drodze ciężarówki i robotników, aż dotarła do bramy wjazdowej. Zaparkowała przy ogrodzeniu, zamknęła samochód i podeszła do bramy. Od wschodu powiał suchy wiatr, niosąc zapach nafty. Pollard miała na sobie dżinsy i adidasy, zabrała też rękawice robocze Marty'ego, w razie gdyby musiała wspinać się po siatce. Brama była zamknięta na kłódkę i dodatkowo zabezpieczona łańcuchem. Pollard spodziewała się tego, podobnie jak i wzmocnionej ochrony przy bramie, ale tej jak na razie nie zauważyła. Miała nadzieję, że miejsce zbrodni będzie dostatecznie widoczne z ulicy, ale gdy stanęła przy ogrodzeniu, stwierdziła, że nie ominie jej sforsowanie bramy i zejście nad sam brzeg.

Nabrzeże z obu stron było wybetonowane i dostępu do niego strzegło ogrodzenie zwieńczone kolczastym drutem. Fourth Street Bridge był widoczny z ulicy, ale nie na tyle wyraźnie, żeby mogła sobie wyobrazić miejsce zbrodni. Przez most w obu kierunkach przejeżdżały samochody, chodnikami szli przechodnie. W ostrym porannym słońcu most rzucał głęboki cień, który przecinał rzekę. Pollard miała przed oczami brzydki przemysłowy krajobraz – paskudny wybetonowany kanał, zdradzający martwość; strużka leniwie płynącej wody przypominającej ściek; zielsko wyrastające ze szczelin w betonowej nawierzchni. Okropnie było umierać w takim miejscu, a jeszcze gorzej byłoby, gdyby eksagentka FBI została tu aresztowana za złamanie zakazu wstępu.

Zakładała rękawice, gdy ujrzała nadjeżdżającą od strony doków załadowczych białą półciężarówkę. Kierowca zatrąbił na nią i Pollard pomyślała, że to patrol ochrony, ale z bliska zobaczyła, że samochód należy do firmy transportowej. Kierowca, mężczyzna w średnim wieku, z krótkimi siwymi włosami i o byczym karku, zatrzymał się przed bramą.

- Tu nie wolno wchodzić.
- Wiem. Jestem z FBI.
- Chciałem tylko panią uprzedzić. Tam na dole zginęło paru ludzi.
- Dlatego tu przyjechałam.

– Terenu pilnuje ochrona.

– Dzięki za informację.

Modliła się w duchu, żeby się odwalił, ale facet ani myślał odjeżdżać.

– Ma pani jakąś odznakę służbową?

Pollard zdjęła rękawice i podeszła do samochodu. Posłała kierowcy spojrzenie jakim zwykła obdarzać przestępców tuż przed założeniem im kajdanek.

– A jakim prawem pan o to pyta?

– No, bo pracuję tu zaraz obok. Prosimi nas, żebyśmy mieli to miejsce na oku. Tylko sprawdzam, nic więcej.

Odchodząc ze służby, Pollard musiała zdać odznakę i kartę powołania. Teraz wyjęła swój portfel, ale nie zamierzała go otwierać. Portfel dostała w prezencie od Marty'ego. Kupił go jej w sklepie z pamiątkami w siedzibie FBI w Quantico, ponieważ było na nim wytłoczone godło FBI. Wpatrywała się groźnym wzrokiem w kierowcę i stuknęła w portfel, pokazując mu wyraźnie czerwono-biało-niebieskie godło.

– Otrzymaliśmy zgłoszenie, że ktoś oprowadza turystów po miejscu zbrodni. Turystów, cholera jasna. Wiadomo coś panu o tym?

– Nic takiego nie słyszałem.

Pollard przyglądała mu się badawczo, jakby podejrzewała go o przestępstwo.

– Podobno jeździ białą ciężarówką.

Byczy kark drgnął i mężczyzna potrząsnął głową.

– Tutaj jeździ mnóstwo białych ciężarówek. Nic na ten temat nie wiem.

Mierzyła go wzrokiem, jakby podejmowała decyzję w sprawie życia lub śmierci, potem wsunęła portfel z powrotem do kieszeni dżinsów.

– Jeśli koniecznie chce pan tu pilnować, proszę uważać na białą ciężarówkę.

– Dobrze, proszę pani.

– Jeszcze jedno. Pracuje pan na nocną zmianę czy za dnia?

– Za dnia.

– Trudno, nieważne. Wykazuje pan obywatelską troskę, to dobrze. Ale niech pan wraca do swoich zajęć i nie przeszkadza mi dłużej w czynnościach służbowych.

Zaczekała, aż odjedzie, po czym bez większych trudności przeszła przez ogrodzenie. Ruszyła w dół rampą dojazdową. Dochodząc do koryta rzeki, miała wrażenie, że zapuszcza się w głąb okopu. Po bokach wyrastały betonowe mury, zasłaniając jej widok, i niebawem Pollard dostrzegła jedynie wierzchołki kilku drapaczy chmur.

Płaski kanał ciągnął się w obu kierunkach; powietrze było nieruchome. Nie dochodził tu powiew niosący zapach nafty. Na południu widać było mosty Sixth Street i Seventh Street, a na pomocy, za Fourth Street Bridge, majaczyły zarysy First Street Bridge. Na tym odcinku rzeki zwieńczone ogrodzeniem betonowe wały wznosiły się na wysokość sześciu metrów. Miały na celu powstrzymać rzekę przed wylaniem w porze deszczowej. Wskutek obfitych opadów żałosna strużka wzbierała i występowała z betonowego koryta, spiętrzając się ku wysokim wałom niczym żarłoczna bestia pochłaniająca wszystko, co stawało jej na drodze. Pollard wiedziała, że po zejściu z bezpiecznej rampy dojazdowej stanie się więźniem betonowych wałów. Gdyby rzeka wylała, nie miałyby dokąd uciec. Gdyby pod bramę podjechał radiowóz, nie znalazłaby tu na dole żadnej kryjówki.

Doszła do mostu i schroniła się w cieniu, gdzie było chłodniej. Zabrała ze sobą szkic miejsca zbrodni zamieszczony w „Timesie” i szkic sporządzony przez Holmana, ale nie musiała do nich zaglądać, żeby odgadnąć, gdzie leżały ciała. Na betonowej nawierzchni pod mostem widoczne były cztery połyskujące nieregularne kształty, wyraźnie czystsze i jaśniejsze od reszty nabrzeża. To normalne. Po usunięciu ciał, kiedy policja opuszczała miejsce zbrodni, do akcji wkraczała ekipa od skażeń i dezynfekowała wskazane obszary. Pollard widziała kiedyś taką ekipę przy pracy. Krew wchłaniały higroskopijne granulki, które następnie zbierano pod ciśnieniem do specjalnych pojemników razem z resztkami ludzkich tkanek. Skażone miejsca spryskiwano środkiem dezynfekcyjnym, a potem oczyszczano parą pod ciśnieniem. Mimo że od tamtej feralnej nocy minął ponad tydzień, miejsca, gdzie leżały ciała zabitych policjantów, lśniły niczym migotliwe zjawy. Pollard zastanawiała się, czy Holman domyślił się znaczenia tych jasnych pól. Poruszała się ostrożnie, żeby na nie nie nadeprnąć.

Stała między nimi i zlustrowała wzrokiem rampę dojazdową. Ciągnęła się w odległości około pięćdziesięciu metrów i skręcała, opadając prosto w jej kierunku.

Pollard widziała ją wyraźnie, ale był jasny dzień; poza tym nie zasłaniały jej żadne zaparkowane na nabrzeżu samochody. Nocą widok mógł być zupełnie inny.

Miejsce, gdzie stały samochody, w żaden sposób nie zaznaczono, więc Pollard rozłożyła szkic opublikowany w „Timesie”. Przedstawione na nim trzy samochody ustawione były pod mostem, między wschodnimi filarami a rzeką, tworząc w przybliżeniu trójkąt. Jeden samochód, wyznaczający wierzchołek tego trójkąta, wystawał za północną krawędź mostu. Drugi całkowicie mieścił się pod mostem, a ostatni stał wysunięty nieco w kierunku wschodnim. Obok samochodów i filarów naniesione były zwłoki policjantów i oznaczone nazwiskami.

Mellon i Ash musieli stać za swoim radiowozem. To na bagażniku ich samochodu znaleziono sześciopak piwa, w którym brakowało czterech puszek. Wóz Fowlera, ten całkowicie schowany pod mostem, stał najbliżej rzeki. Ciało Fowlera leżało z prawej strony przedniego zderzaka. Samochód Holmana stanowił prawy bok tego trójkąta, a miejsce położenia jego zwłok narysowano w połowie drogi między jego wozem a Fowlerem. Pollard uznała, że Mellon i Ash przyjechali pierwsi, ponieważ zaparkowali od północnej strony mostu, zostawiając miejsce dla pozostałych. Fowler prawdopodobnie przybył drugi, a Holman ostatni.

Pollard złożyła szkic i schowała go do kieszeni. Przyjrzała się czterem odkażonym polom na betonowej nawierzchni; nie były to znaki narysowane na papierze, ale niknące ślady czterech ludzkich istnień – Mellona i Asha obok siebie, Holmana najbliżej filaru. Pollard stała przy śladzie Fowlera. Cofnęła się i próbowała wyobrazić sobie, jak byli ustawieni w chwili śmierci. Jeśli wszyscy czterej ze sobą rozmawiali, to Fowler i Holman byli odwróceny plecami do rampy. Fowler pewnie przysiadł na przednim zderzaku. Holman mógł opierać się o swój samochód, ale to było tylko przypuszczenie. Tak czy inaczej, stali tyłem do rampy i nie zauważyliby, gdyby ktoś nadchodził od tej strony. Zabójca zaszedł ich od tyłu.

Pollard przeszła na pozycję Mellona i Asha. Stała w miejscu, w którym zaparkowany był ich samochód. Stali zwróceny twarzą do Fowlera, w kierunku południowym. Pollard wyobraziła sobie, że opiera się o radiowóz, popijając piwo. Rampa była widoczna jak na dłoni.

Postanowiła obejść filary. Chciała sprawdzić, czy można było dotrzeć tu od strony północnej, ale wysokie betonowe wały przeciwpowodziowe ciągnęły się aż po Fourth Street Bridge i jeszcze dalej. Nagle usłyszała szczęk bramy, przypominający pobrękiwanie łańcuchów. Cofnęła się pod most i zobaczyła idącego rampą Holmana. Zaskoczyło ją to. Nie uprzedzała go, że wybiera się tu, i nie spodziewała się jego przybycia. Zastanawiała się, po co przyjechał, kiedy uzmysłowiła sobie, że wyraźnie słyszała szczęk bramy, a teraz słyszała chrzęst kroków Holmana po sypkiej nawierzchni. Był jeszcze dość daleko, ale słyszała, jak nadchodzi, i zrozumiała dlaczego. Wysokie wały więziły dźwięk tak, jak więziły wodę, i nadawały mu kierunek tak, jak wytyczały bieg rzeki.

Patrzyła na Holmana, ale nie odezwała się, dopóki do niej nie podszedł, a potem rzekła:

– Miałaś rację, Holman. Słyszeli nadejście zabójcy tak, jak ja słyszałam ciebie. Zabił ich ktoś, kogo znali.

Holman spojrzał do tyłu na rampę.

– Kiedy zejdziesz się na dół, nie można na to spojrzeć w inny sposób. A w nocy jest jeszcze ciszej.

Pollard skrzyżowała ręce na piersi. Zrobiło jej się niedobrze. W tym właśnie tkwił problem – nie można było na to spojrzeć w inny sposób, a policja mimo to twierdziła, że widzi to inaczej.

Pollard próbowała rozstrzygnąć, co to oznacza, ale Holman przerwał jej rozmyślenia. Sprawiał wrażenie wystraszonego.

– Posłuchaj, nie możemy zbyt długo się tu kręcić. Ci faceci z doków jeszcze zadzwonią na policję.

– Skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz?

– Nie wiedziałem. Przejeżdżałem akurat przez most, kiedy schodziłaś nad rzekę. Widziałem, jak przeskakujesz przez bramę.

– Tak przypadkiem znalazłeś się w okolicy?

– Od śmierci Richiego często tu zaglądam. Dalej, wracajmy. Miałem do ciebie zadzwonić...

Pollard nie chciała jeszcze odchodzić; chciała zrozumieć, dlaczego policja przyjęła założenie, które w tak oczywisty sposób było błędne, i zastanawiała się nad słowami Holmana.

– Zaraz, Holman. Byłeś tu może w nocy?

– Tak, ze dwa, trzy razy.

– Jaka była widoczność?

– Tej nocy, kiedy zginęli, księżyc był w trzeciej kwadrze, chmury nieliczne, rozproszone. Sprawdziłem prognozę pogody. Tu na dole można by czytać gazetę.

Odwrócił się w stronę bramy.

– Chodźmy już lepiej. Wsadzą cię do aresztu, jak cię tu złapią.

– Ciebie też.

– Dla mnie to żadna nowość. Ale tobie to się nie spodoba.

– Holman, jeśli wolisz poczekać przy bramie, to idź. Ja muszę ustalić, co tutaj naprawdę zaszło.

Holman nie odszedł, ale wyraźnie nie był zadowolony, że dotrzymuje jej towarzystwa. Pollard krążyła po miejscu zbrodni, próbując wyobrazić sobie pozycje

samochodów i policjantów tej nocy, kiedy zginęli. Przystawiała ich w wyobraźni niczym manekiny na wystawie, za każdym razem odwracając się w stronę rampy. Zmieniała rozstawienie samochodów, myśląc, że może pominęła jakieś proste wytłumaczenie.

– Co ty właściwie chcesz ustalić? – spytał Holman.

– Sprawdzam, czy istnieje możliwość, że nie widzieli zabójcy.

– Widzieli go. Sama mi to przed chwilą powiedziałaś.

Pollard podeszła na skraj kanału i spojrzała w dół. Niemrawa strużka płynęła niemrawo po dnie betonowego koryta głębokości około sześćdziesięciu centymetrów. Zabójca mógł się ukryć w korycie albo za filarem, ale musiałby wiedzieć, gdzie i kiedy zjawią się Fowler i pozostali, a obie możliwości jednakowo zakrawały na absurd. Pollard wiedziała, że puszcza wodze fantazji. Podstawowa reguła śledztwa głosiła, że najbardziej prawdopodobne jest najprostsze wyjaśnienie. To, że zabójca zaczął się tu na nich, było mniej więcej tak prawdopodobne jak to, że zeskoczył z mostu niczym ninja.

– Słyszałaś, co mówiłem? – spytał Holman.

– Zamyśliłam się.

– Słuchaj, co mówię, to ważne. Rano pojechałem do Liz po raporty, ale policja mnie uprzedziła. Sprzątnęli wszystko z biurka Richiego. Raporty też.

Odwróciła się do niego, zaskoczona.

– Skąd wiedzieli o raportach w mieszkaniu Liz?

– Nie wiem, czy przyjechali właśnie po nie, ale wiedzieli, że Liz mi pomaga. Dawali jej do zrozumienia, że muszą przeszukać biurko Richiego ze względu na mnie – niby po to, żeby zobaczyć, co kombinuję. Może wtedy trafili na te raporty.

– Kto był u niej?

– Ten detektyw, o którym ci mówiłem, Random.

– Ten, który kieruje grupą operacyjną?

– Ten sam. Kiedy wyszedłem od Liz, zaraz mnie dopadli, Random i trzech innych gliniarzy. Powiedzieli, że Maria Juarez im się wymknęła i że to przeze mnie. Ale to nie dlatego na mnie wsiedli. Wiedzieli, że rozmawialiśmy z wdową po Fowlerze, i to ich wkurzyło. O tobie nic nie mówili, ale wiedzieli, że ja u niej byłem.

Pollard miała gdzieś to, czy wiedzieli o niej, czy nie, ale ciekawiło ją, dlaczego detektyw zajmujący się zabójstwami zabrał raporty dotyczące napadów na banki. Te same raporty, jak się okazało, były niedostępne dla April, ponieważ przejął je ktoś z góry.

Domyślała się odpowiedzi, ale mimo to zapytała.

– Udało ci się porozmawiać z rodziną Mellona albo Asha?

– Dzwoniłem do nich po rozmowie z Liz, ale mnie spławili. Random zdążył ich uprzedzić. Kazał mi się odczepić od Liz. Ostrzegł mnie, żebym trzymał się z daleka od żony mojego syna!

Pollard raz jeszcze obeszła miejsce zbrodni, kręcąc głową. Uważała, żeby nie nadepnąć na jaśniejsze pola, na których ledwie kilka dni temu spoczywały ciała zastrzelonych policjantów. Cieszyła się, że Holman nie zwrócił na nie uwagi.

– Chcę wiedzieć, co zawierają te raporty – oznajmiła.

– Przecież je zabrali.

– Dlatego interesuje mnie, co zawierają. Czego się dowiedziałeś o tamtej czwartkowej nocy?

Znów okrążyła miejsce zbrodni, tym razem posuwając się w przeciwnym kierunku. Uświadomiła sobie, że Holman nie odpowiedział na jej pytanie.

– Pamiętałeś, żeby zapytać ją o tamten czwartek?

– Powiedziała, że dywanik w samochodzie był uwalany trawą i ziemią.

– Więc Richard był tamtej nocy z Fowlerem.

– Na to wygląda. Myślisz, że przyjechali tutaj?

Pollard rozważała już tę możliwość, ale ją odrzuciła.

– Tutaj nie ma trawy, a błota jak na lekarstwo, Holman. Nawet gdyby wskoczyli do kanału i brodzili w wodzie, nie oblepiliby sobie butów błotem i zielskiem jak Fowler tamtej nocy.

Spojrzała na rampę, potem na Holmana. Padający na niego cień mostu dzielił go dokładnie na pół; jedna połowa Holmana skąpana była w słońcu, a druga pogrążona w mroku.

– Holman, do tego nie potrzeba żadnego pieprzonego Sherlocka Holmesa. Jesteśmy na miejscu zbrodni. To oczywiste, że zabójca nie mógł się do nich zbliżyć niezauważony. Nie ukrył się ani nie zaczął – zszedł rampą w dół i zastrzelił ich z bliska. Nawet nowicjusz prowadzący śledztwo wyciągnąłby taki wniosek. Fowler, twój syn, Mellon i Ash pozwolili zabójcy podejść.

– Wiem.

– No właśnie. Na pewno nie my jedni to zauważyliśmy. Gliniarze, którzy tu się zjawili, musieli dojść do takiego samego wniosku. Widać jak na dłoni, że Fowler, twój syn, Mellon i Ash nie wpadli w zasadzkę, ale we wszystkich oświadczeniach dla prasy policja twierdzi, że taki właśnie był przebieg wydarzeń. Albo ignorują to, co oczywiste, albo celowo kłamią, albo też istnieją jakieś przesłanki, które to wyjaśniają, ale nie wyobrażam sobie, co by to mogło być.

Holman cofnął się w cień, światło słoneczne już nie dzieliło go na pół.

– Rozumiem.

Pollard wątpiła, czy naprawdę rozumie. Jeśli takowych przesłanek nie było, to by oznaczało, że policja rozmyślnie wprowadzała opinię publiczną w błąd. Pollard nie chciała przyjąć tego do wiadomości; musiała najpierw zapoznać się z raportami. Wciąż miała nadzieję, że zawierają jakieś informacje, w których światło wszystko nabierze właściwego sensu.

– Dobra, powiem ci, na czym stoimy – oznajmiła. – Sprawdziłam listę świadków i porównałam numery ich telefonów z wykazami rozmów Fowlera i twojego syna. Mam dla ciebie złą wiadomość – Fowler dwa razy dzwonił do matki Marczenki.

– To oznacza, że prowadzili dochodzenie.

– Owszem, to oznacza, że prowadzili dochodzenie. Ale nie wiemy, czy robili to oficjalnie, czy na własną rękę. Musimy porozmawiać z tą kobietą i ustalić, czego chciał od niej Fowler.

Holman zastanawiał się nad tym przez chwilę, potem odwrócił wzrok.

– Może jutro. Dzisiaj nie mogę.

Pollard zerknęła na zegarek i poczuła lekkie rozdrażnienie. Narząła się dla niego na upokorzenie, prosząc matkę, żeby zajęła się dziećmi, a on nie może nic z siebie dać?

– Wiesz, co, Holman? – odparła. – Mój czas jest dość ograniczony. Sporo się nagimnastykowałam, żeby poświęcić dzisiejszy dzień na twoją sprawę, więc nie odkładajmy tego do jutra.

Holman zacisnął usta i zaczerwienił się. Zaczął coś mówić, ale przeniósł wzrok na rampę, potem popatrzył na Pollard. Wyglądał na zakłopotanego.

– Wiem, że naprawdę się starasz – powiedział. – Doceniam to...

– No to jedźmy do niej. Teraz.

– Muszę pogadać z moim szefem. Przez tydzień nie pokazywałem się w pracy i oberwało mi się dzisiaj od niego. Facet był naprawdę w porządku, ale Random napuścił go na mnie. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby stracić tę robotę. Jak ją stracę, to spieprzę sobie układy w Departamencie Więziennictwa.

Pollard widziała, że Holman się męczy, i wyrzucała sobie w duchu, że na niego wsiadła. Zastanawiała się, dlaczego Random wziął się na biedaka, który dopiero co stracił syna. Znowu spojrzała na zegarek i zrobiło jej się głupio, że jest taką niewolnicą czasu.

– Dobra, do matki Marczenki pojedziemy jutro. Znam faceta, który może mi pomóc w zdobyciu raportów. Zajmę się tym dzisiaj.

Holman znowu przeniósł spojrzenie na rampę.

– Chodźmy stąd. Nie chcę, żebyś narobiła sobie kłopotów.

W drodze powrotnej do samochodu oboje milczeli. Ich kroki głośno rozbrzmiewały w ciszy, a każdy krok umacniał Pollard w przekonaniu, że śledztwo w sprawie morderstwa czterech policjantów zeszło na manowce, i chciała dowiedzieć się dlaczego.

Jej myśli zajęte były detektywem Randomem. Random odcinał Holmana od źródeł informacji, co nigdy nie było mądrym posunięciem ze strony śledczego. W swojej karierze w FBI przy okazji prowadzenia wielu dochodzeń Pollard miała do czynienia z dziesiątkami dziennikarzy i nadmiernie przejętymi członkami rodziny, a powstrzymanie ich przed działaniem na własną rękę zawsze okazywało się najgorszym rozwiązaniem – im bardziej się ich zniechęcało, tym zacieklej dochodzili prawdy. Miała wrażenie,

że Random doskonale o tym wiedział, ale wyraźnie próbował coś ukryć, nawet jeśli wiązało się z tym ryzyko.

A cena takiego ryzyka mogła być wysoka. Pollard chciała się dowiedzieć, jakiej tajemnicy strzeże Random. I nie spocznie, dopóki się nie dowie.

Po rozstaniu z Holmanem Pollard wróciła na drugą stronę rzeki, potem pojechała ulicą Alameda na północ w kierunku Chinatown, gdzie wznosił się wysoki przeszklony biurowiec, siedziba zarządu banku Pacific West. Uznała, że istnieje tylko jeden sposób na to, żeby zapoznać się z raportami skonfiskowanymi przez Rando – za pośrednictwem banku Pacific West. Miała już gotowy plan.

W informacji uzyskała interesujący ją numer telefonu i połączyła się z recepcjonistą.

– Czy Peter Williams nadal pracuje w banku? – spytała.

Minęło dziewięć lat, ale miała nadzieję, że ją pamięta.

– Tak, proszę pani. Połączyć panią z jego biurem?

– Tak, proszę.

Inny głos odezwał się w słuchawce.

– Biuro pana Williamsa.

– Tu Katherine Pollard. Czy mogłabym z nim porozmawiać? Katherine Pollard, agentka specjalna FBI.

– Proszę zaczekać. Zapytam.

Najbardziej spektakularnym wyczynem Pollard jako agentki Zespołu Bankowego było zgarnięcie czterech Ukraińców, osławionych Żywych Taranów. Szybko ustalono ich tożsamość; byli to bracia Craig i Jamison Bepko, ich kuzyn Vartan Bepko i niejaki Wład Stepankutza. Leeds nadał im przydomek Taranów z powodu ich wagi. Najlżejszy z nich, Vartan Bepko, ważył sto dwadzieścia kilogramów; przy Stepankutzy wskazówka wagi dochodziła do stu trzydziestu kilogramów, a bracia Craig i Jamison przesunęli ją jeszcze dalej, kolejno do stu czterdziestu czterech i stu czterdziestu pięciu kilogramów. W ciągu dwóch tygodni napadli na szesnaście placówek banku Pacific West, niemal doprowadzając firmę na skraj bankructwa.

Tworzyli czteroosobowy zespół. Razem wkraczali do banku, stawali w kolejce, potem za pomocą gróźb wypłaszali z niej klientów. Podchodzili wspólnie do stanowisk kasjerów, odgradzając je żywym murem, i domagali się wydania pieniędzy. Nie szeptali ani nie przekazywali karteczek z żądaniami. Wrzeszczeli, przeklinali, szarpali kasjerów za ramię, bili ich, nie przejmując się tym, że są obserwowani. Każdy z nich zgarniał pieniądze z jednego stanowiska; nigdy nie zajmowali się skarbcem. Kiedy już dostali forszę, kopniakami i pięściami torowali sobie drogę do wyjścia. W ciągu pierwszego dnia swojej działalności gang Żywych Taranów obrabował cztery oddziały Pacific West. Trzy dni później obrobił następne trzy placówki. Działo się tak przez całe dwa tygodnie, dostarczając alarmujących wieści dla wieczornych programów informacyjnych i grożąc utratą publicznego zaufania do banku Pacific West, małej regionalnej sieci złożonej zaledwie z czterdziestu dwóch oddziałów.

Leeds przydzielił sprawę Pollard po pierwszej serii napadów. Pod koniec drugiej serii miała już gotową koncepcję namierzenia bandytów i rozwiązania zagadki. Po pierwsze, napadali tylko na oddziały tego banku. To oznaczało jakieś powiązania z Pacific West i prawdopodobnie jakąś urazę wobec tej instytucji – oni nie tylko kradli pieniądze; oni starali się zaszkodzić bankowi. Po drugie, pracownicy Pacific West byli instruowani, żeby razem z pieniędzmi wkładać do toreb pojemniki z barwnikiem, które wyglądem przypominały pliki banknotów. Jednak bandyci bez trudu rozpoznawali te pojemniki i wyrzucali je, zanim odchodzili od stanowiska. Po trzecie, nigdy nie zostawali w banku dłużej niż dwie minuty od momentu zażądania pieniędzy. Pollard była przekonana, że jakiś znający się na rzeczy pracownik Pacific West musiał im powiedzieć o torebkach z barwnikiem oraz o zasadzie dwóch minut. Ze względu na możliwą urazę wobec banku Pollard zaczęła szukać wśród personelu osób z poczuciem doznanej krzywdy. Rankiem tego dnia, w którym Żywe Tarany dokonały swojego piętnastego i szesnastego skoku, Pollard i April Sanders przesłuchiwały niejaką Kankę Dubrov, kobietę w średnim wieku, niedawno zwolnioną ze stanowiska zastępcy kierownika oddziału Pacific West w Glendale. Pollard i Sanders nie musiały uciekać się do tortur ani do serum prawdy. Gdy tylko błysnęły swoimi odznakami i oznajmiły pani Dubrov, że chcą jej zadać kilka pytań w związku z ostatnimi napadami na banki, kobieta zalała się łzami. Vlad Stepankutza był jej synem.

Tego samego dnia, kiedy Stepankutza i jego wspólnicy wrócili do domu, Pollard i Sanders czekały na nich z obstawą trzech detektywów i jednostki SWAT, przydzielonej jako wsparcie na czas dokonania aresztowania.

Dyrektor zarządzający Pacific West, niejaki Peter Williams, wręczył Pollard nagrodę banku Pacific West za wybitne osiągnięcia.

– Tu Peter. To ty, Katherine?

Sądząc po głosie, było mu miło, że zadzwoniła do niego.

– We własnej osobie. Nie byłam pewna, czy mnie jeszcze pamiętasz.

– Pamiętam te ogromne potwory, które o mało nie doprowadziły nas do bankructwa. Wiesz, jak cię nazwaliśmy, kiedy ich złapałaś? Kate Pogromczyni Olbrzymów.

Wspaniale, pomyślała Pollard.

– Peter, chciałabym ci zająć pięć minut. Jestem właśnie w Chinatown. Znajdziesz dla mnie chwilę?

– Teraz?

– Tak.

– Mogę wiedzieć, o co chodzi?

– O Marczenkę i Parsonsa. Chciałabym o nich porozmawiać, a wolałabym spotkać się z tobą osobiście. To nie potrwa długo.

Williams zamyślił się i Pollard miała nadzieję, że robi dla niej miejsce w swoim terminarzu.

– Jasne, Katherine. Możemy porozmawiać. Kiedy mogę się ciebie spodziewać?

– Za pięć minut.

Pollard zostawiła samochód na parkingu obok biurowca i pojechała windą na samą górę. Dręczyło ją to, że dała Williamsowi do zrozumienia, iż nadal służy w FBI. Pollard nie lubiła kłamać, ale nie liczyła na to, że prawdopodobność jej tu pomoże. Jeśli Williams jej odmówi, straci jedyną szansę na dotarcie do raportów, które Random usiłował ukryć.

Kiedy wysiadła z windy, zobaczyła, że Peter awansował. Błyszcząca tabliczka informowała, że jest prezesem firmy i dyrektorem zarządu. Uznała to za dobry znak – jeśli przyjdzie jej kłamać, to przynajmniej skłamię samemu szefowi.

Peter Williams był wysportowanym mężczyzną po pięćdziesiątce, niskim i łysejącym. Jego opalenizna zdradzała zamiłowanie do gry w tenisa. Spotkanie z Katherine sprawiało mu wyraźną przyjemność. Zaprowadził ją do swojego gabinetu, skąd rozciągał się oszałamiający widok na całą dolinę Los Angeles. Nie siadł za biurkiem, lecz podszedł do ściany obwieszanej oprawionymi fotografiami i pamiątkowymi płytami. Wskazał zdjęcie wiszące w górnym prawym rogu.

– Widzisz? To ty.

Na zdjęciu Peter wręczał jej nagrodę za wybitne osiągnięcia. Od tamtego czasu minęło dziewięć lat. Pollard pomyślała, że na tej fotografii wygląda dużo młodziej. I szczuplej.

Peter poprosił, żeby usiadła na sofie, a sam rozsiadł się w głębokim skórzanym fotelu.

– No dobrze, agentko FBI. W czym mogę pomóc Pogromczynie Olbrzymów po tylu latach?

– Już nie pracuję w FBI. Dlatego potrzebna mi twoja pomoc.

Peter jakby zeszywniał, więc Pollard obdarzyła go swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

– Nie chodzi mi o kredyt. Ani nic z tych rzeczy.

Peter roześmiał się.

– Nie ma nic łatwiejszego niż wzięcie kredytu. Co w takim razie mogę dla ciebie zrobić?

– Staram się o pracę w prywatnej firmie jako doradca w sprawach ochrony. Marczenko i Parsons to najgłośniejsi przestępcy rabujący banki w ostatnich kilku miesiącach i muszę poznać metody ich działania na wylot.

Peter życzliwie pokiwał głową.

– Napadli na nas dwa razy.

– Tak. Dwa razy na trzynaście. Na swój czwarty i siódmy skok wybrali sobie oddział waszego banku.

– Cholerne bydlaki.

– Potrzebne mi są szczegóły tej sprawy, ale komenda główna nie chce udostępnić akt osobie cywilnej.

– Nawet byłej agentce FBI?

– Rozumiem ich zastrzeżenia. Muszą ściśle przestrzegać przepisów. W Feeb pod tym względem jest jeszcze gorzej. Leeds nienawidzi agentów, którzy podejmują pracę w prywatnym sektorze. Uważa nas za zdrajców. Ale tak czy siak mam na utrzymaniu dwójkę dzieci i zależy mi na tej pracy. Byłabym wdzięczna, gdybyś mi pomógł.

Pollard uznała, że sprytnie to rozegrała, delikatnie sugerując Williamsowi, że od niego zależy dobrobyt jej dzieci. Większość dużych banków i sieci bankowych miała własne zespoły ochrony, które współdziałały z policją w celu rozpoznania, namierzenia i pojmania rabusiów, jak również na rzecz zapobiegania przyszłym napadom. Dlatego banki i organy ścigania swobodnie wymieniały się informacjami w toku postępowania, które wszczynano zaraz po pierwszej zgłaszanej kradzieży. Wiedza na temat przebiegu drugiego i szóstego napadu mogła pomóc policji w schwytaniu bandytów podczas ich szesnastego skoku. Pollard знаła te procedury, ponieważ sama je stosowała. Zespół ochrony Pacific West na pewno otrzymywał kopie wszystkich lub znacznej części policyjnych raportów, nawet jeśli nie w pełnej wersji, to chociaż w opracowaniu.

Peter zmarszczył brwi; widać było, że rozważa prośbę Pollard.

– Jak wiesz, podpisaliśmy zobowiązania o zachowaniu tajności.

– Wiem. Podobne zobowiązanie podpisywałeś, kiedy namierzałam gang Żywych Taranów i udostępniłam wam streszczenie przeprowadzonych przez nas przesłuchań.

– Te dokumenty przeznaczone są wyłącznie do naszego użytku wewnętrznego.

– Jeśli chcesz, żebym przeczytała je na miejscu, nie ma sprawy. Nie muszę ich stąd wynosić.

Pollard popatrzyła mu prosto w oczy, potem przeniosła wzrok na zdjęcie Kate Pogromczyni Olbryzmów. Wpatrywała się w nie przez chwilę, po czym znów spojrzała na niego.

– Jeśli chcesz, żebym zobowiązała się na piśmie, że zachowam te informacje dla siebie, to chętnie podpiszę coś takiego.

Patrzyła na niego wyczekująco.

– No, nie wiem, Katherine.

Pollard miała wrażenie, że jej wysiłki idą na marne, i złąkla się nagle, że Williams zwróci się do policji o wyrażenie zgody. Jego zespół ochrony utrzymywał bliskie kontakty z detektywami i agentami FBI. Gdyby te palanty z komendy głównej dowiedziały się, że Pollard próbuje ich obejść, miałyby przerąbane.

Znów popatrzyła na swoje zdjęcie, a potem sięgnęła po swój ostatni argument.

– Te dranie za dwa lata wyjdą na wolność.

Peter niezobowiązująco wzruszył ramionami, co nie rokowało zbyt dobrze.

– Wiesz, co? Zostaw mojej asystentce swój numer. Przemyślę to i dam ci znać.

Peter wstał, a Pollard zrobiła to samo. Nic więcej nie przychodziło jej do głowy. Peter odprowadził ją do drzwi. Pollard podała asystentce numer telefonu i zjechała windą na dół, czując się jak spławiony domokrążca.

Odczuwała brak swojej odznaki i legitymacji, którymi posługiwała się jako agentka. Budziły respekt i dawały jej moralne prawo do zadawania pytań i domagania się wyjaśnień, a z nimi zawsze śmiało pukala do każdych drzwi i żądała odpowiedzi na każde pytanie, i z reguły je otrzymywała. Bez nich czuła się nawet gorzej niż domokrążca. Prawie jak nędzarz kradnący z jadłodajni torebki z cukrem. Jak zero.

Pojechała do Simi Valley, żeby przygotować dzieciom obiad.

Z uczuciem tępego bólu w piersi Holman patrzył, jak Pollard odjeżdża znad rzeki. Nie powiedział jej prawdy o tym, co robił na moście, kiedy ją zobaczył. Jechał do warsztatu Chee. Skłamał też, mówiąc, że był pod tym mostem dziesięć razy. Odwiedził to miejsce ze dwadzieścia, może nawet ze trzydzieści razy. Każdego dnia kilkakrotnie przejeżdżał przez most, podobnie w nocy. Czasami trafiał na niego niemal bezwiednie, jakby zasnął za kierownicą i samochód sam go tu przywoził. Nie zawsze przeskakiwał przez ogrodzenie. Zwykle krążył po moście, nie zatrzymując się, czasami tylko stawał i wychylał się daleko za barierkę, wpatrując się pod każdym możliwym kątem w okropne wyszorowane pola na betonowym nabrzeżu. Holman przemilczał te wizyty przed Pollard i wiedział, że nikomu nie będzie mógł się zwierzyć z przerażających chwil, które spędził sam na sam z tymi jaśniejącymi plamami.

Przeanalizował przebieg rozmowy z Pollard i zdecydował, że jednak nie pojedzie do warsztatu Chee. Musiał z nim porozmawiać, ale nie chciał go mieszać w swoje sprawy.

Zawrócił w stronę Culver City i zadzwonił do Chee z komórki.

– *Homes!* Co słysząc, bracie? Jak tam wóz? Podoba ci się?

– Niepotrzebnie napuściłeś swoich chłopaków na tego staruszka. Wyszedłem przez to na jakiegoś oprycha.

– *Homes*, daj spokój! Skurwiel brał od ciebie dwudziestkę za dzień za takiego rżęcha, i nie dość, że rżęch, to jeszcze magnes na gliniarzy. To rozbój w biały dzień. Wykorzystywał cię, nie mogłem mu odpuścić, stary.

– To już staruszek, Chee. Miałem z nim umowę. Wiedziałem, w co się pakuję.

– Wiedziałeś o tych mandatach?

– Nie, ale nie o to chodzi...

– To co mam teraz zrobić? Posłać mu kwiaty? Może jeszcze liścik z przeprosinami?

– Nie, ale...

Holman wiedział, że nie przekona Chee, i zaczynał żałować, że w ogóle poruszył ten temat. Miał ważniejsze sprawy do omówienia z Chee.

– Słuchaj, nie nie każę ci robić. Po prostu chciałem ci powiedzieć, co o tym myślę. Wiem, że chciałeś dobrze.

– Ja tylko cię osłaniam, stary. Nie zapominaj o tym.

– Druga sprawa... Podobno Maria Juarez zniknęła.

– Nawiała od krewnych?

– Tak. Gliny wydały nakaz jej aresztowania, a za to, że dała nogę, obwiniają mnie. Mógłbyś trochę powęszyć?

– Jak sobie życzysz, bracie. Zobaczę, co da się zrobić. Potrzebujesz czegoś?

Była jedna rzecz, której Holman potrzebował, ale nie od Chee.

– Jeszcze jedno... gliny dopadły mnie dzisiaj w związku z tą całą sprawą. Byli u ciebie?

– Po co mieliby mnie nachodzić?

Holman powiedział mu, że Random wymienił jego nazwisko. Chee milczał przez chwilę, potem odezwał się cicho:

– Nie podoba mi się to, bracie.

– Mnie też się to nie podoba. Nie wiem, czy mnie śledzili, czy założyli podsłuch na mój telefon w motelu, tak czy inaczej, dzwoń do mnie tylko na komórkę.

Holman odłożył telefon i jechał przez miasto w milczeniu. Dotarcie z Fourth Street Bridge do dzielnicy przemysłowej zabrało mu niemal godzinę. Ruch zawsze się nasilał pod koniec dnia, kiedy ludzie wracali z pracy. Bał się, że nie zdąży, ale dojechał do zakładu kilka minut przed fajrantem.

Nie skręcił na parking, bo nie chciał natknąć się na Tony'ego Gilberta. Nie o niego mu chodziło. Zaparkował w niedozwolonym miejscu po drugiej stronie ulicy i czekał w samochodzie. Dzień pracy kończył się o piątej.

Holman spojrzał na ojcowski zegarek z nieruchomymi wskazówkami. Może dlatego go nosił – czas nie miał znaczenia. Spojrzał na zegar w tablicy rozdzielczej i patrzył, jak mijają kolejne minuty.

Dokładnie o piątej z drukarni zaczęli wychodzić robotnicy, którzy kierowali się do swoich samochodów na parkingu. Holman patrzył, jak Tony Gilbert idzie do cadillaca, a dwie dziewczyny z jego biura wsiadają do jetty. Trzy minuty później z budynku wyszedł Pitchess i wsiadł do dodge'a, niemal tak odrapanego i poobijanego jak rzech Perry'ego.

Holman zaczekał, aż Pitchess wyjedzie z parkingu, przepuścił kilka samochodów i ruszył za nim. Przejechał tak prawie dwa kilometry, aż upewnił się, że w pobliżu nie ma nikogo z pracowników zakładu. Przyspieszył, wyprzedził kilka samochodów, i wjechał z powrotem na pas tuż za dodge 'em Pitchessa.

Zatrąbił na niego i zobaczył, że Pitchess patrzy w lusterko wsteczne, ale się nie zatrzymał.

Holman zatrąbił jeszcze raz, a kiedy Pitchess spojrział w lusterko, dał mu znak, żeby zjechał na bok.

Pitchess zrozumiał i skręcił na parking przed supermarketem sieci Safeway. Stał niedaleko wejścia, ale nie wyszedł z samochodu. Holman domyślił się, że sukinsyn pewnie ma pietra.

Zaparkował za nim, wysiadł i podszedł do samochodu Pitchessa, który na jego widok opuścił szybę.

– Możesz mi załatwić spluwę? — spytał Holman.

– Wiedziałem, że się do mnie zgłosisz.

– Możesz mi załatwić spluwę czy nie?

– Masz forszę?

– Mam.

– No to mogę ci załatwić wszystko, czego ci potrzeba. Wskakuj.

Holman obszedł samochód i wsiadł od strony pasażera.

Kiedy późnym wieczorem Holman przyjechał do motelu, miejsce, w którym zwykle stał samochód Perry'ego, było puste. Rzęch zniknął.

Ominął strużkę wody kapiącą z agregatów i wszedł od frontu tak jak zawsze. Dochodziła dziesiąta, ale Perry trwał na posterunku. Z nogami na biurku czytał gazetę.

Holman bez słowa ruszył w stronę schodów, ale Perry odłożył gazetę i uśmiechnął się szeroko.

– Hej, byli dziś u mnie ci kolesie. Musiałeś porządnie ich opieprzyć. Dzięki, Holman.

– Nie ma za co. Cieszę się, że wszystko się dobrze ułożyło.

Nie zamierzał wysłuchiwać opowieści Perry'ego. Chciał jak najszybciej dostać się do swojego pokoju, więc szedł dalej, nie zatrzymując się. Perry zdjął nogi z biurka.

– Hej, poczekaj chwilę. Co tam masz w tej torbie, kolację?

Holman stanął. Trzymał papierową torbę Safewaya przy udzie, jakby nie zawierała niczego szczególnego.

– Trafiłeś, Perry. Słuchaj, zaraz mi wystygnie.

Perry odłożył na bok gazetę i wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby, odsłaniając przy tym dziąsła.

– Jeśli chcesz do tego piwo, to mam u siebie parę puszek.

Holman wahał się. Nie chciał urazić Perry'ego, ale jego towarzystwo było mu teraz nie na rękę. Musiał zanieść pakunek na górę.

– To chińszczyzna, właściwie została mi resztką.

– To nic, i tak możemy się napić piwa.

– Ja nie piję, pamiętasz?

– Ach tak. Słuchaj, próbuję ci jakoś podziękować za to, co dla mnie zrobiłeś. Jak ci kolesie tu dziś wparowali, pomyślałem sobie, jasny gwint, że zaraz mi dokopią.

Zaciekawiło to Holmana. Uznał też, że im prędzej Perry wyrzuci to z siebie, tym szybciej się od niego uwolni.

– Nie wiedziałem, że znów tu przyjadą.

– Cholera, musiałeś im zdrowo nagadać. Zauważyłeś, że nie ma mojego wozu?

– Zauważyłem.

– Naprawią mi grata, niby w ramach przeprosin. Wyklepią wgniecenia, usuną rdzę przy lampach i odmalują. Obiecali, że będzie jak nowy.

– To świetnie, Perry.

– Do diabła, Holman, naprawdę jestem ci wdzięczny. Dzięki, chłopie.

– Drobiazg. Słuchaj, muszę już iść.

– Jasne, kolego, chciałem ci tylko to powiedzieć. Jak zmienisz zdanie w sprawie piwa, zachodź śmiało.

– Dobra, Perry. Na razie.

Wszedł do swojego pokoju, ale drzwi zostawił uchylone. Wyłączył klimatyzację, żeby nie przeszkadzał mu szum nawiewu, i stanął przy drzwiach, nasłuchując. Perry zamknął drzwi wejściowe, potem wyłączył światła w przedsiionku i poszedł korytarzem do swojego pokoju. Kiedy Holman usłyszał odgłos zamykanych drzwi, zdjął buty i zakradł się na koniec korytarza na piętrze do schowka, w którym Perry trzymał miotły, mopy i środki czystości. Odkrył go wcześniej, kiedy szukał odświeżacza powietrza i przepychacza do umywalki.

W schowku, poza miotłami i wiadrami, był zawór odcinający wodę, wpuszczony w ścianę między dwoma sworzniami. Holman wcisnął torbę w sporą szparę pod zaworem. Nie chciał przechowywać broni w swoim pokoju ani w samochodzie. Musiał się liczyć z tym, że policja prędzej czy później przeszuka jego mieszkanie. Gdyby tego ranka znaleźli coś podejrzanego w samochodzie, siedziałby już w areszcie federalnym.

Zamknął schowek i wrócił do pokoju. Był tak zmęczony, że zrezygnował z prysznic. Obmył się tylko w umywalce, potem włączył klimatyzację i położył się do łóżka.

Kiedy po raz pierwszy nabrał podejrzeń co do sposobu, w jaki policja tłumaczyła śmierć Richiego i pozostałych policjantów, uznał, że to zwykła nieudolność ze strony

prowadzących śledztwo. Teraz był przekonany, że ma do czynienia z niebezpiecznym spiskiem. Jeśli Richie i jego koledzy próbowali odnaleźć zaginione szesnaście milionów, z pewnością nie byli jedynymi poszukiwaczami skradzionego łupu. A skoro policjanci utrzymywali w tajemnicy fakt, że szesnaście milionów zaginęło bez śladu, mogli o tym wiedzieć jedynie ich koledzy po fachu.

Usiłował wyobrazić sobie szesnaście milionów w gotówce, ale nie potrafił. Największa kwota, jaką kiedykolwiek miał w ręku, wynosiła cztery tysiące dwieście dolarów. Ciekawe, czy zdołałby unieść szesnaście milionów dolarów w banknotach? Czy tyle pieniędzy zmieściłoby się do samochodu? Dla takiej sumy niektórzy ludzie nie cofnęliby się przed niczym. Zastanawiał się, czy należał do nich jego syn Richie, ale od myślenia o tym zaczęło go kłuć w piersiach, więc szybko odpędził te myśli od siebie.

Przed oczami stanęła mu Katherine Pollard. Przypomniał sobie, o czym rozmawiali pod mostem. Lubił ją i wyrzucał sobie, że wpłatał ją w to wszystko. Pomyślał, że chciałby poznać ją bliżej, ale nie robił sobie większych nadziei. Myślał też o tym, że ma broń. Nie chciał jej używać, ale gdy zajdzie taka potrzeba, nie zawaha się, nawet jeśli miałby za to znów trafić za kratki. Użyje jej, gdy tylko się dowie, kto zabił jego syna.

Pollard zadzwoniła do niego następnego dnia rano, żeby powiedzieć mu, że są umówieni z Leylą Marczenko. Pani Marczenko mieszkała w dzielnicy Lincoln Heights niedaleko Chinatown, więc umówili się przy dworcu Union Station. Dalej mieli pojechać samochodem Pollard.

– Sytuacja wygląda tak, Holman: kobieta nienawidzi policji, więc powiedziałam jej, że jesteśmy dziennikarzami.

– Nie znam się na dziennikarstwie.

– Tu nic nie trzeba wiedzieć. Chodzi o to, że ona nienawidzi gliniarzy, a to punkt dla nas. Powiedziałam jej, że przygotowujemy reportaż o tym, jak okropnie ją potraktowali, kiedy prowadzili śledztwo w sprawie jej syna. Dlatego w ogóle zgodziła się z nami rozmawiać.

– No dobrze.

– Może sama to załatwię? Nie ma potrzeby, żebyś mi towarzyszył.

– Nie, nie... Chcę jechać z tobą.

Holman i tak miał wyrzuty, że Pollard pomaga mu za darmo; nie chciał, żeby miała wrażenie, że zrzuca wszystko na jej barki.

Wziął prysznic, zaczekał, aż Perry zacznie polewać chodnik przed motelem, potem poszedł do schowka. Przez całą noc wiercił się i rzucał na łóżku; zaczynał żałować, że kupił ten rewolwer. Teraz Pitchess wiedział, że Holman ma broń, i jeśli go za coś przymkną, nie będzie miał skrupułów i go wsypie, żeby złagodzić swój wyrok. A było pewne, że wpadnie, bo tacy jak Pitchess zawsze w końcu wpadają. To tylko kwestia czasu.

Chciał obejrzyć swoją skrytkę za dnia przy lepszym świetle. Zawór i odsłonięte rury pokrywała gruba warstwa kurzu i pajęczyn, więc było raczej mało prawdopodobne, żeby Perry czy ktokolwiek inny grzebał w dziurze między sworzniami. Uspokoił się. Jeśli nawet Pitchess go wsypie, to on wszystkiemu zaprzeczy i gliniarze będą musieli znaleźć schowaną broń. Zasłonił zawór miotłami i mopami i ruszył na spotkanie z Pollard.

Holman lubił dworzec Union Station, mimo że zaledwie jedną przecznicę dalej mieściło się więzienie. Podobała mu się jego architektura w stylu art deco z hiszpańskimi wpływami, tynkowana fasada, klinkiery i łuki, które przywodziły mu na myśl dawne korzenie miasta. Jako mały chłopiec uwielbiał oglądać westerny w telewizji; była to jedyna rzecz, którą robił wspólnie z ojcem, innych nie pamiętał. Ojciec zabrał go kilka razy na Olvera Street, głównie ze względu na Meksykanów, którzy przechadzali się po ulicy ubrani jak *vaqueros* z Dzikiego Zachodu. Kupowali sobie z ojcem *churro*, potem szli na Union Station, żeby popatrzeć na pociągi. To wszystko do siebie pasowało – Olvera Street, *vaqueros* i dworzec przypominający starą hiszpańską misję – w miejscu będącym kolebką Los Angeles. Matka też go tam kiedyś zaprowadziła, jeden, jedyny raz. Holman miał wtedy pięć czy sześć lat. Poszli do poczekalni, ogromnego pomieszczenia z zawieszonym wysoko sklepieniem. Matka posadziła go na drewnianej ławce i kupiła mu coca-colę i lizaka. Po chwili kazała mu się stamtąd nie ruszać i poszła do łazienki. Pięć godzin później zabrał go stamtąd ojciec; matka już się nie pokazała. Dwa lata później zmarła i ojciec w końcu powiedział mu, że matka próbowała go wtedy porzucić. Wsiadła do pociągu, ale dojechała tylko do Oxnard i tam opuściła ją odwaga. Tak to ojciec ujął – opuściła ją odwaga. Mimo to Holman lubił Union Station. Dworzec kojarzył mu się z Dzikim Zachodem, który zawsze przedstawiał się malowniczo, gdy oglądał westerny razem z tatą.

Holman zostawił samochód na parkingu obok skrzydła mieszczącego poczekalnię i podszedł do głównego wejścia. Kilka minut później zjawiała się Pollard i pojechali do położonego niedaleko Lincoln Heights.

Matka Antona Marczenki mieszkała w okolicy zamieszkaną przez biedotę, między Main a Broadway, w pobliżu Chinatown. Małe domki były zaniedbane, ponieważ lokatorzy nie mieli pieniędzy na ich utrzymanie. Często pod jednym dachem gnieździły się dwa, trzy pokolenia, czasami nawet dwie różne rodziny. Ledwo wiąźali koniec z końcem. Holman dorastał w podobnym domu w innej części miasta i widok tej ulicy go przygnębiał. Swego czasu, kiedy parał się złodziejstwem, w ogóle nie zapuszczał się w takie okolice, gdyż z własnego doświadczenia wiedział, że nie znajdzie tam nic wartościowego.

– Dobra, posłuchaj teraz – odezwała się Pollard. – Matka Marczenki będzie rozwodzić się nad tym, jak gliniarze zamordowali jej syna, więc będziemy musieli wysłuchać jej narzekań. Pozwól, że ja nakieruję rozmowę na Fowlera.

– Ty jesteś szefem.

Pollard wzięła z tylnego siedzenia teczkę na dokumenty i wręczyła Holmanowi.

– Trzymaj ją w rękę. O, już dojeżdżamy. To tam, po prawej. Postaraj się zachowywać jak dziennikarz.

Leyla Marczenko była niską, przysadzistą kobietą. Miała szeroką słowiańską twarz, z oczkami jak guziki i wąskimi ustami. Kiedy otworzyła im drzwi, ubrana była w grubą czarną suknię, na nogach miała miękkie bambosze. Holmanowi wydała się podejrzliwa.

– Jesteście z gazety?

– Zgadza się – odparła Pollard. – To ja do pani dzwoniłam.

– Jesteśmy dziennikarzami – dodał Holman.

Pollard chrząknęła wymownie, dając mu do zrozumienia, żeby się nie wtrącał, ale pani Marczenko otworzyła szeroko drzwi i zaprosiła ich do środka.

Zaprowadziła ich do małego salonu, którego umeblowanie stanowiły przypadkowo dobrane sprzęty pochodzące z wyprzedaży garażowych i komisów. Dom nie miał klimatyzacji. W pokoju rozstawione były trzy wentylatory; ich wirujące tarcze rozdmuchiwały gorące powietrze. Czwarty wentylator stał nieruchomy w kącie, miał pękniętą osłonę, która opadała na łopatki wirnika. Jeśli nie liczyć wentylatorów, miejsce to przypominało Holmanowi jego rodzinny dom i budziło niewesołe wspomnienia. Salonik był ciasny jak cela więzienna. Miał ochotę wyjść stamtąd jak najprędzej.

Pani Marczenko opadła bezwładnie na krzesło. Pollard usiadła na sofie, a Holman obok niej.

– Dobrze, pani Marczenko – odezwała się Pollard. – Jak już wspominałam, chcemy pokazać w naszym reportażu, w jaki straszny sposób policja...

To wystarczyło, żeby Leyla Marczenko zaczerwieniła się i zaczęła wyrzucać z siebie żale.

– Byli wredni i chamscy. Weszli tutaj i narobili straszego bałaganu, a ja sama, biedna staruszka. Stłukli mi lampę w sypialni. Zepsuli wentylator...

Wskazała nieruchomy wentylator w kącie.

– Wpadli do środka, buszowali po całym domu, tylu facetów, a ja sama, bałam się, że zaraz mnie zgwałcą. Nie wierzyłam w to, co wygadują o moim synu, teraz też nie wierzę. Anton nie obrabował tych wszystkich banków, jak oni mówią, może ten ostatni, ale innych nie. Całą winę zrzucili na niego, żeby mogli powiedzieć, że rozwiązali wszystkie sprawy. Zamordowali go. W telewizji mówili, że Anton próbował się poddać, kiedy do niego strzelali. Mówili, że policja była zbyt brutalna. Wymyślili te okropne kłamstwa, żeby się bronić. Podam władze miasta do sądu. Zażądam odszkodowania.

Oczy staruszki poczerwieniały tak jak jej twarz i Holman przeniósł wzrok na zepsuty wentylator. Nie mógł znieść widoku jej bólu.

– Max?

– Co?

– Teczka. Czy mógłbyś podać mi teczkę?

Pollard wyciągnęła rękę i Holman przekazał jej teczkę. Wyjęła z niej kartkę i podała ją matce Marczenki.

– Chciałabym pokazać pani kilka zdjęć. Rozpoznaje pani tych mężczyzn?

– Co to za jedni?

– Policjanci. Czy któryś z nich odwiedzał panią?

Pollard powycinała z gazety podobizny Richiego, Fowlera i pozostałych dwóch, i nakleiła je na czystą kartkę. Holman uznał, że to dobry pomysł; sam pewnie by nie wpadł na coś takiego.

Pani Marczenko przyjrzała się fotografiom i stuknęła palcem w zdjęcie Fowlera.

– Chyba on. Ale bez munduru. W garniturze.

Holman zerknął na Pollard, ale ona zachowywała kamienną twarz. Zdawał sobie sprawę, że to cenna wiadomość. Fowler przyszedł ubrany po cywilnemu, ponieważ udawał detektywa. Zataił fakt, że jest zwykłym mundurowym funkcjonariuszem; podawał się za kogoś innego.

– A inni? – zapytała Pollard. – Czy któryś z nich towarzyszył temu policjantowi? A może był tu innym razem?

– Nie. Był z nim jeszcze jeden, ale żaden z nich.

Teraz Pollard spojrzała na Holmana, a ten wzruszył ramionami. Zastanawiał się, kim do diabła mógł być ten piąty i czy starszycie czasem coś się nie pomieszało.

– Jest pani pewna, że to nie był żaden z tych policjantów? – zapytał. – Proszę dobrze przyjrzeć się tym zdjęciom.

Leyla Marczenko gniewnie zmrużyła oczy.

– Nie muszę się przyglądać. To był inny facet, żaden z tych trzech.

Pollard odchrząknęła i przejęła inicjatywę. Holman poczuł ulgę.

– Czy pamięta pani jego nazwisko?

– Ja sobie tymi draniami głowy nie zaprzątam. Nie wiem, jak się nazywa.

– Kiedy mniej więcej zjawili się u pani? Ile czasu minęło od ich wizyty?

– Niedużo. Ze dwa tygodnie. Po co pani o nich pyta? To nie oni stłukli mi lampę. To kto inny.

Pollard schowała zdjęcia.

– Powiedzmy, że jedni mogą być groźniejsi od pozostałych, ale w naszym reportażu zajmiemy się każdym z nich.

Holman podziwiał zręczność, z jaką Pollard kłamała. Już wcześniej dostrzegł tę umiejętność u gliniarzy. Często łgali lepiej niż przestępcy.

– Czego chcieli? – spytała Pollard.

– Pytali o Allie.

– A kto to jest Allie?

– Przyjaciółka Antona.

Holman był zdziwiony, Pollard też; tym razem nie kryła zdumienia. Gazety przedstawiały Marczenkę i Parsonsa jako parę samotników i ukazywały ich związek w dwuznacznej, homo seksualnej aurze.

– Anton miał dziewczynę?

Twarz Leyli Marczenko zastygła; starszycie pochyliła się do przodu.

– Ja sobie tego nie wymyśliłam! Mój Anton wcale nie był pedziem, to wszystko obrzydliwe kłamstwa. Młodzi często dobierają sobie kogoś, żeby podzielić się kosztami. Często!

– Jestem tego pewna, pani Marczenko, taki przystojny chłopak jak pani syn... O co dokładnie pytali ci policjanci?

– O zwykłe rzeczy... Czy Anton często się z nią spotykał, gdzie ona mieszka, ale ja nie miałam zamiaru pomagać mordercom mojego syna. Udawałam, że nic o niej nie wiem.

– Więc nic im pani nie powiedziała?

– Mówiłam, że nie znam żadnej Allie. Miałabym pomagać tym mordercom?

– Chcielibyśmy przeprowadzić z nią wywiad do naszego reportażu, pani Marczenko. Mogłaby pani podać nam jej numer telefonu?

– Nie znam jej numeru.

– Nic nie szkodzi. Znajdziemy jej numer. Jak się nazywa?

– Mówię prawdę. Dzwonił do niej, kiedy mnie odwiedzał i razem oglądaliśmy telewizję. To taka miła dziewczyna, śmiała się, kiedy Anton oddawał mi słuchawkę.

Leyla Marczenko znów poczerwieniała i Holman widział, jak rozpaczliwie zależało jej na tym, żeby jej uwierzyli. Śmierć syna skazała ją na marną egzystencję w tym mieszkanku i nie miała komu się wyzalić. Od trzech miesięcy czekała, aż ktoś jej wysłucha, tkwiąc tu samotna jak palec. Holman czuł się tak podle, że miał ochotę zerwać się i uciec, ale uśmiechnął się tylko i powiedział, starając się nadać tonowi głosu łagodne brzmienie.

– Ależ wierzymy pani. Chcemy tylko pogadać z tą dziewczyną. Kiedy rozmawiała z nią pani po raz ostatni?

– Jeszcze przed śmiercią Antona. Dawno temu. Anton odwiedzał mnie i razem oglądaliśmy telewizję. Czasami dzwonił do niej i oddawał mi słuchawkę, proszę, mamó, porozmawiaj z moją dziewczyną.

Pollard w zamyśleniu wyduła usta, potem spojrzała na telefon na stoliku przy sofie.

– Może gdyby pokazała nam pani stare rachunki za telefon, udałoby nam się ustalić, który numer jest Allie. Potem moglibyśmy sprawdzić, czy detektyw Fowler też potraktował ją tak strasznie jak panią.

Matka Marczenki rozpromieniła się.

– Czy będzie to można wykorzystać przeciwko nim w sądzie?

– Sądzę, że tak, proszę pani.

Staruszka dzwignęła się z krzesła i wytoczyła się z pokoju.

Holman nachylił się do Pollard.

– Co to za jeden ten piąty facet? – zapytał cicho.

– Nie mam pojęcia.

– W gazetach nie było mowy o dziewczynie Marczenki.

– Chyba nie. Na listach świadków też nie figuruje. Przerwała im Leyla Marczenko, która wróciła z kartonowym pudełkiem.

– Trzymam tu zapłacone rachunki. Są pomieszane. Holman rozsiadł się i patrzył, jak obie panie przeglądają stare rachunki. Matka Marczenki dzwoniła raczej rzadko, a grono jej rozmówców było ograniczone – właściciel domu, lekarze, kilka starszych pań, które były jej przyjaciółkami, młodszy brat z Cleveland oraz syn. Za każdym razem, kiedy Pollard natrafiała na numer, którego Leyla Marczenko nie umiała przypisać nikomu ze swych znajomych, Pollard dzwoniła pod ten numer ze swojej komórki. Za pierwszym i za drugim razem zgłosił się serwis naprawczy, a za trzecim pizzeria Domino's. Leyla Marczenko pamiętała, że wzywała mechaników, ale zmarszczyła z dezaprobatą brwi, kiedy Pollard dodzwoniła się do pizzerii.

– Ja nigdy nie zamawiam pizzy. To na pewno Anton.

Jej syn dzwonił z telefonu matki do pizzerii Domino's pięć miesięcy temu. Następnego numeru na liście Leyla Marczenko początkowo nie potrafiła skojarzyć, ale po chwili pokiwała głową.

– To musi być Allie. Teraz przypominam sobie, że zamawialiśmy pizzę. Powiedziałam Antonowi, że jest ohydna. Kiedy ją przywieźli, Anton oddał mi słuchawkę i podszedł do drzwi.

Pollard uśmiechnęła się do Holmana.

– No to już. Zobaczymy, kto się odezwie.

Wybrała numer, lecz uśmiech szybko zgasł jej na ustach. Zamknęła telefon.

– Numer jest nieaktualny.

– Czy to źle? – spytała Leyla Marczenko.

– Niekoniecznie. Jestem pewna, że dzięki temu numerowi w końcu do niej dotrzemy.

Pollard zapisała go w swoim notatniku wraz dokładną datą, godziną i długością trwania rozmowy, potem sprawdziła pozostałe rachunki, ale jeszcze tylko raz natknęła się na numer Allie; ta rozmowa odbyła się trzy tygodnie wcześniej niż pierwsza.

Pollard spojrzała na Holmana, potem posłała uśmiech matce Marczenki.

– Myślę, że już dość zajęliśmy pani czasu. Jesteśmy ogromnie wdzięczni.

Twarz Leyli Marczenko ściągnęła się w wyrazie rozczarowania.

– Nie chcecie rozmawiać o zepsutym wentylatorze i o tych wszystkich kłamstwach?

Pollard wstała, a Holman poszedł za jej przykładem.

– Myślę, że wiemy już wystarczająco dużo. Zobaczymy jeszcze, co Allie ma do powiedzenia, i skontaktujemy się z panią. Chodźmy, Holman.

Leyla Marczenka, kołysząc się, pomału ruszyła za nimi do drzwi.

– Nie musieli zabijać mojego chłopca. Nie wierzę w to, co oni mówią, ani trochę. Umieści to pani w swoim artykule?

– Do widzenia. Dziękujemy pani.

Pollard poszła do samochodu, ale Holman wciąż się ociągał. Było mu głupio tak po prostu odejść.

– Anton próbował się poddać – mówiła Leyla Marczenko. – Napiszcie w swoim artykule, że zabili mi chłopaka.

Pollard pomachała do Holmana, żeby się pospieszył, ale on nie miał serca zostawić tak tej staruszki, patrzącej na niego błagalnie, przekonanej, że chcą jej pomóc, gdy tymczasem oni nie zamierzali nic dla niej zrobić. Było mu wstyd za siebie. Spojrzał na zepsuty wentylator.

– Nie dało się go naprawić?

– Jak miałam go naprawić? Mój Anton nie żyje. Żeby go naprawić, najpierw muszę podać ich do sądu i dostać odszkodowanie.

Pollard zatrafiła na niego. Holman popatrzył na nią, potem odwrócił się do Leyli Marczenko.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Wszedł z powrotem do domu. Obejrzał dokładnie zepsuty wentylator. Osłona powinna być przymocowana do podstawy silnika małą śrubką. Łebek śrubki musiał się odłamać, kiedy gliniarze przewrócili wentylator. Trzpień wciąż tkwił w otworze. Trzeba by go rozwiercić i na nowo gwintować. Taniej wyjdzie kupić nowy wentylator.

– Nie potrafię tego naprawić, pani Marczenko. Przykro mi.

– To oburzające, jak potraktowali mojego syna. Podam ich do sądu.

Znów rozległ się klakson.

Holman podszedł do drzwi i zobaczył, że Pollard na niego macha, ale on stał w progu, jakby nie mógł się oderwać się od Leyli Marczenko. Jej syn, jej mały chłopiec, obrabował trzynaście banków, zamordował troje ludzi i zranił czworo, przerobił półautomatyczne karabiny tak, żeby strzelały jak maszynowe, przebierał się za komandosa i strzelał do policjantów, a ona broniła go do upadłego.

– Dobry był z niego syn? – spytał Holman,

– Odwiedzał mnie i oglądaliśmy telewizję.

– I to jest najważniejsze. Tego niech się pani trzyma.

Po tych słowach Holman zostawił ją i wrócił do samochodu.

Kiedy Holman zatrzasnął za sobą drzwi samochodu, Pollard ruszyła z rykiem w powrotną drogę do Union Station.

- Co ty tam robiłeś? Po co się cofnąłeś?
- Zobaczyć, czy uda mi się naprawić wentylator.
- Mamy ważne sprawy do załatwienia, a tym marnujesz czas na takie głupstwa?
- Staruszka jest przekonana, że jej pomagamy. Czuję się głupio, nie mogłem tak po prostu odejść.

Holman tak był wytrącony z równowagi, że nawet nie zauważył milczenia Pollard. Kiedy w końcu zwrócił na nią uwagę, zobaczył, że usta ma mocno zaciśnięte, a jej czoło przecina pionowa bruzda.

- O co chodzi? – spytał.
- Pewnie nie przyszło ci to do głowy, ale ja też czułam się podle. Nie lubię okłamywać biednych staruszek, które straciły syna, i nie lubię węszyć, podając się za kogoś innego, niż jestem. Tego rodzaju rzeczy przychodziły mi łatwiej, kiedy służyłam w Feeb, ale nie jestem już agentką. I dlatego nie potrzebuję, żebyś jeszcze ty pogarszał mi samopoczucie.

Holman wpatrywał się w nią. Niemal całą noc robił sobie wyrzuty, że wplątał ją w to wszystko, a teraz czuł się jak skończony idiota.

- Przepraszam. Nie chciałem, żebyś tak to odebrała.
 - Nieważne. Wiem, że nie chciałeś.
- Wyraźnie była w złym humorze i Holman nie wiedział, co powiedzieć. Im więcej rozmyślał o tym, jak Pollard się dla niego poświęca, tym bardziej czuł się jak krety.

- Przepraszam.
- Zacisnęła usta, więc dał sobie spokój z przeproszaniem. Postanowił zmienić temat.
- Wiem, że ta Allie to ważny trop. Dasz radę ją odszukać przez ten nieaktualny numer telefonu?

– Mam przyjaciółkę w Feeb, która to zrobi. Mogą sprawdzić ten numer w bazie danych i odszukać poprzednich abonentów, nawet jeśli obecnie nie jest nikomu przypisany.

– Ile czasu jej to zajmie?

– To technika komputerowa. Milisekundy.

– Dlaczego nie jest wymieniona na liście świadków?

– Ponieważ nie wiedzieli o jej istnieniu, Holman. Przecież to jasne.

– Matoł ze mnie.

– Dlatego ten trop jest taki ważny. FBI o niej nie wiedziało, ale Fowler wiedział. Oznacza to, że dowiedział się o jej istnieniu z jakiegoś innego źródła.

– Fowler i ten nowy.

Pollard spojrzała na niego.

– Tak. I ten nowy. Nie mogę się doczekać, żeby porozmawiać z tą dziewczyną. Ciekaw jestem, co im powiedziała.

Holman zamyślił się. Jechali na zachód w stronę rzeki. On też był ciekaw, co Allie powiedziała Fowlerowi.

– Może umówiła się z nimi wtedy pod mostem, żeby podzielić się łupem.

Pollard patrzyła przed siebie. Milczała przez chwilę, potem wzruszyła ramionami.

– Zobaczymy. Jeszcze raz przejrzę bilingi Fowlera, sprawdzę, czy i kiedy kontaktował się z nią. Potem postaramy się ją odszukać. Zadzwoń do ciebie, jak się czegoś dowiem.

Holman przyglądał się jej. Jego poczucie winy wzmagala świadomość, że Pollard poświęciła na to całe popołudnie.

– Słuchaj, chcę ci jeszcze raz podziękować za to, że zadajesz sobie dla mnie tyle trudu. Nie chciałem cię urazić.

– Dzięki. A tamtym się nie przejmuj.

– Wiem, że już raz mi odmówiłaś, ale chciałbym ci to jakoś wynagrodzić. Pokryję chociaż koszty paliwa, skoro jeździmy twoim samochodem.

– Jak będziemy musieli zatankować, możesz zapłacić za benzynę. To ci poprawi samopoczucie?

– Nie chcę być upierdliwy. Po prostu mam wyrzuty sumienia, że poświęcasz mi tyle swojego czasu.

Pollard nie odzywała się.

– Twojemu mężowi nie przeszkadza, że spędzasz tyle czasu poza domem?

– Nie mieszajmy do tego mojego męża.

Holman wyczuł, że posunął się za daleko, więc nie brnął dalej i przymknął się. Podczas ich pierwszego spotkania w kawiarni zauważył, że Pollard nie nosi obrączki, ale wspominała coś o dzieciach i Holman nie wiedział, jak ma to rozumieć. Teraz żałował, że poruszył ten temat.

Jechali w milczeniu. Kiedy przejeżdżali przez rzekę, próbował dojrzeć Fourth Street Bridge, ale był za daleko. Zdziwiło go, kiedy Pollard nagle się odezwała.

– Nie mam męża. Mój mąż nie żyje.

– Przepraszam. Niepotrzebnie wtykam nos w nieswoje sprawy.

– Chyba zabrzmiało to zbyt melodramatycznie, a to nie jest tak. Rozstaliśmy się i mieliśmy się rozwieść. Oboje tego chcieliśmy.

Wzruszyła ramionami; wzrok wciąż miała utkwiony przed siebie.

– A ty? Jak ci się układało z żoną?

– Matką Richiego?

– Tak.

– Nie wzięliśmy ślubu.

– Mogłam się domyślić.

– Gdybym mógł cofnąć czas i jeszcze raz przeżyć swoje życie, ożeniłbym się z nią. Ale dopiero w więzieniu zmądrzałem.

– Niektórzy nigdy nie mądrzeją, Holman. Ty chociaż wyciągnąłeś z tego jakąś naukę. Może średnia statystyczna ciebie nie dotyczy.

Holman powoli i nieuchronnie popadał w przygnębienie, ale kiedy popatrzył na Pollard, dostrzegł na jej twarzy uśmiech.

– Nie chce mi się wierzyć, że cofnąłeś się, żeby naprawić jakiś zakichany wentylator.

Wzruszył ramionami.

– To był piękny gest, Holman. Naprawdę piękny.

Przed nimi ukazał się budynek Union Station i Holman zdał sobie sprawę, że też się uśmiecha.

Holman odprowadził wzrokiem jej subaru, ale nie od razu poszedł po swój samochód. Chciał pokręcić się trochę po okolicy Union Station. Przeszedł się na Olvera Street. Przystrojeni w barwne ptasie pióra Meksykanie wykonywali tańce Tolteków do wybijanego na bębnie rytmu. Bęben brzmiał dziko, natarczywie, a tancerze wirowali z taką prędkością, jakby fruwali w powietrzu.

Holman przyglądał im się przez chwilę, potem kupił sobie *churro* i zaczął przedzierać się przez tłum. Przyległe uliczki i sklepy wypełnione były turystami z całego świata, kupującymi sombrera i wyroby meksykańskiego rękodzieła. Przechadzał się wśród nich. Wdychał zapachy, cieszył się słońcem i napawał się smakiem *churro*. Mijał sklepy, czasem wchodził do środka, kiedy nachodziła go ochota. Czuł lekkość, jakiej nie zaznał od długiego czasu. Kiedy skazańcy po długiej odsiadce wychodzili na wolność, doznawali swoistej postaci agorafobii – lęku przed otwartą przestrzenią. Więzienni terapeutyci mieli na ten rodzaj agorafobii specjalne określenie – lęk przed normalnym życiem. Wolność stawiała człowieka przed koniecznością nieustannych wyborów, a to mogło budzić przerażenie. Każdy wybór mógł okazać się porażką. Każdy wybór mógł prowadzić byłego skazańca z powrotem do celi więziennej. Prosta decyzja o wyjściu z mieszkania czy zapytaniu się o drogę mogła człowieka upokorzyć i odebrać zdolność działania. A Holman czuł w tej chwili lekkość i wiedział, że powoli przezwycięża lęk przed normalnym życiem. Stawał się znów wolnym człowiekiem i było mu z tym dobrze.

Przyszło mu do głowy, że mógł zaprosić Pollard na lunch. Skoro nie chciała, żeby jej płacił, powinien przynajmniej zaproponować jej coś do jedzenia. Wyobraził sobie, że siedzą we dwójkę w Phillippe's, zjadając kanapki z pieczoną wołowiną albo przy półmisku taco w meksykańskiej restauracji, ale nagle otrzeźwiało i zrozumiał swoją głupotę. Pollard na pewno źle zrozumiałaby jego intencje i może nawet by się obraziła. Holman powiedział sobie, że musi postępować ostrożnie w tych sprawach. Może wcale nie jest jeszcze takim wolnym człowiekiem, jak mu się wydaje.

Zaspokoił głód, więc pora była wracać do samochodu.

Kiedy jechał do siebie do motelu, zadzwonił telefon. Miał nadzieję, że to Pollard, ale wyświetlacz identyfikacji rozmówcy pokazywał, że to Chee. Holman otworzył telefon.

– Cześć, stary.

– Gdzie teraz jesteś, Holman? – Chee mówił ściszym głosem.

– Wracam do motelu. Właśnie wyjechałem z Union Station.

– To zaraz do mnie przyjeżdżaj, brachu. Czekałem w warsztacie.

Zaniepokoił go ton Chee.

– Co się stało?

– Nic się nie stało. Po prostu przyjeźdź, dobra?

Holman był pewny, że dzieje się coś niedobrego, i zastanawiał się, czy ma to jakiś związek z Randomem.

– Nic ci nie jest?

– Czekałem na ciebie.

Chee rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Holman wjechał na autostradę i ruszył na południe. Chciał oddzwonić do Chee, ale wiedział, że gdyby przyjaciel chciał mu coś powiedzieć przez telefon, zrobiłby to za pierwszym razem. To jeszcze wzmogło niepokój Holmana.

Kiedy dotarł do warsztatu Chee, skręcił na parking i nawet nie zdążył się zatrzymać, gdy zobaczył Chee. Na jego widok od razu zorientował się, że sprawa jest poważna. Chee miał ponurą minę i nie czekał nawet, aż Holman zaparkuje. Dał mu ręką znak, żeby się zatrzymał, i wskoczył do samochodu.

– Przejedziemy się trochę, bracie. Wyprowadź wóz na ulicę.

– Co się dzieje?

– Skup się na prowadzeniu. Tutaj nie możemy rozmawiać. Kiedy Holman włączył się do ruchu, Chee rozejrzał się na boki, jakby oglądał jadące obok samochody. Zmienił położenie lusterka bocznego, żeby lepiej widzieć samochody jadące z tyłu.

– To gliniarze powiedzieli ci, że Maria Juarez zwiłała?

– Zgadza się. Wysłali za nią list gończy.

– Gówna prawda. Wcisnęli ci kit, stary.

– Co ty gadasz?

– Ona nie uciekła, bracie. To pieprzeni gliniarze ją zgarnęli.

– Powiedzieli, że zwiąła. Wysłali za nią list gończy.

– Poprzedniej nocy?

– Tak, to chyba było... tak, to było poprzedniej nocy.

– Ten list gończy mogą sobie wsadzić w dupę. Zabrali ją z chałupy w środku nocy. Sąsiedzi to widzieli, ese. Słyszeli krzyki i wdzieli, jak dwóch skurwysynów wepchnęło ją do samochodu.

– Policyjnego?

– Nie, do zwyczajnego samochodu.

– To skąd wiedzą, że to była policja?

– Bo to był ten rudzielec, *homes* – ten sam skurwiel, który dorwał ciebie. Dlatego wiedzą, że to gliny. Moi informatorzy widzieli, jak przed domem jej krewnych dobrały się do ciebie gliny! Mówią, że to ten sam skurwiel, który cię wtedy dopadł.

Holman milczał. Ten rudzielec to był Vukovich, a Vukovich pracował dla Randoma.

– Widzieli numer rejestracyjny? – spytał po chwili.

– Człowieku, w środku nocy?

– Jaki to był samochód?

– Granatowa albo brązowa crown victoria. Czy znasz kogoś, kto jeździ crown victoria oprócz gliniarzy?

Holman nie odezwał się, a Chee pokręcił głową.

– Co ci przekłęci gliniarze wyrabiają, *homes*? W co ty się wpieprzyłeś?

Holman prowadził w milczeniu. Zastanawiał się, co dalej robić. Musiał zawiadomić Pollard.

Pollard nazywała to mrowieniem krwi. Pędziła autostradą Hollywood, zaciskając pięść i uderzając rękawem w deskę rozdzielczą. Czuła delikatne swędzenie w palcach i nogach, które towarzyszyło jej zawsze, kiedy dokonywała przełomu w śledztwie – mrowienie krwi. Już nie szła po cudzych śladach i nie korzystała ze starych notatek – przyjaciółka Marczenki była nową zdobyczą, jej zdobyczą. Pollard wpadła na ważny trop i miała uczucie, że odtąd śledztwo w całości spoczywa w jej rękach.

Kiedy minęła Hollywood i wjechała na przełęcz Cahuenga, zadzwoniła do April Sanders.

– Cześć, możesz rozmawiać, dziewczyno?

April szepnęła tak cicho, że Pollard ledwo ją rozumiała.

– Jestem w biurze. Wybierasz się do nas z pączkami?

– Mam numer telefonu, który został wyrejestrowany. Możesz ustalić, kto był ostatnim właścicielem tego numeru?

– Myślę, że mogę to dla ciebie zrobić. Poczekaj.

Pollard uśmiechnęła się. Wiedziała, że Sanders wygląda ze swojej przegrody, żeby się upewnić, że nikt jej nie obserwuje.

– Dawaj. Jaki to numer?

Pollard odczytała jej.

– Kierunkowy trzysta dziesięć.

– Nie rozłączaj się. Na ekranie mam rachunek Verizone na nazwisko Alison Whitt, W-H-I-T-T. Rachunki wysyłane były na skrzynkę pocztową w Hollywood. Podać ci adres?

Wyglądało na to, że skrzynkę pocztową obsługiwała prywatna firma mieszcząca się przy Sunset Boulevard.

– Kiedy umowa została rozwiązana?

– W zeszłym tygodniu... sześć dni temu.

Pollard dało to sporo do myślenia. Jeśli Fowler dotarł do numeru Allie mniej więcej w tym czasie, kiedy złożył wizytę Leyli Marczenko, mógł się z nią skontaktować. Może właśnie telefon Fowlera skłonił ją do rezygnacji z tego numeru.

– April, sprawdź, czy Alison Whitt nie ma nowego numeru.

– Aaa... poczekaj. Nie, niestety. Nikt o takim nazwisku nie figuruje w spisie abonentów.

Pollard uznała, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Zwykła baza danych nie obejmowała zastrzeżonych numerów, a Alison Whitt mogła swój nowy numer zastrzec. Było też możliwe, że Allie podpisała nową umowę na inne nazwisko albo korzystała z telefonu należącego do innej osoby. Niestety, to w żaden sposób nie przybliżyło do niej Pollard, i to była zła wiadomość.

– Posłuchaj, jeszcze jedno. Wiem, że cię wykorzystuję, ale mogłabyś sprawdzić tę dziewczynę w systemie?

– W Centralnym Rejestrze Skazańców?

– Wystarczy chyba w Wydziale Komunikacji. Muszę ją odnaleźć.

– Czy powinnam wiedzieć, o co chodzi?

– Powiem ci, kiedy będzie trzeba.

Sanders wahała się i Pollard wyobrażała sobie, że znów wygląda zza swojej przegrody. Ze swojego stanowiska Sanders nie miała dostępu do rządowej bazy danych.

– Teraz nie mogę – odezwała się po chwili. – Leeds jest w biurze, chociaż nigdzie go nie widzę. Nie chcę, żeby wypytywał, co robię.

– To zadzwoń do mnie później.

– Bez odbioru.

Pollard była zadowolona z osiągniętych do tej pory wyników. Wyrejestrowanie numeru telefonu Allie wkrótce po wizycie Fowlera u Leyli Marczenko nie mogło być przypadkowym zbiegiem okoliczności. Oczywiście, takie przypadkowe zbiegi okoliczności się zdarzały, ale Pollard, jak wszyscy policjanci, nauczyła się nie wierzyć w przypadki. Odłożyła komórkę, nie mogąc się doczekać, żeby przejrzeć wykazy rozmów Fowlera. Ważne też było, co ustali Sanders. Jeśli Sanders się nie powiedzie, można jeszcze zwrócić się do firmy obsługującej skrzynkę pocztową Allie. Ponieważ Pollard nie miała legity-

macji służbowej, wyciągnięcie informacji z tej firmy mogło okazać się trudne, ale tak czy inaczej, dawało jej to pole manewru. Mimowolnie znów się uśmiechnęła.

Wiedziała, że Sanders może oddzwonić do niej dopiero pod koniec dnia, więc pojechała do myjni samochodowej, a potem wybrała się na zakupy. Uzupełniła zapasy jedzenia i papieru toaletowego i kupiła jeszcze słodczyce chłopcom. Mieli apetyt niczym wygłodniałe wilki i z każdym dniem jedli coraz więcej. Zastanawiała się, czy Holman kupował kiedyś łakocie swojemu synkowi, i podejrzewała, że raczej nie. Zrobiło jej się smutno. Teraz, kiedy poznała go bliżej, Holman wydawał się całkiem porządnym człowiekiem, ale nie zapomniała o jego przestępczym życiu. Każdy przestępca miał jakieś usprawiedliwienie – długi, uzależnienie od narkotyków, znęcający się rodzice, brak rodziców, kłopoty z nauką, bieda. Ale to wszystko było nieważne. Liczyło się tylko to, czy złamałeś prawo, czy nie. Jeśli popełniłeś przestępstwo, trafiałeś za kratki, a Holman swoje odsiedział. Szkoda tylko, że nie miał szansy naprawić swoich błędów w stosunku do syna.

Rozpakowała zakupy, posprzątała trochę w domu, potem usiadła na kanapie w salonie, żeby przejrzeć bilingi Fowlera. Sprawdziła rozmowy wychodzące od dnia, w którym Fowler zjawił się u Leyli Marczenko, i natrafiła na numer Alison Whitt Fowler zadzwonił do niej kilka dni po wizycie u matki Marczenki, w ten sam czwartek, kiedy on i syn Holmana wybrali się gdzieś razem w środku nocy i wrócili do domu zabłoceni. Fowler skontaktował się z nią, chociaż Leyla Marczenko twierdziła, że nie udzieliła mu żadnych informacji o Allie. Oznaczało to, że zdobył jej numer z innego źródła. Pollard przejrzała do końca wykaz rozmów Fowlera, ale więcej połączeń z Allie nie było. Natomiast w bilingach Richarda Holmana nic nie znalazła.

Zastanawiała się, skąd Fowler dowiedział się o Alison Whitt. Zajrzała do listy świadków sporządzonej przez FBI. W streszczeniach przesłuchań wymienieni zostali właściciel domu i sąsiedzi Marczenki, ale nie było żadnej wzmianki o Alison Whitt. Gdyby jakiś sąsiad wspomniał, że Marczenko albo Parsons ma dziewczynę, prowadzący śledztwo na pewno poszliby tym tropem i wpisali ją na listę świadków. Tymczasem zdarzyło się coś wręcz przeciwnego – sąsiedzi zgodnie utrzymywali, że obaj bandyci nie mieli przyjaciół ani dziewczyn i nikogo u siebie nie przyjmowali. Mimo to Fowler jakimś cudem dowiedział się o istnieniu Allie, zanim jeszcze złożył wizytę Leyli Marczenko.

Może to ten tajemniczy piąty mężczyzna coś o niej słyszał. Może numer telefonu tego piątego widniał gdzieś w bilingach Fowlera.

Pollard wciąż się nad tym zastanawiała, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Złożyła szybko papiery, podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Umówiła się z matką, że przyprowdzi chłopców do domu później, więc to nie mogli być oni.

Za drzwiami stali Leeds i Bill Cecil. Leeds, zachmurzony, wpatrywał się w chodnik. Marszcząc brwi, zerknął na zegarek, potarł brodę i zadzwonił jeszcze raz.

Cecil bywał u niej w domu w czasach, kiedy razem z Martym zapraszała kolegów, natomiast Leeds nigdy nie był jej gościem. Odkąd odeszła ze służby, widziała go tylko raz, w biurze FBI.

Leeds znów wyciągnął rękę, żeby nacisnąć dzwonek, ale Pollard uprzedziła go i otworzyła drzwi.

– Chris, Bill, to jest... co za niespodzianka.

Leeds nie wyglądał na uradowanego jej widokiem. Dużo wyższy od Pollard, mimo że się garbił, w granatowym garniturze, który wisiał na nim luźno, wyglądał jak tyczkowaty strach na wróble, któremu sprzykrzyło się nieruchome tkwienie na posterunku. Cecil stał pół kroku za nim, jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

– Domyślam się – odparł Leeds. – Możemy wejść na chwilę?

– Oczywiście. Proszę bardzo.

Pollard odsunęła się, żeby ich wpuścić, ale nie wiedziała, jak się zachować ani co powiedzieć. Leeds wszedł pierwszy, Cecil za nim. Mijając ją, Cecil wymownie uniósł brwi, ostrzegając ją, że Leeds jest w paskudnym humorze. Pollard poszła za Leedssem do salonu.

– Nie mogę się nadziwić. Byliście w okolicy?

– Nie, przyjechaliśmy specjalnie do ciebie. Ładnie tu u ciebie, Katherine. Masz śliczny dom. Są chłopcy?

– Nie, jeszcze nie wrócili.

– Szkoda. Bardzo chciałem ich poznać.

Pollard miała niesamowite wrażenie, że znów jest małą dziewczynką, a Leeds odgrywa jej ojca. Oglądał mieszkanie, jakby przeprowadzał inspekcję, a Cecil stał przy

drzwiach. Leeds skończył swój niespieszny obchód i dopadł do niej niczym tonący okręt, który znajduje oparcie na dnie oceanu.

– Dziewczyno, czy ty straciłaś rozum? – zapytał.

– Słucham?

– Co ci strzeliło do głowy, żeby zadawać się z byłym skazańcem?

Pollard czuła, jak krew napływa jej do twarzy; żołądek miała ściśnięty.

Otworzyła usta, ale Leeds potrząsnął głową, nie dopuszczając jej do głosu.

– Wiem, że pomagasz Maksowi Holmanowi. Jeszcze chwilę wcześniej wszystkiego by się wyparła.

– Wcale nie miałam zamiaru zaprzeczyć – skłamała. – On stracił syna, Chris. Zwrócił się do mnie, żebym w jego imieniu porozmawiała z policją...

– Znam tę historię z jego synem. Katherine, ten człowiek to kryminalista. Powinnaś mieć więcej rozumu.

– Niby dlaczego? Po co do mnie przyjechałeś, Chris?

– Bo przez trzy lata byłeś w moim zespole. Sam ciebie wybrałem i wkurzyłem się, kiedy odeszłaś. Nie wybaczyłbym sobie, gdybym bez słowa pozwolił ci zmarnować sobie życie.

– Zmarnować sobie życie? Chris, staram się pomóc facetowi, który chce się dowiedzieć prawdy o śmierci syna, nic więcej.

Leeds pokręcił głową, jakby miał przed sobą najbardziej tępego żółtodzioba na świecie i potrafił przejrzeć na wylot najtajniejsze zakamarki jego umysłu.

– Czy ty coś kręcisz? – zapytał.

Pollard poczuła, że znów się czerwieni. Pytanie, czy coś kręci, znaczyło, czy zeszła na przestępczą drogę... albo czy straciła głowę dla przestępcy.

– Nie!

– I oby to była prawda, do cholery!

– Zresztą to nie twój interes...

– Twoje prywatne sprawy to nie mój interes, masz rację – ale nic na to nie poradzę, że obchodzi mnie twój los i dlatego tu jestem. Zaprosiłaś go do siebie? Przedstawiłaś go dzieciom? Dałaś mu jakieś pieniądze?

– Chris? Wiesz co? Idź już...

– Chyba już czas na nas, Chris – odezwał się Cecil.

– Jeszcze nie skończyłem.

Leeds stał nieruchomo. Wpatrywał się w nią, a ona przypomniała sobie nagle o papierach na kanapie. Przesunęła się w stronę drzwi, aby odciągnąć od nich wzrok Leedsa.

– Czy to coś złego, że mu pomagam? Nie złamałam prawa, nie zrobiłam nic, żeby moje dzieci musiały się za mnie wstydzić.

Leeds złożył dłonie jak do modlitwy i wycelował je w nią.

– Naprawdę wiesz, do czego ten człowiek dąży?

– Chce się dowiedzieć, kto zabił jego syna.

– Ale czy naprawdę o to mu chodzi? Rozmawiałem z policją – wiem, co im powiedział. Tobie zapewne mówił to samo. Ale czy jesteś tego pewna? Wsadziłaś go do więzienia na dziesięć lat. Dlaczego zwrócił się o pomoc właśnie do ciebie?

– Może dlatego, że postarałam się dla niego o złagodzenie wyroku.

– A może odszukał cię, ponieważ wiedział, że jesteś miękka. Może pomyślał, że znów dasz się wykorzystać?

Pollard czuła, jak wzbiera w niej złość. Leeds był wściekły o to, że „Los Angeles Times” nadał Holmanowi przydomek „Bohater”, i pomstował na nią, kiedy wstawiła się za Holmanem u prokuratora.

– Nie wykorzystał mnie. W ogóle nie poruszaliśmy tego tematu i nie prosił mnie o żadną przysługę. A na zmniejszenie wyroku zasłużył.

– On nie jest z tobą szczery, Katherine. Nie możesz mu ufać.

– W jakich sprawach nie jest ze mną szczery?

– Policja jest zdania, że ma konszachty z byłym skazańcem i członkiem gangu, niejakim Garym Moreno, znanym też jako Little Chee. Mówi ci to coś?

– Nie.

Pollard ogarnął lęk. Miała wrażenie, że Leeds steruje rozmową. Oceniał jej reakcje i próbował ją wybadać, jakby podejrzewał, że go okłamuje.

– Zapytaj go sama. Wiemy, że swego czasu Moreno pomagał Holmanowi w kryminalnej działalności. Policja jest przekonana, że Holman dostał od Morena gotówkę, samochód oraz inne rzeczy, bez wątpienia w celach przestępczych.

Pollard próbowała zachować równy oddech. Holman ledwo co wyszedł z więzienia, a tu zaraz nowy wóz i telefon komórkowy. Tłumaczył jej, że samochód pożyczył od przyjaciela.

– A w jakim to niby celu?

– Wiesz w jakim. Czujesz to. Tu...

Leeds dotknął swojego brzucha i dopowiedział za nią.

– Odzyskania szesnastu milionów dolarów zrabowanych przez Marczenkę i Parsonsa.

Pollard starała się nie dać po sobie niczego poznać. Potrzebowała czasu do namysłu; nie chciała się z niczym pochopnie zdradzić. Jeśli Leeds miał rację, może będzie musiała zwrócić się do adwokata.

– Nie wierzę w to. On nawet nie wiedział o tych pieniądzach, dopóki...

Zdała sobie sprawę, że już się wygadała, a Leeds posłał jej uśmiech wyrażający smutek i zrozumienie.

– Dopóki ty mu o tym nie powiedziałaś?

Zmusiła się, żeby oddychać powoli i głęboko, ale Leeds i tak zdołał odczytać jej obawy.

– Trudno myśleć trzeźwo, gdy w grę wchodzi uczucia, ale musisz to jeszcze raz przemyśleć, Katherine.

– Tu nie wchodzi w grę żadne uczucia.

– Już dziesięć lat temu nie był ci obojętny, a teraz znów się z nim wiążesz. Nie zmarnuj sobie przez niego życia, Katherine. Masz swój rozum.

– Mój rozum mówi mi, że ta wizyta dobiegła końca.

Pollard wpatrywała się w niego, starając się, żeby jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, i wtedy zadzwonił telefon. Nie domowy telefon, tylko komórka. Głośny sygnał przerwał ciszę niczym intruz wchodzący do pokoju.

– Odbierz – powiedział Leeds.

Pollard stała nieruchomo. Telefon leżał na kanapie obok szpargałów Holmana i dzwonił.

– Idź już, proszę. Muszę w spokoju to wszystko przemyśleć.

Cecil, z zakłopotaną miną, podeszedł do drzwi. Otworzył je, próbując wyciągnąć Leedsa za próg.

– Chodź, Chris. Już jej powiedziałaś swoje.

Telefon dalej dzwonił. Leeds przyglądał mu się, jakby zastanawiał się, czy sam nie odebrać, ale w końcu dołączył do stojącego w progu Cecila. Spojrzał raz jeszcze na Pollard.

– Nie licz już na pomoc ze strony agentki Sanders – powiedział i wyszedł.

Cecil ociągał się. Był wyraźnie zasmucony.

– Przykro mi, moja pani. On... sam nie wiem, nie umie się powstrzymać. Chciał dobrze.

– Do zobaczenia, Bill.

Kiedy Cecil odszedł, podeszła do drzwi i zamknęła je na zasuwę.

Podniosła telefon. Dzwonił Holman.

Holman wysadził Chee niedaleko warsztatu, potem zawrócił w stronę Culver City. Wciąż na nowo roztrząsał wiadomość o zniknięciu Marii Juárez. Próbował spojrzeć na tę sprawę w taki sposób, żeby nabrała sensu. Chciał pojechać do domu krewniaków Marii, żeby z nimi pomówić, ale teraz bał się, że dom jest obstawiony przez gliniarzy. Po co najpierw ją zgarnęli, a potem ogłosili, że uciekła? Po co wydali nakaz jej aresztowania, skoro wcześniej ją aresztowali? O jej ucieczce i nakazie aresztowania pisały gazety.

Holmanowi wszystko to wydawało się mocno podejrzanym. Policjanci, którzy myśleli, że Maria Juárez uciekła, zostali wprowadzeni w błąd przez gliniarzy, którzy wiedzieli, że jest inaczej. Policjanci, którzy wydali nakaz, nie wiedzieli, że inni gliniarze dobrze znali miejsce jej pobytu. Jedni gliniarze ukrywali coś przed drugimi, a to mogło oznaczać tylko jedno: nieuczciwych gliniarzy.

Kiedy odjechał już spory kawałek od warsztatu Chee, skręcił na parking. Wybrał numer Pollard i czekał na połączenie. Sygnał w słuchawce zdawał się rozbrzmiewać bez końca. Już myślał, że się nie doczeka, ale Pollard w końcu odebrała.

– Nie jest to najlepsza chwila na rozmowę.

Pollard brzmiała jakoś obco. Jej głos dochodził z oddali i zanikał. Holman pomyślał, że może połączył się z kimś innym.

– Katherine? Agentka Pollard?

– Co?

– Coś nie tak?

– Nie jest to najlepsza chwila na rozmowę.

Jej głos brzmiał strasznie, ale Holman uznał, że ma jej do przekazania ważną wiadomość.

– Maria Juárez nie uciekła. Gliniarze ją zgarnęli. Ten sam rudowłosy tajniak, który mnie przesłuchiwał – Vukovich. Sprawa wygląda inaczej, niż podaje policja. Vukovich i jeszcze jeden gliniarz zabrali ją z domu w środku nocy.

Holman czekał na jakiś odzew, ale w słuchawce panowała cisza.

– Jesteś tam?

– Skąd o tym wiesz?

– Przyjaciel zna paru ludzi, którzy mieszkają w tamtej okolicy. Widzieli to na własne oczy. Wcześniej widzieli, jak ci sami gliniarze zgarnęli mnie.

– Co to za przyjaciel?

Holman wahał się z odpowiedzią.

– Co to za jeden?

Wciąż nie wiedział, co powiedzieć.

– Po prostu... przyjaciel.

– Gary Moreno?

Miał dość rozumu, żeby nie pytać, jak się dowiedziała. Gdyby zapytał, oznaczaloby, że się broni. A to, że się broni, świadczyłoby, że czuje się winny.

– Tak, Gary Moreno. To mój przyjaciel, Katherine. Razem się wychowywaliśmy...

– Tak się przyjaźnicie, że podarował ci samochód?

– Prowadzi warsztat samochodowy. Ma mnóstwo samochodów...

– I tyle forsy, że nie musisz chodzić do pracy?

– Znał mojego syna...

– Wielokrotnie skazany członek gangu, a ty nie uznałeś za stosowne, żeby mi o nim wspomnieć?

– Katherine?

– Co ty kombinujesz, Holman?

– Nic...

– Nie dzwoń do mnie więcej.

W słuchawce zapadła cisza.

Holman wcisnął przycisk szybkiego wybierania, ale Pollard nie odebrała. Od razu odezwała się jej poczta głosowa, co znaczyło, że wyłączyła telefon. Starał się mówić jak najszybciej.

– Katherine, posłuchaj, co miałem ci powiedzieć? Chee jest moim przyjacielem, Gary ma taką ksywkę, Chee, i zgadza się, był wielokrotnie skazany, ja też zresztą byłem. Przez całe życie zadawałem się z przestępcami i nie mam innych znajomych.

Rozległ się sygnał poczty głosowej, ucinając jego przemowę. Holman zaklął i jeszcze raz wybrał numer Pollard.

– Teraz żyje uczciwie, ja też staram się żyć uczciwie. Jest moim przyjacielem, więc zwróciłem się do niego. Nie znam nikogo innego, nikogo innego nie mam. Katherine, proszę cię, oddzwoń. Potrzebuję cię. Bez ciebie nie uporam się z tym wszystkim. Agentko Pollard...

Znów rozległ się sygnał poczty głosowej, ale tym razem Holman odłożył telefon. Siedział w samochodzie na parkingu i czekał. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Nie wiedział, gdzie Pollard mieszka ani jak inaczej się z nią skontaktować. Znał tylko jej telefon komórkowy. To ona ustaliła takie zasady dla własnego bezpieczeństwa. Siedząc w samochodzie na parkingu, Holman czuł się samotny jak podczas pierwszej nocy spędzonej w więzieniu. Szukał oparcia w agentce Pollard, ale ona wyłączyła telefon.

Matka zadzwoniła do niej w porze obiadu. Tak to ze sobą uzgodniły. Matka odbierała chłopców z autobusu i zabierała ich do swojego apartamentu w Canyon County. Tam chłopcy bawili się przy basenie, a ona grała w pokera przez Internet.

Wiedząc, że czeka ją ciężka przeprawa, i przygotowując się na drogę przez mękę, Pollard zapytała matkę:

– Czy chłopcy mogą dziś przenocować u ciebie?

– Katie, czy ty zaprosiłaś jakiegoś mężczyznę?

– Jestem naprawdę zmęczona, mammo. Jestem wykończona, to wszystko. Potrzebuję odpoczynku.

– Dlaczego jesteś taka zmęczona? Chyba nie jesteś chora, co?

– Mogą u ciebie zostać?

– Nie złapałaś żadnego choróbka, co? A może zaraziłaś się czymś od jakiegoś mężczyzny? Potrzebujesz męża, ale to jeszcze nie powód, żeby iść z pierwszym lepszym do łóżka.

Pollard opuściła słuchawkę. Dochodził z niej głos jej matki, ale słowa były niezrozumiałe.

– Mammo?

– Co?

– Mogą u ciebie zostać?

– Chyba nic nie stoi na przeszkodzie, ale co z półkoloniami? Chłopcy będą niepokieszeni, jeśli jutro nie pojedą na zajęcia.

– Nic im się nie stanie, jeśli opuszczą jeden dzień. Oni nienawidzą półkolonii.

– Nie rozumiem, jak matka może potrzebować odpoczynku od własnych dzieci. Ja nigdy nie potrzebowałam odpoczynku od ciebie.

– Dzięki, mammo.

Pollard odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegar wiszący nad zlewem w kuchni. W domu panowała głucha cisza. Wskazówka sekundowa przesunęła się i...

TYK.

Jak wystrzał.

Dźwignęła się i wróciła do salonu, zastanawiając się, czy Leeds miał rację co do Holmana. Nadal czuła swoisty podziw dla niego za to, jak przyjął swój wyrok i jak się zmienił podczas odsiadki. I pociągał ją, chociaż przyznanie się do tego nie było dla niej przyjemne. Sprawilo, że poczuła się jak idiotka. Może, jak sugerował Leeds, zaczęła „kręcić”, nie zdając sobie z tego sprawy. Może tak właśnie się to odbywało. Zauroczenie przestępcą dopadało ofiarę niepostrzeżenie i zanim się obejrzała, już sprowadzało ją na złą drogę.

Pollard wpatrywała się w papiery leżące na kanapie i poczuła do siebie niesmak. Teczka Holmana.

– Jezu Chryste – wyrwało jej się.

Szesnaście milionów to fortuna. To ukryty skarb, zwycięski kupon na loterii, garniec złota na drugim końcu tęczy. To zaginione kopalnie króla Salomona, skarb Sierra Madre. Holman zrabował łącznie niecałe czterdzieści tysięcy, z dziewięciu banków. Dostał za to dziesięć lat i wyszedł na wolność bez centa przy duszy. Nie zależałoby mu na tej forsie? Pollard sama marzyła o tych pieniądzach. Śniły jej się po nocach. W tych snach otwierała obskurne drzwi garażu w jakiejś zakazanej dzielnicy, wszędzie dookoła brud i smród, a ona podnosi bramę i oto są – szesnaście milionów dolarów zapakowanych próżniowo w ogromną paczkę. Byłaby ustawiona na całe życie. Jej chłopcy byliby ustawieni. Wszystkie problemy zostałyby rozwiązane.

Pollard, oczywiście, nie ukradłaby tych pieniędzy. Fantazjowała tylko o tym, tak jak o tym, że któregoś dnia spotka księcia z bajki.

Ale Holman był degeneratem i kryminalistą, który kradł samochody, rabował hurtownie i napadał na banki – pewnie nie miałby skrupułów, żeby przywłaszczyć sobie łup.

Zadzwonił telefon, domowy, nie komórkowy.

Ścisnęło ją w dołku. Była pewna, że to matka. Chłopcy marudzili, że zostają na noc u babci, więc dzwoni, żeby zasypać ją wyrzutami.

Wróciła do kuchni. Nie chciała odbierać tego telefonu, ale podniosła słuchawkę. Już i tak czuła się winna.

– Naprawdę pomagasz Bohaterowi? – spytała Sanders.

Katherine przymknęła oczy i przygotowała się na kolejny atak.

– Tak mi przykro, April. Masz przeze mnie kłopoty?

– Och, Leeds niech się chrzani. A z tobą i Bohaterem to prawda?

Pollard westchnęła.

– Tak.

– Spałaś z nim?

– Nie! Jak w ogóle mogłaś mnie o to zapytać?

– Ja bym się z nim przespała.

– Zamknij się, April!

– Nie wyszłabym za niego, ale poszłabym z nim do łóżka.

– April...

– Znalazłam Alison Whitt.

– Nadal chcesz mi pomagać?

– Oczywiście, że chcę ci pomagać. Trochę więcej wiary w ludzi, Pollard.

Sięgnęła po długopis.

– Dobra, April. Jestem twoją dłużniczką. Gdzie ona jest?

– W kostnicy.

Pollard zastygła z długopisem w powietrzu, a April przybrała nagle poważny i rzeczowy ton.

– W co ty się wpakowałaś, dziewczyno? Do czego ci jest potrzebna martwa Alison Whitt?

– To była dziewczyna Marczenki.

– Marczenko nie miał dziewczyny.

– Spotykał się z nią wielokrotnie. Matka Marczenki rozmawiała z nią co najmniej dwa razy.

– Sprawdziłam z Billem wykazy jego rozmów, Kate. Obdzwoniliśmy wszystkich. Gdybyśmy natrafili na potencjalną przyjaciółkę, na pewno byśmy poszli tym tropem.

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Może nigdy nie dzwonił do niej od siebie z domu. Może dzwonił do niej tylko z telefonu matki.

Sanders nie odzywała się i Pollard domyślała się, nad czym się zastanawia.

– Nieważne – odparła w końcu Sanders. – Mam przed sobą jej kartotekę: kilkakrotnie aresztowana za prostytutkę, kradzież w sklepie, posiadanie narkotyków, typowy życiorys. Dwadzieścia dwa lata, dzieciak jeszcze, i zabita w taki sposób!

Pollard znów poczuła mrowienie krwi.

– Została zamordowana?

– Jej ciało znaleziono w kubie na śmieci niedaleko Yukka w Hollywood. Obrażenia na szyi świadczą, że ją duszono, ale przyczyną śmierci było zatrzymanie akcji serca na skutek wykrwawienia. Ktoś zadał jej dwanaście ciosów nożem w klatkę piersiową i brzuch. Tak, moim zdaniem wygląda to na morderstwo.

– Policja aresztowała kogoś?

– Nie.

– Kiedy zginęła?

– Tej samej nocy co Richard Holman.

Obie nie odzywały się przez chwilę. Pollard myślała o Marii Juárez: ciekawe, czy ją też znajdą martwą? W końcu Sanders przerwała ciszę pytaniem:

– Kate? Wiesz, dlaczego zginęła ta dziewczyna?

– Nie.

– A gdybyś wiedziała, powiedziałaś mi?

– Jasne, że tak. Powiedziałabym ci, oczywiście.

– To dobrze.

– Kiedy dokładnie nastąpiła śmierć?

– Między jedenastą a jedenastą trzydzieści w nocy.

Pollard wahała się. Nie wiedziała, jakie to może mieć znaczenie dla sprawy ani ile szczegółów może ujawnić Sanders, ale jej przyjaciółka zasługiwała na to, żeby poznać prawdę.

– Mike Fowler ją znał albo przynajmniej dowiedział się o niej. Mówi ci coś nazwisko Fowler?

– Nie. Co to za jeden?

– Jeden z policjantów zabitych tamtej nocy razem z Richardem Holmanem. Był najstarszy stopniem.

Pollard wiedziała, że Sanders skrzętnie to notuje. Odtąd wszystko, co powie, znajdzie się w jej zapiskach.

– Fowler odwiedził matkę Marczenki. Pytał ją o Allie. Wiedział o związku Marczenki i Allie i próbował ją odnaleźć.

– Dowiedział się czegoś od matki Marczenki?

– Nie. Powiedziała mu, że nie zna żadnej dziewczyny o imieniu Allie.

– A tobie co powiedziała?

– Podła nam jej imię i pozwoliła przejrzeć rachunki telefoniczne, stąd mieliśmy numer Allie.

– „Nam” to znaczy tobie i Bohaterowi?

Pollard znów przymknęła oczy.

– Owszem, mnie i Holmanowi.

– Ach tak.

– Przestań.

– O której godzinie zginęli ci czterej policjanci?

Pollard wiedziała, do czego Sanders zmierza i sama brała to już wcześniej pod uwagę.

– O drugiej trzydzieści dwie. Jeden z pocisków uszkodził zegarek Mellona, zatrzymując wskazówki na drugiej trzydzieści dwie, stąd znamy dokładną godzinę.

– W takim razie jest możliwe, że to Fowler i pozostali zabili tę dziewczynę. Mieli dość czasu na to, żeby ją zabić, a potem spotkać się nad rzeką.

– Ale równie dobrze dziewczynę mógł zabić kto inny, a potem pojechać nad rzekę i wykończyć tych czterech.

– Gdzie był wtedy nasz Bohater?

Pollard też już o tym pomyślała.

– On ma nazwisko, April. Holman jeszcze siedział za kratkami. Wypuścili go dopiero następnego dnia rano.

– Całe szczęście.

– Posłuchaj, April. Możesz zdobyć dla mnie raport policyjny dotyczący Alison Whitt?

– Już go mam. Przefaksuję ci, jak wrócę do domu. Nie chcę wysłać go z biura.

– Dzięki, mała.

– Ty i Bohater. To dopiero sensacja...

Pollard odłożyła telefon i wróciła do salonu. Otaczająca ją cisza nie była już taka niezmacona – to serce tak łomotało jej w piersi. Spojrzała na dokumenty leżące na kanapie przekonana, że wkrótce przybędą nowe. Teczka Holmana pęczniała. Tuż zanim wyszedł na wolność, została zamordowana dziewczyna, a teraz Holman twierdził, że policja kłamie w sprawie zniknięcia Marii Juárez. Znowu przysła jej do głowy myśl, czy Maria Juárez zostanie znaleziona martwa i czy ten piąty będzie miał w tym swój udział.

Wciąż nie opuszczała jej nadzieja, że syn Holmana jednak nie miał nic wspólnego z zamordowaniem Alison Whitt. Widziała, jak Holman cierpi z powodu śmierci syna i jak zadrećca się przypuszczeniem, popartym coraz wymowniejszymi poszlakami, że jego syn brał udział w spisku mającym na celu zagarnięcie skradzionych pieniędzy. Holman byłby zdruzgotany, gdyby jego syn okazał się mordercą.

Pollard wiedziała, że musi mu przekazać informację o Alison Whitt i dowiedzieć się czegoś więcej o Marii Juárez. Podniosła komórkę, ale zawahała się. Interwencja Leedsa nie przeszła bez echa. Jego uwagi o tym, że „kręci”, sprawiły, że czuła się głupio i było jej wstyd za siebie. Holman na pewno jej nie zauroczył, ale myślała o nim w sposób, który ją niepokoił. Nawet Sanders to ubawiło. *Ty i Bohater. To dopiero sensacja...*

Będzie musiała zadzwonić do Holmana, ale jeszcze nie teraz. Rzuciła telefon na kanapę i poszła do kuchni, a stamtąd to garażu. Mimo że słońce już dawno zaszło, w

garażu było goręcej niż w piekle. Przedzierając się między rozrzuconymi rowerami i deskorolkami, dotarła do szarej, podniszczonej i pokrytej grubą warstwą kurzu metalowej szafy na akta. Nie otwierała tego cholerstwa od lat.

Wysunęła górną szufladę, w której znalazła teczkę z wycinkami prasowymi dotyczącymi prowadzonych przez nią spraw. Swego czasu skrzętnie je zbierała. Ze sto razy chciała się tego pozbyć, ale teraz cieszyła się, że zostawiła sobie te stare wycinki. Chciała poczytać o Holmanie. Musiała przypomnieć sobie, dlaczego „Times” nazwał go „Bohaterem” i dlaczego zasłużył na jeszcze jedną szansę.

Znalazła właściwy artykuł i uśmiechnęła się na widok nagłówka. Leeds wpadł wtedy w szal, cisnął gazetą i przez tydzień pomstował na „Los Angeles Times”, ale Pollard już wtedy rozbawił ten tytuł: *Bandyta Plaźowicz Bohaterem*.

Pollard zabrała wycinki do kuchni i zaczęła czytać. Przypomniała sobie, w jakich okolicznościach poznała Holmana...

Bandyta Plaźowicz

Kobieta stojąca przed nim przestępowała z nogi na nogę z wyraźną irytacją i prychnąc z niesmakiem, spojrzała na niego już po raz czwarty. Holman domyślał się, że baba zbiera się, żeby coś powiedzieć, więc udawał, że jej nie widzi. Ale na nic się to nie zdało. Baba w końcu wypaliła.

– Nienawidzę tego banku. Tylko trzy okienka czynne, a pracownicy ruszają się jak muchy w smole. Dlaczego tylko trzy, jak mają dziesięć okienek? Powinni zatrudnić więcej ludzi do obsługi, jak widzą taką kolejkę. Ile razy tu przyjdę, jest beznadziejnie.

Ze względu na kamery monitorujące bank, Holman trzymał głowę opuszczoną, żeby daszek czapki zasłaniał mu twarz.

Baba znów się odezwała, tym razem głośniejszym głosem, żeby słyszeli ją wszyscy kolejkowicze.

– Mam inne sprawy do załatwienia. Nie mogę tkwić w tym banku cały dzień.

Jej zachowanie przyciągało uwagę. Wszystko w niej przyciągało uwagę. To była potężna kobieta ubrana w jaskrawopurpurową sukienkę, paznokcie miała pomalowane na pomarańczowo, a na głowie górę spiętrzonych loków. Holman nie reagował. Założył ręce na piersi i starał się być niewidoczny. Ubrany był w wypłowiałą koszulę w

kwiaty, kremowe spodnie od Armaniego, sandały i pamiątkową czapkę z Santa Monica nasuniętą mocno na oczy. Miał też okulary przeciwsłoneczne, podobnie zresztą jak połowa ludzi w kolejce. W końcu to Los Angeles.

Baba znów się odezwała.

– No, nareszcie. Najwyższy czas.

Starszy mężczyzna w różowej koszuli, wyglądający jak wyjęty z formaliny, podszedł do okienka, które właśnie się zwolniło. Potem przyszedł kolej na babę w purpurowej sukni i w końcu na Holmana. Starł się oddychać miarowo, miał nadzieję, że pracownicy nie widzieli, jak się poci.

– Proszę pana, zapraszam.

Kasjerka w ostatnim okienku była energiczną kobietą, o ostrych rysach twarzy, z krzykliwym makijażem i pierścionkami na kciukach. Holman poczłapał do okienka i przysunął się jak najbliżej lady. Trzymał w ręku brązową papierową torebkę zawiniętą w kartkę. Postawił torebkę i kartkę na ladzie przed kasjerką. Na kartce widniały słowa, które powycinał z kolorowych pism. Zaczekał, aż kobieta je odczyta.

TO JEST NAPAD.

WŁÓŻ PIENIĄDZE DO TOREBKI.

– Żadnych paczek z barwnikiem. Po prostu daj mi pieniądze, a wszystko będzie okay.

Holman mówił ściszym głosem, żeby nie usłyszał go nikt poza kasjerką.

Twarz kobiety ściągnęła się, jeszcze bardziej wyostrzając jej rysy. Wpatrywała się w niego, a on w nią. Kobieta oblizła usta i wysunęła szufladę z gotówką. Holman zerknął na zegar za jej plecami. Domyślił się, że już uruchomiła stopą bezgłośny alarm, powiadamiając firmę ochraniającą bank. Znajomy Holmana, były skazaniec, przestrzegł go, że trzeba zgarnąć forszę i wydostać się z banku przed upływem dwóch minut. Dwie minuty to nie było dużo, ale jak dotąd, podczas ośmiu poprzednich napadów, Holmanowi tyle czasu wystarczyło.

Agentka specjalna FBI Katherine Pollard stała na parkingu przed supermarketem sieci Ralphs w Studio City, pocąc się w popołudniowym słońcu.

– Dostaniesz udaru! – zawołał do niej Bill Cecil, który siedział na miejscu pasażera w ich nieoznakowanym, nierzucającym się w oczy beżowym samochodzie.

– To siedzenie mnie wykańcza.

Tkwili na tym parkingu od ósmej trzydzieści rano, zajęli stanowisko pół godziny przed otwarciem okolicznych banków. Pollard od siedzenia bolał tyłek, więc co dwadzieścia minut wysiadała z samochodu, żeby się porozciągać. Wychodząc, opuszczała szybę, żeby mieć w zasięgu słuchu dwie krótkofalówki leżące na miejscu kierowcy, chociaż Cecil siedział tuż obok. Cecil był starszy stopniem, ale miał za zadanie tylko jej pomagać. Sprawę Bandyty Plażowicza prowadziła Pollard.

Pollard zgięła się, dotykając palców stóp. Czowała się okropnie, gimnastykując się w publicznym miejscu i eksponując przy tym swój gruby tyłek, ale warowali na tym parkingu od trzech dni, modląc się, żeby Plażowicz dokonał kolejnego napadu. Leeds ochrzcił tego bandytę mianem Plażowicza ze względu na jego wygląd: sandały, kwiecistą koszulę i przydługie włosy ściągnięte z tyłu w kitkę.

Nagle zatrzeszczała krótkofalówka.

– Pollard?

– Hej, moja pani, szef cię wzywa – powiedział Cecil.

To był Leeds na kanale FBI. Pollard wskoczyła do samochodu i podniosła krótkofalówkę.

– Tak, szefie? Już jestem.

– Komenda chce wycofać swoich ludzi, potrzebni są gdzie indziej. Wyraziłem zgodę. Zamykam operację.

Pollard spojrzała na Cecila, ale on tylko wzruszył ramionami i potrząsnął głową. Obawiała się tej chwili. W całym mieście działało czterdziestu dwóch znanych bandytów regularnie napadających na banki. Wielu z nich stosowało przemoc i używało broni, i większość miała na koncie więcej skoków niż Bandyta Plażowicz.

– Szefie, on na pewno zjawi się w którymś z tych banków. Każdy dzień oczekiwania zwiększa prawdopodobieństwo, że do napadu w końcu dojdzie. Potrzebujemy jeszcze trochę czasu.

Pollard opracowała schematy działania większości bandytów napadających na banki w Los Angeles. Jej zdaniem wzorzec, według którego Plażowicz dokonywał skoków, był dość oczywisty. Za cel obierał wyłącznie placówki położone przy głównych węzłach drogowych, skąd łatwo było się dostać na dwie autostrady, banki niezatrudniające strażników, niestosujące ekranów z pleksi ani żadnych urządzeń odcinających bandytom drogę odwrotu. Miejsca, w których dokonywał napadów wskazywały, że trzyma się w pobliżu autostrad, posuwając się w ruchu przeciwnym do wskazówek zegara. Pollard była przekonana, że kolejnego skoku dokona niedaleko rozgałęzienia Ventura/Hollywood, i wytypowała sześć banków jako prawdopodobne cele. Akcja, którą kierowała, obejmowała stały nadzór nad tymi sześcioma bankami.

– On nie jest aż taki ważny – mówił Leeds. – Komenda chce skierować swoich ludzi przeciwko rewolwerowcom, a ja też nie mogę sobie pozwolić na to, żebyście tkwili tam dłużej. Gwiazdy Rocka napadły dzisiaj na bank w Torrance.

Pollard czuła, jak serce zamiera jej w piersi. Gwiazdy Rocka to byli bandyci, którzy zyskali taki przydomek, ponieważ jeden z nich podśpiewywał sobie podczas napadu. Brzmiało to nawet zabawnie, ale tylko do momentu, gdy człowiek się dowiadywał, że ten piosenkarz miał odłot na prochach, a za gitarę służył mu pistolet maszynowy MAC-10. Gwiazdy Rocka podczas szesnastu napadów zabiły dwoje ludzi.

Cecil wziął od niej krótkofalówkę.

– Daj dziewczynie jeszcze jeden dzień, szefie. Zasłużyła sobie.

– Przykro mi, ale nie cofnę decyzji, Katherine. Operacja jest zakończona.

Pollard szukała w głowie argumentów, żeby przekonać Leedsa, kiedy nagle ożyła druga krótkofalówka, przez którą łączyli się z Jayem Duganem, szefem jednostki policyjnej przydzielonej do nadzorowania wytypowanych przez nią banków.

– Zgłaszam dwa-jedenaście w oddziale First United. Właśnie się zaczęło.

Pollard rzuciła krótkofalówkę FBI Cecilowi na kolana i wcisnęła stoper. Włączyła silnik, potem zwróciła się do Dugana.

– Ile mamy czasu?

– Minutę trzydzieści plus dziesięć sekund. Ruszamy.

Cecil już informował Leedsa o rozwoju wypadków.

– Stało się, Chris. Wyjeżdżamy. Dalej, moja pani, prowadź.

Placówka *First United California Bank* znajdowała się zaledwie cztery przecznice dalej, ale na ulicy było gęsto od samochodów. Plaźowicz miał nad nimi co najmniej dziewięćdziesiąt sekund przewagi i było całkiem możliwe, że już wychodzi z banku.

Pollard wrzuciła bieg i samochód wyrwał do przodu.

– Jak u was, Jay?

– Jesteśmy o sześć przecznic od banku. Może zdążymy.

Pollard kierowała jedną ręką, drugą wciskając klakson. Pędziła w stronę banku, modląc się, żeby zdążyli.

Holman patrzył, jak kasjerka opróżnia po kolei szuflady, wkładając ich zawartość do torebki. Grała na zwłokę.

– Szybciej.

Kasjerka przyspieszyła.

Holman spojrział na zegarek i uśmiechnął się. Minęło dopiero siedemdziesiąt sekund. Pryśnie stąd przed upływem dwóch minut.

Kasjerka wsuwała ostatnie banknoty do torebki. Unikała kontaktu wzrokowego z pozostałymi pracownikami obsługi. Skończyła i czekała na dalsze polecenia.

– Świetnie – powiedział Holman. – Teraz przesuń torebką w moją stronę. Nie krzycz i nikomu nic nie mów, dopóki nie wyjdę.

Pchnęła w jego stronę pieniądze, zgodnie z życzeniem Holmana, ale w tej samej chwili podeszła kierowniczka banku z blankietem wpłaty. Zobaczyła torbę i wyraz twarzy kasjerki, i to wystarczyło, żeby domyśliła się, co się święci. Zamarła. Nie krzyczała ani nie próbowała go zatrzymać; widać było, że jest wystraszona.

– Spokojnie – powiedział Holman. – Nikomu nic się nie stanie.

– Zabierz pieniądze i wyjdź. Tylko, proszę, nie rób nikomu krzywdy.

Starszy mężczyzna w różowej koszuli przechodził obok Holmana akurat wtedy, kiedy kierowniczka prosiła go, żeby nie robił nikomu krzywdy i podobnie jak ona, domyślił się, co jest grane. Lecz w przeciwieństwie do niej, krzyknął:

– Ratunku! To napad!

Poczerwieniał na twarzy, potem chwycił się za serce i zaczął rżęzić.

– Hej, proszę pana! – zawołał Holman.

Staruszek zatoczył się i upadł na plecy. Uderzając o podłogę, wyrócił oczy białkami do góry, a z piersi zamiast rżenia wyrwało mu się słabnące westchnienie.

Baba w sukience wrzasnęła:

– O mój Boże!

Holman porwał pieniądze i ruszył w stronę wyjścia, ale nikt w banku nie kwapił się, żeby pomóc staruszkowi.

– On chyba nie żyje! – krzyczała baba. – Niech ktoś zadzwoni na pogotowie! On chyba nie żyje!

Holman pobiegł do drzwi, ale zaraz obejrzał się za siebie. Twarz leżącego na podłodze mężczyzny już nie była czerwona, lecz ciemnopurpurowa. Staruszek nie ruszał się. Holman wiedział, że to zawał serca.

– Niech to szlag! Czy nikt tu nie potrafi udzielić mu pierwszej pomocy? Niech ktoś mu pomoże!

Nikt się nie ruszył.

Holman wiedział, że czas działa na jego niekorzyść. Już przekroczył limit dwóch minut i teraz z każdą sekundą zwiększało się ryzyko, że nie zdąży uciec. Odwrócił się w stronę drzwi, ale po prostu nie mógł odejść. Nikt nie próbował pomóc staruszkowi.

Holman podbiegł do niego, klęknął na podłodze i zaczął go ratować. Wciąż wdmuchiwał mu w usta powietrze, kiedy do banku wpadła kobieta z rewolwerem, a za nią nieproporcjonalnie szeroki łysy facet. Kobieta przedstawiła się jako agentka FBI i oznajmiła Holmanowi, że jest aresztowany.

W przerwie między jednym oddechem a drugim Holman zapytał:

– Mam przestać?

Na to kobieta opuściła broń.

– Nie. Świetnie sobie radzisz.

Holman robił staruszkowi masaż serca i sztuczne oddychanie aż do przyjazdu karetki. Przekroczył limit dwóch minut o trzy minuty i czterdzieści sześć sekund.

Staruszek przeżył.

CZEŚĆ CZWARTA

Holman robił pompki, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Wykonywał je mechanicznie, jedną za drugą, katując się tak niemal przez cały ranek. Wieczorem poprzedniego dnia zostawił jeszcze dwie wiadomości w poczcie głosowej Pollard i zbierał się na odwagę, żeby znów do niej zadzwonić. Kiedy usłyszał pukanie, pomyślał, że to Perry. Nikt inny nie przychodził do jego pokoju.

– Chwila.

Naciągnął spodnie i otworzył drzwi, ale zamiast Perry'ego zobaczył Pollard. Nie wiedział, czemu przypisać jej niespodziewaną wizytę, i patrzył na nią zdziwiony.

– Musimy pogadać — oznajmiła.

Nie miała wesołej miny. Wyglądała na rozdrażnioną, a w ręku trzymała teczkę z dokumentami, które jej przekazał. Holman nagle uzmysłowił sobie, że jest półnagi, a jego biały tors spływa potem. Żałował, że nie włożył koszuli.

– Myślałem, że to kto inny.

– Nie wpuścisz mnie do środka? Mamy sprawę do omówienia.

Holman cofnął się, żeby mogła wejść, a potem wyjrzał na korytarz. Zobaczył głowę Perry'ego chowającego się za rogiem. Wszedł do pokoju, ale drzwi zostawił uchylone. Wstyd mu było, że przyjmuje ją w takim stanie i w takiej norze. Pomyślał, że na pewno będzie czuła się nieswojo sam na sam z nim w pokoju motelowym. Naciągnął koszulkę.

– Odsłuchiłaś moje wiadomości?

Pollard podeszła do drzwi i zamknęła je. Stała przy drzwiach, z ręką na klamce.

– Odsłuchiłam i chcę cię o coś zapytać. Co zamierzasz zrobić z tą forszą?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Jeśli znajdziemy te szesnaście milionów. Co wtedy?

Holman przyglądał się jej. Minę miała poważną. Zaciśnięte usta nadawały jej twarzy wyraz skupienia. Wyglądała tak, jakby przyszła dzielić łup.

– Żarty sobie stroisz?

– Mówię poważnie.

Holman wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, potem przysiadł na skraju łóżka. Zaczął wkładać buty, żeby czymś się zająć, chociaż najbardziej w tej chwili potrzebny mu był prysznic.

– Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego zginął mój chłopak. Jak znajdziemy tę forszę, możesz ją sobie zatrzymać. Nie obchodzi mnie, co chcesz z nią zrobić.

Holman nie potrafił określić, czy na jej twarzy malowało się rozczarowanie, czy ulga. Było mu wszystko jedno, byle tylko dalej chciała mu pomagać.

– Słuchaj, jak chcesz zgarnąć tę forszę dla siebie, ja cię nie wsypię. Jest tylko jeden warunek – nie pozwolę, żeby te pieniądze przeszkodziły mi w wyjaśnieniu okoliczności śmierci mojego syna. Jeżeli dojdzie do tego, że trzeba będzie wybierać – schwywanie zabójcy Richiego albo łup, to żegnamy się z łupem.

– A co z twoim przyjacielem, Morenem?

– Naprawdę odsłuchiłaś moje wiadomości? Tak, pożyczył mi samochód. I po co tyle szumu?

– Może liczy na jakąś działkę.

Holman zaczynał się denerwować.

– Czego się tak uczepiłaś mojego kumpla? Jak się o nim dowiedziałaś?

– Odpowiedz mi na pytanie.

– Nie zadałaś mi żadnego pytania, do diabła. Nie powiedziałem mu o tej forsie, ale może sobie ją zabrać, mam to gdzieś. O co ty nas podejrzewasz? Że planujemy napad stulecia?

– Podejrzewam, że policja skojarzyła ciebie i Morena. Na jakiej podstawie?

– Byłem u niego w warsztacie dwa, trzy razy. Może mają go na oku.

– Po co mieliby go obserwować, skoro prowadzi uczciwe życie?

– Mogli się domyślić, że pomógł mi znaleźć Marię Juárez.

– On i Juárez byli jakoś powiązani?

– Poprosiłem go, żeby mi pomógł. Słuchaj, żałuję, że nie powiedziałem ci, skąd mam ten pieprzony samochód. Mnie nie interesuje ta forsa – mnie interesuje, kto zabił mi syna. Chcę dopaść tego sukinsyna.

Holman przestał gmerać przy butach i spojrzał na Pollard. Nie odrywała od niego wzroku, więc on też zaczął się w nią wpatrywać. Wiedział, że próbuje go rozgryźć, ale nie rozumiał dlaczego. W końcu puściła kłamkę.

– Nikt nie dostanie tej forsy. Jeśli ją znajdziemy, to uczciwie ją zwrócimy.

– Świetnie.

– Nie masz nic przeciwko temu?

– Przecież powiedziałem, że to świetna myśl.

– A twój przyjaciel Chee?

– Pożyczył mi ten cholerny samochód. O ile wiem, nie ma pojęcia o forsie. Chcesz sama się z nim rozmówić, proszę bardzo. Przejedź się do niego do warsztatu.

Pollard jeszcze przez chwilę przyglądała mu się badawczo, potem wyjęła plik kartek z teczki.

– Dziewczyna Marczenki nazywała się Alison Whitt. Była prostytutką.

Podeszła i podała mu dokumenty. Holman rzucił okiem na pierwszą kartkę z góry i zorientował się, że to kopia policyjnego raportu z zatrzymania Alison Whitt. Białoczarna odbitka jej zdjęcia zrobionego do kartoteki była niezbyt wyraźna, ale widać było, że to jeszcze młoda dziewczyna, o charakterystycznej dla Środkowego Zachodu niewinnej urodzie.

– Whitt została zamordowana tej samej nocy, kiedy zginął twój syn, jakieś dwie godziny wcześniej.

Pollard mówiła dalej, ale Holman już nie słyszał jej słów. Przed oczami migają mu obrazy, które zagłuszały jej głos i budziły w nim strach: Fowler i Richie w ciemnym zaułku, ich twarze oświetlone błyskami wystrzałów. Holman ledwo słyszał sam siebie.

– To oni ją zabili?

– Nie wiem.

Zacisnął powieki, po chwili je uniósł, próbując odpędzić od siebie prześladowające go obrazy, ale twarz Richiego przytłaczała go coraz bardziej, oświetlona błyskiem wystrzału.

– Fowler dzwonił do niej w czwartek – ciągnęła Pollard. – Tego dnia w nocy wrócili do domu zabłoceni. Rozmawiał z nią po południu przez dwanaście minut. Później, w środku nocy, Fowler i Richie wyszli z domu i wrócili w zabłoconych butach.

Holman wstał i podszedł do agregatu klimatyzacyjnego, próbując zostawić za sobą koszmar, który zawładnął jego myślami. Skupił się na stojącym na komodzie zdjęciu ośmioletniego Richiego, tak różniącego się od dzisiejszego złodzieja i zabójcy.

– To oni ją zabili. Powiedziała im, gdzie są schowane pieniądze, a może ich okłamała, wszystko jedno, i zabili ją.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków, Holman. Policja sprawdza klientów, których mogła obsługiwać tamtego dnia. Dorabiała sobie jako prostytutka, a na stałe zatrudniona była jako kelnerka w knajpie Mayan Grille przy Sunset Boulevard.

– Bzdura. To nie może być zbieg okoliczności, że zginęła tej samej nocy.

– Też tak uważam, ale ci, co prowadzą śledztwo, prawdopodobnie nie wiedzą, że była dziewczyną Marczenki. Poza tym nie zapominaj o piątym facecie. W zespole Fowlera, jak się okazuje, działało pięć osób, a tylko cztery nie żyją. Zabójcą może być ten piąty.

Holman zupełnie zapomniał o tym piątym, a teraz uczepił się tej myśli jak tonący brzytwy. Ten piąty też próbował odszukać Allie, a teraz oni wszyscy nie żyją. Nagle przypomniał sobie o Marii Juárez.

– Dowiedziałaś się czegoś o żonie Juareza?

– Rozmawiałam rano z koleżanką. Komenda główna nadal twierdzi, że uciekła.

– Nie zwiła, zgarnęli ją. Ten sam tajniak, który mnie zatrzymał – Vukovich. To człowiek Randoma.

– Moja koleżanka śledzi tę sprawę. Stara się zdobyć taśmę z kamery Juareza. Wiem, że według Randoma, to nagranie zostało spreparowane, ale mogą ją zbadać nasi specjaliści, a mamy najlepszych fachowców na świecie.

Nasi. Jakby wciąż była agentką FBI.

– Nadal chcesz mi pomagać? – spytał.

Pollard wahała się przez chwilę, potem podeszła do drzwi z dokumentami w ręku.

– Lepiej, żebyś nie kłamał.

– Nie kłamię.

– Oby. Ogarnij się trochę. Zaczekam na ciebie w samochodzie.

Holman patrzył, jak Pollard zamyka za sobą drzwi, a potem pobiegł wziąć prysznic.

Mayan Grille był małą knajpą przy Sunset Boulevard niedaleko Fairfax, w której podawano wyłącznie śniadania i lunch. Interes szedł dobrze. Klienci ustawiali się w kolejce przed wejściem, a stoliki na zewnątrz oblegali młodzi, zadbani ludzie, którzy zamawiali naleśniki i omlety. Gdy tylko Holman zobaczył ten przybytek, poczuł do niego instynktowną nienawiść, podobnie jak do ludzi tłoczących się na zewnątrz. Nie zastanawiał się nad tym zbyt długo, ale już sam widok tego miejsca wzbudził w nim odrazę.

W drodze do Mayan Grille Holman w ogóle się nie odzywał. Udawał, że słucha, kiedy Pollard przekazywała mu szczegóły sprawy Alison Whitt, ale tak naprawdę jego myśli bezustannie krążyły wokół Richiego. Zastanawiał się, czy skłonności przestępcze były dziedziczne, czego niegdyś obawiała się Donna, czy to trudna sytuacja rodzinna skłaniała do przestępstwa. Tak czy siak wina spadała na Holmana. Od tych rozmyślań wpadł w ponury nastrój.

Przedarł się przez tłum i w ślad za Pollard wszedł do knajpy. W środku też panował tłok. Mieli przed sobą sznur ludzi czekających, aż zwolni się stolik. Pollard niewiele mogła zobaczyć przez kłębiący się dookoła tłum, ale Holman, który przewyższał wzrostem większość obecnych na sali, wszystko widział doskonale. Mężczyźni przeważnie mieli na sobie dżinsy i koszulki, a panienki ubrane były w skąpe bluzeczki, odsłaniając pępek i górę pokrytych tatuażem pośladków. Wszyscy bardziej zainteresowani byli migdaleniem się niż jedzeniem, gdyż na ogół siedzieli nad pełnymi talerzami. Holman uznał, że klienci tej knajpy albo są bezrobotni, albo pracują w show-biznesie. Swego czasu Holman i Chee krążyli po parkingach przed takimi miejscami, szukając wozów do podprowadzenia.

– Policja ustaliła, że jedna z kelnerek, niejaka Marki Pollen, była koleżanką Alison Whitt. To do niej tu przyjechaliśmy – oświadczyła Pollard.

– A jeśli dzisiaj ma wolne?

– Zadzwoiłam, żeby się upewnić. Musimy ją namówić, żeby poświęciła nam trochę czasu. To nie będzie łatwe; straszny tu dzisiaj ruch.

Pollard kazała mu poczekać i podeszła do kierowniczkich sali, która zajmowała się przydzielaniem zwalnających się stolików. Kobiety rozmawiały chwilę, potem dołączył do nich mężczyzna, który wyglądał na szefa zmiany. Wskazał kelnerkę, która pomagała chłopakowi sprzątać brudne naczynia ze stolika w głębi sali, potem potrząsnął głową. Pollard miała zawieszoną minę, kiedy wróciła.

– Dwadzieścia osób czeka na stolik i brakuje im kelnerki. Szef zmiany nie chce jej zwolnić. Trochę potrwa, zanim będzie mogła z nami porozmawiać. Może w tym czasie pójdziemy gdzieś na kawę i wrócimy na koniec zmiany?

Holman nie miał ochoty czekać ani nigdzie wychodzić. Ta zgraja hollywoodzkich obiboków mogła się opieprzać, gędząc o swoich ostatnich castingach i zamawiając żarcie, którego nawet nie ruszała, ale on nie miał na to czasu. Czuł, jak wzbiera w nim wściekłość.

– To była ona, ta z tyłu, którą ci pokazał?

– Tak, Marki Pollen.

– Chodź ze mną.

Holman przepchnął się przez tłum, mijając kierowniczkę sali, i podszedł do stolika w głębi. Chłopak właśnie skończył go wycierać i rozstawiał czyste talerze i sztuce. Holman odsunął krzesło i usiadł, ale Pollard się ociągała. Kierowniczkich już skierowała do tego stolika dwóch mężczyzn z kolejki i widząc, że Holman bezceremonialnie go zajął, spiorunowała go wzrokiem.

– Tak nie można – powiedziała. – Zaraz nas stąd wyrzucą.

Takiego wała, pomyślał Holman.

– Wszystko będzie dobrze.

– Nie możemy ich prowokować.

– Zaufaj mi. To aktorzy.

Marki Pollen obsługiwała stolik za plecami Holmana. Wyglądała na znękaną i zagonioną, zresztą jak wszystkie pracujące tu kelnerki i ich pomocnicy.

Holman wysupłał pieniądze Chee, chowając zwitek banknotów pod stołem. Odchylił się do tyłu i klepnął kelnerkę w biodro.

– Za chwilę do pana podejść.

– Popatrz na to, Marki.

Dziewczyna obejrzała się, gdy wymienił jej imię, i Holman pokazał jej złożony studolarowy banknot. Patrzył jej w oczy, upewniając się, że zauważyła nominał, potem wsunął jej pieniądze do fartucha.

– Powiedz kierownicze, że jestem twoim znajomym i że to ty posadziłaś nas przy tym stoliku.

Kierowniczka sali zdążyła przywołać szefa zmiany i teraz oboje przeciskali się do nich przez tłum, a za nimi dwaj mężczyźni z kolejki. Holman widział, jak Marki zastępuje im drogę, ale po cichu liczył na to, że tym dwóm facetom tak bardzo zależy na stoliku, że przyjdą się o niego upomnieć. Holman miał ochotę tak im dołożyć, żeby wylecieli prosto na Sunset Boulevard.

Pollard dotknęła go w ramię.

– Przestań! Przestań się tak na nich gapić. Jezu, skąd u ciebie ta wrogość?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Szukasz bójkę z powodu tego cholernego stolika? To nie spaceriak, Holman. Musimy pogadać z tą dziewczyną.

Zdał sobie sprawę, że Pollard ma rację. Patrzył na nich jak skazaniec zaczepiający drugiego skazańca. Zmusił się, żeby oderwać od nich wzrok. Rozejrzał się po sali. Faceci siedzący przy stolikach przeważnie byli młodzi, mniej więcej w wieku Richiego. Holman powiedział sobie, że pewnie to wywołało w nim taką wściekłość. Opychali się naleśnikami, a jego Richie leżał w worku w kostnicy.

– Masz rację. Przepraszam.

– Wyluzuj.

Marki załagodziła sprawę u szefa zmiany i podeszła do ich stolika z uśmiechem od ucha do ucha i dwiema kartami dań.

– Niezłe zagranie, naprawdę. Czy ja już kiedyś pana obsługiwałam?

– Nie, chodzi nam o coś innego. Chcemy pogadać z tobą o Alison Whitt. Podobno trzymałyście się razem.

To, że Holman wspomniał o Alison Whitt, nie zrobiło na niej specjalnego wrażenia. Wzruszyła tylko ramionami i dalej trzymała w ręku bloczek, jakby zamierzała przyjąć od nich zamówienie.

– Można by tak powiedzieć. Tutaj wszyscy z obsługi trzymają się blisko. Teraz nie jest zbyt odpowiednia pora. Mam na głowie mnóstwo stolików.

– Stówa z nawiązką pokryje stracone napiwki, skarbie.

Marki znów wzruszyła ramionami i przesunęła się nieco.

– Policja już mnie o nią pytała. Rozmawiali ze wszystkimi. Nie wiem, co mogłabym jeszcze dodać.

Tym razem odezwała się Pollard.

– Bardziej niż okoliczności jej śmierci interesuje nas jej chłopak. Wiedziałaś, że dorabia sobie na boku jako prostytutka?

Marki zachichotała nerwowo i zerknęła na najbliższy stolik, żeby upewnić się, że nikt nie podsłuchuje, zanim odparła ściszym głosem:

– No pewnie. Policja wszystkim nam powiedziała. O to właśnie nas wypytywali.

– Z jej kartoteki wynika, że jakiś rok temu była dwukrotnie aresztowana, ale od tamtej pory ani razu. Nadal umawiała się z klientami?

– O tak. Ta dziewczyna była szalona, podniecało ją takie życie. Opowiadała nam niesamowite historie.

Holman obserwował szefa zmiany, który był wyraźnie wkurzony i nie odrywał od nich wzroku. Holman był pewny, że zaraz do nich podejdzie, ponieważ Marki, zamiast pracować, ucinała sobie pogawędkę.

– Wiesz co, Marki? – powiedział Holman. – Przyjmij parę zamówień, żeby szef się nie wściekł, a potem wróć do nas i opowiedz nam te historie. My w tym czasie przejrzymy kartę dań.

Kiedy Marki odeszła, Pollard nachyliła się do niego.

– Dałeś tej dziewczynie sto dolarów?

– I co z tego?

– Nie chcę się z tobą kłócić, Holman.

– Tak, dałem jej stówę.

– Jezu Chryste. Może powinnam się zgodzić, żebyś mi zapłacił za tę robotę.

– To pieniądze Chee. Nie chciałybyś się nimi splamić.

Pollard patrzyła na niego. Holmanowi nagle zrobiło się głupio i odwrócił wzrok. Był w paskudnym nastroju i czuł, że musi się opanować. Spojrzał na menu.

– Masz na coś ochotę? Jak już tu siedzimy, możemy coś zjeść.

– Odpieprz się.

Holman wpatrywał się w kartę dań aż do powrotu Marki. Dziewczyna powiedziała, że może poświęcić im chwilę. Pollard podjęła przerwany wątek, jak gdyby nic nie zaszło i Holman właśnie nie zrobił z siebie idioty.

– Opowiadała ci o swoich klientach?

– Mówiła o nich różne zabawne rzeczy. Czasami obsługiwała znane osobistości.

– Próbujemy dowiedzieć się czegoś o facecie, z którym spotykała się cztery, pięć miesięcy temu. Mogło ich łączyć coś więcej, ale bardziej prawdopodobne jest to, że był jej klientem. Miał dziwne nazwisko – Anton Marczenko. Kojarzysz jakiegoś Ukraińca?

Marki uśmiechnęła się, od razu rozpoznając nazwisko.

– To ten pirat. Martin, Marko, Mar- coś tam...

– Marczenko.

– „Pirat”? W jakim sensie? – spytał Holman.

Uśmiech Marki przeszedł w chichot.

– Tak sobie fantazjował. Allie mówiła, że bez tego nie wychodziło mu w łóżku. Zgrywał groźnego pirata, no wiecie, jo-ho-ho i butelka rumu, opowiadał, jak to prowadził życie pełne przygód i miał skarb, który gdzieś zakopał.

Holman spojrzał na Pollard i zauważył, że unosi kąciki ust. Skinęła mu głową. To był ważny trop.

Popatrzył na Marki i przywołał na twarz swój najmiłszy uśmiech.

– Nie bujasz? Naprawdę mówił coś o zakopanym skarbie?

– Opowiadał różne śmieszne rzeczy. Zabierał Allie na spacerki pod napis Hollywood. Tam musiał to z nią robić. Nigdy nie zapraszał jej do siebie, nie wynajmował

pokoju w motelu, nie robili tego nawet w samochodzie. Musieli wspinać się na górę, do napisu, żeby mógł wygłaszać pirackie przemowy i oglądać swoje królestwo.

Marki znów zachichotała, ale Holmanowi coś się nie zgadzało.

– Allie mówiła ci, że wspinali się na górę do napisu? – upewnił się.

– Tak. Cztery czy pięć razy.

– Ale do napisu nie można podejść. Jest ogrodzony i monitorowany przez kamery.

Marki zrobiła zdziwioną minę, ale wzruszyła ramionami, jakby było jej wszystko jedno.

– Sama mi o tym mówiła. Męczyło ją to, bo to długa droga pod górę, ale facet był nadziany. Płacił jej tysiąc dolarów za sam, no wiecie, seks oralny. Mówiła, że za tysiąc dolarów mogłaby włączyć na tę górę przez cały dzień.

Gość z sąsiedniego stolika przywołał Marki, więc Holman i Pollard znów zostali sami. Holman podchodził sceptycznie do tej historii o wspinaczce do napisu.

– Sam tam wchodziłem – powiedział. – Można podejść blisko, ale nie do samego napisu. Wszędzie zamontowane są kamery wideo, a nawet czujniki ruchu.

– Zaraz, zaraz, Holman, to wszystko nabiera sensu. Marczenko i Parsons mieszkali w Beachwood Canyon. A napis stoi na samym wierzchołku przyległego wzgórza. Całkiem możliwe, że tam ukryli łup.

– Nigdzie wokół napisu nie da się zakopać szesnastu milionów. Taka forsa ma swoją objętość.

– Przekonamy się na miejscu. Pójdziemy tam się rozejrzeć.

Holmana wciąż nie opuszczały wątpliwości, ale wróciła Marki i Pollard zwróciła się do dziewczyny:

– Już prawie kończymy, Marki. Jeszcze chwila i damy ci spokój.

– Jak powiedział ten pan, stowa pokrywa mnóstwo napiwków.

– Czy Allie wiedziała, dlaczego musieli to robić właśnie tam, pod napisem?

– Nie mam pojęcia. Po prostu lubił tam chodzić.

– Dobrze... wspomniałaś coś o przemowach. Co to były za przemowy?

Marki w zamyśleniu zmarszczyła twarz.

– Właściwie to niezupełnie przemowy – bardziej udawanie. Że niby jest piratem i ją porwał, i będzie ją posuwać na całym tym skarbie, który zrabował. Allie musiała udawać, że jest strasznie napalona, no wiecie, jakby strasznie ją rajcowało to, że ją zerznie na tym łożu usypanym z twardych złotych monet.

Pollard kiwała głową zachęcająco.

– Na tej forsie? Jakby to było mu potrzebne, żeby się podniecić?

– Chyba tak.

Pollard znów spojrzała na Holmana; tym razem to on wzruszył ramionami. Marczenko mógł sobie fantazjować o posuwaniu pańienek na stosie dolarów, ale Holman nie wyobrażał sobie, jak można było ukryć szesnaście milionów dolarów w takim publicznym miejscu. Nagle przypomniał sobie, że Richie i Fowler tamtej czwartkowej nocy wrócili do domu oblepieni błotem i zielskiem.

– Kiedy przesłuchiwali cię gliniarze, powiedziałaś im o Marczence? – zapytał.

Marki zdziwiła się.

– A powinnam? To stara historia.

– Nie. Po prostu ciekawiło mnie, czy o to pytali.

Holman zbierał się do wyjścia, ale Pollard nie zwracała na niego uwagi.

– Okay, jeszcze jedno. Czy wiesz, jak Allie trafiła na tego faceta?

– Nieee.

– Miała stręczyciela? Pracowała na zlecenie dla agencji?

Marki zamyśliła się.

– Miała opiekuna, ale to nie był alfons ani nikt w tym rodzaju.

– Co to znaczy „opiekun”? – spytał Holman.

– To trochę głupie, ale Allie zakazała mi o tym komukolwiek wspominać.

– Allie nie żyje. Jej zakazy już nie obowiązują.

Marki zerknęła na pobliskie stoliki i jeszcze bardziej ściszyła głos.

– No dobrze, co mi tam. Allie pracowała dla glin. Mówiła, że nie musi się niczym martwić, bo ma tam przyjaciela, który wyciągnie ją z kłopotów. Nawet dostawała pieniądze za informacje o swoich klientach.

Tym razem, kiedy Holman spojrział na Pollard, jej twarz była biała jak płótno.

– Alison była płatnym informatorem?

Marki uśmiechnęła się z zakłopotaniem i wzruszyła ramionami.

– Nie zarabiała na tym nie wiadomo ile. Powiedziała mi, że stawki są ustalone, a na każdą wypłatę ten facet musiał mieć zgodę przełożonych.

– Powiedziała ci, dla kogo pracuje? – spytał Holman.

– Nie.

Holman popatrzył na Pollard, która wciąż była upiornie blada. Dotknął jej ramienia.

– Jeszcze jakieś pytania?

Pollard pokręciła głową.

Holman wyjął jeszcze jedną stówę i wsunął kelnerce do ręki.

W 1932 roku pewna aktorka, Peg Entwisle, w przyпадywie depresji popełniła samobójstwo, skacząc ze szczytu litery H. Litery składające się na napis Hollywood miały ponad piętnaście metrów wysokości. Dziś są równie wysokie i ciągną się na odcinku długości niemal stu pięćdziesięciu metrów wzdłuż wierzchołka Mount Lee na wzgórzach Hollywood. Z biegiem lat napis Hollywood stopniowo niszczał i w latach siedemdziesiątych został poddany renowacji. Niestety, wkrótce zajęli się nim wandyale i różnej maści popaprańcy, więc władze miasta postanowiły objąć go ochroną. Wokół napisu postawiono wysokie ogrodzenie, rozmieszczono kamery wideo, promienniki podczerwieni i czujniki ruchu. W rezultacie był niemal tak pilnie strzeżony jak Fort Knox, na co Holman zwrócił uwagę Pollard w drodze do Beachwood Canyon. Holman zapuszczał się w tamte rejony od dziecka.

Pollard wyglądała na zmartwioną.

– Na pewno znasz drogę? – upewniła się.

– Tak. Już jesteśmy blisko.

– Myślałam, że do napisu trzeba iść przez Griffith Park.

– Tędy jest lepiej. Szukamy pewnej uliczki, którą pamiętam z dzieciństwa.

Holman nadal wątpił, że coś tam znajdą, ale wiedział, że muszą się rozejrzeć. Każde dokonane przez nich odkrycie wskazywało na udział policji, a teraz dowiedzieli się też o tajemniczym opiekunie Alison Whitt, jej oficerze kontaktowym. Jeśli Whitt powiedziała mu o Marczence, wiadomość o napisie Hollywood mogła trafić do Fowlera i jego zespołu. Skojarzyli napis z seksualnymi fantazjami Marczenki i wpadli na pomysł, żeby przeszukać teren. Mógł w tym brać udział Richie. Holman zastanawiał się, czy Alison Whitt oglądała wiadomości telewizyjne, w których pokazywano Marczenkę. To było całkiem prawdopodobne. Zapewne zorientowała się, że jej pirat to bandyta okradający banki, i przekazała swojemu opiekunowi wszystko, co o nim wiedziała. I pewnie dlatego zginęła.

– Te wąwozy są beznadziejne. Nie mam tu zasięgu – rzekła Pollard.

– Chcesz zawrócić?

– Nie, nie mam zamiaru zawracać. Chcę tylko sprawdzić, czy ta dziewczyna rzeczywiście była policyjnym informatorem.

– Jest jakiś serwis telefoniczny z rejestrem informatorów, do którego możesz zadzwonić?

– Daruj sobie te dowcipy, Holman. Proszę cię.

Pięli się pod górę wąskimi uliczkami dzielnicy willowej Beachwood Canyon. Napis Hollywood mający na horyzoncie stawał się coraz większy w prześwitach między domami i drzewami. Co jakiś czas ginął im z oczu, zasłonięty przez wzgórze. Kiedy dojechali do szczytu, Holman kazał Pollard skręcić.

– Zwolnij. Jesteśmy na miejscu. Możesz się zatrzymać przed tymi domami.

Pollard zaparkowała samochód i wysiadła. Uliczka urywała się niespodziewanie przed wielką bramą. Brama była zamknięta na kłódkę i opatrzona tabliczką WSTĘP WZBRONIONY.

Na jej widok Pollard wyraziła swoje rozczarowanie.

– To jest ten twój skrót? Brama jest zamknięta na cztery spusty.

– To droga pożarowa. Prowadzi dookoła wzgórza i wychodzi na tyły napisu. Tędy jest kilka kilometrów krócej niż od strony Griffith Park. Przychodziłem tu jeszcze jako chłopak.

Pollard zastukała w słowo WZBRONIONY widniejące na tabliczce.

– Czy był taki czas, kiedy nie łamałeś prawa?

– Nie, raczej nie.

– Jesteś niemożliwy.

Pollard przecisnęła się przez szczelinę w ogrodzeniu, Holman w ślad za nią. Ruszyli pod górę. Holman nie pamiętał, żeby droga była aż tak stroma, ale w końcu przybyło mu trochę lat, odkąd tu bywał, poza tym był w kiepskiej formie. Szybko dostał zadyszki, za to Pollard radziła sobie świetnie. Droga pożarowa łączyła się z utwardzoną drogą, a ta wznosiła się jeszcze bardziej stromo, wijąc się wokół wierzchołka. Napis Hollywood zniknął im z oczu, ale wieża radiowa sterząca nad nim była coraz bliżej.

– Nie daliby rady przytargać tu całej tej forsy. Za stromo i za daleko – powiedział Holman.

– Ale Marczenko przyprowadzał tu swoją dziewczynę.

– Ona szła na własnych nogach. Powiedz mi, czy ty zostawiłabyś szesnaście milionów dolarów w takim miejscu?

– Nie. Ale też nie obrabowałamby szesnastu banków i nie wdałabym się w strzelaninę z policją.

Droga wiodła z tyłu zbocza, ale u wierzchołka zakreśliła i poprowadziła ich na przód wzgórza. Ich oczom ukazało się Los Angeles w całej okazałości, ciągnące się hen, aż po horyzont. Około sześćdziesięciu kilometrów na południowy wschód unosiła się we mgle wyspa Catalina. Biurowiec Capitol Records, przypominający pękaty cylinder, wskazywał centrum Hollywood, a cały obszar miasta od śródmieścia aż po Century City usiany był skupiskami drapaczy chmur.

– O kurczę – powiedziała Pollard.

Holman miał gdzieś ten widok. Napis Hollywood znajdował się pod nimi, jakieś dziesięć metrów niżej. Otaczało go ciągnące się wzdłuż drogi dwumetrowe ogrodzenie z siatki pomalowanej na zielono. Na końcu drogi wznosiła się wieża radiowa, również ogrodzona i naszpikowana antenami, zwykłymi i satelitarnymi. Holman wyciągnął rękę w kierunku napisu.

– To tam. Nadal myślisz, że zakopali tu gdzieś pieniądze?

Pollard chwyciła się barierki i spojrzała w dół. Zbocze stromo opadało. Podstawy liter były niewidoczne z tej odległości.

– Cholera. Można się tam jakoś dostać? – zapytała.

– Trzeba przejść przez ogrodzenie, ale to nie ogrodzenie stanowi problem. Widzisz te kamery?

Kamery wideo, wycelowane prosto w napis, rozmieszczone były na słupach przed wieżą radiową.

– Te kamery monitorują napis dwadzieścia cztery godziny na dobę. Rozstawione są na całej jego długości, są też kamery postawione od dołu, tak że mają podgląd z każdej

strony. Dzięki promiennikom podczerwieni mogą obserwować teren także w nocy. Do tego dochodzą jeszcze czujniki ruchu.

Pollard wspięła się na palce, starając się sięgnąć wzrokiem jak najdalej w dół, potem przyjrzała się drodze prowadzącej do wieży radiowej. Tam też roilo się od kamer. Z drogi można było dostać się na sam szczyt, pokonując odcinek około dziesięciu metrów stromego zbocza.

– Kto nadzoruje te kamery?

– Strażnicy. Pilnują napisu dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Pollard znów spojrzała na szczyt.

– Co tam jest na samej górze?

– Chwasty. Jakiś stary sprzęt do pomiarów geologicznych, nic więcej.

Pollard ruszyła w kierunku wieży, a Holman za nią. Od czasu do czasu przystawała, żeby spojrzeć w dół na napis.

– Czy można się tam dostać od dołu? – spytała.

– Po to właśnie są czujniki ruchu. Kamery na dole obejmują przyległe zbocza.

– Psiakrew, stromo tu. Czy tam, niżej, u podstawy liter, zbocze jest łagodniejsze?

– Tylko trochę. Tak jakby szlak się nieco rozszerzał. Ale właściwie napis osadzony jest w stoku góry.

Wieżę radiową otaczało jeszcze wyższe ogrodzenie. Dwu- i półmetrowy płot zwieńczony był zwojami drutu kolczastego. Na wprost Holmana i Pollard wyrastała brama, która zagradała drogę niczym mur. Z jednej strony wznosiło się strome zbocze, z przeciwnej ogrodzenie, a z przodu brama; niewiele brakowało, by poczuć się jak w potrzasku. Holman miał uczucie, jakby tkwił w tunelu z siatki.

– Za wieżą jest podobno lądowisko dla helikopterów, ale ja nigdy go nie widziałem

– powiedział Holman. – W ten sposób reagują, gdy włącza się alarm. Wysyłają na górę helikopter.

Pollard popatrzyła na otaczające ich kamery, potem spojrzała na drogę, którą przyszli. Na jej twarzy malowało się rozczarowanie.

– Miałaś rację, Holman. To miejsce jest jak jakiś pieprzony obóz koncentracyjny – stwierdziła.

A on próbował wyobrazić sobie, jak Richie, Fowler i pozostali dwaj gliniarze wyprawiają się tu w środku nocy, ale nie potrafił. Jeśli podejrzewali, że Marczenko ukrył łup w pobliżu napisu, to gdzie i jak prowadziliby poszukiwania? Napis Hollywood rozciągał się na ogromnym obszarze i nawet policjanci nie mogli zbliżyć się do napisu niepostrzeżenie. Zauważyliby ich strażnicy. Co prawda, mogliby próbować wmówić strażnikom, że wykonują tu czynności służbowe, ale według Holmana było to mało prawdopodobne. Byłoby to raczej kiepskie posunięcie, zwłaszcza jeśli prowadzili poszukiwania nocą. Strażnicy zaczęliby ich wypytywać, a wiadomość o ich nocnej wyprawie poszłaby dalej w świat. Gdyby chcieli wcisnąć kit strażnikom, musieliby działać za dnia. Prowadzenie poszukiwań w nocy oznaczało, że robią to potajemnie.

– Wiesz, o czym myślę? – zapytała Pollard. – O seksie oralnym.

Holman się zaczerwienił. Odwrócił wzrok i odchrząknął.

– Tak?

Pollard rozłożyła ramiona, wskazując na ich otoczenie.

– Marczenko przyprowadza tu dziewczynę, żeby się z nią zabawić, i co robi? Opuszcza spodnie, żeby mu obciągnęła na środku drogi? Wszędzie są kamery. W każdej chwili ktoś może nadejść drogą. Za grosz prywatności. To kiepskie miejsce na seksualne rozkosze.

Pollard rozprawiająca o seksie wprawiała Holmana w zakłopotanie. Zerknął na nią, ale nie mógł się zdobyć na to, żeby spojrzeć jej w oczy. Nagle odwróciła się i spojrzała na wznoszące się przed nimi strome zbocze.

– Da się jakoś wejść tam na górę?

– Może i tak, ale nic tam nie ma.

– I dlatego właśnie chcę się tam rozejrzeć.

Holman zdał sobie sprawę, że Pollard idzie właściwym tropem. Wierzchołek był na całym wzgórzu jedynym miejscem, które zapewniało prywatność.

Przecisnęli się między stokiem a narożnikiem ogrodzenia i zaczęli wspinać się do góry wąską, stromą ścieżką. Szło się tu o wiele trudniej niż drogą pożarową. Pollard dwa

razy się potknęła i upadła na kolana, ale niebawem dotarli na szczyt i wyszli na małą polanę. Holman dobrze pamiętał; na górze stał tylko sprzęt do pomiarów, a poza tym nie było nic oprócz zarośli. Pollard rozejrzył się dookoła i uśmiechnęła się.

– O to właśnie mi chodziło! Jeśli wyprawiali jakieś bezeceństwa, to tylko tutaj.

Miała rację. Z polanki można było dostrzec ludzi nadchodzących drogą pożarową. Kamery, którymi upstrzone było ogrodzenie, znajdowały się poniżej i były skierowane w dół, na napis. Samego wierzchołka nikt nie nadzorował.

Mimo to Holman wciąż nie mógł uwierzyć, że Marczenko i Parsons zakopali tu swój łup. Żeby wnieść tu całą tę gotówkę, trzeba by obrócić kilka razy, a z każdą wyprawą rosło ryzyko, że ktoś ich nakryje. Nawet jeśli byli tak głupi, żeby taszczyć tu pieniądze, musieliby wykopać otwór wielkości pięciu, sześciu walizek, żeby je pomieścić. W skalistym podłożu trudno się kopie, poza tym każdy, kto by się tu zapuścił, łatwo dostrzegłby taki spory obszar wzruszonej ziemi.

Holman wskazał ślady obcasów odcisnięte w ziemi i naruszoną darń.

– Może przyprowadzał tu dziewczynę, ale na pewno nie wniósł tu forsy. Widzisz te ślady? Tutaj kręcą się ludzie.

Pollard popatrzyła na odciski butów, potem poszła na skraj polany. Zaczęła przypatrywać się jej pod różnymi kątami.

– Tu na górze nie ma zbyt wiele miejsca – oceniła.

– No właśnie.

Spojrzała na roztaczające się w dole miasto.

– Ale po co zadawał sobie tyle trudu? Nie musiał wspinać się na górę, żeby udawać pirata.

Holman wzruszył ramionami.

– A po co obrabował trzynaście banków przebrany za komandosa? Świry się trafiają i już.

Nie był pewny, czy słyszała, co powiedział. Pollard wciąż patrzyła na miasto w dole. Po chwili potrząsnęła głową.

– Nie, Holman, to, że tu przychodził, musiało być dla niego ważne. Musiało mieć dla niego jakieś znaczenie. Między innymi takich rzeczy uczą nas w Quantico. Nawet w szaleństwie jest metoda.

– Myślisz, że pieniądze były tu zakopane?

Pollard pokręciła głową. Nadal nie odrywała wzroku od rozciągającego się w dole miasta.

– Nie. Co do tego muszę przyznać ci rację. Nie ukryli na tej górze szesnastu milionów dolarów. Fowler i jego chłopcy na pewno ich tu nie znaleźli i nie wykopali. Musiałaby zostać dziura wielka jak krater.

– Otóż to.

Pollard pokazała ręką miasto.

– Marczenko mieszkał tam na dole w Beachwood Canyon. Widzisz? Kiedy rano wychodził z mieszkania, widział napis. Może on i jego kompan nie trzymali pieniędzy u siebie ani tu na górze, ale to miejsce w jakiś sposób sprawiało, że Marczenko czuł się bezpieczny i potężny. Pewnie dlatego przyprowadzał tu tę dziewczynę.

– Może ten bezkresny widok dawał mu poczucie, że jest na okręcie w bocianim gnieździe.

Pollard nadal zapatrzona była w Beachwood Canyon, jakby tam czekały na nią odpowiedzi na wszystkie dręczące ją pytania.

– Wątpię. Pamiętasz, co Alison mówiła Marki? To musiało odbywać się tutaj. Facetowi potrzebne były fantazje, żeby się podniecić, a te fantazje dotyczyły skarbu – dosłownie tarzania się na pieniądzach. Pieniądze to władza. Władza to seks. Tutaj czuł, że jest blisko swoich pieniędzy, i to go rajcowało.

Pollard spojrzała na Holmana.

– Fowler i twój syn mogli ubrudzić się błotem i zielskiem na każdym pustym placu w Los Angeles, ale gdyby wiedzieli to, co Alison, zjawiliby się właśnie tutaj. Rozejrzyj się. Teren nie jest duży.

Pollard weszła w zarośla, patrząc uważnie pod nogi, jakby szukała zgubionych kluczy od samochodu. Holman uważał, że to strata czasu, ale ruszył na poszukiwania w przeciwną stronę.

Jedynym tworem ludzkich rąk na szczycie wzgórza było urządzenie przypominające Holmanowi metalowego stracha na wróble. Tkwiło w ziemi od lat i widniały na nim oznaczenia Geologicznych Służb Pomiarowych. Holman mógł się jedynie domyślać, że służy do śledzenia aktywności sejsmicznej.

Kilka metrów dalej w zaroślach Holman natrafił na wzruszoną ziemię.

– Pollard! Agentko Pollard! – zawołał.

Owalne wgłębienie w ziemi miało około trzydziestu centymetrów szerokości. Wypełnia je wyraźnie ciemniejsza, niedawno wykopana ziemia.

Pollard dołączyła do niego i uklękła przy wgłębieniu. Rozgarnęła ziemię palcami i sprawdziła brzegi wykopu. Wybrała garść luźnej ziemi, potem drugą, i następną, odsłaniając twarde obrzeże. Szybko usunęła całą ziemię wypełniającą wgłębienie, podniosła się z kolan i kucnęła.

– Co to jest? – zapytał Holman.

Pollard popatrzyła na niego.

– Dziura,.. Holman. Widzisz te twarde krawędzie? To od szpadla. Coś tu było zakopane. Ktoś to wykopał i nie starczyło luźnej ziemi, żeby zasypać całą dziurę, dlatego zostało wgłębienie.

– Każdy mógł to zrobić.

– Owszem, każdy mógł to zrobić. Ale ilu ludzi przyszłoby ze szpadlami, żeby kopać w tym miejscu, i co cennego mogło leżeć w ziemi, żeby komuś chciało się fatygować i to odkopywać?

– Zrabowali szesnaście milionów. W takiej małej dziurze nie zmieściłoby się tyle forsy.

Pollard wstała i teraz oboje wpatrywali się w dziurę.

– Zgadza się, ale mogli tu ukryć coś, co prowadziło do szesnastu milionów – współrzędne GPS, adres, klucze...

– Mapę skarbu – dodał Holman.

– Właśnie. Choćby mapę pirackiego skarbu.

Holman uniósł wzrok, ale Pollard już odeszła. Spojrzał jeszcze raz na wykop, czując rosnącą w sercu pustkę. Otchłań w jego sercu była większa niż ta mała dziura w ziemi, Holmanowi wydawała się większa niż kanion ciągnący się pod napisem Hollywood. Była to otchłań, w jakiej pogrążał się ojciec, który zawiódł swoje jedyne dziecko i jego jedyne dziecko przypłaciło to życiem.

Richie nie był dobrym człowiekiem.

Richie sięgnął po brudną forszę.

I zapłacił za to.

Holman słyszał głos Donny rozbrzmiewający w ziejącej pustce, która go wypełniała, powtarzający w kółko te same cztery słowa.

Jaki ojciec, taki syn.

Pollard otrzepała ręce z ziemi. Brud utkwiał jej głęboko pod paznokciami; ciężko będzie go stamtąd usunąć. Żałowała, że nie ma przy sobie szorstkiej ściereczki. Ale teraz nie przejmowała się tym; była przekonana, że wykop ma związek z Marczenką i Parsonsem, i z poszukiwaniami ich łupu, ale przekonanie nie stanowiło dowodu. Otworzyła klapkę telefonu i sprawdziła, jaki na górze jest zasięg. Okazał się doskonały, ale nie od razu zadzwoniła. Drogą pożarową zbliżał się mężczyzna z białym psem. Przyglądała im się chwilę, potem pomyślała o kamerach umieszczonych na ogrodzeniu i uznała, że przynajmniej jedna z nich obejmuje drogę pożarową. Pracownicy ochrony niemal na pewno nagrywali zapis wideo, ale filmy przechowywane były w postaci cyfrowej na twardym dysku, a gdy pamięć twardego dysku się zapełniała, wcześniejsze nagrania były automatycznie usuwane, a ich miejsce zajmowały nowe. Wiedziała z doświadczenia, że większość zapisów rejestrowanych przez ochronę nie była przechowywana dłużej niż czterdzieści osiem godzin. Wątpiła, żeby zachowały się nagrania Fowlera i reszty skradających się drogą pożarową w środku nocy – jeśli w ogóle kiedykolwiek istniały. Z pewnością przeprowadzili rozpoznanie za dnia i zauważyli kamery, a potem podjęli odpowiednie kroki, żeby podczas swej dokładnie zaplanowanej akcji poszukiwawczej ich uniknąć.

Rozejrzała się dookoła i uznała, że mieli taką możliwość. Ona i Holman przyszli drogą pożarową biegnącą dookoła szczytu, która doprowadziła ich do wieży radiowej nad napisem Hollywood. Kamery prawdopodobnie obejmowały odcinek drogi prowadzący bezpośrednio do napisu i do wieży, ale nikt nie monitorował odcinka z tyłu szczytu. Pollard podeszła na skraj wierzchołka i zlustrowała przeciwległy stok. Był stromy, ale pomyślała, że da się go pokonać. Wspinaczka w nocy po śliskim od rosy zboczu wyjaśniała, skąd wzięło się błoto na butach Fowlera.

Ponownie otworzyła telefon i wybrała zapisany w pamięci numer Sanders. Domyśliła się, że Sanders jest poza biurem, ponieważ jej głos brzmiał normalnie.

– Pollard, powiedz mi, do cholery, co ty i ten twój Bohater wyprawiacie?

Pollard spojrzała na Holmana. Wciąż stał na drugim końcu polany i gapił się w dziurę w ziemi. Ściszyła głos.

– To samo, co robiliśmy wczoraj i przedwczoraj. A dlaczego pytasz?

– Leeds ma straszne urwanie głowy z policją, dlatego. Dzwonią do niego z Centrum Parkera i wyciągają na jakieś narady, o których nie mówi nikomu ani słowa. Dosłownie wychodzi z siebie.

– Wspominał o mnie?

– Owszem. Powiedział, że jeżeli nawiązesz kontakt z kimkolwiek z naszego zespołu, mamy natychmiast go o tym powiadomić. I ostrzegł, że jeżeli przyłapie kogoś na tym, że wykorzystuje służbowy czas i środki do wsparcia prywatnego przedsięwzięcia – patrzył na mnie, kiedy to mówił – zastosuje sankcje dyscyplinarne i przeniesie go na Alaskę.

Pollard zwlekała z odpowiedzią, zastanawiając się, jak wiele powinna ujawnić.

– Gdzie teraz jesteś?

– Na przystani jachtowej. Jakiś bezdomny obrobił bank i zasnął w parku po drugiej stronie ulicy.

– Zgłosisz naszą rozmowę Leedsowi?

– Czy ty łamiesz prawo?

– Na miłość boską, nie. Nie łamię prawa.

– To niech Leeds się pieprzy. Chcę tylko wiedzieć, co jest grane.

– Powiem ci, ale najpierw muszę cię o coś zapytać: udało ci się zdobyć taśmę z kamery Juareza?

Sanders nie odpowiedziała od razu, a kiedy się odezwała, w jej głosie słychać było troskę.

– Powiedzieli mi, że nagranie zostało wymazane. Wypadek przy pracy, tak to określili.

– Zaraz, zaraz – taśma stanowiąca alibi Juareza uległa zniszczeniu?

– Tak powiedzieli.

Pollard wzięła głęboki oddech. Najpierw zniknęła Maria Juárez, a teraz została zniszczona jej taśma, ta sama taśma, która według niej zapewniała mężowi alibi. Pollard mimowolnie się uśmiechnęła, ale nie było w tym uśmiechu wesołości. Zerwał się łagodny ciepły wiatr, który przyjemnie owiewał twarz, a ona uznała, że na szczycie góry jest całkiem przyjemnie.

– Zdradzę ci kilka szczegółów. Sama jeszcze wszystkiego nie wiem, ale tak czy inaczej, nikomu o tym ani słowa.

– Daj spokój – obruszyła się Sanders.

– Kto wydzwania do Leedsa?

– Nie wiem. Ktoś z Centrum Parkera, ale Leeds nam nie mówi. Od dwóch dni w ogóle nie pokazuje się w biurze.

– Dobra. Myślę, że mamy do czynienia z przestępczym spiskiem z udziałem funkcjonariuszy policji, a związanym poniekąd z Marczenką i Parsonsem. To przez ten spisek pod Fourth Street Bridge zginął syn Holmana i pozostali trzej policjanci.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

W telefonie Pollard zabrzmiał sygnał nadchodzącej rozmowy.

– Co to było?

– Ktoś próbuje się do mnie dodzwonić.

Nie był to nikt znajomy, więc Pollard nie odebrała, oczekując, że zostawi wiadomość w poczcie głosowej. Wróciła do rozmowy z Sanders.

– Uważamy, że tych czterech zabitych policjantów plus jeszcze jeden prowadzili na własną rękę dochodzenie mające na celu odszukanie brakujących szesnastu milionów.

– I co, znaleźli je?

– Tak nam się wydaje, albo przynajmniej dowiedzieli się, gdzie one są. Kiedy namierzyli forszę – to jedynie moje domysły – jeden ze spiskowców postanowił zatrzymać wszystko dla siebie. Na to jeszcze nie mam dowodów, ale co do spisku jestem pewna. Moim zdaniem ten piąty był powiązany z Alison Whitt.

– Co z tym wszystkim ma wspólnego Alison Whitt?

– Alison Whitt utrzymywała, że jest zarejestrowaną informatorką policji. Jeśli to prawda, mogła przekazać wszystko, co wiedziała o Marczenko, swojemu oficerowi kontaktowemu. A on mógł należeć do spisku.

– Na pewno chcesz, żebym ustaliła, kto był jej oficerem kontaktowym – rzekła Sanders z wahaniem.

– Jeśli została zarejestrowana, musi figurować w wykazie informatorów, tak samo nazwisko policjanta, który ją zwerbował.

– Z tym będzie ciężko. Wiesz przecież, że jesteśmy na cenzurowanym.

– Macie na głowie Centrum Parkera. Sprawą morderstwa Whitt zajmuje się na szczeblu lokalnym posterunek w Hollywood.

– Dobra, niech ci będzie. Zobaczą, co da się zrobić. Naprawdę myślisz, że to gliniarz wykończył tamtych?

– Wszystko na to wskazuje.

– Jezu, nie możesz sama się tym zajmować. Jesteś zwykłym obywatelem, a tu chodzi o morderstwo.

– Jak zdobęde dowody, przekażę ci. Będziesz mogła dalej to poprowadzić w ramach FBI. I jeszcze jedno...

– Tak?

– To możesz załatwić oficjalnie. W domu Fowlera na werandzie stoją jego zabłocone buty. Trzeba z nich pobrać próbki gleby i roślinności i porównać je z próbkami ze szczytu nad napisem Hollywood.

– Nad napisem Hollywood? A jaki on ma związek ze sprawą?

– Właśnie tu jestem. Marczenko i Parsons ukryli na górze coś, co ma związek z dokonanymi przez nich napadami. Jestem przekonana, że Fowler i Richard Holman przeszukiwali tę okolicę i na coś trafili. Jeśli wyjdzie na to, że to ty dalej poprowadzisz śledztwo, będziesz chciała wiedzieć, czy próbki na pewno pochodzą stąd.

– Dobra. Zaraz się tym zajmę. Ale będziesz mnie informować na bieżąco, obiecujesz? Dzwoń do mnie.

– Daj znać, jak dowiesz się czegoś w sprawie Whitt.

Pollard zakończyła rozmowę i odsłuchiwała wiadomość w poczcie głosowej. Nagrała się asystentka Petera Williamsa z banku Pacific West.

– Pan Williams zgodził się udostępnić pani akta, o które pani prosiła. Będzie musiała je pani przeczytać na miejscu w godzinach pracy biura. Proszę skontaktować się ze mną albo z naszym szefem ochrony, Alną Wantanabe, w celu uzgodnienia szczegółów.

Pollard schowała telefon. Znajome mrowienie sprawiło, że naszła ją ochota pozaciskać pięści. Williams stanął na wysokości zadania. Teraz wszystko układało się po jej myśli. Pollard czuła, że jest o krok od przełomowego odkrycia i chciała jak najszybciej zapoznać się z aktami czekającymi na nią w siedzibie Pacific West.

Odwróciła się w stronę Holmana i zobaczyła, że już nie stoi, ale kuca obok wykopu. Podbiegła do niego.

– Co ty wyrabiasz? – zapytała.

– Zasypuję dziurę. Ktoś może sobie złamać nogę.

Holman powoli, machinalnie zgarniał rękami ziemię z powrotem do dziury.

– Skończ te zabawy. Zbieramy się. W Pacific West czekają na nas odbitki akt policyjnych. To ważne, Holman. Jeśli uda nam się dopasować twoje strony tytułowe do raportów, dowiemy się, co takiego Random sprzątnął z biurka twojego syna.

Holman dzwignął się tak, jakby ciało miał z ołowiu, i ruszył ścieżką w dół. Pollard powiedziała mu, co się stało z taśmą Juareza. Jej zdaniem taki obrót zdarzeń był znaczący i zdenerwował ją brak odzewu z jego strony.

– Słyszałeś, co mówiłam? – spytała.

– Tak.

– Jesteśmy coraz bliżej rozwiązania, Holman. Kiedy dowiemy się, co zawierają te raporty i dla kogo pracowała Whitt, wszystko ułoży się wreszcie w sensowną całość. Przecież o to ci chodzi, tak czy nie?

Wkurzyła się, kiedy nie odpowiedział. Już miała mu wygarnąć, kiedy nagle się odezwał.

– To na pewno ich sprawka – powiedział.

Pollard domyślała się, co go dręczy, ale nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź. On miał nadzieję, że jego syn był dobrym policjantem, a teraz jego złudzenia się rozwiały.

– Musimy ustalić, co dokładnie się wydarzyło.

– Ja już wiem.

– Przykro mi, Max.

Szedł dalej bez słowa.

Kiedy dotarli do samochodu, Holman wsiadł w milczeniu, a Pollard starała się go podnieść na duchu. Zawróciła i pojechała w dół do Hollywood, opowiadając, czego spodziewała się dowiedzieć w Pacific West.

– Posłuchaj, nie mam ochoty jechać do Chinatown. Odwieź mnie do motelu – poprosił.

Pollard znów poczuła przypływ rozdrażnienia. Współczuła Holmanowi z powodu tego, przez co przechodził, ale co miała zrobić z tym zwalistym chłopem ledwo mieszczącym się w fotelu samochodowym, który zwiesił smętnie swe potężne ramiona i nawet nie raczył na nią spojrzeć? Pomyślała, że ona też przedstawiała podobny żalony widok, gdy siedziała w kuchni, gapiąc się w cholerny zegar na ścianie.

– Nie będziemy tam długo – powiedziała.

– Mam coś do załatwienia. Podrzuc mnie najpierw do motelu.

Stali na światłach na ulicy Gower. Kierowali się na południe do autostrady 101. Pollard założyła, że autostradą bez problemów dostaną się prosto do Chinatown.

– Holman, posłuchaj, jesteśmy już tak blisko. Tak niewiele dzieli nas od osiągnięcia celu.

Holman nawet na nią nie spojrział.

– Możemy go osiągnąć później.

– Cholera jasna, stąd do Chinatown jest rzut kamieniem. Żeby zawieźć cię do Culver City, musiałabym nadłożyć szmat drogi.

– Nie ma sprawy. Pojadę zaszranym autobusem.

Otworzył gwałtownie drzwi i wyskoczył na ulicę. Pollard nie była na to przygotowana, ale natychmiast nadepnęła na hamulec.

– Holman!

Ale on przebiegł przez jezdnię przy akompaniamencie klaksonów.

– Holman! Wracaj, proszę! Co ty wyprawiasz?

Nawet się nie obejrzał. Maszerował przed siebie.

– Wsiadaj do samochodu!

Holman szedł ulicą w kierunku Hollywood. Kierowcy samochodów stojących za nią trąbili wściekle i Pollard w końcu wolno ruszyła. Patrzyła na Holmana, ciekawa, co takiego pilnego miał do załatwienia. Już nie poruszał się jak zombi ani nie sprawiał wrażenia przygnębionego. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że rozsadza go wściekłość. Pollard widywała już mężczyzn w takim stanie i wiedziała, że nie wróży to nic dobrego. Holman wyglądał tak, jakby chciał kogoś zabić.

Nie skręciła na autostradę. Przepuściła jadące za nią samochody i skręciła na prawy pas. Wlokła się wzdłuż krawężnika za Holmanem, tak żeby mieć go w zasięgu wzroku.

Nie kłamał, mówiąc, że pojedzie autobusem. Patrzyła, jak wsiada na Hollywood Boulevard do autobusu zmierzającego na zachód. Śledzenie go było cholernie uciążliwe, bo autobus stawał prawie na każdym rogu. Za każdym razem kiedy się zatrzymywał, Pollard musiała dobijać swoim subaru do krawężnika, nawet jeśli nie było gdzie zaparkować, i wykręcać szyję, żeby ponad samochodami i głowami przechodniów obserwować wysiadających i upewnić się, że nie ma wśród nich Holmana.

Wysiadł w Fairfax, a następnie wsiadł do autobusu jadącego na południe. W Pico przesiadł się na autobus zmierzający na zachód. Pollard wierzyła Holmanowi, ale nie miała pewności, czy rzeczywiście jedzie z powrotem do motelu, poza tym nie chciała go stracić z oczu, więc dalej go śledziła, wściekła na siebie, że marnuje czas.

Wysiadł na przystanku dwie przecznice od motelu. Pollard bała się, że ją zauważy, ale on ani razu nie spojrzął do tyłu. Pomyślała, że to dziwne – jakby nie zwracał uwagi na otoczenie albo było mu wszystko jedno.

Kiedy dotarł do motelu, wbrew jej oczekiwaniom nie wszedł do środka. Obszedł budynek i wszedł do swojego samochodu. Pollard znów ruszyła za nim.

Holman wjechał na przełęcz Sepulveda na autostradzie i skierował się na południe. Pollard śledziła go, zachowując odstęp pięciu, sześciu samochodów. W pewnej chwili ją zaskoczył. Zatrzymał się w pobliżu zjazdu z autostrady i na ulicznym straganie kupił bukiet kwiatów.

Pollard zdziwiła się. Co on, do diabła, wyprawia?

Niebawem się dowiedziała, gdy Holman, kilka przecznic dalej, skręcił w drogę dojazdową na cmentarz.

Mimo wczesnej pory słońce paliło niemiłosiernie, kiedy Holman wjeżdżał na rozległy teren cmentarza. Wypolerowane tablice oznaczające miejsca pochówku odbijały światło niczym monety rozrzucone w trawie, a nieskazitelna murawa była tak jaskrawa, że razila go w oczy, mimo iż włożył okulary przeciwsłoneczne. Wskaźnik temperatury na zewnątrz samochodu pokazywał trzydzieści siedem stopni. Zegar w tablicy rozdzielczej wyświetlał godzinę 11.19. Holman zobaczył swoje odbicie w lusterku wstecznym i zamarł – w tej samej chwili ujrzał swoje młodsze ja, w tych samych okularach Ray-Ban Wayfarers, z długimi kosmykami włosów zwieszającymi się wzdłuż skroni; ujrzał tego Holmana, który szalał razem z Chee, ćpał i podprowadzał wozy, aż życie wymknęło mu się spod kontroli. Zdjął okulary; chyba zwariował, kupując takie same, jakie nosił kiedyś.

Był środek tygodnia i straszny upał, co tłumaczyło obecność zaledwie garstki odwiedzających na cmentarzu. Właśnie odbywał się pogrzeb na przeciwległym krańcu i był to jedyny pogrzeb; widział grupkę żałobników zebranych wokół namiotu.

Holman podjechał samochodem do grobu Donny i zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu co ostatnim razem. Kiedy otworzył drzwi, żar przytłoczył go niczym fala oceanu, a blask słońca wywołał na jego twarzy bolesny grymas. Już wyciągał rękę po okulary, ale pomyślał sobie, nie, nie chciał przypominać Donnie Holmana z przeszłości.

Zaniósł na grób kwiaty. Te, które tu zostawił ostatnim razem, leżały szerniałe i wyschnięte. Zabrał je i oczyścił płytę ze zwiędłych liści i płatków. Wyrzucił stare kwiaty do kubła stojącego przy drodze, a na grobie położył świeże. Żałował, że nie przywiózł wazonu. W takim upale, bez wody, kwiaty nie dotrwią nawet do końca dnia.

To tylko pogłębiło u Holmana złość na samego siebie. Pomyślał, że może należy do tych wiecznych nieudaczników, którzy wszystko w życiu muszą schrzanić.

Ukucnął i położył rękę na płycie pamiątkowej Donny. Gorący metal parzył go w dłoń, ale Holman przycisnął ją jeszcze mocniej. Niech pali.

– Przepraszam – wyszeptał.

– Holman?

Spojrzał do tyłu przez ramię i zobaczył nadchodzącą Pollard. Podniósł się.

– Bałaś się, że zrobię skok na bank? Dlatego mnie śledziłaś?

Pollard stanęła obok niego i spojrzała na płytę.

– To matka Richarda?

– Tak. Donna. Nie mogę sobie wybaczyć, że się z nią nie ożeniłem.

Holman zamilkł. Pollard podniosła wzrok i przyjrzała mu się badawczo.

– Dobrze się czujesz?

– Nie bardzo.

Wpatrywał się w nazwisko wyryte na płycie. Donna Banik. Powinno być Donna Holman.

– Była z niego dumna. Ja też, ale tak naprawdę chłopak od początku nie miał szans, nie z takim ojcem jak ja.

– Max, przestań się zadręczać.

Dotknęła jego ramienia, ale on ledwo to poczuł. Był to gest tak ulotny, jakby ktoś pomachał mu z przejeżdżającego samochodu. Przyglądał się Pollard, która, jak wiedział, była kobietą mądrą i wykształconą.

– Kiedy siedziałem w więzieniu, próbowałem uwierzyć w Boga. To część programu dwunastu kroków – trzeba zdać się na jakąś wyższą potęgę. Mówią, że to nie musi być Bóg, ale kto się da na to nabrać? Chciałem, żeby istniało Niebo – Niebo, anioły, Bóg siedzący na tronie.

Holman wzruszył ramionami, potem znów spojrzał na płytę. Donna Banik. Zastanawiał się, czy miałyby coś przeciwko temu, gdyby kazał zmienić napis. Mógłby odłożyć pieniądze i kupić nową płytę. Donna Holman. Oczy nagle zaszyły mu łzami, kiedy pomyślał, nie, na pewno by się go wstydziła.

Otarł oczy.

– Dostałem od niej list – napisała do mnie, kiedy Richie ukończył akademię policyjną. Była dumna, że nie poszedł w moje ślady, że nie wdał się we mnie i został policjantem. Pewnie myślisz, że to było okrutne wobec mnie, ale nie. Byłem jej za to wdzięczny. Donna wychowała naszego syna na porządnego człowieka, i zrobiła to sama.

Ja miałem to w dupie. Nic im nie dałem. A teraz mam nadzieję, że nie ma tego cholernego Nieba. Nie chcę, żeby patrzyła z góry na to wszystko. Nie chcę, żeby wiedziała, że nasz syn w końcu stał się taki jak ja.

Holmanowi było wstyd, że tak pape. Pollard stała sztywno niczym posąg. Usta miała zaciśnięte, z jej twarzy bił smutek. Kiedy Holman spojrział na nią, dostrzegł łzę, która wyciekła zza okularów i spłynęła jej po policzku.

Na widok tej łzy zupełnie się rozkleił. Jego ciałem targnął szloch. Próbował się powstrzymać, ale wstrząsały nim spazmy i łzy napływały mu do oczu. W tej chwili zdawał sobie sprawę tylko z jednego – ogromu nieszczęścia, jakiego był sprawcą.

Poczuł, że Pollard go obejmuje. Mówiła coś cicho, ale nie rozumiał słów. Ścisnęła go mocno i objął ją ramionami, ale docierało do niego tylko to, że szłocha jak dziecko. Nie miał pojęcia, jak długo płakał. Po chwili się uspokoił, ale nie wypuszczał jej z objęć. Stali tak po prostu, trzymając się w ramionach. Dopiero po pewnym czasie Holman uświadomił sobie, że ścisną ją w objęciach. Odsunął się od niej.

– Przepraszam.

Pollard zatrzymała dłoń na jego ramieniu, ale nie odzywała się. Pomyślał, że mogłaby coś powiedzieć, ale ona odwróciła się, żeby otrzeć łzy.

Holman odchrząknął. Musiał porozmawiać z Donną, ale nie chciał, żeby Pollard była przy tym obecna.

– Posłuchaj, ja tu jeszcze chwilę zostanę. Poradzę sobie.

– Jasne. Rozumiem.

– Może damy sobie spokój na dzisiaj?

– Nie. Chcę przeczytać te raporty. Mogę to zrobić sama.

– Naprawdę?

– No pewnie.

Położyła mu rękę na ramieniu, a Holman musnął jej dłoń. Potem odwróciła się i ruszyła w tym niemiłosiernym upale do samochodu. Odprowadził ją wzrokiem. Kiedy odjechała, popatrzył w dół na tablicę Donny.

Oczy znów zaszyły mu łzami. Na szczęście Pollard już tego nie widziała. Ukucnął i poprawił kwiaty leżące na płycie. Już zaczynały więdnąć.

– Nawet jeśli okazał się złym człowiekiem, to nasz syn. Zrobię to, co trzeba.

Uśmiechnął, wiedząc, że Donna nie pochwaliłaby jego zamiarów, ale on pogodził się z losem. Złych genów po prostu nie da się zagłuszyć.

Jaki ojciec, taki syn.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi samochodu i spojrzał w słońce. W jego stronę zmierzali dwaj mężczyźni.

– Max Holman?

Z przeciwnego kierunku nadchodzili kolejni dwaj, jeden z nich miał rude włosy.

Vukovich i Fuentes szli z jednej strony, a pozostali dwaj z drugiej, odcinając Holmana od samochodu, jakby spodziewali się, że będzie próbował uciekać. Holman stał w miejscu, serce łomotało mu w piersi. Na tym pustym, otwartym terenie był widoczny jak mucha na talerzu; nie miał gdzie się ukryć i nie widział sposobu na to, żeby ich zgubić.

– Tylko spokojnie – powiedział Vukovich.

Holman ruszył w kierunku bramy, ale Fuentes i idący z naprzeciwka tajniak zwiększyli między sobą odstęp.

– Nie bądź głupi – powiedział Vukovich.

Holman zaczął biec i wszyscy czterej wyrwali do przodu.

– Ratunku! Na pomoc! – krzyknął Holman do uczestników pogrzebu.

Zawrócił w stronę samochodu, ale wiedział, że nie zdąży do niego dobiec.

– Hej! Na pomoc!

Żałobnicy zgromadzeni przed odległym namiotem odwrócili się w chwili, kiedy dopadli do niego dwaj tajniacy. Holman w ostatniej chwili opuścił bark i walnął z całej siły jednego z nich, tego niższego, potem obrócił się i pognął do samochodu, słysząc, jak Vukovich woła:

– Zatrzymajcie go!

– Ratunku! Pomóżcie mi!

Poczuł uderzenie w plecy, ale nie stracił równowagi i odwrócił się. W tej samej chwili Fuentes doskoczył do niego z boku, a Vukovich krzyknął:

– Przestań, do jasnej cholery, uspokój się.

Wszystko rozegrało się w błyskawicznym tempie. Holman zamachnął się mocno i rąbnął Fuentesesa w ucho, potem któryś złapał go za nogi i przewrócił. Ktoś inny przygniótł go kolanami i wykręcił do tyłu rękę.

– Na pomoc! Na pomoc!

- Przymknij się, durniu. Na co ty liczysz?
- Są świadkowie! Ludzie na was patrzą, bydlaki!
- Przestań dramatyzować, Holman.

Wierzgał i szarpał się, dopóki nie poczuł wrzynających mu się w ręce plastikowych kajdanków. Vukovich złapał go za włosy, podniósł mu głowę i obrócił go, żeby popatrzeć mu w twarz.

- Wrzuć na luz. Nic ci się nie stanie.
- O co wam chodzi?
- Zabieramy cię. Nie denerwuj się.
- Kurwa, przecież nic nie zrobiłem!

– Wchodzisz nam w paradę, Holman. Próbowaliśmy po dobroci, ale nic do ciebie nie dotarło. Wchodzisz nam w paradę, Holman.

Pomogli mu stanąć. Holman zobaczył, że wszyscy uczestnicy pogrzebu im się przyglądają. W ich stronę zmierzali dwaj policjanci z drogówki, którzy pilotowali karawan w drodze na cmentarz, ale Fuentes wybiegł im naprzeciw.

- Tu są świadkowie, do cholery. Na pewno będą pamiętać.
- Będą pamiętać tylko to, że jakiś dupek został aresztowany na cmentarzu.

Przestań się wygłupiać.

- Dokąd mnie zabieracie?
- Zobaczysz.
- Po co?
- Wyluzuj, chłopie. Wszystko będzie dobrze.

Holmanowi nie podobał się ton, jakim Vukovich wmawiał mu, że wszystko będzie dobrze. Niepokojąco przypominało to ostatnie słowa kierowane do kogoś, kto zaraz ma zginąć.

Ustawili go przed samochodem i przetrząsnęli mu kieszenie. Odebrali mu portfel, klucze i telefon komórkowy, potem obmacali go przy kostkach, w pasie i w kroku. Fuentes wrócił, a dwaj policjanci z drogówki poszli na pogrzeb. Holman odprowadzał ich wzrokiem tonącego, który patrzy, jak prąd porywa mu ostatnie koło ratunkowe.

– Dobra, pakujcie go do środka – zarządził Vukovich.

– A co z moim wozem? – zapytał Holman.

– Zajmiemy się nim. Ty jedziesz z nami.

– Ludzie wiedzą, psiamać. Ludzie wiedzą, co tutaj robiłem.

– Nie, Holman, nikt nic nie wie. A teraz przymknij się, do kurwy nędzy.

Fuentes odjechał jego terenówką, a dwaj nieznani gliniarze wepchnęli go na tylne siedzenie swojego samochodu. Ten większy siadł z tyłu obok Holmana, a niższy z przodu za kierownicą. Ruszyli, gdy tylko zamknęły się drzwi.

Holman wiedział, że chcą go zabić. Dwaj gliniarze nie rozmawiali ze sobą ani na niego nie patrzyli, więc zaczął się zastanawiać. Wsadzili go do victorii crown, typowego samochodu, jakim posługiwali się śledczy. Jak wszystkie wozy na wyposażeniu policji, tylne drzwi i szyby blokowane były przyciskami umieszczonymi z przodu. Holman nie otworzyłby drzwi, nawet gdyby zdołał oswobodzić ręce. Będzie musiał poczekać, aż wysiądzie z samochodu, tyle że wtedy może być za późno. Sprawdził nadgarstki. Plastikowe zaciski nie rozciągały się ani nie przesunęły po skórze. Od jednego skazańca Holman słyszał, że te nowe plastikowe kajdanki są mocniejsze niż te ze stali, ale Holman nigdy przedtem nie miał z nimi do czynienia. Zastanawiał się, czy da się je stopić.

Przyjrzał się tajniakom — po trzydziestce, rośli, z ogorzałymi twarzami, jakby dużo czasu spędzali na powietrzu. Obaj byli młodzi i sprawni fizycznie, ale Holman ze swoimi szerokimi barami i masą miał nad nimi przewagę. Tajniak siedzący obok niego nosił obrączkę ślubną.

– Znalście mojego syna? – zapytał.

Kierowca popatrzył na niego w lusterku wstecznym, ale ani on, ani jego partner nie odezwali się.

– A może to jeden z was, skurwiele, go zastrzelił?

Kierowca znów spojrzął na jego odbicie w lusterku i już otwierał usta, ale jego kolega go uprzedził.

– Random zadecyduje, czy mu powiedzieć.

Holman domyślał się, że to Random jest tym piątym, ale teraz okazało się, że zamieszani w to byli jeszcze pewnie Vukovich, Fuentes i ci dwaj. Licząc Fowlera,

Richiego i pozostałych dwóch, dawało to w sumie dziewięciu. Ciekawe, czy jeszcze ktoś brał w tym udział, pomyślał Holman. Szesnaście milionów to kupa forsy. Starczyłoby dla każdego. Holman zastanawiał się, co wiedzieli o Pollard. Prawdopodobnie śledzili go od motelu, więc widzieli ją na cmentarzu. Nie uśmiechało im się zadzieranie z FBI, ale na pewno woleli nie ryzykować. Kiedy pozbędą się jego, przyjdzie kolej na Pollard.

Jechali już piętnaście minut. Holman myślał, że wywiozą go gdzieś na pustkowie albo do jakiegoś starego magazynu, ale skręcili z Cetinela w gęsto zabudowaną uliczkę w dzielnicy Mar Vista. Po obu stronach ciągnęły się niewielkie domy wciśnięte w małe działki, poodgradzane żywopłotami i krzakami. Fuentes zajechał na miejsce wcześniej. Holman zobaczył swojego highlandera stojącego z przodu przy krawężniku. Samochód był pusty, dokoła ani żywej duszy. Holmanowi zaczęło dudnić serce, ręce przeszył mu chłód. Wiedział, że nadchodzi rozstrzygająca chwila; zaraz będzie musiał zadziałać. Miał uczucie, jakby robił skok na bank albo szykował się, żeby podprowadzić wóz. Stawką było jego życie.

Zatrzymali się na podjeździe przed małym żółtym domem. Obok, pod hakowatym zadaszeniem biegła droga do garażu na tyłach budynku, a pod dachem stał niebieski sedan. Holman widział ten samochód po raz pierwszy. Fuentes pewnie był w domu, ale Holman nie miał pojęcia, gdzie podziewają się Vukovich i Random. W środku mogło się roić od gliniarzy.

Kierowca wyłączył silnik, zwolnił blokadę tylnych drzwi i wysiadł z samochodu. Gliniarz siedzący obok Holmana czekał. Jego kolega otworzył drzwi od strony Holmana, ale nie odsunął się, jakby chciał zagrozić mu drogę ucieczki.

– Dobra, stary. Wysiadaj, ale nie odchodź od samochodu.

Jak wyjdiesz, stań prosto i odwróć się twarzą do wozu. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Chyba sobie poradzę.

Nie chcieli, żeby sąsiedzi zobaczyli, że Holman ma ręce skrupowane z tyłu.

– Wyłaź i stań twarzą do samochodu.

Holman wysiadł i odwrócił się. Kierowca stanął za nim i chwycił go mocno za nadgarstki.

– Dobra, Tom – zwrócił się do gliniarza siedzącego z tyłu.

Ten wysiadł i stanął z przodu samochodu, czekając na Holmana i kierowcę.

Holman przyjrzał się okolicznym domom. Rowery na podwórkach i liny z węzłami zwieszające się z konarów świadczyły o tym, że mieszkały tu głównie rodziny z dziećmi. Dwa domy dalej na podjeździe stała motorówka z silnikiem zaburtowym. Holman dojrzał niskie ogrodzenie z siatki prześwitujące między krzakami. Sąsiedzi siedzieli w domach, chowając się przed upałem w klimatyzowanych wnętrzach; o tej porze dnia były to głównie matki z małymi dziećmi. Mógłby wrzeszczeć wniebogłosy, a i tak nikt by go nie usłyszał. Jeśli zerwie się do ucieczki, będzie musiał skakać przez żywopłoty. Oby tylko nie trafił na puszczonę luzem pitbula.

– Wolałbym wiedzieć, gdzie mam pójść, żebym się nie przewrócił o własne nogi – powiedział.

– Na razie staniemy przed samochodem.

– Wejdziemy drzwiami frontowymi?

– Prosto tą drogą pod zadaszenie.

Domyślił się, że poprowadzą go właśnie tamtędy. Drzwi frontowe były otwarte, ale z boku pod zadaszeniem znajdowały się zapewne drzwi kuchenne, niewidoczne z ulicy. Za nic nie da im się wepchnąć do środka. W domu czekała go śmierć. Jeśli już miał zginąć, wolał zginąć na dworze, gdzie ktoś mógł to zauważyć, ale nie zamierzał umierać tego dnia. Spojrzał na motorówkę, a potem na swojego highlandera.

Odsunął się od policyjnego samochodu. Kierowca zamknął drzwi i popchnął go lekko do przodu. Holman szedł powoli, powłócząc nogami. Tom zaczekał, aż podejda, potem ruszył naprzód, prowadząc ich do kuchennych drzwi.

– Jezu, musisz się tak wlec? – powiedział kierowca.

– Depczesz mi po piętach. Odsuń się i zrób mi trochę miejsca, do kurwy nędzy. Przez ciebie zaraz się potknę.

– Mam to w dupie.

Kierowca jeszcze bardziej się do niego zbliżył i o to właśnie chodziło Holmanowi. Chciał, żeby kierowca znalazł się tuż za nim w tym wąskim przesmyku między ścianą domu i niebieskim sedanem.

Tom wszedł pod zadaszenie i stanął przy wejściu. Zaczekał na nich, potem otworzył drzwi. Otwarte skrzydło odgradziło go na chwilę od Holmana i kierowcy, wciśniętych między ścianę a niebieskiego sedana.

Nie zwlekając ani sekundy dłużej, Holman zaparł się prawą stopą o ścianę i przygniótł plecami kierowcę do samochodu najmocniej, jak mógł. Podniósł lewą nogę i teraz zapierał się dwiema stopami, wtlaczając gliniarza w karoserię tak, że aż samochód się zakołysał. Uderzył głową do tyłu na oślep, waląc potylicą w czoło kierowcy, aż gwiazdki pojawiły mu się przed oczami. Grzmotnął go jeszcze raz, napierając potężnymi barami. Kierowca zwiotczał, a Tom wreszcie zorientował się, co jest grane.

– Ożeż ty... kurwa!

Tom rzucił się, żeby zamknąć odgradzające go drzwi, ale Holman już pędził jak szalony. Nie oglądał się za siebie. Nie biegł na drugą stronę ulicy i nie oddalał się od żółtego domu. Przeciął dziedziniec, potem zawrócił, kierując się na podwórze. Chciał jak najszybciej zniknąć im z oczu. Rzucił się w krzaki głową naprzód i sforsował ogrodzenie. Słyszał krzyki dochodzące z wnętrza domu, ale nie zatrzymywał się. Kiedy dostał się na tyły budynku, przedarł się przez ogrodzenie do ogródka sąsiada i biegł dalej. Chłostały go kolczaste gałęzie, ale on nic nie czuł. Pognał w kierunku ściany żywopłotu i przedostał się na drugą stronę, wysuwając głowę do przodu niczym taran. Przesadził kolejne ogrodzenie jak oszalałe zwierzę. Wylądował na spryskiwaczu. Podniósł się i biegł dalej przez podwórze sąsiadów, potykając się o dziecięcy rowerek. Przez otwarte okno domu dochodziło warczenie i ujadanie małego psa. Dwa domy dalej słychać było okrzyki. Wiedział, że zaraz się tu zjawia, ale posuwał się w kierunku ulicy, ponieważ właśnie tam dostrzegł motorówkę stojącą na podjeździe.

Wyjrzał zza rogu. Vukovich i Tom na ulicy stali przy policyjnym samochodzie, Vukovich trzymał w ręku krótkofalówkę.

Holman podkraść się do motorówki z ogromnym silnikiem przymocowanym do burty. Obrócił się, żeby zaczepić plastikowe więzy o krawędź łopatki śruby napędowej i zaczął trzeć z całych sił, licząc na to, że znajomy skazaniec mylił się jednak co do wytrzymałości plastikowych kajdanków.

Napierał całym ciałem i przesuwiał więzy do góry i na dół tak mocno, że plastik wrzynał mu się w skórę, ale ból tylko wzmógł jego wysiłki. W końcu więzy puściły i Holman miał wolne ręce.

Fuentes i Tom oddalali się od niego, ale Vukovich szedł środkiem jezdni w kierunku Holmana.

Podpierając się z tyłu rękoma, odsunął się od motorówki i wycofał na tyły domu. Przeciął podwórze, posuwając się teraz z powrotem w kierunku żółtego domu. Gliniarze oddalali się od niego, nie spodziewając się, że Holman zawróci, ale on nauczył się tej sztuczki jeszcze jako nastolatek, kiedy zaczął włamywać się do domów. Przeskoczył przez ogrodzenie na sąsiednie podwórko i zobaczył stos cegieł. Podniósł jedną. Obmyślił już plan działania; ta cegła przyda mu się później. Biegł dalej, ale już nie szarżował jak przedtem; poruszał się bezgłośnie i cały czas nasłuchiwał. Przeskoczył przez kolejne ogrodzenie i znów znalazł się na tyłach żółtego domu. Podwórze było puste i ciche. Posuwał się wzdłuż ściany w stronę ulicy, przystając co chwila, ruszając, nasłuchując. Nie miał zbyt dużo czasu, bo Vukovich i pozostali zaraz zaczną wracać.

Przemieszczał się pod osłoną żółtego domu, trzymając się nisko przy ziemi. Widział już swój wóz stojący na ulicy. Pewnie go zauważą, kiedy ruszy do samochodu, ale jeśli dopisze mu szczęście, nie zdążą dobiec, żeby go zatrzymać. Przesunął się bliżej ulicy i wtedy usłyszał kobiecy głos dochodzący z domu.

Głos brzmiał znajomo. Wyprostował się nieco, żeby zajrzeć przez okno.

Zobaczył Marię Juárez z Randomem.

Źle zrobił, zaglądając do środka. Złodziejskie doświadczenie nauczyło go, że to niebezpieczne, a jednak popełnił ten błąd. Random zauważył ruch za oknem. Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia i natychmiast ruszył do drzwi. Holman nie czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Zerwał się na równe nogi i rzucił się naprzód przez krzaki. Miał zaledwie sekundy i teraz mogło mu to nie wystarczyć.

Gnał do samochodu ile sił w nogach. Usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Vukovich już biegł w jego kierunku. Holman strzaskał cegłą szybę highlandera od strony pasażera, włożył rękę do środka i odblokował drzwi.

– On jest tutaj! Vuke! Tommy! – wydierał się Random za jego plecami.

Holman wskoczył do samochodu. Chee dał mu dwa komplety kluczy i Holman trzymał zapasowe w schowku. Otworzył pokrywę, zgarnął kluczyki i wcisnął się za kierownicę.

Samochód ruszył z kopyta, a Holman nie oglądał się za siebie, dopóki nie zostawił żółtego domu daleko w tyle.

Holman musiał jak najszybciej pozbyć się terenówki. Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił, nie zwalniając, i gnał dalej naprzód. Oparł się pokusie zakręcenia na następnym skrzyżowaniu, mimo że zakręcanie i zawracanie wydawało się najpewniejszym sposobem na umknienie pogoni. Amatorzy kradnący samochody i pijani kierowcy uciekający przed policją myślą, że zdołają zgubić pościg, lawirując ulicami, ale Holman wiedział, że jest inaczej. Każdy skręt oznaczał stratę prędkości i czasu, a to działało na korzyść ścigających. Wszystko zależało od szybkości, najważniejsza była odległość, więc Holman pędził naprzód.

Wiedział, że musi wydostać się z dzielnicy mieszkalnej i wjechać na obszar o dużym natężeniu ruchu. Błyskawicznie pokonał Palms Boulevard, skręcił w kierunku autostrady i zjechał do pierwszego wielkiego centrum handlowego, jakie zobaczył po drodze – rozciągało się pod gołym niebem na ogromnym obszarze, z supermarketem sieci Albertson od frontu.

Jego duża, czarna terenówka od razu rzuciła się w oczy, dlatego nie chciał jej zostawiać na głównym placu parkingowym. Skręcił w drogę służbową prowadzącą na zaplecze centrum handlowego. Tam zatrzymał się, wyłączył silnik i przypatrzył się swojemu odbiciu w lusterku wstecznym. Miał krwawiące zadrapania na twarzy i rękach. Koszula była rozdarta w dwóch miejscach, całe ubranie uwalane ziemią i plamami od trawy. Strzepał ziemię najlepiej, jak mógł, potem napluł na połę koszuli i otarł z twarzy krew, ale wciąż wyglądał jak półtora nieszczęścia. Chciał porzucić samochód i zwać, ale do jego lewego nadgarstka przyczepiona była resztką plastikowych kajdanków. Wcześniej przeciął prawą obręcz na łopatkę silnika, ale pozostały po niej pasemka, które zwieszały się z jego lewego przegubu jak nitki spaghetti. Przyjrzał się zamknięciu. Działo podobnie jak sprzączka, tylko że pasek przesunął się w jedną stronę. Drobne ząbki uniemożliwiały wyciągnięcie paska. Trzeba było przeciąć plastik, ale Holman nie miał pod ręką niczego ostrego.

Uruchomił silnik, włączył klimatyzację i wcisnął zapalniczkę. Starał się nie wybiegać myślą w przód, gdyż wiedział, że czeka go bolesny zabieg. Kiedy zapalniczka wyskoczyła, odciągnął plastikowy pasek jak najdalej od skóry i przyłożył do niego rozżarzoną końcówkę. Zacisnął zęby i nawet nie drgnął, choć piekło jak diabli. Musiał jeszcze trzy razy nagrzać zapalniczkę, zanim plastik się stopił.

Vukovich pozbawił go kluczyków, portfela, pieniędzy i telefonu komórkowego. Holman przeszukał podłogę i schowek i znalazł w sumie siedemdziesiąt dwa centy. Tylko tyle. To była cała jego gotówka.

Zamknął samochód i odszedł, nie oglądając się za siebie. Zauważył sklep ze zwierzętami, wszedł do środka i mijając klatki z ćwierkającymi ptaszkami wydostał się na drugą stronę. Tam, przed supermarketem, znalazł publiczny telefon. Chciał ostrzec Pollard i potrzebował jej pomocy, ale kiedy dotarł do telefonu, zdał sobie sprawę, że nie pamięta jej numeru. Stał ze słuchawką w ręku, a w głowie miał zupełną pustkę. Wprowadził jej numer do pamięci swojej komórki i nie był w stanie sobie go przypomnieć.

Zaczął się trząść. Rzucił słuchawkę na widełki i krzyknął:

– To jakieś żarty, kurwa, czy co?

Troje ludzi wchodzących do sklepu obrzuciło go spojrzeniami.

Holman uświadomił sobie, że traci nad sobą panowanie, i wziął się w garść. Coraz więcej ludzi mu się przyglądało. Zadrapania na nowo zaczęły krwawić, próbował się wytrzeć, ale w efekcie tylko rozmazał krew. Zlustrował parking przed sklepem. W pobliżu nie przejeżdżały żadne radiowozy ani nieoznakowane policyjne crown victorie. Po kilku minutach Holman się uspokoił i postanowił zadzwonić do Chee. Jego numeru też nie pamiętał, ale mógł sprawdzić w informacji telefonicznej; Chee nie zastrzegł swojego numeru.

Holman włożył monety i zaczekał, aż operator go połączy.

Rozległ się sygnał nawiązanego połączenia. Holman spodziewał się, że zaraz ktoś odbierze, ale zdawało się, że sygnał brzęczy bez końca. Przeklął swoje pieskie szczęście, przekonany, że telefonistka podała mu zły numer, kiedy nagle odezwał się nieśmiało dziewczęcy głos.

– Słucham?

- Chciałbym rozmawiać z Chee.
- Przepraszamy, zakład jest zamknięty.

Holmanowi dało to do myślenia. Był środek zwykłego roboczego dnia. Warsztat Chee powinien być otwarty.

- Marisol? Czy to ty?

Tym razem jej głos brzmiał jeszcze bardziej niepewnie.

- Tak.

- Tu Max Holman, kolega twojego taty. Muszę z nim porozmawiać.

Czekał na odpowiedź, ale Marisol milczała. Naraz uzmysłowił sobie, że dziewczyna płacze.

- Marisol?

- Zabrali go. Przyjechali i...

Dziewczyna zaczęła głośno szlochać, a to obudziło w Holmanie najgorsze obawy.

- Marisol?

Usłyszał nagle męski głos w tle i wyjaśnienia Marisol, potem mężczyzna wziął od niej słuchawkę i zapytał z wahaniem:

- Kto mówi?

- Max Holman. O czym ona mówi? Co tam się u was dzieje?

- Tu Raul, człowieku. Pamiętasz mnie?

Raul był tym chłopakiem z warsztatu Chee, który spreparował mu prawo jazdy.

- Tak. O czym ona gada? Gdzie jest Chee?

- Skuli go, człowieku. Dziś rano...

- Kto go skuli?

- Pieprzeni gliniarze. Zabrali go.

Serce znów zaczęło Holmanowi łomotać i dla pewności jeszcze raz zlustrował parking.

- Co się stało? Dlaczego go aresztowali?

Raul ściszył głos, jakby nie chciał, żeby Marisol go słyszała, ale w jego głosie brzmiało napięcie.

– Nie wiem, co się stało. Przyjechali dziś rano z nakazami, psami, z pieprzonymi kutasami z bronią maszynową...

– Policja?

– Policja, FBI, SWAT, nawet pieprzone ATF, cały alfabet. Rozpirzyli cały warsztat i zgarnęli Chee.

Holmanowi zaschło w gardle, za to słuchawka, którą trzymał, była śliska od potu. Obserwował parking i starał się spokojnie oddychać.

– Co z Chee? Jest ranny?

– Nie wiem.

Coraz bardziej zdenerwowany, podniósł głos.

– Jak to nie wiesz? Zadałem ci proste pytanie, do cholery.

– A co? Myślisz, sukinsynu, że pozwolili nam się przyglądać?! Spędzili nas do pieprzonego biura i kazali się położyć na podłodze!

– Dobra, dobra, spokojnie. Mieli jakiś nakaz? Szukali czegoś?

– Karabinów i ładunków wybuchowych.

– Jezu Chryste, co ten Chee kombinował?

– Nic nie kombinował, koleś. Ładunki wybuchowe, kurwa mać! Jego córka pracuje w warsztacie. Myślisz, że trzymałby tu ładunki wybuchowe? Chee nawet nie pozwala nam montować kradzionych poduszek powietrznych.

– Ale aresztowali go?

– Przecież mówię, do cholery. Wsadzili go do wozu na oczach córki.

– Więc musieli coś znaleźć.

– Nie wiem, co oni, kurwa, znaleźli. Załadowali jakieś gówno do ciężarówki. Mieli ze sobą nawet pieprzonych saperów, Holman! Psy łąziły wszędzie i wachały, ale nie wiem, co mogły wywęszyć.

W słuchawce odezwał się wygenerowany przez komputer głos informujący Holmana, że pozostała mu minuta rozmowy. Skończyły się monety. Musiał się spieszyć.

– Mam mało czasu – powiedział. – Jeszcze jedno: Czy pytali o mnie? Czy w jakikolwiek sposób próbowali powiązać Chee ze mną?

Holman czekał na odpowiedź, ale nadaremnie. Raul się rozłączył.

Odłożył słuchawkę i zlustrował parking. Był przekonany, że Chee został wrobiony, ale nie rozumiał dlaczego. Chee nie był przecież źródłem cennych informacji o Holmanie, takich, jakich nie można by zdobyć od Gail Manelli, Wally'ego Figga czy Tony'ego Gilberta. Holman nie powiedział mu nawet o brakujących szesnastu milionach ani o swoich podejrzeniach co do spisku, w który zamieszani byli policjanci. Ktoś mógł jednak uznać, że wtajemniczył Chee w swoje sprawy. Ktoś mógł pomyśleć, że Chee wie dużo więcej, niż faktycznie wiedział, i w ten sposób próbował go nakłonić do mówienia. Od tych rozmyślań rozboleła go głowa. Nie mógł doszukać się w tym wszystkim sensu, więc dał sobie spokój. Miał teraz inne problemy. Nie mógł liczyć na to, że ktoś po niego przyjedzie i zaopatrzy go w gotówkę i nowy samochód. Był zdany tylko na siebie, a jego jedynym ratunkiem była Pollard. Dotarcie do Pollard mogło okazać się też jedynym ratunkiem dla niej.

Holman wszedł do supermarketu, rozejrzał się w poszukiwaniu działu warzyw i owoców, i ruszył w głąb sklepu. W działach warzywno-owocowych w amerykańskich supermarketach znajdowały się zwykle drzwi wahadłowe prowadzące na zaplecze, przez które pracownicy mogli przepchnąć wózki z załadowanym towarem. Zaplecze na ogół stanowiła chłodnia, w której przechowywano towary o krótkiej trwałości, a wszystkie takie chłodnie zaopatrzone były w drzwi wychodzące na rampy rozładunkowe.

Holman w końcu przedostał się na tyły centrum handlowego. Wrócił do highlandera, otworzył tylną klapę i ściągnął dywanik. Zestaw narzędzi będący na wyposażeniu zawierał śrubokręt, szczypce i podnośnik. Holman od lat nie kradł samochodów, ale nie zapomniał, jak to się robi.

Poszedł z powrotem na parking.

Po rozstaniu z Holmanem Pollard była w stanie silnego oszołomienia. Wjechała na autostradę i ruszyła w kierunku Chinatown; w głowie miała taki mętlik, że ledwo dostrzegała wokół siebie samochody.

Wiedziała, że po Holmanie można się wszystkiego spodziewać, ale on znów ją zaskoczył. Cały Holman! Wolał dać się aresztować, niż pozwolić staruszkowi umrzeć, a teraz przeproszał swoją nieżyjącą dziewczynę za to, że przez niego syn zmarnował sobie życie. Pollard wcale nie chciała odjeżdżać. Chciała z nim zostać, trzymać go za rękę, pocieszać i dać się ponieść uczuciom.

Serce jej pękało, kiedy Holman się rozplakał, nie tyle z żalu nad nim, ile nad sobą. Ach, ten Holman. Wiedziała, że mogłaby się w nim zakochać. A teraz, kiedy odjeżdżała, broniła się przed narastającym podejrzeniem, że już się w nim zadurzyła.

Max Holman to wykolejeniec, recydywista, były skazaniec i narkoman, bez wykształcenia, bez zawodu, bez żadnych perspektyw na zatrudnienie gdziekolwiek indziej niż na najniższych i najgorzej płatnych stanowiskach. Nie ma szacunku dla prawa, a jego znajomi to sami kryminaliści. Niemal na pewno przed upływem roku znów wyląduje w więzieniu. Mam dwóch synów. Jaki przykład by im dał? Co powiedzialaby na to moja matka? Co powiedzieliby ludzie? A jeśli mu się nie podobam?

Po czterdziestu pięciu minutach Pollard dotarła do biurowca Pacific West w Chinatown. Anna Wantanabe zaprowadziła ją do pozbawionej okien sali konferencyjnej na drugim piętrze. Na stole stały przygotowane dla niej dwa urzędowe niebieskie pudła.

Wantanabe wyjaśniła jej, że raporty policyjne zostały podzielone na dwie oddzielne grupy. Jedna składała się z akt rejonowych, właściwych dla napadów popełnionych w danym rejonie; na przykład, sprawy napadów dokonanych w Newton prowadzone przez detektywów z Newton. Druga grupa zawierała akta opracowane przez Zespół Bankowy, którego członkowie włączali raporty sporządzane na szczeblu rejonowym do śledztw prowadzonych na szerszą skalę, obejmujących zasięgiem całe miasto. Pollard z własnego doświadczenia wiedziała, że to kwestia właściwego

zagospodarowania zasobów i środków. Chociaż Zespół Bankowy zajmował się szeroko zakrojonymi dochodzeniami, korzystał z usług detektywów na szczeblu rejonowym, których kierował do pracy w terenie. Detektywi z danych rejonów przygotowywali raporty, które następnie przekazywali wyżej, do Zespołu Bankowego, działającego ponad poszczególnymi jednostkami, koordynującego ich wysiłki i kierującego całością dochodzenia.

Wantanabe raz jeszcze ją upomniała, żeby nie wynosiła ani nie kopiowała żadnych materiałów, i wyszła, żeby Pollard mogła w spokoju popracować.

Pollard otworzyła swoją teczkę z papierami i wyjęła strony tytułowe raportów, które Random zabrał z biurka Richarda Holmana. Strony tytułowe zawierały tylko numer sprawy i numer świadka, a te, bez listy świadków, nic jej nie mówiły:

Sprawa # 11-621

Świadek #318

Marczenko/Parsons

Streszczenie przesłuchania

Miała nadzieję, że na podstawie listy ustali tożsamość świadków, a potem sprawdzi, co mieli do powiedzenia. Nie знаła źródła pochodzenia stron tytułowych, więc zaczęła od pudła ze sprawozdaniami sporządzonymi na szczeblu rejonowym. Wysypała dokumenty i zaczęła je przetrząsać w poszukiwaniu wykazów świadków. Znalazła, trzy listy, ale szybko okazało się, że stosowana w nich numeracja na szczeblu rejonowym nie pasowała do stron tytułowych. Odłożyła więc akta rejonowe i zabrała się do raportów z komendy głównej.

Jej ciekawość od razu się wzmogła, kiedy otworzyła drugie pudło. Na samym wierzchu leżała kartka zawierająca wprowadzenie do sprawy podpisane przez dowódcę Zespołu Bankowego oraz dwóch detektywów prowadzących dochodzenie. Jednym z nich był John B. Random.

Pollard wpatrywała się w jego nazwisko. Znała Randoma jako detektywa zajmującego się zabójstwem czterech policjantów. Była przekonana, że pracuje w

wydziale zabójstw, a tu okazało się, że kierował śledztwem dotyczącym napadów na banki. Te napady zazębiały się więc ze śmiercią czterech policjantów.

Pollard przeglądała pozostałe raporty, aż natrafiła na wykaz świadków. Był to dokument liczący trzydzieści siedem stron i zawierający trzysta czterdzieści sześć nazwisk opatrzonych numerami. Listę rozpoczynała pracowniczka pierwszego banku obrabowanego przez Marczenkę i Parsonsa. Najniższym numerem na stronach tytułowych, jakie Holman zabrał z biurka swojego syna, był 318, po którym kolejno następowały 319, 320, 321, 327 i 334. Wynikało stąd, że świadkowie oznaczeni tymi numerami zostali włączeni do sprawy na stosunkowo późnym etapie śledztwa.

Pollard zaczęła dopasowywać numery do nazwisk świadków i od razu rzuciła się jej w oczy pewna prawidłowość.

Numer 318 oznaczał Lawrence'a Trehorna, zarządcę budynku w Beachwood Canyon, w którym wynajmowali mieszkanie Marczenko i Parsons.

Kolejni trzej świadkowie byli ich sąsiadami.

Pod numerem 327 krył się pracownik siłowni w West Hollywood, z której korzystał Marczenko.

A numer 334 przypisany był matce Antona Marczenki.

Pollard odszukała streszczenia poszczególnych przesłuchań, ale zanim się w nie wczytała, sprawdziła nazwiska detektywów, którzy je prowadzili. Na sprawozdaniach z rozmów z Trehornem i matką Marczenki podpisał się Random, a pod raportem z przesłuchania jednego z sąsiadów Marczenki widniał podpis Vukovicha. Holmana nękał Vukovich – kolejny detektyw prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa policjantów, który wcześniej zajmował się Marczenką i Parsonsem.

Pollard pomyślała o Fowlerze i tym piątym, który też złożył wizytę matce Marczenki. Zastanawiała się, czy Fowler odwiedził również pozostałych świadków.

Przepisała nazwiska i adresy pięciu nowych świadków, potem zabrała się do protokołów przesłuchań. Przypuszczała, że chociaż w jednym raporcie znajdzie wzmiankę o Alison Whitt czy Mayan Grille, ale wymieniały one jedynie osoby, które miały bliższy kontakt z Marczenką i Parsonsem. Pollard uznała, że to stanowi ogniwo łączące. Ani jedno z tych przesłuchań nie odnosiło się bezpośrednio do napadów,

natomiast wszystkie mogły zawierać informacje istotne dla ustalenia, co Marczenko i Parsons zrobili z zagrabionymi pieniędzmi. To pewnie dlatego trafiły w ręce Richarda Holmana; pytanie tylko, w jaki sposób je zdobył i dlaczego Random zabrał je z jego biurka? Wyglądało na to, że Random chciał usunąć wszelkie dowody wskazujące na to, że Fowler i jego zespół próbowali odnaleźć brakujący łup.

Gdy skończyła, powkladała zapisy przesłuchań we właściwej kolejności do teczek, a następnie z powrotem do pudeł. Wciąż myślała o Randomie i raportach, które zabrał z biurka Richarda. Brała pod uwagę możliwość, że Richard dostał te materiały od Randoma, ale jedna rzecz jej tu nie pasowała. Random znał treść tych raportów. Jeśli należał do spisku razem z Fowlerem i synem Holmana, mógł po prostu podzielić się z nimi swoją wiedzą – nie musiał przekazywać im akt.

Pollard zostawiła pudła na stole i podziękowała Almie Wantanabe, która odprowadziła ją do windy. Jadąc w dół, sprawdziła wiadomości w poczcie głosowej, ale Sanders jeszcze się nie odezwała. Czuła się zawiedziona, ale nagle uzmysłowiła sobie, że ma przecież w ręku mocny atut, którym może się posłużyć – matkę Marczenki. Jeśli to Random był tym piątym, lista informatorów może okazać się niepotrzebna – matka Marczenki go rozpozna, a to potwierdzi powiązania Randoma z Fowlerem. Odnalezienie oficera, który zwerbował Alison Whitt, będzie wtedy ukoronowaniem dzieła.

Postanowiła zadzwonić do Holmana. Chciała mu przekazać, czego się dowiedziała, a zaraz potem zamierzała wybrać się z wizytą do Leyli Marczenko. Wybierała jego numer, kiedy otworzyły się drzwi windy.

Zobaczyła Holmana, brudnego i oblepionego zaschniętą krwią.

Holman zapamiętał, że Pollard pojechała do siedziby Pacific West, ale nie miał pewności, czy jeszcze ją tam zastanie. Nie wiedział, jak się z nią skontaktować; nie mógł nawet zadzwonić, bo został bez pieniędzy. Nie chciał tam jechać. Jeśli śledzili Pollard przez całą drogę od cmentarza, Holman znowu wpadłby im w ręce. Ale jak inaczej mógł się z nią porozumieć? Krążył wokół biurowca, ale wystraszył się, że się rozminą, więc warował na dole w holu niczym bojaźliwy pies. Już zbierał się do wyjścia, kiedy otworzyły się drzwi windy i ukazała się w nich Pollard. Jej pierwszą reakcją na jego widok było zdziwienie, a potem zbladła jak płótno.

– Co się stało? Jak ty wyglądasz! Nic ci nie jest?

Holman drżał. Poprowadził ją w stronę wyjścia. Strażnik w holu już dwa razy go wypytywał i Holman chciał jak najszybciej się stamtąd wynieść.

– Musimy stąd uciekać. Vukovich i jego kumple... znów mnie dopadli.

Pollard zobaczyła strażnika i ściszyła głos.

– Jesteś zakrwawiony.

– Mogli cię śledzić. Opowiem ci wszystko, jak wyjdziemy.

Holman rozpaczliwie chciał się wydostać z biurowca.

– O kim mówisz?

– O tych gliniarzach. Osaczyli mnie na cmentarzu, kiedy odjechałaś...

Trząsł się coraz mocniej. Próbował skierować ją do wyjścia, lecz ona pociągnęła go w drugą stronę.

– Tędy. Chodź ze mną.

– Musimy stąd wyjść. Szukają mnie.

– Wyglądasz okropnie, Max. Rzucasz się w oczy. Tutaj... Holman pozwolił zaprowadzić się do damskiej łazienki.

Podeszli do umywalki. Pollard wyszarpnęła z podajnika plik papierowych ręczników i zmoczyła je pod kranem. Holman chciał uciekać, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa – czuł się w łazience jak w pułapce, która lada chwila może się zatrzasnąć.

– Wywieźli mnie do jakiegoś domu, Vukovich i trzech innych. Był tam Random. Nie aresztowali mnie, tylko skuli i wsadzili do wozu. Po prostu mnie zgarnęli sukinsyny...

– Ciii. Cały się trzęsiesz. Postaraj się trochę opanować.

– Musimy stąd uciekać, Katherine.

Starła mu krew z twarzy i ramion, a on gadał i gadał, nie mógł przestać, tak jak nie mógł opanować drżenia w głosie. Naraz uprzytomnił sobie, że stracił telefon, i wróciło do niego to straszne uczucie bezradności, jakiego doświadczył, kiedy nie mógł się z nią skontaktować.

– Potrzebuję czegoś do pisania... długopis. Masz długopis? Chciałem do ciebie zadzwonić, ale nie pamiętałem numeru. Nie mogłem sobie za cholerę przypomnieć...

Holman tak dygotał, jakby za chwilę miał się rozpaść. Tracił nad sobą kontrolę i nie mógł tego powstrzymać.

Pollard wyrzuciła zakrwawione ręczniki i chwyciła go za ramiona.

– Max.

Wydawało się, że jej oczy mają moc przyciągania jego uwagi. Patrzyła mu prosto w oczy, a on odwzajemnił jej spojrzenie. Wbiła mu palce w ramiona, ale wzrok miała spokojny, a jej głos brzmiał kojąco.

– Max, teraz jesteś ze mną...

– Bałem się. W tym domu była Maria Juárez...

Holman nie mógł oderwać wzroku od jej oczu, gdy palcami masowała mu ramiona.

– Jesteś bezpieczny. Jesteś teraz ze mną i nic ci nie grozi.

– Jezu, tak się cholernie bałem...

Patrzył jej w oczy, a łagodnie wygięte kąciki jej ust powstrzymały jego emocje, jak zarzucona kotwica spowalnia dryfujący okręt.

Drżenie ustępowało.

– Już dobrze?

– Tak, już mi przechodzi.

– Cieszę się.

Pollard wygrzebała długopis z kieszeni marynarki i podniosła Holmanowi rękę. Zapisała mu na przedramieniu swój numer, potem spojrzała na niego z czułością.

– Teraz masz mój numer. Widzisz, Max? Już go nie zgubisz.

Odnosił wrażenie, że coś się między nimi zmieniło. Przysunęła się do niego jeszcze bliżej, objęła go i położyła mu głowę na piersi. Holman stał sztywno jak manekin. Czuł się niepewnie i nie chciał jej urazić.

– Tylko na chwilę – szepnęła wtulona w jego pierś.

Nieśmiało pogłaskała ją po plecach. Nie spłoszyła się ani nie odskoczyła. Otoczył ją ramionami i położył policzek na jej głowie. W końcu ją przytulił. Napawał się nią i czuł, jak ulatuje z niego całe zło. Po chwili Pollard się poruszyła i oboje odsunęli się w tym samym momencie. Uśmiechnęła się do niego.

– Teraz możemy iść. Opowiesz mi wszystko w samochodzie.

Samochód stał zaparkowany w podziemiach biurowca. Holman opowiedział, jak zabrali go z cmentarza, jak im się wyrwał i co widział. Wysłuchała go w napięciu, ale nie komentowała ani nie zadawała pytań; nawet opis kradzieży samochodu nie wywołał u niej żadnej reakcji. Odezwała się dopiero wtedy, kiedy Holman skończył, a w jej głosie słychać było niepewność.

– No dobrze, więc ten Vukovich i trzech innych – Fuentes, Tom i jeszcze jeden – aresztowali cię na cmentarzu?

– Nie aresztowali. Skuli mnie, ale nie zawieźli na posterunek, tylko do jakiegoś cholernego domu. Nie można tego nazwać aresztowaniem.

– Czego chcieli?

– Nie mam pojęcia, czego ode mnie chcieli. Prysnałem przy pierwszej okazji.

– Mówili coś?

– Nic.

I wtedy sobie przypomniał.

– Na cmentarzu Vukovich mówił, że im wchodzę w paradę, że próbowali ze mną po dobroci, ale ja dalej im wchodziłem w paradę. Powiedzieli, że mnie zabierają, ale zamiast na komisariat, zawieźli do jakiegoś domu. Jak tylko zobaczyłem ten dom, pomyślałem sobie, że za cholereę do niego nie wejde, takiego wała.

Pollard jeszcze mocniej zmarszczyła brwi, jakby starała się coś z tego zrozumieć, ale na próżno.

– No dobra. A w domu był Random?

– Tak. Z Marią Juárez. Chee mówił mi, że zgarnęli ją gliniarze, i miał rację. A teraz dopadli też jego. Aresztowali go dzisiaj rano w warsztacie.

Pollard nie odzywała się. Coś ciągle nie dawało jej spokoju.

– Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi – rzekła, kręcąc głową. – Zabrali Marię Juárez, a potem ciebie. Co zamierzali z tobą zrobić? Trzymać cię tam jako zakładnika? Co by im to dało?

Według Holmana to było oczywiste.

– Pozbywają się każdego, kto nie zgadza się z Randomem, że to Warren Juárez zabił tych czterech policjantów. Pomyśl tylko. Random obciążył tymi morderstwami Juareza i zamknął sprawę, ale żona Juareza twierdziła, że jej mąż tego nie zrobił – więc ją zgarnęli. Ja też nie dałem się nabrać na ich bajeczkę, więc najpierw próbowali mnie zmusić, żebym odpuścił, a kiedy to nie poskutkowało, przyskrzynili mnie. A teraz mają Chee.

– To Random go aresztował?

– Oddział specjalny zrobił nalot na jego warsztat. Szukali karabinów i materiałów wybuchowych. To bzdura. Znam Chee od dawna i mówię ci, że to bzdura. Dranie na pewno go wrobili.

Pollard wciąż miała wątpliwości.

– Ale po co mieszałyby do tego Chee?

– Może myślą, że powiedziałem mu o tej forsie. Może dlatego, że mi pomagał. Nie wiem.

– Trafiłbyś do tego domu, do którego cię zawieźli?

– Bez problemu. Mogę cię tam zabrać choćby teraz.

– Teraz tam nie pojedziemy...

– Musimy. Na pewno dłużej tam nie zostaną, bo wiem, gdzie ją trzymają. Przeniosą Marię Juárez w inne miejsce.

– No właśnie, Max. Posłuchaj, na pewno wynieśli się stamtąd zaraz po tym, jak im uciekłeś. A jeśli przetrzymywali tam Marię Juárez wbrew jej woli, ją też zabrali. Jeśli tam teraz pojedziemy, zastaniemy pusty dom, nic więcej. Jeśli pójdziemy z tym na policję, co im powiemy? Że porwało cię czterech funkcjonariuszy policji Los Angeles, którzy przypuszczalnie mieli przestępcze zamiary?

Holman wiedział, że Pollard ma rację. To on był przestępcą. Nie miał dowodów ani powodu, żeby sądzić, że ktoś mógłby uwierzyć jego słowom.

– To co robimy?

– Musimy znaleźć tego piątego. Jeśli będziemy mogli dowieść, że to Random jest tym piątym, powiązemy go z Fowlerem i sprawa będzie załatwiona...

Pollard wyjęła z teczki wycinek z artykułem na temat śmierci Richarda. Artykułowi towarzyszyło zdjęcie dwóch policjantów składających oświadczenie w Centrum Parkera. Jednym z nich był Random.

– Chcę pokazać to zdjęcie matce Marczenki. Jeśli rozpozna Randoma jako tego piątego, przekażę to, co mam, moim kolegom z FBI. To wystarczy. Dopniemy swego, zobaczysz, Max.

Holman spojrzał na niewyraźną podobiznę Randoma, potem skinął głową, przyznając jej rację. Po raz kolejny pokazała, że zna się na rzeczy. Była zawodowcem.

Pogładził ją po policzku. Nie odsunęła się.

– Czasami w życiu tak dziwnie się układa.

– Tak.

Holman odwrócił się, żeby otworzyć drzwi.

– Spotkamy się u Leyli Marczenko.

Pollard złapała go za rękę, zanim zdążył wysiąść.

– Hej! Zostajesz ze mną! Nie możesz jeździć po mieście skradzionym samochodem. Chcesz, żeby cię zamknęli?

Pollard znów miała rację, ale Holman wiedział swoje. Random i Vukovich już raz go dorwali. I znowu będą próbować. Na dobrą sprawę mogli go szukać wszyscy gliniarze w mieście i nie zawahają się zrobić go tak jak Chee.

Delikatnie podniósł jej rękę.

– Może będę musiał uciekać, Katherine. A nie chcę uciekać w twoim samochodzie. Nie chcę cię narażać.

Uściskał jej dłoń.

– Zobaczymy się u Leyli Marczenko.

Nim zdążyła mu odpowiedzieć, wyskoczył z samochodu i ruszył biegiem przed siebie.

Holman wyszedł z podziemnego parkingu Jakby wykradał się z banku, który właśnie obrobił. Nadal się bał, że ktoś śledził Pollard od cmentarza, więc przyjrzał się dokładnie pojazdom i przechodniom przed biurowcem, ale nie zauważył nic podejrzanego. Zaczekał w skradzionym samochodzie, aż Pollard włączy się do ruchu, potem ruszył za nią.

Rozmowa z Pollard wyraźnie poprawiła mu nastrój. Czuł, że już wkrótce dowiedzą się, kto i dlaczego zabił Richiego. Podejrzewał, że pewnie dlatego Random zdecydował się go usunąć. Random odgrywał ważną rolę w śledztwie dotyczącym Marczenki i Parsonsa, a teraz sterował dochodzeniem mających wyjaśnić okoliczności śmierci czterech policjantów. Jakie to dogodne. Dowiedział się o brakujących szesnastu milionach i zapewne zwerbował Fowlera, Richiego i pozostałych, żeby je odszukali. Holman z goryczą wspominał, jak Random ich opisał – kiepscy policjanci, pijacy i degeneraci, którzy dla pieniędzy zrobiliby wszystko. Random chciał przypisać morderstwa Juárezowi; jego żona miała dowód, że jej mąż nie zabił, więc zniknął dowód, a potem zniknęła Maria Juárez. Z biurka Richiego zabrano też raporty sporządzone przez Randoma. Holman zadawał za dużo pytań, więc najpierw uniemożliwili mu kontakt z rodzinami zabitych policjantów, potem próbowali go nastraszyć, a w końcu usiłowali się go pozbyć. Nie widział innego sposobu wytłumaczenia i powiązania ze sobą tych wszystkich zdarzeń. Nadal nie rozumiał, czemu służyło aresztowanie Chee, ale był przekonany, że to, czego zdołali się dowiedzieć, wystarczy, żeby przygwoździć Randoma. Pętla się zacieśniała, więc Random starał się usunąć obciążające go dowody. Tym piątym musiał być właśnie Random, a Holman chciał być jego katem.

Kiedy dojechali do domu, w którym mieszkała pani Marczenko, Holman zaparkował po przeciwnej stronie ulicy. Ukrainka otworzyła drzwi w chwili, kiedy Holman stanął na chodniku obok Pollard.

– Zadzwońłam do niej z samochodu – wyjaśniła.

Pani Marczenko nie wyglądała na uradowaną ich wizytą. Sprawiała wrażenie nastawionej jeszcze bardziej podejrzliwie niż poprzednio.

– Czekałam na ten wasz artykuł. Nie ukazał się. Pollard uśmiechnęła się promiennie.

– Jeszcze trochę cierpliwości. Przyjechaliśmy dopiąć kilka ostatnich szczegółów. Chciałabym, żeby zobaczyła pani jedno zdjęcie.

Holman wszedł za Pollard i panią Marczenko do salonu. Zauważył, że zepsuty wentylator wciąż stał w kącie. Pani Marczenko usiadła na swoim ulubionym fotelu.

– Co to za zdjęcie?

– Pamięta pani fotografie, które pokazywałam pani ostatnim razem? Rozpoznała pani jednego z tych dwóch policjantów, którzy panią nachodzili?

– I co z tego?

– Pokażę pani zdjęcie jeszcze jednego policjanta. Chcę wiedzieć, czy to on był tym drugim.

Pollard wyjęła wycinek z teczki i podsunęła go pani Marczenko. Staruszka przyjrzała się uważnie i pokiwała głową.

– Tak, tego to znam, ale to było przedtem...

Pollard skinęła zachęcająco głową.

– Racja. Rozmawiał z panią po śmierci Antona.

– No tak...

– Czy pojawił się u pani później, wtedy z tym policjantem, którego rozpoznała pani poprzednim razem?

Pani Marczenko rozsiadła się w fotelu.

– Nie, to nie był on.

W Holmanie znów zawrzała krew. Byli już tak blisko; stali u progu rozwiązania zagadki, a ta staruszka rzucała im pod nogi kłody.

– Może spojrzysz pani jeszcze raz?

– Nie potrzebuję patrzeć jeszcze raz. To nie on przyszedł z tamtym. Tego znałam wcześniej. On był z tą bandą, co stłukła mi lampę.

Staruszka patrzyła na nich przekornie, wyraźnie z siebie zadowolona. Holman podejrzewał, że robi z nich balona.

– Na miłość boską, kobieto...

Pollard podniosła rękę, ostrzegając go, żeby wyhamował.

– Proszę się zastanowić, pani Marczenko. Niech pani sobie przypomni, jak wyglądał tamten mężczyzna. Inaczej niż ten na zdjęciu?

– To nie on.

– Może go pani opisać?

– Wyglądał normalnie, jak facet. Nie wiem. Chyba był w ciemnym garniturze.

Holmanowi przyszło nagle na myśl, że tym piątym mógł być Vukovich.

– Miał rude włosy?

– Był w kapeluszu. Nie wiem. Mówiłam już, nie zwracałam uwagi.

Pewność Holmana, że przygwoździ Randoma, nagle prysła jak sen ulatniający się na dźwięk budzika. Holman nadal był ścigany, Chee tkwił w areszcie, Maria Juárez wciąż była więziona. Holman wyrwał Pollard zdjęcie i dopadł do staruszki, która odchyliła się do tyłu, jakby bała się, że ją uderzy. Holmanowi było wszystko jedno. Wskazał na zdjęcie Randoma.

– Jesteś pewna, że to nie on?

– To nie był on.

– Max, przestań.

– A gdybym ci powiedział, że to skurwiol, który zastrzelił twojego synka? Czy wtedy zobaczyłabyś podobieństwo?

Pollard zerwała się z kanapy, sztywna i zdenerwowana.

– Max, dość tego. Idziemy.

Zacięta mina staruszki upodobniała ją do buldoga.

– To był on? To on zabił Antona?

Pollard zabrała jej zdjęcie i popchnęła Holmana w stronę drzwi.

– Nie, pani Marczenko. Przykro mi. On nie miał nic wspólnego ze śmiercią pani syna.

– To po co było tak mówić? Dlaczego on tak powiedział?

Holman zmył się jak niepyszny i zatrzymał się dopiero na ulicy. Czuł się jak dureń. Był zły, w głowie miał mętlik i wstydził się za siebie. Nadeszła Pollard, wyglądała na wściekłą.

– Przepraszam – powiedział. – Jak to możliwe, że to nie Random? To musiał być Random! Tylko jego osoba łączy wszystko.

– Przymknij się. Przestań już. No dobra, ten piąty to nie był Random ani Vukovich. Wiemy też, że to nie twój syn ani Mellon, ani Ash. W takim razie kto?

– Random miał ze sobą wtedy jeszcze trzech czy czterech ludzi. Może to jeden z nich. Może Random skaptował całą pieprzoną komendę.

– Pozostaje jeszcze Alison Whitt.

Już wyjęła swój telefon i wybierała numer.

– Jeśli Random był jej oficerem kontaktowym, możemy jeszcze...

Podniosła rękę, żeby go uciszyć, kiedy odezwał się głos w słuchawce.

– Tak, to ja. Czego się dowiedziałaś o Alison Whitt?

Holman patrzył, jak Pollard sztywnieje. Wiedział, że sprawy przybrały zły obrót, zanim jeszcze skończyła. Domyślił się po tym, jak się przygarbiła. Pollard wpatrywała się w niego przez chwilę, potem potrząsnęła głową.

– Alison Whitt nie była płatnym informatorem zarejestrowanym w komendzie głównej Los Angeles.

– I co teraz zrobimy?

Pollard nie od razu odpowiedziała. Widać było po niej, że mocno się zastanawia. On też się zamyślił. Należało się tego spodziewać. Jak mógł być tak naiwny i liczyć na to, że mu się powie?

– W domu mam jej kartotekę – odezwała się wreszcie Pollard. – Zobaczę, kto ją aresztował. Może się myliliśmy, zakładając, że była zarejestrowana. Może donosiła po cichu jakiemuś gliniarzowi i uda się ustalić komu.

Holman uśmiechnął się, widząc, że Pollard znów jest sobą. Chłonał widok rysów jej twarzy i włosów opadających na ramiona w niepowtarzalny sposób. Przypomnił sobie, jak zobaczył ją po raz pierwszy, kiedy w banku celowała do niego z pistoletu.

– Przepraszam, że cię w to wplątałem.

– Jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego słowa. Jesteśmy blisko, Max. Random odgrywa w tej pogmatwanej sprawie kluczową rolę i musimy znaleźć jeszcze jeden brakujący element, żeby rozwiązać tę łamigłówkę.

Holman machinalnie skinął głową, ale czuł tylko pustkę. Próbował to rozegrać jak należy, tak jak powinno się grać, gdy przestrzega się prawa, ale nic z tego nie wyszło.

– Jesteś niezwykłą kobietą, agentko Pollard.

Zacisnęła usta i znów stała się agentką sprzed lat.

– Mam na imię Katherine. Mów mi po imieniu, do jasnej cholery.

Miał ochotę znów ją przytulić. Chciał poczuć ją blisko siebie i pocałować, ale wiedział, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Nie chcę, żebyś mi dłużej pomagała, Katherine. To zbyt niebezpieczne – powiedział.

Ruszył do swojego samochodu, ale ona poszła za nim.

– Zaraz, chwileczkę. Co ty kombinujesz?

– Muszę zabrać pewną rzecz i zniknąć. Już raz mnie dorwali i spróbują jeszcze raz. Nie mogę do tego dopuścić.

Wsiadł do samochodu, ale ona zastawiła drzwi, żeby nie mógł ich zamknąć. Udawał, że tego nie widzi. Wcisnął śrubokręt w rozmontowany zapłon i przekręcił, żeby uruchomić silnik. Pollard ani myślała się cofnąć.

– Skąd weźmiesz pieniądze?

– Chee dał mi trochę forsy. Muszę jechać, Katherine. Proszę cię...

– Holman!

Popatrzył na nią. Odsunęła się i zamknęła drzwi. Nachyliła się do środka przez opuszczoną szybę i dotknęła ustami jego ust. Holman przymknął oczy. Chciał, żeby ta

chwila trwała wiecznie, ale wiedział, że jak wszystko, co dobre w życiu, szybko się skończy. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że Katherine mu się przygląda.

– Nie zamierzam się wycofać – oświadczyła.

Holman odjechał. Mówił sobie, żeby nie oglądać się za siebie. Życie w bolesny sposób nauczyło go, że kiedy patrzy się za siebie, wpada się w kłopoty, więc mówił sobie, żeby nie patrzeć, ale i tak spojrział w lusterko wsteczne i zobaczył ją, jak stoi na ulicy i odprowadza go wzrokiem, niesamowita kobieta, która właściwie była częścią jego życia.

Otarł oczy.

Popatrzył przed siebie.

Jechał dalej.

Nie udało się jemu i Katherine poskładać tego wszystkiego w sensowną całość, ale to już nie miało znaczenia. Holman nie pozwolił, żeby śmierć Richarda uszła tym draniom na sucho.

Pollard była wściekła. Marki użyła właściwych określeń, streszczając im to, co Whitt opowiadała jej o swojej pracy informatorki – rejestracja, stawki, zgoda przełożonych. Zwykli ludzie sami nie wymyśliliby takich szczegółów, musieli dowiedzieć się o nich od kogoś, kto znał się na rzeczy, więc Pollard ciągle była przekonana, że Whitt mówiła prawdę.

Pędząc autostradą Hollywood, wybrała jedną ręką numer Sanders. Nie chciała drążyć tego tematu przy Holmanie, ale musiała dowiedzieć się czegoś więcej.

– Cześć. To ja. Możesz swobodnie rozmawiać?

– Co się stało?

– Ta dziewczyna była informatorem. Chcę, żebyś sprawdziła jeszcze raz.

– Hola, hola. Wyświadczam ci przysługę, chyba pamiętasz? Leeds rozerwie mnie na strzępy, jak się o tym dowie.

– Jestem pewna, że dziewczyna nie kłamała. Wierzę jej.

– Wiem, że jej wierzysz. Słysząc twoją wiarę w słuchawce, ale nie było jej na liście. Może jakiś gliniarz opłacał ją z własnej kieszeni. To się zdarza.

– Jeśli ktoś korzystał z jej usług nieoficjalnie, nie wiedziałyby o stawkach i że na wypłatę potrzebna jest zgoda przełożonych. Pomyśl, April – dziewczyna naprawdę była informatorką i krył ją jakiś gliniarz.

– Posłuchaj mnie: nie było jej na liście. Przykro mi.

– Może figuruje pod przybranym nazwiskiem. Sprawdź jej kartotekę...

– Nie bądź głupia. Nikt nie dostaje wypłaty pod przybranym nazwiskiem.

Pollard milczała, zakłopotana własną desperacją.

– Tak, chyba masz rację – odparła po chwili.

– Wiem, że mam rację. Co się z tobą dzieje, dziewczyno?

– Dałabym sobie rękę uciąć...

– Alison Whitt była dziwką. Dziwki kłamią. Na tym polega bycie dziwką – „nie miałam jeszcze takiego kochanka, przeżyłam z tobą cudowny orgazm”. Kate, daj sobie wytłumaczyć. To, co naopowiadała koleżance z pracy, brzmiało przekonująco, bo w jej ustach wszystko brzmiało przekonująco. Na tym polega bycie dziwką.

Pollard było wstyd za siebie. To pewnie przez Holmana. Tak bardzo jej zależało na tym, żeby jemu się udało, że zatraciła jasny osąd.

– Przepraszam, że na ciebie wsiadłam.

– Podrzucić mi parę pączków i będzie dobrze. Zaczynam chudnąć. Wiesz, że nie lubię tracić na wadze.

Pollard nawet nie zdobyła się na uśmiech. Zamknęła telefon i pogрузzyła się w ponurych rozmyślaniach. Nie mogła przeboleć, że Alison Whitt kłamała, mówiąc, że jest informatorem, a na to jeszcze nakładało się zdziwienie, że matka Marczenki nie rozpoznała w Randomie tego piątego.

Wyglądało to tak, jakby ona i Holman mieli do czynienia z dwiema odrębnymi sprawami, które łączyła jedynie osoba Randoma – poszukiwaniami brakujących pieniędzy prowadzonymi przez Fowlera i jego drużynę i zabójstwem czterech policjantów, którego rzekomym sprawcą był Juárez. Random brał udział w śledztwie dotyczącym Marczenki i Parsonsa, a teraz kierował dochodzeniem w związku ze śmiercią policjantów. Szybko ogłosił, że sprawcą jest Warren Juárez i zamknął sprawę, mimo że wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Zaprzeczał temu, że Fowler i pozostali w jakikolwiek sposób byli związani z Marczenką, i podejmował działania uniemożliwiające jakiegokolwiek dalsze postępowanie wyjaśniające. Gorliwość, z jaką to robił, świadczyła, że stara się coś ukryć.

Tylko że Fowler i jego chłopcy szukali tych pieniędzy, i nie działali sami; co najmniej jeszcze jedna osoba brała w tym udział – ten piąty. Ktoś przekazał im kopie raportów z Centrum Parkera, których nie mogliby zdobyć w żaden inny sposób. Dwa z tych raportów sporządził Random, który później sprzątnął je z biurka Richarda Holmana. Ktoś wybrał się z Fowlerem do matki Marczenki i jej zdaniem, była to ta sama osoba, która dostarczyła Fowlerowi informacji uzyskanych od Alison Whitt. Pollard była przekonana, że kluczem do wszystkiego jest Alison Whitt i jeszcze uda się to wszystko powiązać z Randomem.

Ale wciąż nie mogła zrozumieć, czemu służyło uprowadzenie Marii Juárez. Kiedy zniknęła, Random wydał nakaz jej aresztowania, a mimo to Chee twierdził, że policja zabrała ją z domu krewnych. Na dodatek Holman widział, że jest przetrzymywana przez Randoma. Jeśli Random krył prawdziwego mordercę policjantów, dlaczego więził Marię Juárez, zamiast po prostu ją zabić? Odkąd Pollard obejrzała miejsce zbrodni na własne oczy, była przekonana, że ci czterej policjanci z pełną świadomością pozwolili zabójcy podejść. Jeśli zabójcą był Juárez i jeśli ci policjanci spotkali się wtedy pod mostem w związku z poszukiwaniami brakującego łupu, to między Juarezem a Marczenką musiały istnieć jakieś powiązania. Może Juárez dzielił się wiedzą ze swoją żoną i Random potrzebował jej pomocy, żeby odnaleźć pieniądze. To by wyjaśniało, dlaczego wciąż jeszcze żyła, ale Pollard nie zadowalało to wytłumaczenie. Bawiła się w domysły, a domysły były dobre dla frajerów, a nie dla śledczych.

Zajeżdżając pod dom, wciąż starała się dociec, dlaczego w tej układance tak wiele rzeczy do siebie nie pasuje. W potwornym upale podbiegła do drzwi frontowych i otworzyła zamek. Kiedy przestępowała przez próg, jej rozczarowanie z powodu Alison Whitt zastąpiła groza wywołana perspektywą nieuchronnej rozmowy telefonicznej z matką. Wchodziła do domu pogrążona w niewesołych rozmyślaniach na temat daremności ich starań, kiedy rudowłosa mężczyzna czekający w środku wyszarpnął jej klamkę z ręki i zatrzasnął drzwi.

– Witamy w domu.

Pollard tak się wystraszyła, że odskoczyła do tyłu, a wtedy z korytarza wyłonił się drugi mężczyzna, który trzymał w ręku odznakę.

– John Random. Jesteśmy z policji.

Pollard obróciła się i wbiła Vukovichowi łokieć w żebra. Policjant stęknął i odsunął się gwałtownie.

– Hej...

Poliard zrobiła krok w stronę kuchni, chcąc dostać się do tylnych drzwi i uciec przez podwórze, ale drogę zagroził jej Random.

– Stój! Nie chcemy ci zrobić nic złego. Stój!

Random stał nieruchomo między nią a kuchnią. Obie ręce trzymał nad głową, z jednej zwieszała mu się odznaka detektywa. Vukovich też zastygł w miejscu. Pollard przesunęła się tak, żeby widzieć ich obu.

– Tylko spokojnie – odezwał się Random. – Nie bój się. Gdybyśmy chcieli cię załatwić, chybabyśmy tak nie stali, nie sądzisz?

Random opuścił ręce, ale nie podchodził bliżej. To był dobry znak, ale Pollard nadal przesuwała się w bok, przenosząc wzrok z jednego na drugiego, wymyślając sobie w duchu za to, że nie wyjęła pistoletu z pudła w szafie, przeklinając własną głupotę. Może dałaby radę zdobyć kuchenny nóż, ale rzucanie się na tych drani z nożem byłoby szaleństwem.

– Czego ode mnie chcecie?

Random przyglądał się jej jeszcze przez chwilę i schował odznakę.

– Współpracy. Dość już nam z Holmanem nabruździliście. Pozwolisz, że wyjaśnię?

– Po to go porwaliście? Żeby wyjaśnić?

– Nie przyjeżdżałbym tutaj i nie mówił ci tego, co zaraz powiem, gdybyście mnie do tego nie zmusili.

Vukovich opierał się o drzwi. Obserwował ją, ale jego spojrzenie wyrażało raczej ciekawość niż wrogość, poza tym wyglądał na odprężonego. Random wydawał się rozdrażniony. Jego garnitur był pomięty, oczy zdradzały przemęczenie. Mowa ciała obu

policjantów nie sugerowała żadnego zagrożenia. Pollard powoli się uspokajała, ale nadal zachowywała czujność.

– Mam pytanie – powiedziała.

Random otworzył dłonie, co znaczyło: śmiało, pytaj.

– Kto zamordował tych czterech gliniarzy?

– Warren Juárez.

– Chrzanisz, Random. Nie wierzę ci, tak jak nie wierzę, że spotkali się tam pod mostem bez żadnego powodu. Szukali brakującego łupu Marczenki.

Random znów otworzył dłonie i wzruszył ramionami, wyrażając w ten sposób, że jest mu obojętne, czy mu wierzy, czy nie.

– Owszem, szukali tych pieniędzy, ale to Juárez do nich strzelał. Działał na czyjeś polecenie. Staramy się ustalić, kto był zleceniodawcą.

– Wciskasz mi kit. Holman widział cię razem z Marią Juárez.

– To nie kit. Tamten dom to bezpieczna kryjówka. Przebywała w nim z własnej woli na naszą prośbę.

– Dlaczego?

– Juárez nie popełnił samobójstwa. Załatwił go ten, kto zlecił mu sprzątnięcie policjantów. Uważamy, że dostał to zlecenie z racji swoich powiązań z Fowlerem, a zleceniodawca od samego początku planował, że po wszystkim się go pozbędzie. Baliśmy się, że może też zamordować jego żonę. Zabraliśmy Holmana do tego domu, żeby Maria sama mu to powiedziała. Inaczej na pewno by mi nie uwierzył.

Pollard przyglądała się Randomowi podczas tej przemowy i uznała, że mówi prawdę. Wszystko, co mówił, miało sens. Przemyślała to sobie i w końcu przyznała mu rację.

– W porządku. Wierzę ci, ale po jaką cholere aresztowaliście Chee? Tego nie rozumiem.

Random popatrzył na Vukovicha, potem znów na nią. Potrząsnął głową.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– O przyjacielu Holmana, Chee, Garym Moreno. Dziś rano policja zrobiła nalot na jego warsztat i zgarnęła go. Myśleliśmy, że to na twoje polecenie.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Co jest grane, Random? Mam uwierzyć, że to zbieg okoliczności?

Twarz Randoma nie zdradzała żadnych uczuć. Spojrzał jeszcze raz na Vukovicha.

– Vuke, spróbuj się czegoś dowiedzieć.

Vukovich wyjął telefon i przeszedł do jadalni. Pollard słyszała niewyraźnie jego głos, kiedy rozmawiała dalej z Randomem.

– Skoro wiedziałeś, że ktoś wynajął Juareza, to dlaczego zamknąłeś sprawę?

– Jego zabójca upozorował samobójstwo. Chciałem, żeby pomyślał, że daliśmy się na to nabrać. Chciałem utwierdzić go w przekonaniu, że nie wiemy o jego istnieniu, żeby poczuł się bezpiecznie.

– Po co to wszystko?

– Bo naszym zdaniem jest to wysoko postawiony funkcjonariusz policji.

Random powiedział to rzeczowym tonem i bez wahania. Dokładnie do tego samego wniosku doszli Pollard i Holman, tylko że oni podejrzewali, że jest nim Random. Pollard nagle uświadomiła sobie, że rozbieżności między obu wcieleniami Randoma nabrały sensu, a wszelkie tkwiące w nim sprzeczności dawały się ze sobą pogodzić.

– Ten piąty.

– Jaki znowu piąty?

– Wiedzieliśmy, że jest w to zamieszany jeszcze ktoś. Nazwaliśmy go tym piątym. Myśleliśmy, że to ty.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem.

– Prowadziłeś jedno dochodzenie w ramach drugiego, jedno jawne, drugie tajne.

– Inaczej nie można było się do tego zabrać. O moich poczynaniach wiedzą tylko ludzie z mojego zespołu, komendant i jeden z jego zastępców. Śledztwo wszczęliśmy długo przed zabójstwem czwórki policjantów. Dostałem cynk, że kilku gliniarzy interesuje się brakującym łupem Marczenki i Parsonsa. Udało nam się ustalić ich tożsamość, z wyjątkiem mózgu całego przedsięwzięcia, który wiele wiedział na temat

Marczenki i Parsonsa i przekazywał informacje Fowlerowi. Tylko z nim się kontaktował i rozmawiał, a Fowler zawzięcie krył tego sukinsyna. To jego staraliśmy się namierzyć.

– I wtedy doszło do zabójstwa pod mostem.

Random skrzywił się.

– Tak. Wtedy doszło do zabójstwa pod mostem, a ty i Holman zaczęliście węszyć, tak że nawet policjanci w terenie nabrali podejrzeń. Musicie przestać, Pollard. Jeśli ten człowiek zorientuje się, że jest ścigany, nie złapiemy go.

Pollard teraz rozumiała, dlaczego wydzwaniali do Leedsa z Centrum Parkera. Komendant próbował się rozeznać w jej poczynaniach i bombardował Leedsa, żeby ją powstrzymał.

– Właściwie skąd tyle wiesz o Fowlerze? Co robił, a czego nie? Skąd wiesz, że tylko Fowler się z nim kontaktował?

Random zwlekał z odpowiedzią. Po raz pierwszy wahał się, czy odpowiedzieć na jej pytanie. Pollard poczuła ucisk w żołądku, ponieważ nagle domyśliła się prawdy.

– Miałeś wtyczkę – powiedziała.

– Richard Holman pracował dla mnie.

Wychłodzone powietrze nagle jakby się nagrzało. Dom wypełnił się ciszą, która rozprzestrzeniała się niczym rozlany syrop. Naraz przypomniało jej się wszystko, co Holman mówił jej o rozmowach z Randomem.

– Ty sukinsynu. Dlaczego mu nie powiedziałaś?

– Bo to zaszkodziłoby śledztwu.

– Utwierdzałeś go w przekonaniu, że jego syn był skorumpowanym gliną. Masz pojęcie, jaki ból mu to sprawiło? Czy to w ogóle cię obchodzi?

Fałdy wokół oczu Randoma ściągnęły się w wąską szczelinę. Zwilżył usta.

– Rich Holman zwrócił się do mnie, kiedy Fowler próbował go skaptować. Rich odmówił, ale ja przekonałem go, żeby jednak w to wszedł. To ja go tam umieściłem, więc owszem, pani Pollard, obchodzi mnie to, nawet bardzo.

Podeszła do kanapy. Nie zwracała uwagi na Randoma. Nie miała mu nic do powiedzenia. Myślała o Holmanie. Zaciskała powieki, bo nie chciała, żeby Random

widział, że płacze. Richie nie był draniem. Richie okazał się porządnym człowiekiem. Holman nie musiał przeproszać Donny.

– Rozumiesz, dlaczego tak musiałem to rozegrać? – zapytał Random.

– Jeśli szukasz rozgrzeszenia, to nic z tego. Może musiałeś tak to rozegrać, Random, ale i tak jesteś dupkiem. Facet stracił syna. Wystarczyło okazać mu trochę serca, a nie poniewierać nim jak śmieciem, a wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Zadzwońisz do niego? Musimy się dogadać, zanim będzie za późno.

Pollard roześmiała się.

– Zadzwońiłabym do niego, ale nie mogę. Kiedy dopadliście go na cmentarzu, zabraliście mu komórkę. Nie wiem, jak się z nim skontaktować.

Random zacisnął szczęki i nie odezwał się. Z jadalni wynurzył się Vukovich, mówiąc, że czeka na informację w sprawie Chee, ale Pollard puściła to mimo uszu. Zastanawiała się, czy wszystkie starania jej i Holmana poszły na marne. Ten piąty już mógł się ulotnić.

– To w końcu znaleźli tę forszę czy nie? Domyślam się, że tak, bo inaczej ten piąty nie sprzątnąłby wszystkich pozostałych.

– Nie mamy pewności. Jeśli pieniądze zostały odnalezione, to dopiero po zabójstwie pod mostem.

– Musieli namierzyć forszę, Random. Co takiego wykopali przy napisie Hollywood? Random wyraźnie był zaskoczony.

– Skąd o tym wiesz?

– Przecież węszyliśmy, dupku. Musieli coś tam znaleźć w czwartek w nocy, zanim zostali zamordowani. To, co wykopali, mieściło się w dziurze wielkości mniej więcej trzydzieści centymetrów na czterdzieści. Co to było?

– Klucze. Znaleźli dwadzieścia dwa klucze w niebieskim metalowym termosie.

– Tylko klucze? Jakie klucze?

– Rich ich nie widział. To Fowler otworzył termos. Powiedział pozostałym, co jest w środku, i zatrzymał klucze.

– Nie było żadnych wskazówek, jak odnaleźć zamki, do których pasują?

– Nie, tylko same klucze. Następnego dnia Fowler powiedział im, że jego tajemniczy kumpel może ustalić, co można nimi otworzyć. Pewnie dlatego spotkali się tej nocy, kiedy zostali zamordowani. W swoim ostatnim meldunku Rich przekazał mi, że mają się dowiedzieć, gdzie są ukryte pieniądze.

Pollard myślała o tych zagadkowych kluczach, kiedy uzmysłowiła sobie, że Random niemal całą swoją wiedzę zawdzięczał Richardowi Holmanowi. Gdy Fowler dzielił się z resztą informacjami, Richard przekazywał je Randomowi, ale Fowler miał swoje tajemnice. Ośłaniał swojego koleżkę. Nagle przyszło jej do głowy, że ona sama pewnie wie więcej o tej sprawie niż Random.

– Wiesz, dlaczego Marczenko ukrył te klucze przy napisie Hollywood?

Widać było po jego minie, że nie ma pojęcia.

– Ustronne miejsce. Blisko jego mieszkania – zgadywał, wzruszając ramionami.

– Alison Whitt.

Randomowi nic to nie mówiło.

– Alison Whitt była prostytutką. Marczenko zabierał ją na górę do Napisu i tam się z nią zabawiał. Nie wiedzieliście o tym?

Vukovich pokręcił głową.

– To niemożliwe. Przesłuchaliśmy każdego, kto miał jakiegokolwiek powiązania z Marczenką i Parsonsem. Każdy, z kim rozmawialiśmy, mówił, że to pajace bez jaj. Nie mieli nawet znajomych płci męskiej.

– Holman i ja dowiedzieliśmy się o tej dziewczynie od matki Marczenki. Random, posłuchaj – mniej więcej tydzień przed śmiercią policjantów Fowler i jeszcze jeden facet złożyli wizytę matce Marczenki. Chcieli ją wypytać o Alison Whitt. Fowlerowi nie towarzyszył wtedy żaden z jego podopiecznych, ani Richard Holman, ani Mellon, ani Ash. To musiał być ten jego tajemniczy kumpel. Matka Marczenki nie znała jego nazwiska, ale mogłaby go opisać policyjnemu rysownikowi.

Random posłał spojrzenie Vukovichowi.

– Zadzwoń do Fuentesy. Niech ktoś tam pojedzie z rysownikiem.

Vukovich odwrócił się, żeby zadzwonić, a Random popatrzył na Pollard.

– Co się stało z tą Whitt?

– Została zamordowana tej samej nocy co pozostali. To Whitt jest tu łączącym ogniwem, Random. Holman i ja dowiedzieliśmy się o niej od matki Marczenki, ale Fowler i jego kumpel wiedzieli o niej wcześniej, zanim pojechali do starej Marczenko. Whitt twierdziła, że jest płatną informatorką policji, więc pomyślałam, że ten piąty może być jej oficerem kontaktowym.

– Zaraz, zaraz. Jak się dowiedzieliście tego wszystkiego, jeśli Whitt już nie żyła?

Pollard opowiedziała mu o Marki Pollen. Random wyjął notes i robił notatki. Kiedy skończyła, Random przejrzał swoje zapiski.

– Sprawdzę tę Whitt w rejestrze.

– Nic nie znajdziesz. Moja koleżanka z Feeb przeszukała bazę danych komendy głównej. Alison Whitt nie figuruje na liście waszych informatorów.

Random uśmiechnął się ponuro.

– Podziękuj koleżance, ale wolę sam sprawdzić.

Wyjął telefon i podszedł do okna, żeby zadzwonić. Kiedy rozmawiał, wrócił Vukovich.

– Mam wieści o twoim ptaszku, o Chee. Nalot okazał się uzasadniony. Brygada saperów dostała cynk od Feeb i przeprowadziła akcję razem z miejską policją. Znaleźli w warsztacie trzy kilogramy C4 i trzy metry lontu.

Pollard wpatrywała się w Vukovicha, potem spojrzała na Randoma, który wciąż zajęty był rozmową.

– To FBI ich zawiadomiło?

– Tak mi powiedziano. Były podejrzenia o działalność terrorystyczną, więc zrobili nalot, żeby to sprawdzić.

– Kiedy się dowiedzieli?

– Dzisiaj. Ktoś zadzwonił do nich wczesnym rankiem. Czy to ma jakieś znaczenie?

Pollard potrząsnęła głową, czując, jak powoli drętwieją jej nogi.

– Jesteś pewny, że to Feeb?

– Powtarzam to, co usłyszałem. Drętwota ogarniała całe jej ciało.

Random skończył rozmawiać, wyjął z portfela wizytówkę i podał ją Pollard.

– Holman pewnie będzie chciał ze mną pogadać. Nie ma sprawy. Jak się z nim skontaktujesz, zadzwoń do mnie. Musisz go przekonać, żeby odpuścił. To bardzo ważne dla sprawy. To, co ci powiedziałem, zostaje między nami, a Holman nie może mówić o tym swojej synowej. Rozumiesz teraz chyba, dlaczego tak musimy to rozgrywać? Oby już nie było za późno.

Pollard skinęła głową, ale jej myśli nie zajmowało to, jak Random musi to rozgrywać. Stała sztywno w progu, odprowadzając ich wzrokiem, potem odwróciła się, żeby stawić czoło pustce swego domu. Nie wierzyła w zbiegi okoliczności. Tego nauczyli ją w Quantico i to sprawdziło się podczas setek prowadzonych przez nią dochodzeń – nie istnieje przypadkowy zbieg okoliczności.

Cynk od Feeb.

Poszła do sypialni i przysunęła krzesło do szaty. Wysunęła pudło leżące na najwyższej półce – poza zasięgiem chłopców – i wyjęła pistolet.

Uświadomiła sobie, jak głupio mogła się pomylić. Marki powiedziała im, że Whitt jest zarejestrowaną informatorką i że opiekuje się nią gliniarz, ale „gliniarz” niekoniecznie oznaczał policjanta, a policja Los Angeles nie była jedyną instytucją stojącą na straży prawa i porządku, która korzystała z usług płatnych informatorów. Szeryfowie, agenci Służby Bezpieczeństwa Wewnętrznego, agenci ATF, śledczy z wydziału pościgowego, wszyscy uważani byli za gliniarzy i wszyscy zatrudniali informatorów.

Alison Whitt mogła donosić FBI. A skoro tak, to...

Ten piąty był agentem FBI.

Pollard wybiegła z domu w lejący się z nieba żar, wskoczyła do samochodu i pojechała do Westwood.

Płatni informatorzy mogli być i często okazywali się nieodzowni przy łapaniu przestępców i sporządzaniu aktów oskarżenia. Informacje przez nich przekazywane oraz opisy metod ich uzyskania były dołączane do materiału dowodowego i ujmowane w raportach z dochodzenia, nakazach, orzeczeniach, aktach oskarżenia, wnioskach sądowych, omówieniach sprawy i wreszcie w stenogramach z samej rozprawy. Nigdy nie ujawniano prawdziwych nazwisk informatorów, gdyż wiele tych dokumentów trafiało do ogólnie dostępnych archiwów. We wszystkich tego rodzaju dokumentach nazwisko informatora zastępował numer, czyli przypisany mu kryptonim. Listy kryptonimów – wraz z raportami na temat wiarygodności informatora i dowodami wypłat, jeśli ich opłacano – były pilnie strzeżone. Miejsce i sposób przechowywania takich list zależały od instytucji, ale nie były to tajemnice strzeżone tak ściśle jak kody uruchamiające rakiety z głowicami jądrowymi; wystarczyło poprosić szefa o klucz.

W ciągu swej trzyletniej służby w Zespole Bankowym Pollard korzystała z usług informatora cztery razy. Za każdym razem zwracała się do Leedsa z prośbą o wydanie listy informatorów pracujących dla Zespołu Bankowego i patrzyła, jak Leeds otwiera zamykaną na zamek szafę, w której trzymał te dokumenty. Używał do tego mosiężnego klucza, przechowywanego w pudełku w prawej górnej szufladzie biurka. Pollard nie wiedziała, czy pudełko z kluczem i wykaz informatorów po ośmiu latach nadal leżą w tym samym miejscu, ale mogła zapytać o to Sanders.

Kiedy wjechała na parking przed biurowcem FBI w Westwood, było osiem po drugiej. W górze rozpościerał się niezmacony jaskrawy błękit. W słonecznym żarze wieżowiec zdawał się migotać na tle nieba.

Pollard wpatrywała się w siedzibę FBI. Próbowała przekonać samą siebie, że ma do czynienia z tym jednym przypadkiem na milion, kiedy zbieg okoliczności jest niczym więcej jak zbiegiem okoliczności, ale bez powodzenia. W gabinecie Leedsa znajdował się formularz z nazwiskiem Alison Whitt. Ten, kto ją zwerbował, niemal na pewno był odpowiedzialny za śmierć sześciu osób. Tym kimś mógł być którykolwiek z agentów.

Pollard w końcu otworzyła telefon, żeby zadzwonić do Sanders. Potrzebowała przepustki, żeby wejść do środka. Niestety, już po pierwszym dzwonku włączyła się jej poczta głosowa, co oznaczało, że Sanders prawdopodobnie przesłuchuje świadków na miejscu przestępstwa.

Pollard dała upust złości na prześladowającego ją pecha, potem wybrała numer Zespołu Bankowego i czekała, aż ktoś się zgłosi. W te dni, kiedy zespół rozproszony był po całym Los Angeles, w biurze zostawał agent dyżurny, który przyjmował rozmowy i zajmował się swoją papierkową robotą. Kiedy Pollard miała dyżur, zazwyczaj nie przejmowała się telefonami.

– Zespół Bankowy. Agent Delaney.

Pollard poznała go podczas swojej poprzedniej wizyty. Nowi zawsze podnosili słuchawki, bo wciąż jeszcze byli pełni zapału.

– Tu Katherine Pollard. Poznaliśmy się w biurze przy pączkach, pamiętasz?

– No pewnie. Cześć.

– Jestem na dole. Zastałam April?

Pollard wiedziała, że Sanders nie ma w biurze, ale pytanie o koleżankę było wstępem do tego, żeby zapytać o Leedsa. Musiała się dowiedzieć, czy jest w swoim gabinecie, bo to on sprawował pieczę nad listą. Jego obecność była mocno niepożądana.

– Nie widziałem jej – odparł Delaney. – Siedzę tu właściwie sam. Wszyscy wyjechali w teren.

– A Leeds?

– Hmm, wcześniej był, ale nie, nie widzę go. Mamy dzisiaj urwanie głowy.

Pollard poczuła ulgę, ale postarała się, żeby w jej głosie zabrzmiał zawód.

– Psiakrew. Posłuchaj, Kev, mam materiały Leedsa, które muszę mu oddać, a przy okazji chciałam poczęstować was pączkami. Przyślesz po mnie kogoś?

– Jasne. Nie ma sprawy.

– Świetnie. W takim razie zjawię się u ciebie za minutę.

Pollard kupiła wcześniej pudło pączków u Stana, żeby usprawiedliwić swoją wizytę w biurze. Wsunęła broń pod siedzenie samochodu, wzięła pączki, teczkę, i ruszyła w

stronę budynku. Zabrała ze sobą teczkę, żeby wejść do gabinetu Leedsa pod pretekstem jej odniesienia. Jak poprzednim razem, czekała na eskortę i pojechała windą na trzynaste piętro.

Po wejściu zlustrowała całe pomieszczenie zajmowane przez Zespół Bankowy. Delaney pracował w swojej przegrodzie w pobliżu drzwi. Oprócz niego nikogo więcej nie zauważyła. Podchodząc do niego, posłała mu czarujący uśmiech.

– Jak ja nienawidziłam dyżurów, mówię ci. Zasłużyłeś na pączka.

Delaney wziął pączka, ale nie bardzo wiedział, gdzie go położyć, pewnie poczęstował się tylko przez grzeczność. Na biurku porozkładane miał mnóstwo papierów.

– Mam zostawić tobie te pączki? – spytała.

Delaney spojrział na biurko, widząc, że nie ma miejsca, żeby postawić pudło.

– Zostaw je lepiej w pokoju socjalnym.

– Jasne. Podrzucę tylko Leedsowi do gabinetu te materiały i przestanę ci zawracać głowę.

Machnęła teczką, żeby pokazać, że nie jest gołosłowna, i odwróciła się. Starła się poruszać ze swobodą, jakby jej poczynania były czymś całkowicie zwyczajnym i oczekiwanym. Zostawiła pączki w pokoju socjalnym i wychodząc zerknęła na Delaneya. Siedział przy biurku z pochyloną głową, pochłonięty swoimi sprawami.

Poszła do gabinetu Leedsa. Śmiało otworzyła drzwi i wkroczyła do jaskini lwa. Nie przestępowała progu tego gabinetu od czasu, kiedy złożyła wypowiedzenie, ale działał na nią tak samo onieśmielająco jak za dawnych czasów. Ściany zdobiły zdjęcia Leedsa z wszystkimi kolejnymi prezydentami od czasów Nixona, a także fotografia Edgara J. Hoovera z dedykacją. Leeds miał hopla na punkcie Hoovera, którego uważał za wielkiego bohatera narodowego. Pośród zdjęć z prezydentami wisiał autentyczny list gończy z podobizną Johna Dillingera, który Leeds otrzymał w prezencie od prezydenta Reagana.

Rozejrzała się po gabinecie i z ulgą stwierdziła, że szafa z aktami nadal stoi w rogu i Leeds od tamtego czasu nie zmienił biurka. Podbiegła do biurka i wysunęła prawą górną szufladę. Wprawdzie w pudełku leżało kilka kluczy, ale szybko rozpoznała ten właściwy, mosiężny. Dopadła do szafy, pełna obaw, że Delaney lada chwila zacznie się dziwić, dlaczego jeszcze nie wychodzi z gabinetu. Otworzyła zamek, wysunęła szufladę i

przejrzała ułożone alfabetycznie teczki. Odszukała „W”, wyciągnęła teczkę i zaczęła wertować poszczególne karty. Każda z nich opatrzona była nazwiskiem informatora i przyporządkowanym mu numerem.

Ciągle się łudziła, że ma do czynienia z tym jednym przypadkiem na milion, kiedy zauważyła nazwisko: Alison Carrie Whitt.

Usiadła i wyjęła stronę zawierającą dane Alison Whitt. Sprawdzała linijkę po linijce, szukając nazwiska tego piątego...

– Co ty do diabła wyprawiasz?

Wzdrygnęła się, słysząc głos Leedsa. Stał w drzwiach, na jego twarzy malowała się wściekłość.

– Pollard, wstawaj! Zostaw te akta. Delaney! Chodź tu natychmiast!

Pollard powoli wstawiała, ale nie odłożyła dokumentów. Za plecami Leedsa ukazał się Delaney. Przyglądała im się badawczo. Na karcie mogło figurować nazwisko zarówno jednego, jak i drugiego, ale nie sądziła, żeby to był Delaney. Za krótko służył w FBI.

Podniosła się, wyprostowała i spojrzała Leedsowi prosto w oczy.

– Jeden z pracowników tego zespołu jest zamieszany w zabójstwo czterech policjantów pod Fourth Street Bridge.

Wypowiadając te słowa, pomyślała: Leeds. To naprawdę mógł być on.

Leeds podchodził do niej ostrożnie.

– Odłóż akta, Katherine. To, co robisz, stanowi przestępstwo ścigane na mocy prawa federalnego.

– Przestępstwem jest pozbawienie życia czterech policjantów. Podobnie jak zabicie zarejestrowanej informatorki FBI Alison Whitt.

Pollard wyciągnęła rękę, w której trzymała akta.

– To ty ją zwerbowałeś, Chris?

Leeds spojrzał na Delaneya i zawahał się. W razie czego mogła wziąć Delaneya na świadka.

– Alison Whitt figuruje w twojej kartotece – mówiła dalej. – Była przyjaciółką Marczenki. Wiedział o tym agent, który ją zwerbował. Ten sam agent razem z Fowlerem i

pozostałymi policjantami brał udział w spisku, który miał na celu zagarnięcie brakujących szesnastu milionów dolarów.

Leeds znów popatrzył na Delaneya, lecz tym razem Pollard inaczej odebrała jego wahanie. Nie sprawiał już wrażenia wściekłego, teraz wydawał się zadowolony.

– Masz na to dowody?

Skinęła głową w kierunku teczki zawierającej jej notatki i wycinki zgromadzone przez Holmana.

– Tam znajdziesz wszystko. Możesz zadzwonić do detektywa Rando z komendy głównej. On potwierdzi moje słowa. Alison Whitt zginęła tej samej nocy co tamci czterej policjanci. Została zamordowana przez człowieka, którego nazwisko figuruje w jej aktach.

Leeds patrzył jej prosto w oczy.

– Uważasz, że to ja, Katherine?

– Myślę, że to całkiem możliwe.

Leeds skinął głową i uśmiechnął się blado.

– To sprawdź.

Pollard przeglądała ostatnie wpisy na stronie tytułowej akt Whitt, aż natrafiła na nazwisko, którego szukała. Agent specjalny William J. Cecil. Bill Cecil. Jeden z najlepszych ludzi pod słońcem.

Holman zjeździł wzdłuż i wszerz trzy parkingi przed centrami handlowymi, aż w końcu znalazł czerwonego dżipa podobnego do tego, którego wcześniej podprowadził. Zamiana tablic dwóch takich samych wozów to sztuczka, której Holman nauczył się w czasach, kiedy zarabiał na życie, kradnąc samochody. W razie zatrzymania przez policję i sprawdzenia w komputerze numeru rejestracyjnego, wóz okaże się czysty.

Kiedy podmienił tablice, ruszył w kierunku Culver City. Powrót do motelu nie był najlepszym pomysłem, ale Holman potrzebował pieniędzy, no i broni. Nie miał nawet drobnych, żeby zadzwonić do Perry'ego i dowiedzieć się, czy ktoś o niego pytał. Zwymyślał sobie za to, że nie pożyczył kilku dolarów od Pollard, ale wpadł na to zbyt późno. A skradziony dżip był dokładnie wysprzątany. Zajrzał pod dywaniki, do schowków, pod siedzenia, i nie znalazł nic – nawet śmieci.

Ruch na drodze nasilający się w porze lunchu już zaczynał słabnąć, kiedy Holman dotarł do Pacific Gardens. Objechał kwartał, rozglądając się za podejrzanymi osobnikami wystającymi na ulicy albo siedzącymi w zaparkowanych samochodach. Pollard słusznie podkreślała dwuznaczność poczynań Randoma, ale jakiegokolwiek kierowały nimi intencje, Holman był pewny, że jego ludzie znów po niego przyjadą. Jeszcze dwa razy okrążył kwartał, potem zaparkował na ulicy pod motelem. Obserwował budynek przez dwadzieścia minut, zanim zdecydował się wejść do środka.

Zostawił samochód na ulicy i wszedł do motelu od zaplecza, mijając pokój Perry'ego. Stanął u podnóża schodów, ale nie zauważył ani nie usłyszał niczego niepokojącego. Miejsce, w którym zwykle przesiadywał Perry, było puste.

Holman cofnął się do pokoju Perry'ego i zastukał lekko w drzwi.

– O co chodzi? – odezwał się Perry.

– To ja. Otwórz – powiedział Holman ściszym głosem.

Holman słyszał, jak Perry złorzeczy, ale uchylił drzwi na tyle, żeby przez nie wyjrzeć. Spodnie miał opuszczone do kostek. Tylko Perry był zdolny do tego, żeby tak przyjąć gościa.

- Siedziałem na kiblu. O co chodzi?
- Pytał ktoś o mnie?
- Na przykład kto?
- Ktokolwiek. Pomyślałem, że może ktoś chciał się ze mną widzieć.
- Ta babka z urzędu?
- Nie, nie ona.
- Siedziałem tam cały ranek, aż mnie pogoniło. Nikogo nie widziałem.
- Dobra, Perry. Dzięki.

Holman wrócił do głównego holu i zaczął skradać się do góry po schodach. Kiedy doszedł do drugiego piętra, rozejrzał się; korytarz był pusty. Nie zatrzymał się przy drzwiach do swojego pokoju; od razu poszedł do schowka i delikatnie uchylił drzwi. Odsunął na bok miotły i sięgnął do wnęki za zaworem. Wymacał zwitek banknotów i rewolwer. Kiedy je wyjmował, ktoś wbił mu lufę w lewą skroń.

– Odlóż to z powrotem, chłoptasiu. Wyjmij rękę ze schowka i lepiej, żeby nic w niej nie było.

Holman ani drgnął, nawet się nie obejrzał. Zastygł w bezruchu, z ręką we wnęcie.

– Wyciągnij rękę powoli, pustą.

Holman pokazał rękę, rozpościerając palce, żeby napastnik widział, że nic w niej nie ma.

– Dobrze. Teraz wstań, żebym cię obszukał. Napastnik pomacał Holmana w pasie, w kroku, z tyłu, potem sprawdził nogawki aż do kostek.

– W porządku. Ty i ja mamy mały problem, ale wspólnymi siłami go rozwiążemy. A teraz się obróć.

Gdy się odwracał, napastnik się odsunął, żeby mieć swobodę manewru na wypadek, gdyby Holmanowi przyszło do głowy rzucić się na niego. Przed Holmanem stał łyśy Murzyn o jasnym odcieniu skóry, ubrany w granatowy garnitur. Mężczyzna wsunął pistolet do kieszeni marynarki, ale nie wypuszczał go z ręki, dając Holmanowi do zrozumienia, że w każdej chwili może go użyć. Dopiero po minucie Holman go rozpoznał.

– Znam cię.

– Zgadza się. Pomogłem ci trafić za kratki.

Holman przypomniał sobie – tamtego dnia w banku towarzyszył Pollard agent specjalny FBI Cecil. Przyszło mu na myśl, że to Katherine teraz go przysłała, ale sądząc po tym, jak trzymał broń, Cecil nie przybywał w przyjaznych zamiarach.

– Aresztujesz mnie?

– Powiem ci, co zrobimy – zejdziemy po tych schodach jak dwóch najlepszych kumpli pod słońcem. Jak ten staruszek na dole odezwie się do ciebie albo będzie chciał nas zatrzymać, powiesz mu, że zobaczycie się później, i pójdziesz dalej. Wyjdziemy na ulicę, zobaczysz ciemnozielonego forda zaparkowanego przed motelem. Wsiądziesz do niego. Spróbujesz jakichś sztuczek, a zastrzelę cię na miejscu.

Cecil odsunął się na bok. Holman ruszył po schodach na dół, wyszedł z motelu i wsiadł do forda, zastanawiając się, co jest grane. Cecil przeszedł z przodu samochodu i siadł za kierownicą. Wyjął pistolet z kieszeni i położył sobie na kolanach, nie wypuszczając go z lewej ręki. Prawą trzymał kierownicę. Ruszyli. Holman przyjrzał mu się dokładnie. Cecil miał twarz zlaną potem, oddech płytki i szybki. Wytrzeszczonymi oczami patrzył to na jezdnię, to na Holmana, jak ktoś, kto obawia się ataku przyczajonego węża. Wyglądał na spietranego, jak facet, który ucieka skradzionym samochodem.

– Co ty kombinujesz, do kurwy nędzy? – spytał Holman.

– Chcę zgarnąć szesnaście milionów dolarów.

Holman starał się nie dać po sobie niczego poznać, ale drgał mu kącik prawego oka, które zaczęło łzawić. To Cecil był tym piątym. To Cecil zabił Richiego. Holman spojrzał na pistolet. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Cecil mu się przygląda.

– O tak. Tak, tak. Działaliśmy razem, ale nie miałem nic wspólnego z ich śmiercią. Ja i twój chłopak byliśmy kumplami, ale Juárezowi kompletnie odbiło. Ten sukinsyn oszalał, pozabijał wszystkich, chyba liczył, że zgarnie całą forszę. Dlatego go sprzątnąłem. Sprzątnąłem go za to, że ich pozabijał.

Holman wiedział, że Cecil łże. Poznał to po tym, jak na niego patrzył, jak unosił brwi i kiwał głową w pokazie udawanej szczerości. Tak samo setki razy kłamali Holmanowi paserzy i handlarze prochami. Cecil zamierzał się nim posłużyć, ale Holman

nie miał pojęcia w jakim celu. Coś skłoniło Cecila do tego, żeby się ujawnił. Najwyraźniej obmyślił plan, w którym wyznaczył Holmanowi jakąś rolę.

Obrazy z Cecilem pod mostem błyskały mu przed oczami jak wystrzały w ciemności: Cecil walący do nich z bliska, białozłoty pióropusz wyrastający z lufy, upadający Richie...

Holman znów popatrzył na pistolet, zastanawiając się, czy zdoła go dosięgnąć albo zrzucić na podłogę. Chciał dopaść tego skurwiela – wszystko, co zrobił począwszy od tamtego pamiętnego ranka w celi, kiedy Wally Figg oznajmił mu, że Richie nie żyje, doprowadziło go do tego człowieka. Może zdążyłby go ogłuszyć pięścią, ale co potem? Musiałby go zastrzelić przed przybyciem glin, bo inaczej Cecil pokazałby im odznakę i dał nogę, a Holman musiałby się gęsto tłumaczyć w policyjnym wozie.

Pomyślał, że zdąży wyskoczyć z samochodu, zanim Cecil do niego strzeli. Właśnie wjechali na Wilshire Boulevard, gdzie samochody poruszały się wolniej.

– Nie musisz wyskakiwać. Dojedziemy na miejsce, to cię wypuszczę.

– Nigdzie się nie wybieram.

Cecil roześmiał się.

– Holman, już prawie trzydzieści lat zgarniam takich jak ty. Wiem, co ci przyjdzie do głowy, zanim o tym pomyślisz.

– I wiesz, co teraz myślę?

– Tak, ale nie mam ci tego za złe.

– Myślę sobie, dlaczego ten palant jeszcze tu siedzi, skoro ma szesnaście milionów dolców.

– Wiem, gdzie są. Ale nie mogę się do nich dostać. Dlatego potrzebuję ciebie.

Cecil wyjął ze schowka telefon komórkowy i rzucił Holmanowi na kolana.

– Masz. Zadzwoń do swojego kumpla Chee, sprawdź, co u niego słychać.

Holman złapał telefon, ale nie zrobił z niego użytku. Wpatrywał się w Cecila, czując teraz strach innego rodzaju, strach, który nie miał żadnego związku ze śmiercią Richiego.

– Chee jest w areszcie.

– Już wiesz? No cóż, obędzie się bez dzwonięcia. W norze Chee, którą szumnie nazywa warsztatem samochodowym, znaleziono trzy kilogramy C-4. Dziwnym trafem znalazły się tam również numery telefonów osób podejrzanych o wspieranie Al-Kaidy, a także plany, według których można domowym sposobem skonstruować bombę. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– To ty go wrobiłaś.

– Prawdziwy majstersztyk, chłoptasiu. I tylko ja wiem, czyja to sprawka, więc jeśli nie pomożesz mi wydobyć tej forsy, twój koleś ma przesrane.

Nagle, bez ostrzeżenia Cecil nadepnął na hamulce. Samochód stanął i Holman walnął pierśią w tablicę rozdzielczą. Za nimi rozległ się pisk opon i ryk klaksonów, ale Cecil się tym nie przejmował. Wpatrywał się w Holmana zimnymi, czarnymi, przymrużonymi oczami.

– Łapiesz, w czym rzecz?

Buczenie klaksonów i przekleństwa kierowców stawały się coraz głośniejsze, ale oczy Cecila ani drgnęły. Holmanowi przyszło na myśl, że facet nie jest zdrowy na umyśle.

– Zabieraj swoją forszę i spadaj. Ale po jaką cholere wciągasz w to mnie?

– Mówiłem, sam nie mogę się do niej dostać.

– A to, kurwa, dlaczego? Gdzie ona jest?

– Tutaj.

Holman spojrzał w kierunku, który wskazał mu głową Cecil. Miał przed sobą oddział banku Grand California w Beverly Hills.

Cecil zjechał na bok i stanął przy krawężniku. Wpatrywał się w bank jak w ósmy cud świata.

– Marczenko i Parsons jak na złość ukryli forszę w banku.

– Chcesz, żebym obrabował bank?

– Nie wpłacili tej forsy na konto, kretynie. Jest złożona w depozycie, w dwudziestu dwóch skrytkach bankowych, takich dużych, większych niż normalne.

Cecil włożył rękę pod siedzenie i wyjął woreczek. W środku coś pobrzękiwało. Rzucił woreczek Holmanowi na kolana i schował telefon.

– To są klucze, dwadzieścia dwa, tyle, ile trzeba.

Holman wysypał zawartość woreczka. Na jednej stronie każdego z kluczy wyryte było nazwisko MOSLER oraz siedmiocyfrowa liczba. Po przeciwnej stronie widniała czterocyfrowa liczba.

– Więc to jest ten zakopany przy napisie skarb?

– Marczenko pewnie uznał, że jeśli go przyskrzynią, klucze będą tam bezpieczne. Nie ma na nich nazwy banku, ale producent kluczy prowadzi rejestr. Wystarczył jeden telefon, żeby się dowiedzieć.

Holman popatrzył na klucze, które ciążyły mu w dłoni. Podrzucił je w rękę jak monety. Szesnaście milionów dolarów.

– Myślisz teraz, dlaczego skoro miałem klucze i wiedziałem, gdzie jest forsa, to nie poszedłem i jej nie zabrałem, zgadza się? – powiedział Cecil.

Holman domyślił się dlaczego. Kierownik każdego banku już na pierwszy rzut oka poznałby Cecila i każdego innego agenta z Zespołu Bankowego. Do skarbcza musiałby pójść w asyście pracownika banku zaopatrzonego w klucz uniwersalny, ponieważ do otwarcia skrytki potrzebne były dwa klucze – bankowy i klienta – i musiałby się wpisać do księgi. Żeby wynieść szesnaście milionów z dwudziestu dwóch skrytek, musiałby się sporo nachodzić do skarbcza i z powrotem do samochodu, narażając się na spojrzenia

pracowników, którzy wiedzieli, że nie jest klientem ich banku i nie wynajmował u nich skrytek. Kamery wideo zarejestrowałyby jego ruchy. Wzbudziłby podejrzenia.

– Wiem, dlaczego sam nie wyciągnąłeś tej forsy. Jestem ciekaw, ile waży szesnaście milionów dolarów.

– Mogę zaspokoić twoją ciekawość. Po każdym napadzie na bank dostajemy dokładny opis skradzionych banknotów o poszczególnych nominałach. Dodajesz to i wiesz, ile papierków w sumie zginęło. Dziewięćset osiemdziesiąt sześć banknotów waży kilogram, nominały nie mają znaczenia – wystarczy pomnożyć. Te szesnaście milionów waży dokładnie pięćset osiemnaście kilogramów.

Holman spojrział na budynek banku, potem na Cecila. Cecil nie odrywał od banku wzroku. Holman mógłby przysiąc, że oczy jarzyły mu się zielonym blaskiem.

– Widziałeś tę forszę?

– Raz poszedłem. Otworzyłem skrytkę trzydzieści siedem zero jeden. Zabrałem trzynaście tysięcy dolarów i więcej tam nie wróciłem. Bałem się.

Cecil z niesmakiem zmarszczył brwi.

– Nawet się przebrałem, zachowałem się jak krety – dodał.

Cecil cierpiał na gorączkę złota. Holman nasłuchiwał się w więzieniu opowieści skazańców o bogactwie. Próbowali nadać swoim fatalnym decyzjom romantyczną otoczkę, porównując się do poszukiwaczy złota na Dzikim Zachodzie. Podniecali się, rojąc o jednym skoku, który urządzi ich na całe życie. Rozmyślali o tym bez przerwy, aż w końcu nie potrafili myśleć o niczym innym. Dręczyła ich obsesja, która pochłaniała ich bez reszty. Popadali w desperację, która ich ogłupiała. Temu bałwanowi groziła kara za sześć zabójstw pierwszego stopnia, ale on miał przed oczami tylko forszę. Holman dostrzegł w tym szansę dla siebie. Uśmiechnął się.

– Czego się szczerzysz? – zapytał Cecil.

– Myślałem, że wiesz, co mi przyjdzie do głowy, zanim sam o tym pomyślę.

– I wiem. Myślisz sobie, dlaczego ten żalosny skurwiel wybrał właśnie mnie.

– To by się nawet zgadzało.

W lśniących oczach Cecila odmalowała się złość.

– A kogo miałem wziąć, moją żonę? Myślisz, że taki plan działania mi odpowiada? Kurwa mać, na pewno bym coś wykombinował, te pieniądze spokojnie sobie leżały! Miałem mnóstwo czasu, ale ty i ta suka postawiliście mnie w podbramkowej sytuacji. Jeszcze tydzień temu czas nie grał roli; teraz zostało mi piętnaście minut, więc do kogo miałem się zwrócić, cholera jasna? Zadzwoić do brata w Denver, a może do chłopaka, który nosi za mną kije golfowe? I co miałem im powiedzieć, pomóżcie mi ukraść forszę z banku? To zadanie dla ciebie! Nie odpuszczę sobie szesnastu milionów, za nic! Teraz już wiesz, dlaczego wybrałem ciebie. Bo nikogo innego nie mam. Poza twoim koleśkiem Chee. Mam go w garści. Spróbuj mi podskoczyć, a przysięgam na Boga, że ten gość słono za to zapłaci.

Cecil opadł na oparcie jakby skończyło mu się paliwo, ale pistolet, który trzymał na kolanach, nawet nie drgnął. Holman skupił wzrok na pistolecie.

– Przecież zaraz zwiejesz. W jaki sposób pomożesz Chee?

– Ty wyniesiesz forszę, ja podam ci nazwisko faceta, który mu to gówno podłożył – powiem, skąd to wziął, jak i kiedy, wszystko, czego trzeba, żeby oczyścić twego kumpla.

Holman skinął głową, jakby potraktował jego propozycję poważnie, potem odwrócił wzrok w stronę banku. Nie chciał się zdradzić przed Cecilem. Wiedział, że Cecil może go zastrzelić od razu albo zaczekać, aż dostanie forszę, ale tak czy inaczej Holman miał zginąć – ta gadka o ratowaniu skóry Chee to było zwykłe pieprzenie w bambus. Holman zdawał sobie z tego sprawę i Cecil prawdopodobnie o tym wiedział, ale tak strasznie się napalił na tę forszę, że uwierzył we własną bajeczkę, podobnie jak wbił sobie do głowy, że musi sprzątnąć czterech wtajemniczonych policjantów. W pierwszej chwili Holman chciał udąć, że bierze jego słowa za dobrą monetę, i przy najbliższej nadarzającej się okazji prysnąć, ale to by oznaczało, że Cecil też się wywinie. A Holman chciał postawić skurwysyna przed sądem za zabicie Richiego. I zaczynał mu świtać pomysł, jak do tego doprowadzić.

– Jak to sobie wyobrażasz? – zapytał.

– Pójdiesz do kierownika obsługi. Uprzedź go od razu, że będziesz musiał obrócić sporo razy – zabierasz zeznania podatkowe i dokumenty sądowe, które złożyłeś tam na przechowanie. Zażartuj, powiedz, że chyba nie wybierają się na przerwę czy coś w tym rodzaju. Umiesz wciskać kit.

– Jasne.

– Pieniądze w skrytkach są zapakowane do sportowych toreb. Otworzysz naraz cztery skrytki. Torba waży dwadzieścia parę kilogramów, po dwie torby na ramiona, niecałe sto kilogramów, taki byk jak ty da sobie radę.

Holman nie słuchał go. Myślał o tym, co powiedziała Katherine, kiedy jeszcze byli przekonani, że to Random jest tym piątym: gdyby udało im się powiązać Randoma z Fowlerem, mieliby go w garści. Holman doszedł do wniosku, że gdyby udało mu się powiązać Cecila z łupem Marczenki, Cecil by się z tego nie wywinął i nie uniknąłby wyroku.

– Dwadzieścia dwie skrytki, po cztery naraz. To oznacza, że będę musiał obrócić sześć razy, dźwigając sto kilogramów forsy. Myślisz, że mnie nie zatrzymają? – spytał.

– Myślę, że lepszy rydz niż nic. Jeśli coś pójdzie nie tak, po prostu wyjdiesz. Przecież nie rabujesz tej cholernej forsy, Holman. Po prostu wyjdiesz z banku.

– A jeśli będą chcieli zobaczyć, co jest w tych torbach?

– Olejesz ich i pójdziesz prosto do wyjścia. Weźmiemy tyle, ile się da.

Holman miał plan. Pomyślał, że może się udać, jeśli tylko starczy mu czasu. Wszystko będzie zależało od tego, czy starczy mu czasu.

– To trochę potrwa, człowieku. Nie wytrzymam tyle czasu w banku. Mam złe wspomnienia.

– Pieprzyć twoje wspomnienia. Pomyśl o swoim kumplu Chee.

Holman wpatrywał się w Cecila, jakby miał przed sobą największego idiotę pod słońcem. Chciał, żeby Cecil upajał się świadomością, że forsa jest na wyciągnięcie ręki. Chciał, żeby wizja złota zaćmiła mu rozum.

– Pieprzyć Chee. To ja nadstawiam karku. Co będę z tego miał?

Cecil patrzył na niego zdumiony, a Holman szedł za ciosem.

– Połowa forsy dla mnie.

Cecil zamrugał. Spojrzał na bank, obliznął usta i znów popatrzył na Holmana.

– Kurwa, żarty sobie stroisz?

– Mówię poważnie. Tak sobie myślę, że coś mi się od ciebie należy, sukinsynu, i wiesz dlaczego. Jak ci się nie podoba, to sam wynoś tę cholerną forszę.

Cecil znów zwilżył usta i Holman wiedział, że dał się złapać.

– Pierwsze cztery torby są moje – powiedział Cecil. – Potem, z każdych czterech, jakie wyniesiesz, dostaniesz jedną.

– Dwie.

– Najpierw jedną, później dwie.

– Może być. I masz tu czekać, jak wyjdę z forszą, bo jak nie, to zaraz dam cynk glinom.

Holman wysiadł z samochodu i ruszył w stronę banku. Żołądek podchodził mu do gardła, jakby miał zwymiotować, ale powtarzał sobie w duchu, że uda mu się, jeśli tylko Cecil da mu dość czasu. Wszystko zależało od cierpliwości Cecila.

Holman przytrzymał drzwi wychodzącej z banku kobiecie. Uśmiechnął się do niej miło, potem wszedł do środka i zlustrował pomieszczenie. Na ogół w bankach panował tłok w porze przerwy na lunch, ale już dochodziła czwarta. Tylko pięciu klientów stało w kolejce do dwóch okienek. Z tyłu, za stanowiskami kasjerów przy biurkach siedziały dwie panie, prawdopodobnie kierowniczkami, a w holu przy stoliku dyżurował młody mężczyzna zajmujący się obsługą klientów. Już na pierwszy rzut oka widać było, że bank stanowi łatwy kąsek dla rabusiów. Nie był zaopatrzony w automatyczną blokadę wyjścia ani w ekrany z pleksi odgradzające kasjerów, nie strzegli go ochroniarze. Aż się prosił, żeby go obrabować.

Holman poszedł na początek kolejki, spojrzął na ludzi stojących w ogonku, i zwracając się w stronę kasjerów, powiedział podniesionym głosem:

– To jest napad, kurwa mać. Opróżnić szuflady. Dawać forszę.

Spojrzął na zegarek. Była 3.56.

Zaczęło się odliczanie.

Dwudziestosześcioletnia Lara Myer, pracownica firmy ochroniarskiej New Guardian Technologies, kończyła właśnie zmianę, kiedy zaczął migotać ekran jej komputera, sygnalizując, że w Grand California Bank przy Wilshire Boulevard w Beverly Hills został uruchomiony alarm. Nie było jeszcze powodu do niepokoju. Wskaźnik czasu na ekranie pokazywał godzinę 3.56 i 27 sekund.

Firma New Guardian świadczyła usługi ochrony elektronicznej jedenastu sieciom bankowym, dwustu sześćdziesięciu jeden sklepom całodobowym, czterem sieciom supermarketów oraz kilkuset hurtowniom i zakładom. Każdego dnia połowa nadchodzących zgłoszeń okazywała się fałszywym alarmem, za które odpowiedzialne były napięcia w sieci energetycznej, usterki komputerów, awarie elektroniczne lub elektryczne czy wreszcie ludzkie błędy. Przeciętnie dwa razy w ciągu tygodnia – każdego tygodnia – pracownik jednego z banków w obrębie Los Angeles włączał alarm przypadkowo. Ludzie są tylko ludźmi. Takie rzeczy się zdarzają.

Lara trzymała się instrukcji.

Wyświetliła na ekranie stronę banku Grand Cal (oddział Wilshire – BH). Były na niej wymienione wszelkie dane dotyczące placówki: nazwiska kierowników, liczba zatrudnionych, liczba stanowisk obsługi, specjalne zabezpieczenia, drogi ewakuacyjne i tym podobne szczegóły techniczne. Lecz, co najważniejsze, strona ta umożliwiała sprawdzenie systemu w danej placówce. Taka operacja wykrywała błędy mogące być przyczyną fałszywego alarmu.

Lara otworzyła okno diagnostyczne i kliknęła myszką pole z napisem POTWIERDŹ. Narzędzie skanujące system szukało zakłóceń w zasilaniu, awarii sprzętowych lub usterek programowych, i automatycznie anulowało alarm, przywracając ustawienia wyjściowe. Jeśli pracownik uruchomił alarm przypadkiem, można też było od razu wyłączyć go na miejscu, w banku, odwołując tym samym zgłoszenie napadu.

Sprawdzenie systemu trwało około dziesięciu sekund.

Lara odczytała informację potwierdzającą sygnał.

Alarm w banku GC w BH włączyło niezależnie od siebie dwóch pracowników.

Obróciła się na krześle i zawołała do kierownika zmiany:

– Mamy zgłoszenie.

Kierownik podszedł do niej i odczytał potwierdzenie na ekranie.

– Zawiadom policję.

Lara wcisnęła przycisk na konsoli służący do wybierania numeru pogotowia policyjnego. Po zawiadomieniu komisariatu w Beverly Hills należało poinformować FBI. Lara czekała cierpliwie; po czterech sygnałach zgłosiła się dysponentka.

– Pogotowie policyjne posterunku Beverly Hills.

– Mówi pracownik monitoringu z firmy New Guardian, numer czterysta czterdzieści jeden.

– Proszę zaczekać.

Lara wiedziała, że dysponentka pogotowia policyjnego upewnia się teraz, że to poważne zgłoszenie, a nie głupi żart. Dopóki nie zostaną potwierdzone dane Lary i nie przekaze wszystkim niezbędnych informacji na temat banku, na miejsce zdarzenia nie zostanie wysłany żaden wóz policyjny.

Spojrzała na zegarek.

Była 3.58 i pięć sekund.

Holman stwierdził, że idzie mu całkiem nieźle. Nikt nie rzucił się do wyjścia ani nie dostał ataku serca jak podczas jego ostatniego skoku. Kasjerzy cicho opróżniali szuflady. Klienci stali w kolejce, patrząc na niego, jakby czekali, aż powie im, co mają robić, słowem, wymarzone ofiary.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Holman. – Za parę minut stąd zniknę.

Wyciągnął z kieszeni woreczek z kluczami i podszedł do młodego mężczyzny stojącego przy stoliku. Rzucił mu woreczek.

– Jak się nazywasz?

– Nie rób mi krzywdy, proszę.

– Nic ci nie zrobię. Jak się nazywasz?

– David Murillo. Mam żonę i małe dziecko.

– Gratuluję. David, to są klucze do skrytek, z wrytymi numerami, tak jak zawsze. Weź swój klucz i otwórz cztery dowolne skrytki, nieważne które. Dalej, idź do skarbcza.

David spojrział na kobiety stojące przy biurkach w głębi pomieszczenia. Jedna z nich była pewnie jego szefową. Holman złapał go za brodę i odwrócił tak, żeby patrzył na niego.

– Nie patrz na nią, David. Rób, co ci każe.

David otworzył szufladę, wyjął klucz uniwersalny i ruszył do pomieszczenia ze skrytkami.

Holman pobiegł w stronę wyjścia. Ostrożnie przysunął się do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Cecil siedział w samochodzie. Holman wrócił do lady i stojących w kolejce ludzi.

– Kto z was ma telefon komórkowy? No dalej, potrzebna mi komórka. To ważne.

Przestępowali niezdecydowanie z nogi na nogę, aż wreszcie jedna dziewczyna niepewnie wyciągnęła telefon z torebki.

– Możesz zadzwonić z mojej komórki.

– Dzięki, skarbie. Reszta stać spokojnie. Bez paniki. Holman otworzył telefon i popatrzył na zegarek. Minęły dwie i pół minuty, odkąd wszedł do banku. Przekroczył granicę bezpieczeństwa.

Podbiegł z powrotem do drzwi, żeby sprawdzić, co robi Cecil, potem wyprostował rękę, żeby odczytać numer zapisany na przedramieniu.

Zadzwoił do Pollard.

Leeds przestrzegł Pollard, że powiązanie Cecila z Alison Whitt to za mało, żeby go skazać, więc przygotowywali zestaw sześciu fotografii, chcąc, żeby matka Marczenki rozpoznała go na zdjęciu. W chwili kiedy Leeds wybierał numer Randoma, Pollard bezskutecznie próbowała skontaktować się z Holmanem. Jego telefon w motelu nie odpowiadał, więc wybrała numer Perry'ego. Dowiedziała się tylko, że Holman był w motelu, ale wyjechał. Na tym, niestety, wiedza Perry'go na temat poczynań Holmana się kończyła.

Z formularza rejestrowego Alison Whitt wynikało, że Cecil zwerbował ją i korzystał z jej usług trzy lata wcześniej. Dowiedział się o niej, prowadząc dochodzenie w sprawie byłego piosenkarza, który stał się gwiazdą kina klasy B, podejrzanego o finansowanie gangu z South Central zajmującego się importem i rozprowadzaniem narkotyków. Alison Whitt groziło więzienie za prostytucję i posiadanie narkotyków, więc zgodziła się na bieżąco informować FBI o kontaktach piosenkarza z członkami gangu. Cecil wpisał do akt Whitt, że regularnie dostarczała rzetelnych informacji, co znacząco pomogło w postępowaniu karnym.

Pollard siedziała przy biurku przed gabinetem Leedsa, kiedy zadzwonił jej telefon. Spojrzała, kto dzwoni z nadzieją, że to Holman albo Sanders, ale na ekranie wyświetlony był nieznany jej numer. Postanowiła nie odbierać, ale w końcu z niechęcią zmieniła zdanie.

– To ja – odezwał się w słuchawce Holman.

– Dzięki Bogu! Gdzie jesteś?

– Obrabiam bank.

– Zaczekaj – powiedziała i zawołała do Leedsa: – Mam na linii Holmana.

Leeds wyszedł zza biurka, stanął w progu, wciąż rozmawiając przez telefon z Randomem. Pollard wróciła do rozmowy z Holmanem

– Ten piąty to agent FBI – mówiła. – Nazywa się Bill Cecil Był...

– Wiem o tym – przerwał jej Holman. – Siedzi w zielonym fordzie przed bankiem i czeka, aż wyniosę...

Teraz Pollard nie pozwoliła mu dokończyć.

– Zaraz, chwila. Myślałam, że żarty sobie stroisz.

– Jestem w banku Grand California przy Wilshire Boulevard w Beverly Hills. Marczenko ukrył łup tutaj, w dwudziestu dwóch skrytkach. Cecil miał do nich klucze. To właśnie te klucze wykopali z ziemi przy napisie...

– Po co robisz skok na bank?

Leeds zmarszczył brwi.

– Co on wyprawia?

Pollard uciszyła go machnięciem ręki. Przyłączył się do nich zciekawiony Delaney.

– A znasz szybszy sposób – mówił Holman – żeby ściągnąć do banku gliny? Wypłoszyliśmy go z ukrycia, Katherine – Cecil miał klucze, ale bał się przyjść po pieniądze. Jestem tu już trzy i pół minuty. Zaraz przyjedzie policja.

Pollard zakryła dłonią telefon i popatrzyła na Leedsa i Delaneya.

– Grand California na Wilshire w Beverly Hills. Sprawdźcie, czy zgłosili napad.

Delaney pobiegł skontaktować się z dysponentem FBI, a Pollard zwróciła się do Holmana:

– Są ranni?

– Nikomu nic nie grozi. Chcę, żebyś powiedziała glinom, co się dzieje. Mnie nie będą chcieli słuchać.

– Max, to kiepski pomysł.

– Chcę, żeby złapali go z forszą. Bał się sam po nią przyjść, no to muszę mu ją wynieść...

– Gdzie jest teraz Cecil?

– Czeka w samochodzie przed bankiem.

– W zielonym fordzie?

– Zgadza się.

Pollard znów zakryła telefon dłoń i zwróciła się do Leedsa.

– Cecil siedzi w zielonym fordzie zaparkowanym przed bankiem.

Kiedy Leeds przekazał informację Randomowi, nadbiegł podekscytowany Delaney.

– Beverly Hills potwierdza napad na wymieniony bank. Jednostki już są w drodze.

– Holman, posłuchaj – powiedziała Pollard. – Cecil to groźny przeciwnik. Zabił już sześć osób...

– Zrobił błąd, zabijając mojego syna.

– Zostań w środku, dobrze? Nie wychodź z banku. To niebezpieczne. Nie chodzi mi tylko o Cecila. Policjanci nie wiedzą, że jesteś po naszej stronie. Nie mogą wiedzieć, że...

– Ale ty wiesz.

Holman się rozłączył.

W słuchawce zapanowała cisza. Pollard poczuła nagły ucisk, jakby coś zgniatało ją od wewnątrz. Zerwała się na nogi.

– Jadę do banku.

– Nie zdążysz. Policja z Beverly Hills się tym zajmie. Pollard pobiegła najszybciej, jak mogła.

Bill Cecil obserwował bank, nerwowo tupiąc. Silnik pracował na jałowym biegu i klimatyzacja chłodziła powietrze, ale Cecil pocił się jak mysz, wyobrażając sobie przebieg wydarzeń w banku.

Najpierw Holman zasunął zwyczajową gadkę-szmatkę kierownikowi obsługi. Jeśli facet zajmował się właśnie klientem, Holman musiał swoje odczekać. Cecil pomyślał, że Holman powinien mieć dość rozumu, żeby podejść do drzwi i mu pomachać, dać znać, że wszystko gra, ale jak dotąd się nie pokazał. Cecil uznał, że to dobry znak, ale i tak czekanie nieznośnie mu się dłużyło.

Potem kierownik zaprowadził Holmana do pomieszczenia ze skrytkami, a mógł należeć do tych leniwych flegmatycznych drani, którzy ruszają się jak muchy w smole.

Na miejscu Holman musiał wpisać się do księgi, a kierownik w tym czasie otwierał swoim kluczem zamki w skrytkach. Potem Holman włożył po kolei swoje klucze i sprawdził, czy wszystkie zamki się pootwierają, ale z otwarciem skrytek musiał zaczekać, aż zostanie sam.

Wtedy powyjmowałby worki z pieniędzmi, pozamykał skrytki i ruszył do wyjścia. Po drodze powiedziałaby pewnie coś zabawnego kierownikowi obsługi, ale dojście do drzwi zabrałoby mu jakieś dziesięć sekund, nie więcej.

Cecil obliczył, że cała akcja od początku do końca – jeśli Holman nie czekał w kolejce – powinna zamknąć się w sześciu minutach. Holman przebywał w banku cztery minuty, może cztery i pół. Nie było powodu do obaw.

Stukając pistoletem w kierownicę, Cecil postanowił, że za dziesięć sekund pójdzie zajrzeć do środka.

Holman zamknął telefon i wyjrzał przez drzwi na zewnątrz. Bał się, że policja zjawi się za szybko. Było prawie niemożliwe, żeby zdążyła przyjechać na miejsce w ciągu dwóch minut, ale potem można się było spodziewać jej przybycia w każdej chwili. Tylko podczas swego ostatniego feralnego napadu tkwił tyle czasu w banku. Wrócił myślami do tego skoku. Przyjazd na miejsce zabrał Pollard niecałe sześć minut, a przecież połączone siły FBI i policji czekały wtedy w pogotowiu, gotowe w każdej chwili wkroczyć do akcji. Miał więc jeszcze trochę czasu.

Wrócił do ludzi stojących przy okienkach i oddał telefon właścicielce.

– Wszystko w porządku? Nikomu nie puściły nerwy?

– Jesteśmy zakładnikami? – zapytał mężczyzna w okularach w drucianych oprawkach.

– Nie biorę żadnych zakładników. Jeszcze chwila i będzie po wszystkim. Tylko bez wygłupów.

Holman krzyknął w stronę skarbcza.

– Hej, David! Jak ci idzie ze skrytkami?

– Już otworzyłem.

– Nie ruszajcie się z miejsca. Policja już jest w drodze – powiedział Holman i pobiegł do skarbcza. David ułożył cztery duże sportowe torby na środku pomieszczenia. Trzy były granatowe, jedna czarna.

– Co jest w środku? – zapytał David.

– Popaprane marzenie pary szaleńców. Nie wychodź stąd, kolego. Tutaj będziesz bezpieczny.

Holman podniósł po kolei wszystkie torby i przewiesił je sobie przez ramiona. Miał wrażenie, że ważą więcej niż po dwadzieścia kilka kilogramów.

– Co z resztą kluczy? – spytał David.

– Niech tu zostaną.

Holman wytoczył się ze skarbca i od razu zauważył brak dwóch osób. Dziewczyna, która pożyczyła mu telefon, powiedziała, pokazując drzwi:

– Uciekli.

Cholera, zaklął Holman w duchu.

Cecil dał Holmanowi jeszcze dziesięć sekund. Zależało mu na tej forsie, ale nie miał zamiaru przez nią zginąć ani trafić za kratki, a ryzyko, że stanie się jedno albo drugie, rosło z każdą chwilą. W końcu postanowił sprawdzić, dlaczego cała akcja tak się przedłuża. Jeśli okaże się, że pracownicy banku obezwładnili Holmana, zamierzał wziąć swoje grube dupsko w troki i wiać, nie oglądając się na nic.

Wyłączył silnik i w tej samej chwili z banku wybiegło dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Kobieta potknęła się w progu, a mężczyzna o mało się przez nią nie przewrócił. Pomógł jej wstać i zaraz pognął przed siebie.

Cecil natychmiast zapalił silnik, gotowy w każdej chwili ruszyć, ale nikt więcej nie wybiegł.

Cecil znów zgasił silnik, wsunął pistolet do kabury i wysiadł z samochodu, głowiąc się, dlaczego tych dwoje uciekało w takim popłochu. Nikt więcej się nie pokazał i Cecil zastanawiał się, co jest grane. Ruszył w stronę banku, ale przystanął, czując, że powinien wskoczyć z powrotem do tego cholernego samochodu i spieprzać stąd.

Rozejrzył się po Wilshire, ale nie dostrzegł błyskających świateł ani policyjnych radiowozów. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Spojrzał w kierunku banku i zobaczył w drzwiach Holmana, który stał w progu, obwieszony wypchanymi torbami. Cecil kiwnął na niego, żeby się pospieszył.

Holman się nie ruszał. Postawił na ziemi dwie torby i gestem dał Cecilowi do zrozumienia, że ma przyjść i samemu je zabrać.

Cecil zorientował się, że coś jest nie tak. Ciągle myślał o tej dwójce, która uciekła z banku. Wyjął telefon i klawiszem szybkiego wybierania połączył się z wcześniej zaprogramowanym numerem. Holman znów mu pomachał, żeby go ponaglić, więc Cecil pokazał mu ręką, żeby dał mu jeszcze chwilę.

– Posterunek Beverly Hills.

– Agent specjalny FBI William Cecil, numer identyfikacyjny sześć-sześć-siedem-cztery. Zgłaszam podejrzone działania w banku Grand California przy Wilshire. Wiecie coś o tym?

– Otrzymaliśmy zawiadomienie o napadzie w tej placówce. Jednostki są już w drodze.

Cecil poczuł piekące ukłucie w piersi. Na ułamek sekundy zrobiło mu się ciemno przed oczami. Wszystko, czego pragnął, znajdowało się dwadzieścia metrów od niego, ale teraz przepadło. Szesnaście milionów – przepadło.

– Eee, potwierdzam napad. Podejrzany to biały mężczyzna, sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, potężnej budowy ciała. Jest uzbrojony, powtarzam, jest uzbrojony. Prawdopodobnie sterroryzował klientów i pracowników banku.

– Przyjąłem, sześć-sześć-siedem-cztery. Nie zbliżaj się do banku. Jednostki są już w drodze. Dziękuję za informacje.

Cecil wpatrywał się w Holmana i nagle kątem oka ujrzał czerwone i niebieskie błyski. Na Wilshire, trzy przecznice dalej, wjechały jadące na sygnale radiowozy.

Cecil pognął z powrotem do samochodu.

Holman obserwował Cecila, pełen najgorszych obaw. Nie rozumiał, dlaczego facet marnuje czas na rozmowę przez telefon, mając niemal pod nosem szesnaście milionów dolarów. Pomachał mu jeszcze raz, żeby podszedł i wziął forszę, ale Cecil wciąż gadał przez telefon. Holmana ogarnęło złowieszcze przecucie, że coś poszło nie tak. Nagle Cecil zawrócił w stronę samochodu i ułamek sekundy później w przeszklonych oknach budynku naprzeciw banku pojawiły się czerwone i niebieskie błyski. Holman zrozumiał, że nie ma czasu do stracenia.

Przepchnął się przez drzwi, ciężkie torby z forszą dyndały mu po bokach niczym ołowiane wahadła. Dwie przecznice dalej samochody zjeżdżały do krawężników, żeby przepuścić jadące na sygnale radiowozy. Od banku dzieliły je dosłownie sekundy.

Holman pobiegł w kierunku Cecila ile sił w nogach, roztrzając przechodniów. Cecil dopadł do forda, otworzył drzwi i już gramolił się do środka, ale Holman złapał go od tyłu, szarpnął i obaj przewrócili się na ziemię.

– Co ty, kurwa, wyrabiasz? Zabieraj te łapska – wysapał Cecil, uparcie próbując wdrapać się do środka samochodu.

Uczepiony nogi Cecila, Holman dźwignął się, okładając go pięścią.

– Odczep się ode mnie, do cholery – wołał Cecil. – Puszczaj!

Holman nie powinien był tak szarżować. Powinien był przemyśleć swoje poczynania i wziąć poprawkę na to, że Cecil to wytrawny agent, zaprawiony w walce z przestępcami przez wszystkie lata służby w FBI. Ale Holman widział w tej chwili tylko Richiego, jak biegnie obok jego samochodu, z czerwoną i mokrą od łez twarzą; wszystkie jego myśli zajmował w tej chwili ośmioletni, szczerbaty chłopak ze zdjęcia, które nieuchronnie będzie blaknąć; zaślepiąło go wściekłe pragnienie zemsty.

Nie zauważył pistoletu, który Cecil wyciągnął z kabury, kiedy czołgał się do samochodu, a Holman walił go pięścią po plecach. Holman nie przestawał go okładać, wciąż starając się przygwoździć do ziemi, lecz Cecil przekręcił się na bok. Trzykrotnie

rozbłysło olśniewające białe światło i po Wilshire Boulevard rozniósł się echem huk wystrzałów.

Świat Holmana stanął w miejscu. Słyszał tylko bicie własnego serca.

Patrzył na Cecila, czekając na pojawienie się bólu. Cecil wpatrywał się w niego, bezgłośnie poruszając ustami jak ryba wyjęta z wody. Z tyłu za nimi zatrzymał się radiowóz i ktoś zaczął krzyczeć przez megafon, ale Holman nie rozumiał słów.

– Ożeż ty, w mordę kopany sukinsynu – wystękał Cecil.

Holman spojrzał w dół. Torby z pieniędzmi podczas szarpaniny przesunęły mu się na piersi. Były osmalone w miejscu, gdzie trzy kule ugrzęzły w plikach banknotów.

Cecil wepchnął lufę pistoletu między torby, ale tym razem nie strzelił. Puścił pistolet, przetoczył się na bok i podniósł na kolana, wymachując wysoko nad głową odznaką FBI i krzycząc:

– FBI! Jestem agentem FBI!

Cecil odsuwał się od Holmana, ręce trzymając w górze, pokazując na Holmana.

– On ma broń! Strzelił do mnie!

Holman spojrzał najpierw na pistolet, potem popatrzył na policyjne wozy. Kryło się za nimi czterech umundurowanych policjantów. Młodzi mężczyźni, w wieku Richiego, trzymali Holmana na muszce. Znów zabrzmiał głos wzmocniony przez megafon, tym razem towarzyszyło mu wycie policyjnych syren.

– Rzuć broń! Odlóż broń i leż spokojnie! Żadnych gwałtownych ruchów!

Ale Holman nie miał co odkładać. Pistolet leżał na torbie pod samym jego nosem. Holman nie wykonywał żadnych ruchów. Bał się poruszyć.

Z banku wyszli na ulicę ludzie. Pokazując na Holmana, krzyczeli w stronę policjantów:

– To on! To był on!

Cecil podźwignął się z wysiłkiem i cofając się, wymachiwał odznaką.

– Widzę jego rękę! Cholera, widzę jego rękę! Sięga po broń!

Holman zobaczył, że mierzący do niego mundurowi zmieniają pozycję. Zamknął oczy, zastygł w oczekiwaniu, ale... nic się nie stało.

Podniósł wzrok. Mundurowi stali z uniesioną bronią, otoczeni przez policjantów z jednostki taktycznej. Kilku uzbrojonych w karabiny i strzelby funkcjonariuszy podbiegło do Cecila, krzycząc, żeby położył się na ziemi. Wpadli na niego w pędzie, zbili z nóg i rozłożyli na ziemi. Dwóch innych szło w stronę Holmana, który wciąż leżał bez ruchu.

Jeden został nieco z tyłu, a drugi podszedł do Holmana.

– Jestem po waszej stronie – powiedział Holman.

– Nie ruszaj się, psiakrew.

Policjant podniósł pistolet Cecila, ale ku zaskoczeniu Holmana nie rzucił się na niego ani nie wykręcił mu rąk do tyłu i nie skuł. Po prostu odetchnął z ulgą.

– Ty jesteś Holman? – zapytał.

– Zabił mi syna.

– Słyszałem, stary. Dopadłeś sukinsyna. Dołączył do niego drugi policjant.

– Wits mówi, że padły strzały. Oberwałeś?

– Chyba nie.

– Nie podnoś się. Przyślemy ci sanitariusza.

Pollard i Leeds precyzyjnie przeszli przez gęstniejący tłum policjantów. Na widok Katherine Holman chciał wstać, ale pokazała mu ręką, żeby leżał spokojnie; posłuchał jej. Uznał, że za daleko zaszedł, żeby teraz niepotrzebnie się narażać.

Leeds podszedł do Cecila, a Pollard ruszyła w stronę Holmana. Ubrana była w granatową kurtkę FBI jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Dotarła do niego, zdyszana, ale wyraźnie szczęśliwa. Podała mu rękę.

– Jestem z tobą. Nic ci nie grozi – powiedziała.

Holman ściągnął z siebie torby z pieniędzmi, złapał jej rękę i wstał. Popatrzył na Cecila rozplaszczonego na ulicy. Policjanci wykręcili mu ręce za plecami, żeby go skuć. Leeds, siny z wściekłości, kopnął Cecila w nogę, a wtedy policjanci z Beverly Hills odciągnęli go. Holman spojrzał na Katherine. Chciał jej powiedzieć, że to Cecil ponosi winę za to, co się tutaj stało i za wszystkie wcześniejsze wydarzenia, które do tego doprowadziły, ale zaschło mu w gardle i mrugał powiekami, żeby opanować łzy. Pollard ścisnęła jego rękę.

– Już dobrze.

Holman potrząsnął głową i odsunął nogą torbę z pieniędzmi. Wcale nie było dobrze i już nigdy nie będzie.

– Łup Marczenki. O to Richiemu chodziło – powiedział.

Pogłaskała go po twarzy i delikatnie obróciła, żeby na nią popatrył.

– Nie, Max. To nie tak, jak myślisz.

Wzięła jego twarz w swoje ręce.

– Richie nie szukał tych pieniędzy. Posłuchaj...

Opowiedziała mu, jak zginął jego syn, ale – co najważniejsze – jak żył. Holman zupełnie się rozkleił i rozpłakał jak dziecko. Pollard obejmowała go mocno, chroniąc przed światem i pozwalając się wypłakać.

CZEŚĆ PIĄTA

Kiedy Holman zszedł na dół, Perry wciąż tkwił na swoim posterunku. Zazwyczaj zwijał się o siódmej i zaszywał w swoim pokoju, gdzie oglądał ulubioną teleturniej „Jeopardy”, ale tym razem siedział za biurkiem. Holman domyślił się, że czekał właśnie na niego.

– Jezu Chryste, aleś się wypachnił. Spryskałeś się perfumami czy co? – rzekł Perry, marszcząc nos.

– Niczym się nie spryskałem.

– Może mój kutas nie jest już taki sprawny jak kiedyś, ale nos jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. Pachniesz jak baba.

Holman wiedział, że Perry się nie odczepi, dopóki nie powie mu prawdy.

– Kupiłem sobie szampon, podobno o zapachu tropikalnych kwiatów.

Perry odchylił się do tyłu i parsknął.

– No i faktycznie ma zapach. Ciekawe, co to za kwiaty? Fiołki? A może róże? „Na górze róże, na dole fiołki...”.

Perry najwyraźniej miał świetny ubaw. Holman wyjrzał na zewnątrz w nadziei, że zobaczy samochód Pollard, ale ulica była pusta. Perry nie tracił dobrego humoru.

– Ale się odstawiłeś. Niech mnie... ktoś tu chyba wybiera się na randkę.

– To nie randka. Jesteśmy przyjaciółmi, to wszystko.

– Ty i ta kobieta?

– Przestań o niej mówić „ta kobieta”, bo ci przywałę.

– Jak na mój gust jest całkiem do rzeczy. Ja na twoim miejscu rozpowiadałbym wszystkim, że idę na randkę.

– Ale nie jesteś na moim miejscu, więc się przymknij. Powiem Chee, żeby znów przysłał chłopaków, obiją ci ten twój odpicowany wóz.

Perry przestał się śmiać i zrobił urażoną minę. Kiedy Chee został oczyszczony z zarzutów, jego chłopcy zgodnie z obietnicą wyremontowali starego rżęcha. Perry z dumą pokazywał się wszędzie za kierownicą idealnie odnowionego stylowego auta. Właściciel range rovera dawał mu za niego pięć tysięcy dolarów.

Perry pochylił się nad biurkiem.

– Chcę cię o coś zapytać. Mówię poważnie.

– A co z twoim ulubionym teleturniejem? Nie oglądasz dzisiaj?

– Myślisz, że czeka cię jakaś przyszłość z tą kobietą?

Holman podszedł do wyjścia, ale Pollard wciąż nie przyjeżdżała. Spojrzał na zegarek, który dostał od ojca. Wreszcie oddał go do naprawy i zegarek pokazywał dokładny czas. Pollard się spóźniała.

– Perry, słuchaj, teraz też nie jest mi z nią łatwo. Katherine jest agentką FBI. Ma dwóch synów. Nie zamierza wiązać się z takim facetem jak ja.

Po aresztowaniu Cecila zwolniło się miejsce w Zespole Bankowym i Leeds zaproponował je Pollard. Powołanie byłego agenta na posadę cieszącą się takim wzięciem stanowiło odstępstwo od przyjętych zasad, ale Leeds miał wystarczającą siłę przebicia, żeby to przeprowadzić. Pollard będzie mogła wliczyć poprzednie lata służby do stażu pracy i późniejszej emerytury. Holman stwierdził, że to dobry układ, i namówił ją, żeby się zgodziła.

– No tak. Kurczę blade, to chyba ten szampon tak cię ogłupił, człowieku. Ta kobieta by się tutaj nie pokazywała, gdyby nie chciała się z tobą wiązać.

Holman postanowił zaczekać na nią przed motelem. Wyszedł na zewnątrz, lecz już po trzydziestu sekundach Perry znów znalazł się przy nim. Holman uniósł ręce.

– Błagam cię, daj spokój.

– Chcę ci coś powiedzieć. Dla ciebie jestem tylko stukniętym staruchem, który prowadzi obskurny motel. Ale kiedyś byłem inny. W życiu miałem różne możliwości i szanse. Podjąłem decyzje, przez które wylądowałem tutaj. Do diabła, gdybym mógł jeszcze raz wybierać, wybrałbym inaczej. Przemyśl to sobie.

Perry wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

Holman odprowadził go wzrokiem. Nagle usłyszał klakson i obejrzał się. Subaru Pollard było o przecznicę od motelu, ale ona już go dostrzegła. Holman pomachał jej i Katherine uśmiechnęła się do niego.

Rozwahał słowa Perry'ego. Perry nie rozumiał jednego – Holman po prostu się bał. Katherine Pollard zasługiwała na porządnego faceta. Choć starał się, jak mógł, żeby być coraz lepszy, ale miał przed sobą jeszcze mnóstwo pracy. Chciał zasłużyć na Katherine Pollard. I wierzył, że pewnego dnia tak się stanie.